

J. D. HORN

HIT NA
AMAZON.COM

PUSTKA

WIEDZMY Z SAVANNAH 3

Feeria
young

Horn J.D.

PUSTKA

Wiedźmy z Savannah Tom 3

Tytuł oryginału: Witching Savannah. The Void

Przekład: Jerzy Bandel

Pięknemu Savannah i ludziom, którzy je pokochali

PIERWSZY

– Gazety podają, że na Hutchinson Island robotnicy drogowi znaleźli kolejną część ciała tej biednej kobiety. – Claire chwyciła ścierkę oraz stojącą na barze butelkę sprayu i chodząc od jednego stołu do drugiego, każdy opryskiwała mgiełką środka czyszczącego o zapachu mięty, po czym wycierała blaty, szorując je tak mocno, jakby chciała je oczyścić co najmniej z grzechu pierworodnego. Powoli zbliżał się wieczór, czyli pora otwarcia Magh Meall, baru, który prowadziła razem z Colinem, ojcem Petera. Niewysoka postać Claire miotła się od jednego zajęcia do drugiego. Jej gęste, kręcone, ciemne włosy tańczyły, gdy tak się krzątała przy rutynowych, codziennych czynnościach. Zauważyłam kilka srebrnych nitek, które przeplatały tę burzę loków. Byłam przekonana, że pojawiły się z powodu stresu po stracie Peadara, jej prawdziwego syna, i ze strachu o Petera, odmieńca, którego ona wychowała jak syna – a którego ja poślubiłam.

– Chętnie ci pomogę – zaproponowałam.

W odpowiedzi machnęła ścierką w moją stronę.

– Siadaj – nakazała. – Sama to zrobię. – Znałam Claire przez połowę swojego życia i kochałam ją całym sercem. Byłam dumna, że mogę nazywać ją teściową. – Znaleźli dłoń – mówiła dalej, wracając do makabrycznego odkrycia. – Nie podali którą, ale są pewni, że należy do tego samego ciała.

Całe szczęście, że ten etap ciąży, w którym zapach mięty wzbudzał u mnie nudności, miałam już za sobą. Wyobrażenie rozczłonkowanego ciała prawie wystarczyło, by mnie zmusić do ucieczki do toalety; dwa tygodnie temu zapach miętowego sprayu przelałby czare goryczy.

Claire zdawała się nie zauważać mojego dyskomfortu.

– Wygląda na to, że inspektor Cook i jego koledzy nie robią wielkich postępów. – Zatrzymała się w pół obrotu i zerknęła na mnie przez ramię. – Nie zdradził ci jakichś ciekawych szczegółów?

Nie, Adam nic mi nie zdradził. W każdym razie nie celowo. Ale wyłapałam, całkiem przypadkiem, kilka obrazów. Pokonałam kolejną falę mdłości. Musiałam się skupić, by nie wymiotować zjedzonego wcześniej lunchu. Poza mglistym opisem kobiety – prawdopodobnie w średnim wieku, na pewno białej – zarejestrowałam też kilka zabłąkanych myśli Adama. Jedną z najbardziej przerażających dotyczyła pojawiających się na terenie Savannah od niemalże dwóch tygodni części ciała, z których każda w chwili znalezienia była całkiem świeża. Fakt, że nic nie wskazywało na ich zamrażanie, nie został podany do wiadomości publicznej. Tak czy inaczej, mogło to świadczyć o dwóch rzeczach. Albo kolejne części ciała obcinano wciąż jeszcze żywej kobiecie, albo ktokolwiek stał za tą zbrodnią, wiedział co nieco o magii. Niezależnie od tego, Adam wraz z Iris i Oliverem w tajemnicy szukali ofiary, o czym Claire nie wiedziała, a ja nie miałam zamiaru jej mówić.

Głos Claire podniósł się o oktawę, przez co zabrzmiał nieco delikatniej.

– A może powiedział coś twojemu wujkowi, a to dotarło i do ciebie?

– Dobry Boże, kobieto. – Przechodzący obok Colin delikatnie szturchnął żonę w plecy. Jego niskie, żylaste ciało odskoczyło, unikając trzepnięcia ścierką. Claire zmierzyła go wzrokiem, ale gdy tylko skupiła na mężu spojrzenie, jej udawana złość zaraz ustąpiła miejsca wyrazowi ciepła. Uśmiechnęli się do siebie leciutko.

– Powiem ci, Mercy, że nie rozumiem chorobliwej fascynacji Claire tym morderstwem –

oznajmił Colin. – Odzywa się w niej celtycka krew, tego jestem pewien. – Jego czarne oczy zaślniły.

– Och, miło to słyszeć od takiego Irlandczyka jak ty. – Znów się zamachnęła i tym razem skończyło się to miękkim „plask”. – Nie fascynuję się tym ani chorobliwie, ani w ogóle. Po prostu chciałabym mieć pewność, że świr, który za tym stoi, pójdzie siedzieć – oznajmiła, wracając do pracy. – Poza tym współczuję tej biednej kobiecie. Nikt nie zasługuje na coś takiego. Trzęsę się cała na myśl, że jakieś decyzje, które podjęła, naiwne lub nierozważne, doprowadziły ją do takiego końca. Chociaż przypuszczam, że do katastrofy może doprowadzić każdy dokonany wybór, nawet najbłahszy.

– *Wrzesień podważa każdy wybór, dopóki październik nie ochłodzi powietrza.* – Colin zanucił słowa do melodii, której nie poznałam. – *Listopad przysięga, że dni będą wydłużać się, A nie skracać, dopóki ciemny grudzień nie obnaży jego kłamstwa.*

– Nie zbywaj mnie tymi swoimi ckliwymi wierszami.

– Ach, kochanie. – Jego słowa zawibrowały łagodnie. – Nie zbywam cię, tylko próbuję rozweselić. Poza tym, Mac an Fhailghigh to dobry poeta. – Mrugnął do mnie. – Chociaż muszę przyznać, że w przekładzie wiele traci.

Widziałam, jak aura wokół mojej teściowej ciemnieje, gdy się odwróciła i przystąpiła do czyszczenia kolejnego stołu. Kłębiło się w niej tyle uczuć: splątana kula nadziei i strachu, rozczarowań i złości, miłości i żalu. Nie tyle odczytywałam myśli Claire, co czułam jej frustrację, gdy nie mogła znaleźć sposobu, by je wyrazić. Niemalże widziałam, jak opanowuje emocje, które zaczęły wypływać na powierzchnię.

– O jakich wyborach ty mówisz? – zapytałam.

– Słucham, kochanie? – Podniosła na mnie wzrok, udając, że nie zrozumiała, by zyskać na czasie.

– O jakich wyborach mówisz?

Zmarszczyła czoło i zacisnęła szczęki, ale tylko na moment. Zerknęła na męża z poczuciem winy.

– No, dalej – rzucił. – Ja też jestem ciekaw.

Claire oblizwała wargi.

– Nie żałuję na przykład, że cię wybrałam, panie Tierney. – Próbowwała powiedzieć to żartobliwym tonem, ale zaraz potrząsnęła głową. – Nie zamieniłabym cię na żadnego innego mężczyznę, kochanie. – Jej głos zabrzmiał poważnie. – Po prostu czasami się zastanawiam, jak wyglądałoby nasze życie, gdybyśmy nie przyjechali do Ameryki.

– Przyjazd do Ameryki to było nasze marzenie – odparł Colin, wznosił ręce i obrócił się, ogarniając gestem całą tawernę. – To było nasze marzenie.

– Oczywiście. I nie ma dnia, żebym nie doceniała tego, że mogę być tu z tobą. Dzielić z tobą życie. Ale się martwię. Boję się sił, które nas dopadły i zakorzeniły się w naszym życiu. – Odwróciła się do mnie. – Nie mówię o tobie, moje dziecko. Myślę... o innych. Boję się, że mogą nam wszystko odebrać.

Wiedziałam, że gdy mówiła „nam”, miała na myśli także i mnie.

Przesunęłam dłoń po brzuchu, obejmując go ochronnym gestem. Nie byłam do końca pewna, kogo określała mianem „innych”. Było teraz tylu „innych”, tylu ludzi, którzy chcieli zaszkodzić mojej rodzinie lub mnie. Najgorsza z nich wszystkich była moja matka, Emily Rose Taylor. Za każdym razem, gdy wymawiałam w myślach jej imię, widziałam je wyrte na nagrobku na Banventure. Wciąż tam stał, napis i daty się nie zmieniły, ale teraz wiedziałam, że

grób jest pusty.

Claire miała rację. Emily już raz niemalże odebrała nam Petera i wyglądało na to, że wciąż ma moc, by to zrobić. Wiedziała, że nie jest człowiekiem, ale odmieńcem. *Fae*. Wiedziała także o tym, że najlepszym sposobem, by nam go ukraść, jest zdradzić mu tę prawdę.

W przeciwieństwie do dziecka, które we mnie rosło, Peter nie miał żadnych korzeni w naszym świecie. Ludzkie dziecko, za które został wymieniony, wróciło do nas. Niestety, było już za późno na szczęśliwe połączenie rodziny. Tempo upływu czasu w naszym świecie i w świecie wróżek za bardzo się różniło. Dziecko powróciło jako staruszek. Prawdziwy syn Claire i Colina leżał pogrzebany na Laurel Grove Cemetery.

Nie do końca rozumiałam powody tej wymiany, ale biologiczny syn Claire i Colina zajął miejsce Petera w świecie *Fae*, a Peter został w świecie ludzi. *Fae*, który dobił targu z Tierneyami, ostrzegał ich, że zakęcie wiążące Petera z tym światłem łatwo złamać. Gdyby poznał prawdę o swojej naturze, magia *Fae* przestałaby działać. Byłby jak obudzony ze snu. Nie miałby wyboru i musiałby wrócić do miejsca, z którego pochodził. Pozostanie tu mogłoby jedynie doprowadzić go do szaleństwa, a nawet do śmierci. Tylko tyle informacji przekazał. Mgliste i bezużyteczne ostrzeżenie. Żadnej rady, w jaki sposób moglibyśmy chronić go przed prawdą ani co zrobić, by nie zdarzyło się najgorsze.

– Szczęście, które zbudowaliśmy, jest takie kruche – mówiła Claire. – Kocham cię, moja droga, i wiesz, że kocham dziecko, które urodzisz, ale i tak teraz bym chciała... Chciałabym, żebyśmy zostali w Dublinie... Albo żebyśmy opuścili Savannah, gdy Peter był jeszcze mały. – Spojrzała na mnie. – Albo żebym nie była taka głupia i nie wpuściła do naszego życia tego obrzydliwego magika i jego towarzystwa...

– Nie. – Podniosłam rękę, żeby ją uciszyć. – Jestem przekonana, że Emily wiedziała na długo przedtem, zanim skontaktowałaś się z Ryderem. Zostałaś w jakiś sposób pokierowana, być może nawet za pomocą zakęcia.

To Emily zmieniła Rydera w kolekcjonera, osobę, która potrafiła kraść cudzą energię życiową i zamieniać ją w magiczną moc. Joseph, koleżka Emily, który okazał się moim przyrodnim bratem ze strony ojca, wszedł za Ryderem do tego baru, sprawiając przed całym światem wrażenie oddanego mu szczeniaka. Później poderżnął swojemu mistrzowi gardło, składając w ofierze jego i demona, którego ten w sobie nosił, by zasilić mocą mroczne zakęcie Emily. Pod koniec Ryder był tak naćpany, że nie jestem pewna, czy w ogóle rozumiał, że od samego początku był przeznaczony na ofiarę.

Claire mnie prosiła, żebym sekret Petera zabrała ze sobą do grobu, ale mleko rozlało się o wiele wcześniej. Byłam pewna, że pozostali kotwiczący też potrafili zliczyć do trzech, więc Claire się zgodziła, że najlepiej będzie wtajemniczyć także moje ciocie i wujka. Ciotka Iris niezmordowanie poszukiwała jakiejś luki, która pozwoliłaby zatrzymać mojego męża w tym świecie. Jednak źródła, które niegdyś były dla niej dostępne, wyschły z powodu ostatniego konfliktu z kotwiczącymi granicę. Wiedźmy dysponowały bardzo ograniczoną wiedzą o magii wróżek. Ellen poddała najlepszy pomysł, który mogliśmy na poczekaniu wcielić w życie. Wujek Oliver zaczarował Petera, który nie słyszał ani nie widział nic, co mogłoby go naprowadzić na informacje o powiązaniach z *Fae*. Tak czy inaczej, nadal nie rozmawialiśmy o nich otwarcie.

Tucker Perry sfinansował marzenie Petera o założeniu własnej firmy budowlanej, ale raczkujące przedsiębiorstwo bez kontaktów i wsparcia Tuckera nie miało szans, zwłaszcza że duma Petera nie pozwalała mu przyjąć ode mnie żadnej pomocy: ani finansowej, ani

magicznej. Wciąż nie mogłam zrozumieć, że moja matka zaaranżowała morderstwo Tuckera głównie po to, by sprawić ból cioci Ellen. Jeszcze jedno życie, które Emily odebrała i zmarnowała, by ukraść starszej siostrze kolejną szansę na szczęście.

A ponieważ poprzedni szef Petera nie zamierzał przebaczyć mu tego, że chciał być dla niego konkurentem, w starej firmie dla mojego męża i jego ekipy nie było już miejsca. Tak więc, myśląc o naszym dziecku, które było w drodze, Peter wrócił na pełen etat do pracy u rodziców, w Magh Meall. I chociaż jego marzenie już na samym początku legło w gruzach, jakoś się trzymał i wciąż miał na ustach swój ciepły, cudowny uśmiech. Pozostał optymistą i był pewien, że teraz, gdy jesteśmy razem, wszystko inne samo jakoś się ułoży, pod warunkiem, że zachowa dobre nastawienie i podeprze je dostatecznie ciężką pracą.

Sama myśl o jego uśmiechu sprawiła, że ja także musiałam się uśmiechnąć. Ześlizgnęłam się ze stołka i podeszłam do Claire.

– Jakoś... sama nie wiem jak, ale wszystko się ułoży. Obiecuję.

Pocałowałam ją w policzek, a ona rzuciła ścierkę na stół i objęła mnie.

– Trzymam cię za słowo, kochanie. – Kąciki jej ust zadrżały, unosząc się do góry.

– Będę już lecieć – oznajmiłam. Wpadłam do tawerny, by przed otwarciem zobaczyć się z Peterem, ale Claire wysłała go, by coś załatwił, a ja musiałam już iść do domu. – Musicie się przygotować do otwarcia, a ja obiecałam ciotkom, że pomogę im w zakupach na Święto Dziękczynienia. W tym roku zaszalejemy, bo Iris chce zrobić wrażenie na kimś wyjątkowym.

– A więc wciąż spotyka się z tym swoim młodym kolegą? – zawołał zza baru Colin.

Roześmiałam się.

– Zdecydowanie. I wydaje mi się, że zaczyna się dziać coś poważnego. – Sam nie był wiedźmą i miał o dwadzieścia lat mniej niż moja ciotka. Ale za to był uczciwy, uroczy i miał na punkcie Iris bzika. Nie odstępował jej na krok praktycznie od tamtej nocy wspomnień o Peadarze, kiedy Oliver popchnął siostrę w jego ramiona. Z kolei Iris absolutnie straciła głowę dla swojego czarnowłosego, niebieskookiego przystojniaka z kwadratową szczęką. Po tym, jak zmarnowała tyle lat na małżeństwo z Connorem, byłam bardzo szczęśliwa, widząc, jak rozkwita w niej ta ekscytująca, nowa i odwzajemniona miłość do Sama.

– Nie martwisz się o nią? – zapytała Claire. – To znaczy, on nie jest taki jak ty. Te rzeczy między normalnymi osobami i wiedźmami zazwyczaj nie trwają zbyt długo, prawda?

– Och, kochanie, nie zapraszaj. – Colin nachylił się nad barem.

– Między zwyczajnymi osobami i wiedźmami – poprawiłam ją, przypominając sobie podobną rozmowę, którą odbyłam z ciotką Ellen parę miesięcy, nie, całe wieki temu. Uśmiechnęłam się jednak, by wiedziała, że nie czuję się urażona. – I masz rację. Te rzeczy między zwyczajnymi osobami i wiedźmami zazwyczaj nawet się nie zaczynają. A jeśli nawet, to zazwyczaj nie udaje im się przetrwać. – Coś, co ma związek z nieziemskością wiedźm, zazwyczaj odpycha zwyczajnych ludzi, którzy nie chcą nawiązywać i utrzymywać z nimi relacji. Adam i Oliver byli jednym z nielicznych wyjątków, jakie znałam, a ich związek nie ucierpiał jedynie dlatego, że Oliver dawno temu zaczarował Adama, by nie odczuwał tej inności, która w przeciwnym razie dzieliłaby ich jak przepaść. – Sam miał wypadek na motocyklu kilka lat temu. Był w kasku, ale dość mocno uderzył się w głowę. Stracił węch i, jak się wydaje, także awersję do magii, na którą cierpi większość ludzi.

– W takim razie trzymaj Ellen z dala od niego. Lepiej, żeby go nie wyleczyła, przy okazji łamiąc mu serce – zachichotał Colin. Żartował, ale Ellen i ja już rozmawialiśmy poważnie o takiej możliwości.

– Będę jej pilnować – obiecałam. – Zobaczmy się później.

Claire delikatnie chwyciła mnie za rękę.

– Myślałam, że poczekaś na Petera, żeby odwiózł cię do domu. Nie bardzo podoba mi się pomysł, żebyś włączyła się teraz sama.

Uśmiechnęłam się i uniosłam ręce, pozwalając niebieskim iskierkom zatańczyć na czubkach palców.

– Umiem o siebie zadbać.

– Tak, jasne. – Rozluźniła się. Wiem, że nie w pełni uważała moją magię za błogosławieństwo. Duża część Claire wolałaby mieć normalnego syna, który ożeniłby się z normalną dziewczyną. Jednak druga jej część miała gdzieś normalność. – Kochamy cię. Naprawdę – dodała, mrużąc oczy.

– A ja naprawdę kocham was. – Pogładziłam brzuch. – Oboje kochamy. – Pokiwała palcami i uśmiech wrócił na jej twarz. Delikatnie dotknęła mojego brzucha. – Do zobaczenia, kochanie. – Cmoknęła mnie w policzek.

Przy drzwiach odwróciłam się, by jeszcze raz na nich spojrzeć i pomachać na pożegnanie.

– Uściski dla Iris! – zawołał jeszcze Colin, gdy drzwi się za mną zamknęły.

Savannah cieszyło się w tym roku niezwykle długą, ciepłą jesienią – termometry wciąż pokazywały nawet dwadzieścia sześć stopni Celsjusza. Znad rzeki ciągnęło już jednak chłodniejsze powietrze. Mimo to popołudnie było przepiękne. Chociaż spacer sprawiał mi przyjemność, zdawałam sobie sprawę, jak tęsknię za moim wiernym rowerem, tym samym poobijanym staruszką, którym jeździłam od dwunastego roku życia. Tęskniłam za plecionym koszykiem i zepsutym, bezużytecznym dzwonkiem. Odstawiłam rower jakiś czas temu, gdy mój brzuch urósł za bardzo, żebym mogła jeździć.

To był dopiero koniec drugiego trymestru, a ja utyłam już tak, jakbym miała zaraz rodzić. Poklepałam swój wielki brzuch.

– Mama kupi ci przyczepę do roweru, chłopaku. – Powiedziałam do mojego dziecka, mojego małego Colina, obiecując sobie, że będę go zabierać na długie przejażdżki, żeby mógł poznać rodzinne miasto, piękne Savannah.

Z początku się przestraszyłam, gdy zaczęłam tak puchnąć, ale Ellen zapewniała, że dziecko rozwija się prawidłowo, choć szybciej, niż można by się spodziewać.

– Mały Colin jest całkiem zdrowy, tylko jest po części wiedźmą, a po części wróżką – przypominała mi. – Nie możemy z góry zakładać, że ciąża będzie trwała tyle, co u zwykłego człowieka.

Na myśl o Ellen przypomniało mi się, że zbliża się czas zamknięcia Taylor's, jej nowej, banalnie nazwanej kwiaciarni, zdecydowałam się więc wpaść do ciotki i zobaczyć, czy nie chciałyby, abyśmy razem wróciły do domu. Oczywiście, że umiałam o siebie zadbać. Moja odzyskana moc była potężna, a ja nad nią zapanowałam. Szybko. Mimo to świadomość, że gdzieś tam jest ktoś zdolny do rozczłonkowania kobiety, przestraszyła mnie. Szukałam towarzystwa.

Zdziwiłam się, widząc, że światła były już pogaszone, a na drzwiach wywieszono informację o zamknięciu. Mój wzrok przyciągnęła też inna notatka, odręczna: „Tak, mamy jemień”. Ogłoszenie wydało mi się nie tyle reklamą, co przyznaniem się do porażki. Moja ciocia nienawidziła tej pasożytniczej rośliny, której pogańskie korzenie sięgały wystarczająco głęboko, by pozwolić jej rozkwitnąć w okresie Bożego Narodzenia.

Zamyśliłam się, próbując sobie przypomnieć, jak to się stało. Gdy Frigg, matka nordyckiego boga słońca Baldura, wyśniła śmierć syna, na wszystkich rzeczach, które miały zdolność czynienia krzywdy, wymogła obietnicę, że oszczędzą jej dziecko. Pominęła jednak pozornie niewinną jemiołę. Myślę, że to brzmiało zbyt znajomo dla Ellen. Dla kobiety, która miała na swoje rozkazy całą magię świata, a mimo to nie zdołała uratować syna.

– Robisz, co możesz, by chronić swoich najbliższych – usłyszałam kiedyś, jak mówiła do ciotki Iris. – Rzucasz zaklęcia, by oszukać siły nadprzyrodzone, i ubierasz ich odpowiednio do pogody, ale zawsze jest coś, czego nie jesteś w stanie przewidzieć, jedna osoba, której nie będziesz podejrzewać o złe zamiary. – Wiedziałam, że myśl o tym, że przez cały miesiąc będzie zmuszona sprzedawać znieawidzoną roślinę, zniechęciła Ellen i kazała jej zamknąć kwiaciarnię wcześniej. Dotknęłam szyby z nadzieją, że następnego dnia ciotka poczuje się lepiej.

Ruch obok mojego odbicia w szybie przyciągnął moją uwagę. Śmiech dziecka. Wysoki. Krystaliczny. Odwróciłam się, by ujrzeć zupełnie nieprawdopodobny widok: aż za dobrze znanego mi małego chłopca z niebieskimi oczami i loczkami w kolorze blond. Wren, demon, który przez lata mieszkał z moją rodziną, unosił się w powietrzu kilka metrów przede mną. Ten Wren, potwór, którego moja siostra karmiła swoją mocą, dopóki nie wzrósł na tyle, by móc przybrać inną, bardziej złożoną formę. Poznałam go jako Jacksona i niemalże się w nim zakochałam. Ostatnio, gdy go widziałam, przykładał mi nóż do serca, gotów mnie zabić, by uwolnić swoich braci ze świata wiecznego mroku. Byłam pewna, że odszedł, zmieciony z naszego świata mocą granicy.

– Ellen umrze, wiesz o tym. – Znów się roześmiał, a jego śmiech przypominał dźwięk lodowych sopli roztrzaskujących się o ziemię. – Wszyscy umrą. Ellen i Iris, i Oliver, i Peter, i każdy, kogo kiedykolwiek kochałaś. Wtedy zostaniesz całkiem sama, a my rozedrzemy cię na strzępy, kawałek po kawałku. – Wren podleciał do mnie na odległość ramienia, a przez moje myśli przemknął obraz rozczłonkowanego ciała.

– Granica cię zniszczyła. Widziałam. – Czulałam napływające do palców zimno. Moje tętno przyspieszyło. Machnęłam rękami, żeby go przegonić.

– Granica wiele mi odebrała. – Jego chłopięcy głosik nie powinien wyrażać wściekłości, jaką ociekało każde jego słowo. Oczy nie powinny patrzeć z taką nienawiścią, jaką nosił w sobie ten fałszywy dzieciak. – Ty dużo mi odebrałaś, ale mam przyjaciół, którzy pomogli mi odzyskać to i jeszcze więcej.

Świat wokół nas zaczął wirować, obraz zatarł się i zamazał, po czym wszystko zwolniło. Staliśmy teraz na Troup Square, prawie dwa kilometry dalej niż przed chwilą. Ostatnie promyki słońca dotknęły armilli i zapłonęły zdobiące ją złote symbole astronomiczne. Blask objął demoniczne dziecko niezasłużoną aureolą. Osłoniłam się dłonią przed oślepiającym światłem.

– Dlaczego mnie tu sprowadziłeś?

– Bo chcemy, żebyś sobie przypomniła. Najwyższy czas, żebyś sobie przypomniła.

– O czym?

Różane usta Wrena wygięły się w podłym uśmiechu, po czym zmieniły kolor na atramentowoczarny. W ciągu kilku następnych chwil wszystkie kolory go opuściły. Kształt demona rozciągnął się poza ciało dziecka i stracił pozory solidności. Wyglądał jak to, co ludzie ze wsi nazywali boo hagem, a boo hag był z natury wygłodniałym cieniem.

– O przyszłości – powiedział i wpełzł do astrolabium sferycznego. Owinął swoje giętkie

ciało wokół wspartej na wyrzeźbionych żółwiach podstawy, a potem oplótł wielkie koło.

Nagle doświadczyłam wszechogarniającej ciemności utkanej z żywych cieni, które jednak w takiej masie były nieodróżnialne. Zdałam sobie sprawę, że ten bezpostaciowy cień jest manifestacją prawdziwego kształtu tej istoty, i zadrżałam na myśl o mojej siostrze Maisie, leżącej w łóżku z tym czymś, co przybrało postać Jacksona, o jej nogach, splecionych z tym mglistym obrzydlistwem. Co gorsza, wspomniałam pełen pasji pocałunek, który sama kiedyś z nim wymieniłam.

Bezkształtna postać potwora zaczęła drżeć. Coś, co chyba było paszczą, kłapnęło. Wysunął się z niej jakiś przedmiot, podobny do zegarka z dewizką, i zawisł na ramionach gwiazdy polarnej na astrolabium. Żołądek mi się zacisnął. Rozpoznałam zagubione wahadło Connora.

– Może to pomoże twojemu inspektorowi poskładać układankę – zachrypiał Wren głosem jeszcze głębszym i mroczniejszym. Nagle demon wyparował i zniknął za zwisającym łańcuszkiem.

DRUGI

Inspektor Adam Cook nie był zadowolony. Siedział bez słowa w naszej kuchni, stukając w stół krawędzią telefonu. W końcu spojrzał mi w oczy.

– Naprawdę zacznę tęsknić za czasami, kiedy mnie okłamywałaś.

– Uczciwie cię ostrzegałam – odparłam, a pozostałości po cieście Abby uwodzicielsko mrugnęły do mnie z talerza. Choć Abby, moja samozwańcza kuzynka z białej biedoty, różniła się od ciotki Ellen, ich moce świetnie się uzupełniały. Podczas gdy Ellen leczyła ciało, Abby potrafiła uzdrawiać dusze, pomagała prowadzić w stronę światła tych, którzy utracili swoje emocje. Porzuciła wszystko, całe swoje dotychczasowe życie, by przyjechać i pomóc Maisie swoją autorską wersją magicznej terapii poznawczo-behawioralnej.

Jedzenie, zwłaszcza pyszne ciasta, które piekła, były dla Abby tym, czym dla Ellen kwiaty. Jej kulinarne dzieła były naprawdę magiczne. Sposób, w jaki opinały mnie ciężowe spodnie, podpowiadał, że ostatnio nawet odrobinę za często korzystałam z pocieszenia serwowanego nam przez Abby. Nieco poluzowałam gumę w pasie i poprawiłam się na krześle.

„Jesteś piękna”. Peter powtarzał mi to kilka razy dziennie, wyczuwając w jakiś sposób, że poziom mojej pewności siebie zmniejsza się wprost proporcjonalnie do rosnącej wagi. Tego ranka, gdy przewróciłam oczami, objął mnie i zaczął łaskotać.

– Powiedz: „Jestem piękna”. Powiedz albo nie przestanę.

Chichocząc i ledwo łapiąc oddech, w końcu wykrztusiłam to z siebie.

– To prawda – odparł i pocałował mnie. Uśmiechnęłam się na samo wspomnienie.

Za to Adam się nie uśmiechał. Palcem wskazującym szturchnął wahadło Connora.

– Więc ten demon, Wren, powiedział, że to ma być klucz do zakończenia śledztwa?

– Jest demonem. A demony kłamią. – Iris nie mogła oderwać wzroku od łańcuszka, który jej mąż zawsze miał przy sobie, który był niemal częścią jego osoby. Na samo wspomnienie imienia Connora z twarzy ciotki odpływała cała radość. Na widok wahadła jakby się postarzała o jakieś dziesięć lat, nawet pomimo nowej młodzieńczej fryzury, którą zafundowała swoim blond włosom, i pomimo moich ciuchów sprzed ciąży, które ostatnio miała w zwyczaju pożyczać bez pytania.

Prawdę mówiąc, bardzo mi się to podobało, podobnie jak fakt, że spotyka się z Samem. Zupełnie jakby nadrabiała wszystkie lata zmarnowane przy zmarłym mężu.

Usiadła obok mnie, mocno splatając ramiona.

– Byłam pewna, że odszedł.

– Wiem. Ja też byłam przekonana, że Wren to już przeszłość.

– Miałam na myśli Connora. – Iris zadrżała. – Myślałam, że odszedł. Na dobre. Powinnam była wiedzieć, że to zbyt piękne, aby było prawdziwe.

Oliver i ja wymieniliśmy spojrzenia. Westchnęłam i skinęłam głową.

Wujek odchylił się na krześle i przebiegł palcami przez swoje gęste blond włosy.

– Posłuchaj, siostrzyczko – urwał, zbierając się w sobie. Uniósł brwi i ściągnął usta, zabawnie ruszając nimi to w prawo, to w lewo. Rozluźnił się i spojrzał na siostrę. – Connor odszedł. Na dobre.

– Co właściwie chcesz przez to powiedzieć?

– W nocy, po czuwaniu w Magh Meall – wpadłam mu słowo. – Chciałam poszukać w domu wspomnień, tak jak mówiliście – dodałam szybko na swoją obronę. – Żeby sprawdzić, czy nie wyciągnę jakichś okrucichów pamięci o Emily i jej poczynaniach. Duch

Connor był tu uwięziony. – Nie chciałam kończyć, ale wiedziałam, że nie mogę przerwać i pozostawić jej w niepewności.

– Tak? – naciskała, przenosząc wzrok z wahadła na mnie.

– Cóż – podjął Oliver. – Skorzystał z mocy Mercy, żeby znów ją zaatakować.

Rysy Iris złagodniały.

– Tak mi przykro. Byłam idiotką. Myślałam, że w końcu jesteśmy bezpieczni.

Oliver poczuł się w obowiązku wyjaśnić jej wszystko do końca.

– Och, Mercy była bezpieczna. Kiedy Connor wyszedł się pobawić, Mercy zwabiła go do pułapki na duchy. Ta stara zgreda, to znaczy Matka Jilo – poprawił się, widząc mój wzrok – pokazała jej, jak ją zrobić.

– Pułapkę na duchy? – Błysk w jej oku podpowiedział mi, że to nie jest pytanie, lecz raczej wyraz zdziwienia. – Jilo miała talent do takich klasyków. – Wzięła głęboki oddech i zadrżała, jakby próbowała strząsnąć z siebie piętno Connora. – Co zrobiłaś z tą pułapką? Gdzie ona jest?

Spuściłam wzrok, niepewna, jak ciotka zareaguje. Nie musiałam się jednak martwić, bo Oliver znów przejął pałeczkę i ciągnął swoim gawędziarskim tonem.

– Zapieczetowałam ją w bloku cementu, po czym przekonałem kapitana frachtowca płynącego do Kantonu, żeby wyrzucił go za burtę, gdy będzie przepływać nad Rowem Mariańskim. – Mrugnął do mnie, ignorując zmianę nastroju Iris. – Biorąc pod uwagę cięcia w NASA, to najlepsze, co mogłem wykombinować.

Iris zeszywniała na krześle. Odwróciła się od uśmiechniętego brata i spojrzała na mnie.

– Kiedy zamierzałaś mi powiedzieć?

Przygryzłam wargę.

– Tamtego ranka, gdy wstaliśmy tak wcześnie i przyłapałam cię, jak wracałaś ze swojej wstydlivej przechadzki, pamiętasz? Dopiero co znalazłaś bratnią duszę w Samie.

– Bratnią duszę – parsknął Oliver.

– Przymknij się, Oliverze – odezwaliśmy się jednocześnie z Adamem.

– Rozkwitłaś, gdy Connor odszedł – mówiłam dalej. – Byłaś taka szczęśliwa.

Przepraszam. – Wyciągnęłam dłoń, a ona poklepała mnie po niej. – Nie chciałam ryzykować, że to się zmieni.

– Nie martw się. Robienie złych rzeczy dla dobra innych to nasza rodzinna tradycja.

– Dobrze. Mamy to przegadane. – Oliver chwycił kawałek ciasta, który mnie kusił, i widelec, żeby się do niego dobrać. Między Adamem i Oliverem nastąpiła wymiana myśli. – Co? – odparł Oliver na niezadane pytanie. – Mam sprawny metabolizm. Kawałek ciasta mi nie zaszkodzi.

– Po prostu się zastanawiam, jak możesz tak stać i spokojnie jeść, gdy właśnie się dowiedziałeś, że demon, który jedną twoją siostrzenicę uwiódł, a drugą prawie zamordował, wrócił i wykonuje wiwisekcję na niewinnej kobiecie.

– Nie wyciągaj pochopnych wniosków, inspektorze. – Oliver beczelnie włożył kawałek ciasta do ust i wycelował w Adama widelec. – Nie możesz być pewien, że te dwie sprawy się łączą.

Adam odsunął się na krześle i położył ręce na stole.

– No cóż, i ty, i Iris zgodziliście się, że do ochrony części ciała, które znaleźliśmy, użyto magii, i że ta sama magia powstrzymuje Iris od zrobienia tej sztuczki z dotykiem.

Jeszcze pół roku temu wierzyłam, że umiejętność poznawania historii przedmiotów dzięki

ich dotknięciu jest największym talentem ciotki. Oczywiście wtedy jeszcze nie wiedziałam, że ukrywała własne możliwości, żeby nie drażnić delikatnego ego męża. A potrafiła też latać, dawać wiatrowi unieść się w niebo. Oszłomiła mnie myśl, że potrafiła żyć bez tego tyle lat. Zawsze myślałam, że z rodzeństwa mojej matki najpotężniejsza jest Ellen. W końcu musiałam jednak zweryfikować ten pogląd, biorąc pod uwagę, jakie jeszcze sztuczki Iris chowała w zanadrzu.

Za to wiadomość, że Iris nie była w stanie niczego wyciągnąć z tych szczątków, była dla mnie niespodzianką.

– Nic? – spytałam.

– Nic. Jakby ręka i stopa nie istniały. Jakby zostały wyczyszczone z wszelkich wspomnień.

Adam uniósł brwi i zerknął na Olivera, jakby mówił: „A nie mówiłem?”. Wciąż wpatrzony w mojego wujka, wskazał wahadło Connora.

– Wiemy, że to magiczny przedmiot. I wiemy, że twoja diabelska siostra Emily... – Zerknął na mnie. – Bez urazy.

– Bez. – Nasze uczucia wobec Emily Rose Taylor były z grubsza takie same, nawet jeśli mój koktajl emocji był odrobinę bardziej skomplikowany. Emily i Josef porwali Adama, zbili go na kwaśne jabłko, po czym zrzucili ze szczytu latarni w Hunting Beach. A wszystko po to, żeby przyciągnąć moją uwagę.

– Wiemy, że nadal gdzieś tam jest – mówił dalej – i bez wątpienia pała żądzą zniszczenia. Więc tak, szczypta mojej magicznej intuicji wskazuje, że jak najbardziej, wasz demon jest powiązany z tym morderstwem. – Chwycił łańcuszek, pozwalając wahadłu zakołysać się swobodnie. Spojrzał na Iris. – Connor używał tego do szukania odpowiedzi i odnajdywania przedmiotów, tak? Pokaż mi, jak to działa.

– Przykro mi, ale w życiu tego nie tknę. Może lepiej niech zrobi to Mercy albo Oli. – Krzesło zaszurało o podłogę, gdy Iris odepchnęła się od stołu. – Ale szczerze mówiąc, uważam, że pojawienie się demona z wahadłem Connora to tylko gra, która albo ma sprawiać wrażenie, że działa teraz sam, albo jest pułapką, a on ma już współników. – Podeszła do naszych potwornie zagraconych kuchennych szuflad i zaczęła się przez nie przekopywać. – Demony mniejsze są próżne, uwielbiają sprawiać wrażenie potężniejszych, niż są w rzeczywistości. Najbardziej prawdopodobne, że Wren zwinął wahadło tej nocy, gdy płonął dom Ginny.

– Na pewno nie wydawał się mało potężny, gdy przykładał mi nóż do piersi – odparłam. – Poza tym, Wren uciekł granicy. Jeśli nie ma dostępu do potężnych zaklęć, musi mieć jakieś powiązanie z mocą. Powiedział, że ma przyjaciół. – Nawet jeśli trafiłam w punkt, bardzo chciałam, żeby zaproponowała inne wyjaśnienie.

– Uciekł z pomocą tych swoich sojuszników... Może i tak, a może granica po prostu go oszczędziła, tak jak Maisie, a gdy ściągnęłaś do domu siostrę...

– Wzięłaś całą dwójkę w pakiecie. – Oliver dokończył myśl siostry. – Mały drań przeczekał gdzieś, liżąc rany, dopóki nie wzmocnił się na tyle, by się pod ciebie podczepić.

Iris wyjęła z szuflady arkusz papieru. Gdy zaczęła go rozwijać, zorientowałam się, że to stara mapa turystyczna Savannah i okolic. W dzieciństwie spędziłam nad nią wiele godzin, planując najlepsze trasy Wycieczki Kłamców, której pomysł w tamtym czasie dopiero się rodził. Oprowadzałam wtedy nietrzeźwych turystów po Savannah, opowiadając im najbardziej kolorowe kłamstwa na temat naszego miasta, jakie byłam w stanie wymyślić. Oczywiście bez szkody dla kogokolwiek, bo wszyscy wiedzieli, że zmyślałam. Mimo to, moje kłamstewka

utorowały sobie drogę do ludzi w Savannah.

Iris w końcu straciła cierpliwość i ze złością szarpnęła mapę, żeby się rozwinęła.

– Wiem, na co liczysz, Adamie. – Rozłożyła papier na stole. – Masz nadzieję, że świecidełko Connora w magiczny sposób pokaże, gdzie znajdziemy naszą wciąż żywą, choć trochę osłabioną ofiarę. – Nachyliła się i poklepała go po plecach. – Nie mam daru przepowiadania przyszłości, ale jestem niemal pewna, że na to nie ma szans.

– Musimy spróbować.

– Oczywiście. Ale najpierw musimy ci przypomnieć o dwóch rzeczach.

– Słucham. – Adam pozwolił, żeby wahadło opadło na mapę.

– Po pierwsze, samo wahadło nie jest magiczne. Nie było źródłem umiejętności śledczych Connora. Ono tylko skupiało jego moc. W naszych rękach prawdopodobnie będzie zaledwie mosiężnym ciężarkiem na łańcuszku.

Adam pokiwał głową.

– Rozumiem.

– Po drugie, chcę, żebyś pomyślał o tym, że to może być pułapka, a wtedy niewykluczone, że to cholerne wahadło jest przeklęte! Mercy, ile sztuk biżuterii dostałaś w ubiegłym roku?

Już wiedziałam, do czego zmierza.

– Trzy.

– A ile z nich zaczarowane było złym zaklęciem?

Zerknęłam w dół na moją ślubną obrączkę.

– Tylko dwie, mam nadzieję.

Oczy Iris zamigotały na ten żart.

– Ta, kochanie, ma błogosławieństwo dobrej magii. – Ulotny moment minął. Uśmiech ciotki zgasł, a ciepłe spojrzenie znów zrobiło się srogie. Iris wróciła do konkretów. Zerknęła na Adama. – No to czym bezpieczeństwem powinniśmy zaryzykować? Olivera czy Mercy?

Oliver przewrócił oczami.

– Dobra, wystarczy tej dramy. Pociągnę za sznurek, a jeśli coś się stanie, to najwyżej zestrzelicie jakieś skrzydlate małpy. – Sięgnął po wahadło, ale Adam trzepnął go w rękę z głośnym „plask”. – Au. Cholera. Co jest?

– Sądzę, że Adam właśnie stwierdził, iż ryzyko nie jest warte ewentualnych rezultatów – rzuciła Iris.

Każdy inny pewnie już by pękł, ale Adam miał w sobie prawie taki sam dziki upór jak ja. Chwycił wahadło i uniósł je nad mapą. Ku naszemu zaskoczeniu, zaczęło zataczać precyzyjne małe kółeczka w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara.

– Zostaw to, kolego – nakazał Oliver.

Wiem, że wujek mógłby zaczarować Adama, ale możliwość czarowania go odrzucił już całe lata temu. Inspektor nie był zbyt zadowolony, gdy się dowiedział, że Oliver w magiczny sposób zdjął z niego kiedyś to nieprzyjemne wrażenie, jakie zwyczajni ludzie odczuwają podczas obcowania z wiedźmami. Żeby go udobruchać, Oliver przeprowadził minizwiązanie samego siebie i od tej pory nie mógł już oddziaływać na Adama magią. Tak naprawdę myślę, że sam chciał mieć pewność, że jeśli kiedyś zdobędzie serce Adama, to nieumyślnie nie rzuci na niego zaklęcia, które by wpływało na jego uczucia.

Adam wysunął szczękę, potrząsając głową.

– Masz rację, Iris. Nie widzę żadnego sensownego powodu, dla którego demon miałby podrzucić wahadło i kusić, żeby namawiał was do jego użycia. – Jego spojrzenie na moment

złagodniało. – Ale musicie zrozumieć, że mam na koncie nierozwiązane morderstwo, a nawet trzy. – W myślach zliczyłam zwłoki: Tucker, oczywiście, potem Ryder, którego ciało moja matka porzuciła w Tillandsii. Czyżby Oliver powiedział Adamowi o Birdy, dziewczynie Rydera? – Jeśli zawałę kolejne śledztwo, będzie to koniec mojej kariery.

– Och. – Oliver szeroko otworzył oczy. – Myślałem, że chodzi po prostu o wymierzenie sprawiedliwości w imieniu tej biednej kobiety, którą Wren i jego koledzy porąbali na kawałki.

Adam gwałtownie cofnął głowę. Zamrugał.

– To nie fair...

– Cholerna racja, to nie fair. – Słowa wyszły z moich ust, zanim zdałam sobie sprawę, że nie zamierzałam nic mówić. Równie dobrze teraz już mogłam dokończyć myśl. – Adam wyłazi ze skóry, żeby chronić naszą rodzinę. – Wycelowałam palcem w Olivera. – Więc zamknij te swoje śliczne usteczka na kłódkę albo osobiście ci je zatrzasnę.

– Nikt nie będzie tu nikogo trzaskał. – Tym razem palec Iris celował we mnie.

– Nie o to chodzi – odparłam, czując się jak skarcona sześciolatka. – Mówię tylko, że musimy pomóc Adamowi się z tym uporać, żeby go nie zawiesili.

– Cholera. – Oliver westchnął głęboko i na jego twarzy pojawił się krzywy uśmiech. Był rad, że wstawiłam się za Adamem, nawet jeśli oznaczało to postawienie się jemu. – Zaczynam tęsknić do czasów, w których Mercy nie lubiła cię aż tak bardzo.

Zatkało nas, gdy wahadło nagle ożyło i zaczęło pełznąć w stronę mapy, jakby przyciągał je magnes. Adam wolną ręką poklepał się po kieszeniach i wydobył długopis. Kliknął i narysował na mapie X niedaleko Columbia Square. Najwyraźniej był zadowolony ze wstępnych wyników eksperymentu. Spojrzał na nas.

– Trafiony.

Podniósł wahadło, a ono znów zaczęło się obracać. Z głuchym pacnięciem upadło w kolejnym punkcie. Ledwo Adam zdążył zaznaczyć miejsce obok rysunku przedstawiającego Christ Church, wahadło zawisło w powietrzu. Upadło na East Bay Street, niedaleko skrzyżowania z Whitaker. Zanim Adam namalował kolejny X, wisior przepłynął nad rzeką i spadł na Hutchinson Island, dokładnie tam, gdzie Talmadge Bridge przekracza aleję. Inspektor był tak zszokowany swoim sukcesem, że nawet nie próbował zaznaczać kolejnego miejsca.

Cieżarek podskoczył i ponownie zaczął się kręcić, teraz w przeciwnym kierunku. Upadł znowu, tym razem z taką siłą, że zrobił dziurę w karykaturze plującego lwa, oznaczającej położenie fontanny Cotton Exchange. Gdy przesuniemy mapę, zobaczymy wypaloną w stole dziurę, byłam tego pewna.

– Cholera! – wrzasnął Adam, ciskając łańcuszek. Rzucił się do zlewu i włożył rękę pod strumień lodowatej wody. – To cholerstwo mnie poparzyło!

– Pozwól, że obejrzę. – Iris stanęła obok niego. – To tylko oparzenie. Spowodowane magią, ale objawy są typowe. Dam ci trochę lodu.

Adam pokręcił głową.

– Nie. W porządku, nic mi nie będzie.

– Twardziel – mruknął Oliver, zaznaczając piórem Adama miejsce na mapie, które on sam pominął. Cook i Iris wrócili do stołu i zaczęliśmy studiować mapę. – Okej, widzicie jakiś wzór?

– Cztery z tych pięciu znaczków wskazują miejsca, w których znaleźliśmy części ciała

ofiary. – Adam zabrał Oliverowi pióro i zakreslił linię łączącą te punkty. Popukał palcem w bazgroły, które stworzył. – Tutaj. To jakiś alfabet więdźm? Coś wam ten symbol przypomina?

– Tonący brzytwy się chwyta. – Iris pokręciła głową. – Przykro mi, Adamie, ale nie widzę w tym żadnego sensu.

Wzięłam do ręki wahadło. Wciąż było ciepłe.

– Nie widzę sensu w tym szlaczku, ale wahadło kręciło się w lewo nad miejscami, w których już znaleźliście obcięte części ciała. Potem obróciło się w przeciwną stronę i uderzyło w fontannę. Podejrzewam, że tam pojawi się następna.

Ledwo to powiedziałam, rozdzwonił się telefon Adama. Chwycił go ze stołu i zerknął, kto dzwoni.

– Cook – odezwał się, zanim telefon zdążył zadzwonić po raz trzeci. Wlepił we mnie wzrok. – Tak. Rozumiem. Otoczcie miejsce kordonem. Zabierzcie stamtąd turystów. Zaraz tam będę. – Wyłączył się i schował komórkę do kieszeni.

– Jej pozbawiony głowy tors został porzucony przy fontannie. – Zgarbił się. Nagle wydał się starszy, pokonany. Zdałam sobie sprawę, że naprawdę miał nadzieję na uratowanie tej kobiety. Nie wiedziałam, czy traktować to oczekiwanie jako wyraz optymizmu, czy raczej zaklinania rzeczywistości, ale tak czy inaczej, ceniłam go jeszcze bardziej. – Lepiej wróć do pracy. – Ponownie spojrział na mnie. – Od tej chwili trzymaj się blisko rodziny, w porządku? Żadnego wałęsania się w pojedynkę.

– Okej.

Przeniósł wzrok na Olivera.

– Odprowadzisz mnie?

– Tak. – Wujek podszedł do zlewu i opłukał talerzyk po cieście. – Też będę się zbierał. – Pocałował Iris w policzek.

– Święto Dziękczynienia. Druga po południu w czwartek, obaj. Nie spóźnijcie się – zawołała za nimi.

– Postaram się. – Adam uchylił drzwi do ogrodu.

– To znaczy, że masz trzymać pieczeń w piekarniku, ale nie czekać. – Oliver wypchnął Adama za drzwi.

Iris obróciła się do mnie.

– Chyba powinnam była pozwolić ci go trzasnąć.

– Chyba tak, psze pani.

TRZECI

– Właśnie minęłam dwóch facetów obściskujących się na podjeździe. – Ellen wkroczyła do kuchni i położyła torebkę obok leżącej na stole mapy. – Adam poinstruował mnie, że od dziś my, delikatne kobietki, mamy się nie włóczyć po ulicach naszego zaczarowanego Savannah w samotności.

– Poczucie własnej wartości tego biedaka dość już wycierpiało. – Iris wyjęła z szafki trzy kubki. – Pozwólmy mu wierzyć, że to on chroni nas, a nie odwrotnie. Nie jestem pewna, jak zareagowałby na wiadomość, że te trzy wątle kwiatuszki rozpięły nad nim sieć ochronnych zaklęć.

Po tym, co zrobili Adamowi Emily i Josef, rzuciłyśmy zaklęcie, by mieć pewność, że już nigdy nam go nie porwą. Oliver wiedział tylko tyle, żeby na wypadek bycia indagowanym przez Adama mógł wiarygodnie zaprzeczać, a jednocześnie spokojnie spać w nocy.

– Jak było na „spotkaniu”? – spytała Iris.

– No cóż, pomyślmy. Usiadłam i powiedziałam „Cześć, jestem Ellen. Jestem alkoholiczką. I wiedźmą”. Potem moment ciszy i ktoś rzuca: „Znów to samo”. – Pomimo tego sarkazmu, widziałam, że ma się lepiej. Promieniowała zdrowiem, a do jej ślicznych, błękitnych oczu powracały nawet dawne iskierki. Odrzuciła blond loki i uśmiechnęła się do mnie.

– Mówiłaś o magii? – W głosie Iris zabrzmiało tłumione przerażenie.

– *Jesteś tak chora, jak chore masz tajemnice* – płynnie zacytowała słowa znanej piosenki, ale zaraz zmarkotniała. – Z początku próbowałam robić jakieś zawołane aluzje, ale to było bardzo męczące. Potem zdałam sobie sprawę, że większość z nich i tak jest pograżona we własnych myślach. Ci, którzy słuchali, i tak uważają, że jestem bardziej pokręcona niż... no, sama nie wiem.

– Ale to ci pomaga? – naciskała Iris.

– Tak. – Ellen skinęła głową. – Myślę, że tak.

– Więc możesz mówić, co chcesz. – Iris zdjęła z kuchenki czajnik i napełniła go wodą z kranu. – Myślę, że ludziom w Savannah dobrze robi, gdy zrozumieją, jakim problemom my, Taylorowie, na co dzień stawiamy czoło. Może nawet kilka osób zmieni opinię o naszej rodzinie. – Zapaliła gaz i postawiła czajnik.

– Chyba nie obchodzi mnie, co ktoś o nas myśli. Jestem zmęczona tym, jak mnie osądzają. Jestem zmęczona tym, że ilekroć się pojawię, sąsiedzi zgarniają swoje dzieci i rozpierzchają się niczym przerażone myszki.

– Teraz przesadzasz, Ellen. Nikt tak nie robi. – Iris skrzyżowała ramiona, uśmiechając się.

Zgadzałam się, że nasi sąsiedzi nigdy nie byli niegrzeczni, wiele subtelnych znaków dowodziło jednak, że słowa Ellen wcale nie były takie bezpodstawne. Jej kwaciarnia prosperowała, ale większość zamówień wędrowała do szpitala, nie na śluby. Coś nakazywało ludziom wysyłać jej kwiaty chorym i połamany, ale nie nowożeńcom. Czy były to plotki na temat uzdrawiającej mocy mojej ciotki, czy zwykła intuicja, nie wiadomo. Dopóki wiedźmy trzymały się w bezpiecznej odległości, ludzie zawsze uważali je za użyteczne. Odkąd odzyskałam moc, sama zauważyłam wyraźną zmianę w sposobie, w jaki traktowali mnie zwyczajni ludzie. Odsuwali się ode mnie nawet ci, z którymi byłam blisko.

– Cóż, nie, ale gdybym krzyknęła „buuu”... – Wzrok Ellen padł na wahadło, które wciąż trzymałam w dłoni. – Skąd, u diabła, to się tutaj wzięło? – Spozregła mapę. – O co tu chodzi?

– Usiądź sobie – poleciała Iris.

Odłożyłam wahadło na stół. Czułam się winna, że mnie zastała, jak trzymam je w ręce.

Ellen westchnęła.

– Czyli ten dzień nie może się skończyć jakoś zwyczajnie? – Usiadła naprzeciwko mnie. – Co tym razem?

Iris i ja spojrzaliśmy na siebie, pytając się wzrokiem, która z nas ma wtajemniczyć Ellen.

– Mapa – powiedziałam, tchórzliwie zaczynając od łatwiejszej części problemu. Po śmierci Paula Ellen zaczęła traktować Wrena niemal jak przybranego syna, przelewając na to fałszywe dziecko swoje niespełnione uczucia macierzyńskie. Zaczęłam od ostatniej wiadomości o morderstwie, by tymczasem znaleźć jakiś łagodny sposób na nawiązanie do Wrena. A przynajmniej chciałam tak robić.

– No, no, musi być naprawdę źle, skoro próbujesz zacząć od końca. – Wskazała wahadło.

– Powiedz mi najpierw o tym. Myślałam, że zniknęło, gdy płonął dom Ginny.

Poprawiłam się na krześle. Jak na mój gust, zaczęłam prowadzić zbyt siedzący tryb życia. Zwłaszcza w tamtej chwili. Ellen wciąż na mnie patrzyła, więc nie miałam wyjścia.

– Wren wrócił.

Ciotka przymknęła powieki i wzięła głęboki oddech.

– Więc to nie halucynacje. – Otworzyła oczy. – To ciągle poczucie, że mały drań mnie obserwuje. Już kilka razy zauważyłam go kątem oka. Podpaliłam nawet fikusa, żeby go wykurzyć. – Splotła palce na stole. – To od niego masz to wahadło?

Skinęłam głową.

– Dał mi je razem z wiadomością, że Adam powinien go użyć.

Przechyliła głowę i włosy opadły jej na jedną stronę. Uśmiechnęła się.

– To była ta gorsza część? Dlatego miałam usiąść?

– Cóż, tak, w pewnym sensie...

– Mamy podstawy, żeby sądzić, że jest zamieszany w sprawę morderstwa, którą usiłuje rozwiązać Adam.

Ellen zwróciła się w stronę siostry.

– Więc oficjalnie to już morderstwo, tak? – Czajnik wybrał właśnie ten moment, żeby zagwizdać, a ja lekko podskoczyłam.

Iris zgasiła gaz.

– Nie znamy szczegółów. Gdy wróciłaś, Adam właśnie tam jechał. Przy fontannie Cotton Exchange znaleziono ciało bez głowy.

– Uroczo – mruknęła Ellen i zwróciła się z powrotem do mnie. – Ten obraz zniszczył mi wizję Old Reksa na zawsze. – Gdy Maisie i ja byłyśmy małe, nazywałyśmy lwa z fontanny „Old Rex”. Wiedziałam, co ma na myśli. Właśnie zostało zrujnowane kolejne miłe wspomnienie.

Patrzyłam, jak Iris zalewa herbatę. Ellen zwróciła moją uwagę stukaniem w mapę.

– Co to za znaczki? Czy to tam zostały znalezione poszczególne części ciała? A te linie pomiędzy nimi? – spytała znowu, gdy przytaknęłam.

– Adam chciał znaleźć jakiś wzór w ich ułożeniu – odparła za mnie Iris. – Myślał, że odkrył jakiś magiczny symbol czy coś.

– Biedaczysko – wyszeptała Ellen automatycznie. – Podejrzewam, że dobrze myśli i że ma to jakiś ukryty sens, nawet jeśli jego wyobrażenie co do wyglądu tego znaku jest dość naiwne.

– To znaczy? – Nachyliłam się nad mapą i jeszcze raz przyjrzałam się symbolowi

utworzonemu przez linie łączące krzyżyki.

– W tej rodzinie to ty jesteś przewodnikiem wycieczek. – Ellen wskazała X zaznaczony przez Adama na Hutchinson Island.

– Zacznijmy tu. To tu znaleziono stopę, tak? – spytała Iris, a ona przytaknęła. – Co ważnego wiąże się z Hutchinson?

Odepchnęłam od siebie kłamstwa na temat wyspy, które sama powymyślałam, żeby dokopać się do powszechnie znanych opowieści, mniej lub bardziej prawdziwych, które tworzyły oficjalną historię Hutchinson Island.

– To tam Alice Riley zabiła Williama Wise’a. To morderstwo doprowadziło ją do śmierci. Była pierwszą kobietą w dziejach Georgii, która zawisała na szubienicy. – Zadrżałam, gdy połączyłam w głowie dwa fakty. – Alice była oskarżana o uprawianie czarów.

Iris wiele lat spędziła, pracując jako wolontariuszka w towarzystwie historycznym.

– W jej czasach każda bogata kobieta była o to oskarżana – rzuciła, stawiając na stole tacę z kubkami. Ellen przesunęła mapę, żeby zrobić na nią miejsce. – Mimo wszystko sądzono ją za morderstwo, nie za magię. Była zabójczynią, ale bynajmniej nie wiedźmą.

– Czy w czasie procesu Alice nie była w ciąży? – wtrąciła Ellen. Nie podobała mi się następna stacja, w kierunku której zmierzał pociąg tych skojarzeń.

– Tak, sąd wstrzymał egzekucję do czasu porodu. – Iris zerknęła na mnie. – Słuchaj, możemy od razu przejść do wniosków i powiązać ciebie, wiedźmę w ciąży, z pechową panną Riley. Ale na razie tego nie róbmy. – Postawiła przede mną kubek gorącego rumianku. – Wypij to.

Moje ciotki wymieniły spojrzenia.

– Druga stopa. Znaleźli ją koło Columbia Square. – Iris podała Ellen parujący kubek. – Na środku ulicy naprzeciwko Kehoe Mansion.

– Kehoe. – Ellen upiła łyk. – Król przemysłu żeliwnego w Savannah. Co to może znaczyć? Wzruszyłam ramionami. Nic nie przychodziło mi do głowy.

Iris przysiadła koło siostry.

– Jakie było to potworne kłamstwo, które opowiadałaś kiedyś o rodzinie Kehoe? – Patrzyła na mnie, mrużąc oczy. – To, po którym o mało mnie nie wykopali z towarzystwa historycznego?

– Masz na myśli pierwsze, po którym o mało cię nie wykopali?

– Właśnie. – Pstryknęła palcami, gdy moja historia nagle do niej wróciła. – Oskarżyłaś Annę, żonę Kehoe, o romans z robotnikiem z odlewni, a Kehoe w ataku furii miał go zabić i spalić.

– A jego prochy dodać do żelaza, którego użył do budowy Kehoe Mansion – dokończyła za nią Ellen. Obie na mnie spojrzały, a Ellen pokręciła głową.

– Skąd ty wynajdywałaś te przerażające historie?

– To tylko kłamstewko. – Zupełnie zapomniałam o tej historii z prochami, dopiero Ellen mi o nich przypomniała.

– Kłamstewko? – Iris przeniosła wzrok z siostry na mnie. – Chyba kalumnie. – Po jej uśmiechu domyśliłam się jednak, że już mi wybaczyła. – Nigdy nie wiedziałam, czy z powodu tych twoich opowieści powinnam być przerażona, czy dumna. Każdego dnia patrzyłam bezradnie, jak bez skrpułów przekręcasz istotę swojego dziedzictwa dla własnych celów. – Zaśmiała się, ale sposób, w jaki na mnie spojrzała, podpowiedział mi, że właśnie przypomniła sobie inną historię, za którą powinna mnie zganić. Po chwili jej śmiech zamarł

i znów spojrzała na mapę. – A jeśli patrzymy na to wszystko zupełnie nie od tej strony? – Ciotka splotła ramiona, jakby chroniła się przed nagłym dreszczem. – A gdyby zamiast patrzeć na działania mordercy jak na wskazówki, spojrzeć na nie jak na zaklęcie?

Ellen nachyliła się ku niej.

– Chodzi o to, żebyśmy szukali w tych miejscach powiązań magicznych, a nie logicznych?

Używanie powiązań magicznych pozwala skupić zaklęcie poprzez rysowanie podobnych rzeczy lub zamienianie przedmiotów o podobnych cechach na inne. Najbardziej prymitywną formą takiego działania są laleczki voodoo w kioskach z pamiątkami. W formie bardziej wyrafinowanej służy ono jako podstawa do alchemii duchowej. Prawdziwe wiedźmy rzadko na niej polegają, używając takich mocy tylko wtedy, gdy magia, którą praktykują, przewyższa ich wrodzone zdolności albo wymaga większej precyzji, niż mogą uzyskać bez takich sztuczek.

– To chyba mniejsza prawdopodobieństwo, że szukamy kogoś z naszych, prawda? – spytałam. – To znaczy wiedźmy.

Iris już miała odpowiedzieć, ale zadzwoniła jej komórka. Odebrała, zanim zdążył się odezwać drugi dzwonek. Rumieniec, który wystąpił jej na policzki, podpowiadał, że to Sam. Na jej ustach wykwitł figlarny uśmiech. Powstrzymała się chwilę z odpowiedzią, żeby jej głos nie zdradzał, jak bardzo jest podekscytowana.

– Hej – niemalże zamruczała. Ellen nachyliła się, próbując coś usłyszeć, ale Iris delikatnie ją odepchnęła. – Och. – Błysk zniknął z jej oczu. – Nie, rozumiem, oczywiście. Jutro... – zaczęła i zmarszczyła brwi.

Wiedziałam, że Sam nawalił.

– Wszystko w porządku? – spytałam.

– Tak, oczywiście. – Iris zmusiła się do uśmiechu. – Sam chciał wpaść wieczorem, ale ma jakieś problemy w pracy. Jest ostatnio pod dużą presją. – Tłumaczyła go, chociaż tak naprawdę wcale nie musiała. Wiedziałam, że jedynie powtarza jego słowa. Zastanawiałam się, czy teraz wszystko zacznie przygasać, przynajmniej z jego strony.

Ellen rzuciła mi spojrzenie, które mówiło, że myśli o tym samym. Iris wyłapała naszą bezgłośnie rozmowę.

– Och, do diabła, musi dokończyć jakiś projekt przed urlopem. To nie powód, żeby robić z igły widły.

– Żadne widły. – Uniosłam rękę. – Ale i tak zmniejszę jego głowę do rozmiarów winogrona, jeśli cię skrzywdzi.

– A ja zmniejszę tę część, którą on myśli – dorzuciła Ellen.

Iris oparła dłonie na biodrach.

– Niczego nie będziecie zmniejszać. Pamiętajcie, proszę, że ja bardzo lubię jego procesy „myślowe”. – Z zadowoleniem dostrzegłam, że z jej twarzy zniknął cień, a w miejsce wymuszonego uśmiechu pojawił się ten prawdziwy. – Wszystko jest w porządku. Jest trochę zestresowany. To wszystko. – Przestała się uśmiechać i zmierzyła nas stalowym spojrzeniem. – A teraz schowajcie tę mapę i przygotujcie się na prawdziwy horror. Czas na zakupy. Święto Dziękczynienia jest za dwa dni.

CZWARTY

Abigail pchnęła wahadłowe drzwi kuchenne i spojrzała na mnie.

– Jeśli chcesz poświęcić chwilę Maisie, mogę ją na trochę wypożyczyć. Chyba znaleźliśmy się w punkcie przełomowym. Myślę, że Maisie jest gotowa do rozmowy o... tamtym dniu.

Tamtym dniu. Abby nie musiała już niczego wyjaśniać – mówiła o dniu związania, kiedy Maisie miała zostać kotwiczącą granicy, ale zamiast tego rozszalało się piekło. Miast zaakceptować rolę, którą wszyscy przypisywali jej od urodzenia, moja siostra zbuntowała się przeciwko zjednoczonym rodom i oddała mnie w łapy Jacksona. Dzięki mojej śmierci planowała wydrzeć innym kotwiczącym kontrolę nad granicą i zawłaszczyć sobie jej moc. Wzdrygnęłam się pod wpływem tych wspomnień i robiłam, co mogłam, żeby odepchnąć je od siebie, odłożyć je na bok, aby ciężar przeżyć, w które pchnęła mnie Maisie, nie przygniatał mojego serca. Jeśli miałam znów zaprosić siostrę do mojego życia, musiałam puścić w niepamięć jej bolesną zdradę, ale gdy uczciwie spojrzałam wstecz, to wiedziałam, że muszę jej wiele wybaczyć.

Jackson ukrywał własne cele, próbując oszukać Maisie i ukraść moc granicy. Planował wykorzystać ją do uwolnienia swoich kolegów boo hagów z wymiaru, w który zostali wpędzeni, gdy tworzono granicę. Jednak nie wszystko poszło tak, jak oczekiwali. Z jakiegoś powodu Maisie w ostatniej chwili zdezerterowała i granica, zamiast ją skrzywdzić, okazała jej miłosierdzie i wysłała w miejsce, gdzie nikt nie mógł zrobić jej nic złego.

Jilo ostrzegła mnie przed ściąganiem do naszego świata siostry, która próbowała mnie zabić, a inne rody zabroniły mi szukania Maisie, nie wspominając już o jej ratowaniu. Ale moja rodzina uparła się przy tym i teraz wielu otwarcie nazywa ten bunt Rewolucją Taylorów. Granica wciąż jednak raczej chroniła Maisie, niż ją karała. I to granica pomogła mi sprowadzić ją do domu. Powtarzałam sobie, że wszystko to dowodziło, iż jednak dobrze robiłam, wierząc w Maisie i próbując znaleźć sposób na to, aby szkody, które wyrządziła tamtego dnia, pozostawić za sobą.

Wydawało się, że tamten dzień wydarzył się przed milionami lat, choć przecież wszystko to działo się w lipcu, zaledwie kilka miesięcy temu. A jeszcze miesiąc wcześniej stałam się kompletnie inną osobą. Jakby pomiędzy dziewczyną, którą byłam, a tą, którą widziałam w sobie teraz, ziała przepaść. Byłam dumna z kobiety, którą się stałam, a przynajmniej zaczynałam być dumna. Wciąż jednak jakaś część mnie tęskniła za dawną Mercy. Jasne, prowadziłam wtedy dostatnie, bezpieczne życie i może byłam mniej dojrzała, niż powinnam. Ale było coś magicznego w tamtej dziewczynie, jej niewinności i otwartym sercu, nawet jeśli wtedy ich nie dostrzegałam.

Niemalże zakręciło mi się w głowie, gdy przefrunęły mi przed oczami wszystkie wydarzenia od dnia, w którym znalazłam zwłoki Ginny. Ledwie mogłam to zrozumieć. Jakim cudem zaledwie kilka miesięcy temu mogłam wątpić w moje uczucia do Petera i wierzyć, że kocham się w Jacksonie? Jakim cudem to fałszywe uczucie wydało mi się na tyle realne, że zjawiałam się na skrzyżowaniu Jilo, błagając ją o zakłęcie, które zwróci moje serce w stronę Petera? Teraz wiedziałam, że cała ta sprawa to jedno wielkie, skomplikowane kłamstwo, że moje uczucie nie było skierowane do Jacksona, lecz do mojej własnej magii, która mnie odrzucała. Maisie karmiła nią Wrena, pomagając mu rosnąć i ewoluować, dopóki nie był w stanie przybrać nowej formy, Jacksona. Wyczuwałam więc z tą źle ulokowaną mocą i odczytywałam to jako miłość do Jacksona.

Chociaż granica pomogła mi sprowadzić Maisie do domu, moja siostra nie wróciła w najlepszej formie. Fizycznie miała się dobrze, ale po powrocie kilka dni spędziła w śpiączce. Abigail doradzała ostrożność, bo nie mieliśmy pojęcia, w jakim stanie umysłowym się obudzi. Dlatego moje ciotki, Oliver, Abby i ja wypompowaliśmy z Maisie moc do czasu, aż sytuacja się wyjaśni. Dokładnie tak jak Ginny, która kiedyś odebrała moc mnie.

Nawet po przebudzeniu Maisie trwała w bezruchu i milczeniu. Abby spędziła z nią sam na sam kilka dni i rozpoczęła terapię, która, mieliśmy nadzieję, w końcu uzdrowi moją siostrę. Z początku Abby wprowadzała Maisie w stan kontrolowanych medytacji, a później prowadziła z nią rozmowy, które pozwoliły jej odzyskać głos. W ciągu kilku ostatnich dni Abby poczuła się na tyle pewnie, by pozwolić Maisie znów połączyć się z mocą, odkręciliśmy więc troszkę kurek, pozwalając mocy Maisie powoli i w kontrolowany sposób płynąć do właścicielki.

Nikt z nas nie wiedział, jak dużo mocy miała Maisie. Jeszcze przed naszymi narodzinami Ginny zaczęła podkraść moją moc i karmić nią Maisie. Przecucie mówiło mi, że nie miało to służyć wzmocnieniu mojej siostry, lecz raczej osłabieniu mnie – Ginny po prostu używała Maisie, by sprawdzić działanie swojej pompy. Tak naprawdę zamierzała przelać moją moc do jakiegoś miejsca w ziemi i tam ją uwięzić.

Istniały dowody na to, że Ginny zdawała sobie sprawę, iż nie wszystko poszło zgodnie z planem, że chociaż ogromny ładunek mojej energii przepłynął przez Maisie bez szkody i został złożony w tym przygotowanym wymiarze, to całkiem sporo tej energii zasiliło jednak bezpośrednio Maisie. Wszyscy wierzyli, że ona urodziła się jako magiczny cud, a ja jako fujara. Prawda była taka, że wszechogarniająca moc niszczyła Maisie od środka. Ginny wiedziała, że nie może zerwać połączenia między Maisie a mocą, by nie spowodować powrotu energii do mnie. Cokolwiek Ginny o mnie myślała, wierzyła w to do tego stopnia, że zaryzykowała życie mojej siostry.

Może fakt, że Wren zabił moją cioteczną babkę, był wyrazem jakiejś poetyckiej sprawiedliwości. Ginny mnie obrabowała, a Maisie zniszczyła. Bez względu na źródła problemów Maisie, moja siostra użyła tej kradzionej mocy, by wykarmić potwora, który zabił Ginny. Boże, wybac mi, ale nienawidziłam staruchy. Może nawet bardziej niż Emily. Zastanawiałam się zresztą, czy to nie duch Ginny wstąpił jakoś w moją matkę. Wciąż jednak nie wiedziałam, dlaczego ciotka miałaby tak bardzo mnie nienawidzić, tak bardzo się mnie bać, by pozbawić mnie mocy i przekarmić nią Maisie, ryzykując jej zdrowie.

W końcu sama granica położyła temu kres. Tamtego dnia. Granica ogłosiła kotwiczącą mnie i zwróciła mi moc. Teraz jedyną siłą, jaką miała Maisie, była jej własna moc, przynależna jej z urodzenia. Nawet gromadzona w niewielkich porcjach, robiła wrażenie. W ciągu zaledwie kilku dni, prowadzona przez Abby, Maisie z niczego zaczęła tworzyć miniaturowe wymiary czasowe, w których mogła pracować nad swoimi problemami. Tymi samymi, które kazały jej złożyć mnie w ofierze, by przejąć moc granicy. Magiczna terapia Abby była bardzo intensywna i szczerze mówiąc, gdy widziałam, jak bardzo pomaga mojej siostrze, sama chciałam ją poprosić, żeby i mnie pomogła uporać się z problemami. Bóg wie, że zbierałam problemy jak nadgorliwy skaut odznaki.

– Ja chyba też chciałabym przy tym być – odezwała się Ellen, wyrywając mnie z zamyślenia. Zauważyłam, że nie prosiła o pozwolenie ani Abigail, ani mnie, ale patrzyła pytająco na Iris.

– Może powinniśmy odbyć tę rozmowę jako rodzina... – zaczęła Iris, ale Abigail pokręciła głową.

– Nie. Maisie nie jest jeszcze gotowa rozmawiać z całą rodziną naraz. To Mercy jest osobą, której wyrządziła największą krzywdę. Najpierw pozwólmy pogadać dziewczynom, a potem przyjdzie kolej na nas. Wy dwie idziecie na zakupy.

Iris i Ellen zawahały się, najwyraźniej po cichu próbując skonsultować się ze sobą.

– Przykro mi – odezwała się Ellen – ale Maisie próbowała Mercy zabić, a ty mówisz o tym tak, jakby się posprzeczały o plamę na bluzce.

Jeśli ktokolwiek mógł zrozumieć moje skomplikowane uczucia względem Maisie, to tylko Ellen. Emily, jej siostra, a moja matka, sfingowała własną śmierć, żeby móc wymyślać nowe, twórcze sposoby zamiany życia Ellen w piekło. Wiedziałam, że Ellen nigdy by nie wybaczyła swojej siostrze. Nie obwinałam jej. Zdawałam sobie sprawę, że czasem jest już za późno, by wybaczyć. Najlepsze, co możesz zrobić, to iść naprzód i modlić się, by nie chcieli podążać za tobą. Nie miałam cienia wątpliwości, że tę granicę moja matka dawno przekroczyła.

Teraz, gdy Maisie wróciła i chciała rozmawiać, musiałam się przekonać, czy to samo dotyczy mojej siostry. Musiałam wiedzieć, czy naprawdę żałuje. Czy wie, że zrobiła źle. Czy już nigdy więcej nie zrani mnie tak głęboko.

– W porządku. Jeśli ona jest gotowa, by mówić o tym, co zrobiła, ja jestem gotowa, żeby tego wysłuchać.

Iris spojrzała na mnie.

– Jesteś pewna, że zmierzysz się z tym sama?

– Naprawdę, wszystko pójdzie dobrze. Możecie już... – zaczęła Abigail.

Nagle uderzyła mnie pewna myśl.

– Chwila – powiedziałam łamiącym się głosem. Czulałam się winna, że w ogóle biorę to pod uwagę. Chciałam wierzyć, że moja siostra zmieniła się na lepsze, chciałam w nią uwierzyć. Ale możliwe, że nie miałam racji. – Ten przełomowy moment nadszedł akurat teraz...

Iris pokiwała głową i uwolniła mnie od konieczności dokończenia tej myśli.

– I to powinno skłonić nas do refleksji, czy nie ma to związku z powrotem jej współnika.

– Wspólnika? – zdziwiła się Abigail.

– Dzisiaj pojawił się Wren – wyjaśniłam.

Przez twarz Abby przebiegł z trudem skrywany grymas.

– To trochę komplikuje sprawę. – Spojrzała na Iris. – Nie przyszło wam przypadkiem do głowy, żeby podzielić się ze mną tą nowinką? – Zarumieniła się. – Bez względu na to, czy jestem jedną z was, czy też nie.

– Nie. – Iris podeszła, chcąc ją objąć, ale Abigail odepchnęła moją ciotkę. – To nie tak. Wcale nie. Powiedzielibyśmy ci, po prostu to wszystko dopiero co się wydarzyło.

– I mam uwierzyć, że chcieliście mnie wtajemniczyć, gdy tylko znajdziecie odpowiedniego indyka?

– Naprawdę, Abby. – Objęłam ją. Tym razem się nie broniła. – Proszę, nie myśl, że cię nie doceniamy. – Nie wiem, czy to dobrze, czy nie, lecz moje hormony wybrały właśnie ten moment, żeby się wtrącić, i do oczu napłynęły mi gorące łzy. – Jestem tak bardzo, bardzo wdzięczna za wszystko, co zrobiłaś, żeby pomóc Maisie. Żeby pomóc nam wszystkim. – Uścisnęłam ją. – Po prostu rozmawialiśmy o tym dosłownie przed chwilą. Absolutnie nie chcieliśmy cię wykluczyć, po prostu nie było okazji cię wtajemniczyć.

Zmrużyła oczy i zacisnęła wargi, ale czułam, że wroga aura już ją opuszcza.

– No już dobrze, dobrze. – Poklepała mnie po plecach i wyjęła z kieszeni chusteczkę. – Czysta. – Z uśmiechem pogładziła mnie po policzku. Cofnęła się, ogarniając spojrzeniem mnie i moje ciotki. Jej mina złagodniała, ale wydawało mi się, że o ile mnie to przeoczenie wybaczyła, to Iris i Ellen nie były całkiem oczyszczone z zarzutów.

– Może powinniśmy odłożyć tę rozmowę, dopóki się lepiej nie zorientujemy, co się dzieje – zasugerowała Ellen.

– Nie – zaprotestowałam. – Skoro Maisie potrzebuje mnie, aby wyzdrowieć, pomogę jej. – Serce tłukło mi się w piersi. – Ale jeśli nadal jest połączona z Wrenem, to żeby sobie z nią poradzić, muszę o tym wiedzieć. – Spojrzałam na Abby. – Chcę to zrobić. Porozmawiam z Maisie o tamtym dniu.

– W takim razie nie ma mowy, żebyś zrobiła to bez nas. – Iris wyraźnie podkreśliła „nie”. Ton jej głosu wskazywał, że nie ma dyskusji.

Abby się zgodziła, kiwając głową.

– W porządku zatem. Maisie czeka na nas na górze. Chodźmy.

Maisie była w swoim pokoju – siedziała na podłodze ze skrzyżowanymi nogami, w pozycji kwiatu lotosu. Moja siostra, która próbowała mnie zabić. Zaryzykowałam wszystko, by dać jej drugą szansę.

Jej jedwabiste blond włosy zaplecione były we francuski warkocz. Miała zamknięte oczy, a jej łagodna twarz w kształcie serca była skupiona. Emanowała z niej siła spokoju. „Minie dobra chwila, zanim będę w stanie przybrać taką pozycję”. Myśl pojawiła się znikąd i, na wszystkie świętości, nie rozumiałam, dlaczego była to pierwsza rzecz, która przyszła mi do głowy. Chociaż właściwie to nieprawda. Wiedziałam, że to już wróciło. Mój zdradliwy przymus ciągłego porównywania się z Maisie. Ten zwyczaj ciągnął się za mną całe życie, ale myślałam, że mam to już za sobą, że dorosłam trochę przez ostatnie miesiące. A jednak stałam tam i wyliczałam kolejne rzeczy, w których mnie przyćmiewała, nawet jeśli nie całkiem świadomie.

Miałam do niej żal za ten spokój. We mnie uczucia kotłowały się jak wzburzony ocean strachu, złości i, tak, zazdrości. Władzę przejął nade mną jakiś ciemny fragment mojej duszy, część mnie, która chciała uderzyć i zranić Maisie tak, jak ona zraniła mnie.

– Wren wrócił.

Otworzyła oczy i podniosła na mnie wzrok. Zadrżałam, gdy zobaczyłam ciepło bijące z tych pięknych, niebieskich oczu. Co to było? Wstyd? Smutek? Złość? Jakaś dziwna mieszanina wszystkich tych uczuć? Udało mi się nią wstrząsnąć i nienawidziłam się za to.

– Wiem. Odezwał się do mnie. Chciał mnie przekonać, żebym do niego dołączyła. Żebyśmy znaleźli sposób na dokończenie tego, co zaczęłam.

Abby jęknęła.

– Kochanie, powinnaś była mi powiedzieć.

Wzrok Maisie spoczął na Abigail.

– Teraz ci mówię. Mówię wam wszystkim, bo chcę, żebyście wiedzieli, przeciwko komu gracie. Pozwoliliście mi stworzyć te moje małe bezpieczne światy, rzeczywistości, w których mogłam pracować nad swoim szaleństwem. Ale w prawdziwym świecie nikt z nas nie jest bezpieczny. – Mówiąc, prostowała nogi, przy czym ani na moment nie spuszczała ze mnie wzroku. Uklękła, po czym wstała. – I nie jestem szalona. Naprawdę. – Zrobiła krok w moją

stronę, jakby sprawdzała, czy ucieknę, czy pokonam mój strach przed nią. Poczulałam, jak zimny pot spływa mi ciurkiem po kręgosłupie. Chciałam ją kochać i jednocześnie od niej uciekać.

Stałam jak wryta, nie tyle z powodu odwagi, co raczej dlatego, że mina Maisie przyszpiliła mnie do podłogi.

– Wiem, że nie jesteś szalona, ale...

– Ale co? Lekko mi odbiło? Nie próbuj mnie okłamywać. – Uniosła brwi. – Już jako dziecko nie umiałaś kłamać i nadal nie umiesz, niezależnie od tego, czy jesteś tą kotwiczącą, czy nie.

Iris minęła nas i podeszła do biurka, by obejrzeć rozrzucone na nim książki. Dostrzegłam jej ostrzegawcze spojrzenie i zrozumiałam, że po prostu ustawiła się w lepszej pozycji, na wypadek, gdyby trzeba było powstrzymać Maisie. Ellen też zdawała się pojmwować intencję Iris. Zajęła pozycję naprzeciwko siostry. Nie potrafiła naśladować nonszalancji Iris, stanęła więc tylko jak słup soli, ze zmrużonymi oczami, gotowa wkroczyć w przypadku najmniejszej oznaki kłopotów. Abby nie wydawała się zdenerwowana. Gdy stanęła obok mnie, uspokajająca moc przepłynęła między nami wszystkimi.

– Nie. Nie okłamuję cię. Nie uważam, że jesteś szalona. To słowo oznacza dla mnie stan permanentny. Powiedziałabym raczej: niestabilna. Posłuchaj, przykro mi. Może ty jesteś gotowa, ale ja nie. Myślałam...

Maisie poszukała wzrokiem mojego spojrzenia i chytry uśmiech mignął na jej ustach.

– Próbowałam cię zabić, Mercy. Gdybyśmy zamieniły się miejscami, prawdopodobnie nie zbliżyłabym się do ciebie, chyba że miałabyś na sobie kaftan bezpieczeństwa i jedną z masek Hannibala Lectera. Wychodzi więc na to, że jeśli któraś z nas jest szalona, to raczej ty.

– Nie oszalałam, tylko mam nadzieję.

– W dzisiejszym świecie to na jedno wychodzi. Mimo wszystko jednak musisz mnie wysłuchać. Czekam, aż zapytasz, jak mogłam ci to zrobić. Dlaczego w ogóle dopuściłam do siebie myśl, by demon skrzywdził moją małą siostrzyczkę. Boisz się spytać, ale ja muszę ci powiedzieć, a ty musisz mnie wysłuchać.

– Wiem dlaczego. – Moje słowa brzmiały tak, jakby były pokryte ostrymi kolcami. Nie czułam już potrzeby ucieczki. W moim sercu zapłonęła chęć walki. – Chciałaś mocy i zrobiłabyś wszystko, wszystko, by ją dostać. – Słyszałam złość w swoim głosie i, cholera jasna, miałam nadzieję, że Maisie też ją słyszy. – Chciałaś Petera. – Niemal wyplułam imię męża w jej kierunku. – I nie mogłaś pozwolić, żeby ktoś stanął ci na drodze. Nawet ja, twoja siostra.

Prawie się skuliła, patrząc wzrokiem szczeniaka pierwszy raz spuszczonego ze smyczy. Zrobiła krok w tył, a łzy płynęły jej po policzkach.

– Nie. Mylisz się. Wtedy myślałam, że tak właśnie jest, ale nie miałam racji. Jakaś część mnie brała udział w zamordowaniu Ginny. Jakaś część knuła przeciwko tobie, ale była jeszcze inna część. Która patrzyła na ten horror. Robiła wszystko, by cię ostrzec. Ona... Próbowałam ci to powiedzieć na tysiąc sposobów. Ostrzec, byś mi nie ufała, ale nie załapałaś.

– Bo ufałam ci bardziej niż komukolwiek. Byłaś centrum mojego świata. – Nie mogłam na nią patrzeć, musiałam odwrócić wzrok.

– A ja cię zdradziłam w najbardziej haniebnym sposób. – Zrobiła jeszcze jeden krok, ale tym razem wiedziałam, że to nie wyzwanie. To było błaganie o wybaczenie. Wzięła mnie za rękę, zmuszając, bym znów spojrzała jej w twarz. Wyczułam, jak Iris tężeje.

Wzięłam głęboki oddech.

– Wtedy, na końcu, kiedy chciałaś to przerwać... Zdałaś sobie sprawę, że nie dasz rady mnie zabić, czy może dowiedziałaś się o dziecku Petera, które nosiłam?

– To właśnie próbuję ci powiedzieć. Z żadnego z tych powodów, chociaż – wyrzuciła z siebie – właściwie z obu. – Puściła mnie i przycisnęła dłonie do skroni. Z jękiem zacisnęła zęby, jakby poczuła ból. Wzięła kilka głębokich oddechów i opuściła ręce. – To takie pokręcone. – Potrząsnęła głową, marszcząc brwi. – Posłuchaj, Mercy. Nie chcę się tłumaczyć. Nie próbuję racjonalizować tego, co zrobiłam. Wiem, że to było potworne. – Obserwowałam jej przerażoną twarz, szeroko otwarte oczy, drżące wargi. Wiedziałam, że w duchu jeszcze raz przeżywa tamte wydarzenia. – Kiedy nadszedł moment, w którym energia granicy miała się we mnie zakotwiczyć, usłyszałam głos. – Spojrzała na mnie. – Nie wiem, czy był męski, czy kobiecy.

– Co powiedział? – Nachyliłam się i zamknęłam jej dłonie w swoich.

– Że dość już zrobiłam. Że zrobiłam wszystko, czego ode mnie chciał. I odszedł.

– Myślisz, że jakaś siła zmusiła cię do tego wszystkiego?

Wyjęła swoje ręce pomiędzy moich i skrzyżowała je na piersi.

– Nie. To nie tak jak z wujkiem Oliverem. Nie zostałam zmuszona, żeby się tak zachowywać. Wszystko, wszystko – podkreśliła – zrobiłam dobrowolnie. Tylko nie z tych powodów, które wszyscy, łącznie ze mną, podejrzewali. To tak, jakbym do tamtego momentu grała złoczyńcę. Złe postępowanie było w jakiś sposób słuszne, jakbym odgrywała potrzebną rolę. Granica, zabierając mnie, uczyniła mnie wolną. Moje prawdziwe ja było wolne. – Zerknęła na mnie. – Nie umiem tego wyjaśnić, ale wiem... – Zacisnęła dłoń w pięść i uderzyła się w pierś. – Tutaj wiem, że nigdy bym cię nie skrzywdziła. Nigdy nie przebyłabym całej tej drogi. Nigdy.

Abby weszła pomiędzy nas i objęła Maisie.

– Myślę, że na dziś wystarczy.

– Tak – odezwała się Iris. – Popieram. – Prowadząc mnie do drzwi, skinęła głową w stronę Abby.

Ta zamknęła oczy i skinęła w odpowiedzi. Nie rozumiałam, co miała oznaczać ta rozmowa bez słów, ale zaczęłam stawiać opór Iris, która ciągnęła mnie do wyjścia.

Istniały siły, które próbowały rozdzielić mnie i moją siostrę od samego początku, jeszcze przed urodzeniem. Uwolniłam się z rąk Iris i rzuciłam się do Maisie. Wydarłam ją z uścisku Abby i przytuliłam. Siostra spojrzała na mnie totalnie zaskoczona.

– Wierzę ci. – Pocałowałam ją w policzek. – Nie przebaczyłam ci. Nie do końca. Jeszcze nie. Ale ci wierzę. – Westchnęła i położyła mi głowę na ramieniu. – Poradzimy sobie. Przejdziemy przez to razem.

Maisie podniosła głowę i po raz pierwszy od wieków zobaczyłam, jak się uśmiecha. Może nawet był to pierwszy prawdziwy uśmiech w jej życiu.

– Tak – odparła. – Mam nadzieję.

PIĄTY

Obudziłam się przestraszona. W koszmarze Old Rex ożył i gonił jakąś kobietę, jakby była gazelą na afrykańskiej sawannie. Nagle się okazało, że to ja jestem tą kobietą. Powalił mnie na ziemię i zaczął krążyć dokoła, czekając na odpowiedni moment, by uderzyć. By rozszarpać mnie na kawałki. To był tylko sen, i to głupi, ale po przebudzeniu chciałam zobaczyć koło siebie męża. Niestety.

– Wystarczy – powiedziałam sobie.

Wystarczy już bycia samolubną małą dziewczynką. Peter wstał wcześniej i wyszedł, bo musiał. Wczoraj wieczorem w barze spotkał się z agentem ubezpieczeniowym i wrócił do domu z projektem otwarcia kolejnej filii Magh Meall blisko plaży na Tybee. Razem z George'em, tym agentem, umówili się na spotkanie wczesnym rankiem, żeby poszukać odpowiednich nieruchomości. Jeszcze nie powiedział nic rodzicom, ale szczerze mówiąc, gdy tak o tym opowiadał, pomysł wydawał mi się nie najgorszy. Jeśli mógł wejść w spółkę z rodzicami, to może zgodzi się zrobić to samo z żoną i będę mogła zostać inwestorem. Oczywiście Colin i Claire mogli mieć inne zdanie, ale naprawdę podobała mi się myśl, żeby zbudować z Peterem coś własnego, tak jak jego rodzice.

Radio nie podawało żadnych informacji na temat ciała znalezione przy Cotton Exchange, ale za to się dowiedziałam, że pogoda miała się utrzymać. A właściwie, że nadchodzi kolejna fala ciepła. Powinnam była włożyć jeden z T-shirtów Petera i luźne szorty, skoro miałam spędzić dzień jako zastępca szefa kuchni – lub pomywaczka, zależnie od nastroju Iris i od tego, jak sprawnie będą szły przygotowania do jutrzejszego święta. Tak, zdrowy rozsądek podpowiadał, że bym ubrała się po domowemu, ale z jakiegoś powodu chciałam się czuć ładniejsza niż ostatnio. Pokazałam język zdrowemu rozsądkowi i chwyciłam jeden z najnowszych nabytków Ellen, śliczną, błękitną sukienkę, bawełnianą, z wycięciem w serek i podwyższoną talią. Przysiadłam przed lustrem i trochę więcej uwagi niż zwykle poświęciłam włosom.

– No, teraz jesteś śliczna – powiedziałam do odbicia swojej zaokrąglonej twarzy w lustrze. Sama skinęłam sobie w odpowiedzi. Właśnie debatowałam sama ze sobą, czy nie pójść na całość i nie zrobić makijażu, gdy zadzwonił domofon.

Myślałam, że Iris otworzy, bo krzątała się chyba od wczesnego rana, zwłaszcza że ostatecznie Sam u nas nie nocował. Włożyłam ulubione tenisówki i zasznurowałam je. Właściwie nie pasowały do sukienki, ale za to były wygodne. Dzwonek zadzwonił jeszcze raz. I znów.

– Otworzę – powiedziałam do siebie, podnosząc się z krzesła, co ostatnio nie było takie proste.

Przeszłam przez korytarz i ostrożnie zesłam po schodach. Domofon znów się odezwał. Idę. Najszybciej, jak tylko może iść ciężarna. Otworzyłam drzwi i widząc dwójkę elegancko ubranych obcych, pomyślałam, że zaraz dostanę propozycję zakupu egzemplarza „Strażnicy Zwiastującej Zwycięstwo Jehowy”.

– Mercy. – Głos był znajomy, ale gdy rozpoznałam Martella Burke'a, prawnuka Jilo, zupełnie odjęło mi mowę.

Nonszalancję i luzackie ubranie, typowe dla nastolatków, zastąpiły, przynajmniej na tę chwilę, czysty, czarny garnitur z krawatem i poczucie obowiązku. Myślę że zaskoczyłam Martella, wciągając go przez próg i biorąc w objęcia.

– Wyglądasz tak, że z początku cię nie poznałam.

Posłał mi uśmiech, pierwszy, jaki widziałam na jego zazwyczaj obojętnej twarzy. Cofnęłam się, by objąć go wzrokiem. Błysk w oczach i uśmiech przypomniały mi Jilo i wyciągnęłam rękę, by chwycić jego dłoń.

– Kto to? – spytała Iris. Ciotka stała w holu i wycierała ręce w ścierkę. – Martell – zapiszczała z podziwem. – Ale wyprzystojniałeś. – Chłopak uśmiechnął się, gdy podeszła i pocałowała go w policzek.

Ktoś chrząknął i dopiero wtedy sobie przypominałam, że Martell nie przyszedł sam. Uśmiech zniknął z jego ust.

– To moja kuzynka, Jessamine – powiedział i zrobił jej miejsce.

Dziewczyna stała tuż za progiem. Sposób, w jaki odchyliła głowę, błysk porannego słońca, rama, którą stworzyła framuga drzwi, wszystko to przywiodło mi na myśl obrazy Andrew Wyetha. Była cudowna do utraty tchu, tak piękna, że mogła budzić albo uwielbienie, albo najczarniejszą zazdrość. Skóra w kolorze kawy z mlekiem, błękitnozielone oczy i kasztanowe włosy w odcieniu niemal tak żywym, jak mój. Stała przede mną, patrząc po królewsku, pochylając wdzięcznie długą szyję, by z ciekawością zajrzeć do środka.

– Proszę wejść – odezwała się Iris. – Zapraszam.

Jessamine weszła do środka, jakby przekraczała próg nawiedzonego domu w wesołym miasteczku. Rozejrzała się, obejrzała hol, zlustrowała salon po lewej i bibliotekę po przeciwnej stronie, jak gdyby oczekiwała, że znienacka ktoś wyskoczy na nią z ciemności.

Nie odezwała się i sytuacja zrobiła się trochę krępująca.

– Miło cię poznać. – Wyciągnęłam dłoń. Nie ujęła jej.

W milczeniu stanęła przede mną, lustrując mnie spojrzeniem. W końcu powiedziała:

– Więc to na twoim punkcie cioteczka Jilo tak oszalała? – Obserwowała mnie chłodno, czekając na reakcję.

– Z wzajemnością. Ja też za nią szalałam. – Uśmiechnęłam się z nadzieją, że ujrzę w jej oczach choć odrobinę ciepła. Nic. – Kochałam ją, tak naprawdę.

– Rozgoście się – wtrąciła Iris.

Ruszyła w stronę salonu, którego używaliśmy właściwie tylko wtedy, gdy przyjmowaliśmy gości. To znaczy tych, co do których Iris nie miała pewności, czy chce, żeby zwiedzali dalsze zakamarki domu. Nie byłam pewna, czy ciotka zdaje sobie sprawę, że traktuje salon jak bufor. Jessamine nie zwróciła uwagi na Iris i wkroczyła do biblioteki. Martell wzruszył ramionami i wszedł do salonu, zostawiając nas z kuzynką.

Dziewczyna stała przed portretem mojej babki wiszącym nad kominkiem. Przez chwilę oglądała go uważnie, niemalże dotykając płótna opuszkami palców.

– Adeline Taylor, moja matka – oznajmiła z dumą Iris.

Jessamine szybko cofnęła rękę, jakby dotknęła płomienia.

– Była piękna. – Zerknęła na Iris przez ramię. – Przypomina ją pani.

– Dziękuję. – Ciotka się uśmiechnęła. – Chciałabym tak myśleć, ale ona miała w sobie wdzięk, którego ja, obawiam się, jestem pozbawiona.

Dziewczyna odwróciła się w naszą stronę.

– Pani ojciec musiał ją bardzo kochać. – Rzuciła na portret jeszcze jedno szybkie spojrzenie. – W takiej twarzy mężczyzna mógłby się zatracić.

Coś w jej tonie mnie wkurzało, ale w oczach Iris zabłysła wdzięczność.

– Cóż, nie sądzę, żeby tatuś się zatracił, ale na pewno stracił dla niej serce.

– Może dołączymy do Martella? – Zafascynowanie Jessamine portretem babki uważałam za nieco niepokojące.

– To było biurko pani ojca? – Dziewczyna zignorowała mnie i przejechała palcem po blacie biurka, jakby szukała kurzu.

– Tak, a przedtem jego ojca. Ma bardzo dużą wartość sentymentalną dla jego dzieci, chociaż niewielką jako antyk.

– Jego dzieci – powtórzyła jak echo Jessamine.

To nawet nie było pytanie, ale mimo to Iris poczuła się w obowiązku odpowiedzieć.

– Tak, oczywiście. Dla Ellen, dla mnie i dla naszego brata Olivera, oczywiście. – Nie włączyła mojej matki. Rozumiałam to.

– Byłaś blisko z dziadkami? – Jessamine zwróciła się do mnie.

– Blisko? – Zastanowiłam się. Nie podobał mi się jej sposób bycia, no i była troszkę zbyt wścibska jak na to, że znałyśmy się tak krótko. Jednak fakt, że była krewną Jilo, przemawiał na jej korzyść, więc odpowiedziałam: – Pamiętam ich jak przez mgłę. Kiedyś bawiłam się na ganku, obserwując babcię, jak zajmowała się kwiatami. Potem odwróciłam się i przycisnęłam nos do szyby. Dziadzius palił fajkę i czytał gazetę. – Widziałam jego miłą twarz, zwróconą ku mnie, i czułam dym o zapachu cherry pipe tobacco.

– Kochanie, co ty wygadujesz? – Iris spojrzała na mnie, jakbym była nie w pełni zdrowa na umyśle. – Twój dziadkowie zmarli, gdy ciebie nie było jeszcze w planach.

Zmieszałam się.

– Oczywiście. – Wiedziałam o tym. Naprawdę. Więc jakim cudem zobaczyłam tak wyraźne wspomnienie?

– Nasłuchałaś się naszych historii i nałożyły ci się na twoje własne wspomnienia.

Może tak było, a może jako dziecko w jakiś sposób wchłonęłam wspomnienia po dziadkach wyryte w moim otoczeniu. Ale nie, to bardziej przypominało oglądanie filmu, trójwymiarowego filmu. Moje „wspomnienie” było tak prawdziwe jak każde inne wspomnienie z dzieciństwa.

Walczyłam z dziwnym uczuciem, jakby pamięć zbierała wspomnienia wydarzeń, których nie mogłam doświadczyć, ale Jessamine już ruszyła dalej. Przeszła przez pokój. Jej zdecydowane kroki tłumił perski dywan, po którym niegdyś chodziła też moja babka. Dziewczyna podniosła zdjęcie dziadka, który jedną rękę zaciskał na wędce, a drugą na ramieniu ośmioletniego Olivera. Nie patrzył w aparat. Wzrok, pełen miłości i dumy, miał skupiony na jedynym synu. Nie wiedziałam, kto zrobił to zdjęcie, ale podejrzewałam, że babcia. Oliver promieniał, patrząc raczej na fotografa niż w obiektyw. Zdjęcie uchwyciło naprawdę magiczny moment i zawsze bardzo je lubiłam.

Jessamine przypatrywała mu się, odsunawszy je od siebie na odległość ramienia. Skrzywiła się, jakby zobaczyła coś niesmacznego.

– Odeszli razem, prawda? – Nieostrożnie odstawiła zdjęcie, które się przewróciło.

Iris uśmiechnęła się do mnie nerwowo.

– Tak. – Ustawiła zdjęcie na swoim miejscu. Jessamine obserwowała ją wyczekująco. – Wypadek samochodowy.

Dziewczyna wytrzeszczyła oczy i uniosła kącik ust.

– Wasza rodzina wydaje się dziwnie podatna na wypadki samochodowe. – Przesunęła dłonią po zagłówek fotela. Mrugnęła i przeniosła spojrzenie na mnie. – Może powinniście zainwestować w kurs bezpiecznej jazdy.

– A ty może powinnaś nam wreszcie powiedzieć, po co przyszlście? – Do pokoju wkroczyła Ellen, ciągnąc za sobą Martella. Miała wypieki na twarzy. Wpatrywała się w gościa spod zmrużonych powiek. Przedmioty na biurku dziadka zatrzęsły się i zabrzęczały. Stół obok Jessamine zaczął wibrować i przesunął się o kilka centymetrów w jej kierunku. Dziewczyna obrzuciła mebel nerwowym spojrzeniem i odsunęła się. Wybrała sobie kiepski temat do żartów.

Ciotka zbliżała się do Jessamine, ale Martell fuknął i szybko stanął pomiędzy nimi.

– Ostatniej nocy ktoś kombinował przy grobie babci – powiedział szybko.

Drżenie ustało i w pokoju zrobiło się cicho.

– Co to znaczy „kombinował”? – Twarz Iris pobladła.

– Czarował. – Dla Martella, jak sędzę, ta odpowiedź stanowiła konkret, ale nawet nie miał pojęcia, jak bardzo była nieprecyzyjna. Widząc nasze nic nie rozumiejące spojrzenia, wyciągnął z kieszeni marynarki komórkę. – Tutaj, patrzcie. – Wyświetlił zdjęcie grobu Jilo. Wyjęłam mu telefon z ręki i powiększyłam zdjęcie kamienia nagrobnego, pokrytego symbolami i magicznymi znakami. Podałam aparat Iris.

Jessamine wychynęła zza Martella, choć jeszcze nie w pełni odzyskała rezon. Kuliła ramiona, a nad jej wargą perliła się kropla potu.

– Ktoś... – Głos jej się załamał. – Ktoś próbował rzucić zaklęcie wskrzeszenia.

– Nie bądźmy śmieszni – przerwała jej Ellen i popatrzyła na nią. – Jilo zmarła zbyt dawno temu. – Potrząsnęła głową. – Wskrzeszenia są wystarczająco trudne, czytaj: prawie niewykonalne, nawet gdy ciało jest młode i silne. – Zmarszczyła brwi. – I świeże. Przepraszam – zerknęła na Martella i Jessamine – ale Jilo była za stara i zbyt wyczerpana, wzięła na siebie zbyt dużo – urwała. Wiedziałam, że myślała o zabójczej magii krwi i seksu, którą moja matka zebrała w Tillandsii. O truciznie, którą Jilo przyjęła, by ratować mieszkańców swojego ukochanego miasta. Ellen o mało co nie wyjawiała tej drobnostki rodzinie Jilo. – Nawet kilka minut to za długo. Mózg i narządy wewnętrzne obumierają. – Szybko próbowała podjąć wątek. – Ciało można ożywić, ale nie da się prawdziwie go wskrzesić. Pozwól, że zobaczę. – Iris podała telefon siostrze, a Ellen powiększyła palcami obraz, by móc lepiej się przyjrzeć symbolom. – Nie. To nie jest żaden rodzaj zaklęcia wskrzeszenia.

– Masz rację – poparła ją Iris, podchodząc do regałów z książkami, zajmujących całą ścianę biblioteki. – Ale jeden z tych symboli, ten największy, kiedyś już widziałam. Możesz przesłać mi to zdjęcie, Martell? – Nie czekając na odpowiedź, wyciągnęła grubą księgę, oprawną w skórę. Była tak ciężka, że ledwo doniosła ją do biurka. Otworzyła ją i przeciągnęła lewą ręką nad stronicami. – Pokaż – rzuciła, a strony zaczęły się przewracać. Gdy się zatrzymały, Iris wyciągnęła rękę, zaś Ellen położyła na jej dłoni telefon. – Podejdz. – Iris przywołała Jessamine. – Spójrz na to. Ten symbol jest częścią zaklęcia posiadania.

Dziewczyna nachyliła się nad zakurzonym woluminem.

– Zaklęcia posiadania?

Ciotka skinęła głową, nie odrywając wzroku od symbolu.

– Znanego też jako zaklęcie wojownika. Kiedyś było całkiem popularne wszędzie tam, gdzie toczyły się bitwy. Dzięki niemu żołnierze zapraszali duchy wielkich wojowników czy nawet zwierzęcych przodków, aby posiadały ich ciała. Pozostałe symbole nie pasują, ale jestem pewna, że ktokolwiek sprofanował grób, nie chodziło mu o Jilo. – Iris zwróciła telefon Jessamine i nagle cofnęła rękę, jakby poraził ją prąd. Dwie kobiety spojrzały na siebie – oczy

Iris rozszerzyły się, zaś w spojrzeniu Jessamine pojawiło się najpierw zdziwienie, a później jakby cień złości. Coś przepłynęło pomiędzy nimi. Psychometria Iris odkryła coś, czego, jak sędzę, Jessamine nie chciała ujawniać, ale to odkrycie w jakiś sposób zmieniło równowagę sił. Dziewczyna wyzbyła się niepewności, z kolei Iris wyglądała na zranioną.

– Więc dlaczego majstrowali przy grobie babci? – zapytał Martell, przerywając moment ciszy.

Iris odchrząknęła i zamknęła księgę.

– Podejrzewam, że ktoś chciał zaczerpnąć choć odrobinę z mocy, która przy niej pozostała. Mógłbyś to odłożyć? – Wskazała wolumin, który Martell posłusznie odniósł na miejsce. – Wasza prababka była dzielną kobietą.

– Może nawet odrobinę zbyt dzielną. – Jessamine podeszła do kuzyna i wsunęła mu telefon z powrotem do kieszeni marynarki.

– Może – przytaknęła ciotka ze smutkiem. – Kilka dni przed śmiercią przyjęła olbrzymią dawkę ciemnej mocy. – Jessamine zjeżyła się, ale Iris uniosła dłoń, chcąc powstrzymać narastającą w dziewczynie złość. – Gdyby nie jej poświęcenie, nie stalibyśmy tu dziś. Uratowała mi życie. Nam wszystkim. Do diabła – pozwoliła sobie na przekleństwo. – Uratowała całe miasto.

– I mimo to wy, wiedźmy, profanujecie jej grób – stwierdziła Jessamine. Ton nadal miała lodowaty, ale jej spojrzenie złagodniało. Wydawała się rozdarta pomiędzy złością, którą powinna czuć, a faktem, jak ważna była dla nas Jilo.

Iris nie podjęła najmniejszego wysiłku, żeby bronić wiedźmy, chociaż wiedziałam, że już przypisała tę profanację raczej magicznym wyrobnikom niż prawdziwym wiedźmom.

– Zapewniam cię, że rozprawimy się z tym, kto to zrobił, i to ostro. – Objęła Martella i przytuliła go. – Obiecuję ci to. – Ostatnie słowa wymówiła niemal szeptem.

Jessamine wydawała się usatysfakcjonowana tą obietnicą. Spojrzała na Martella i powiedziała:

– Będziemy się zbierać.

Elegancko przeszła przez pokój, wysoko unosząc głowę, jakby właśnie odniosła wielkie zwycięstwo. Miałam wrażenie, że cała ta wizyta miała na celu coś więcej niż tylko zapewnienie Jilo spokojnego spoczynku. Iris puściła Martella i podeszła do biurka.

– Do widzenia paniom. – Martell krótko skinął głową i pospieszył za kuzynką w stronę wyjścia.

– Cześć, Martell – pożegnała go Ellen, po czym obie zwróciłyśmy się w stronę Iris.

Ciotka zastygła tyłem do nas i oplatając się ramionami, wpatrywała się w portret swojej matki. Wyczułam, że czeka, aż goście opuszczą dom. Kiedy w końcu dobiegł nas szczeł klamki, spojrzała na nas. Rumieńce na twarzy i pulsująca na skroni żyła świadczyły, że jest wściekła. Łzy wezbrały w jej oczach i stoczyły się po policzkach.

– Dobry Boże. – Ellen rzuciła się przytulić siostrę. – Damy sobie radę i z tym. – Pogładziła ją po włosach. – Damy radę.

Iris uwolniła się z jej objęć.

– Nie o to chodzi. – Jej głos drżał. – Ta kobieta. Jessamine. Jest jedną z nas.

– Jest wiedźmą? – spytałam z niedowierzaniem.

– Nie. – Iris zacisnęła pięści. – Jest z Taylorów.

SZÓSTY

Nasze rodziny mają historię. Prawdziwą historię. Słowa, które Jilo wypowiedziała w lipcu, powróciły do mnie w listopadzie.

– Wyczytałam w Jessamine... – Iris potrząsnęła głową. Jej złość była jak chmura płomieni. Wcześniej tylko raz widziałam ciotkę taką wściekłą. W tamtą noc, gdy Connor zostawił mnie w płonąącym domu Ginny. Jaki fragment historii przez przypadek odkryła? Wysunęła podbródek. – Muszę się dowiedzieć, czy jej podejrzenia rzeczywiście są prawdziwe. Muszę wiedzieć, czy ojciec naprawdę to zrobił. – Jej głos przeszedł w szept. – A jeśli tak, zmuszę go, by za to odpowiedział. – Wiedziała, że Iris uwielbiała dziadka. Pielęgnowała pamięć o nim i dbała o to, by pamięć ta żyła w całej rodzinie. Było jasne, że cokolwiek odkryła w Jessamine, postawiło to jej dziecięce uwielbienie ojca pod znakiem zapytania. Iris nie przyjęła tego zbyt dobrze. Stała wyprostowana na baczność jak żołnierz. Pięści miała zaciśnięte tak mocno, że knykcie jej pobielaly, a po policzkach ze złości płynęły łzy.

– Jak zamierzasz to zrobić? – Ellen objęła mnie opiekuńczo. Zdałam sobie sprawę, że dygoczę.

– Zapytam tego jurnego starego capa. Przywołamy go.

– Nie. To zbyt niebezpieczne – zaprotestowała Ellen. – A jeśli jego duch tu ugrzęźnie?

Wiedzieliśmy wszyscy, że Savannah działa jak naturalna pułapka na duchy. Coś w tym mieście zatrzymywało je, nie pozwalało im odejść, dokądkolwiek miałyby się udać. Znałam mężczyznę, który przysięgał, że jedyny sposób, by uniknąć uwięzienia w Savannah, to znajdować się w chwili śmierci co najmniej sto kilometrów od miasta. Nie byłam o tym przekonana, ale zdawałam sobie sprawę, jak ryzykowne może być przywołanie ducha dziadka. Udało mu się ominąć pułapkę za pierwszym razem, ale za drugim powrotna podróż może nie pójść tak gładko.

– Skocz na górę i zawołaj Abigail – nakazała mi Ellen. – Powiedz, że jej potrzebujemy.

Wypadłam z biblioteki i stanęłam u stóp schodów.

– Abigail! – zawołałam. Zaczęłam wchodzić na górę. – Abby, jesteś nam potrzebna.

Usłyszałam szcęknięcie kłamki. Abby syknęła:

– Maisie śpi. Ostatnia noc dużo ją kosztowała. – Po chwili dobiegł mnie teatralny szept: – Co się dzieje?

– Właściwie to nie wiem, ale zjedź, proszę, do biblioteki.

Spojrzałam na nią ponad poręczą. Miała na sobie pikowany szlafrok, a jej włosy były nawinięte na różowe wałki. Pokiwała głową.

– Już idę.

Powoli zeszedłam po schodach. Miałam nadzieję, że burza już minęła i że Ellen zdołała uspokoić siostrę, ale niestety.

– Tak, jestem pewna – prychnęła Iris, gdy weszłam. – Wyczułam to w niej.

Ellen spojrzała na mnie.

– Gdzie jest Abigail? – Wiedziała, że liczyła na to, iż magiczne moce Abby pomogą uspokoić Iris.

– Idzie – oznajmiłam i łagodnie zwróciłam się do Iris. – Już w porządku. – Wyciągnęłam rękę, ale ciotka się cofnęła. Wściekłość niemalże wibrowała wokół niej.

Abby weszła do biblioteki, zajęta poprawianiem paska od szlafroka.

– Co się stało? Iris, dlaczego jesteś taka zła?

Ellen pochyliła głowę i wyjaśniła spokojnie:

– Kiedy Iris dotknęła Jessamine, wyczuła, że jest powiązana z naszą rodziną.

– Powiązana? – Iris patrzyła na siostrę. – Powiązana?! – Jej głos podniósł się jeszcze o oktawę wyżej niż zwykle. – Ta dziewczyna jest naszą bratanicą. – Odwróciła się i popatrzyła na moje wytrzeszczone oczy. – Tak, jest twoją cioteczną siostrą. Cioteczna wnuczka Jilo jest twoją kuzynką.

– Nawet jeśli to prawda – odezwała się Abby – to co w tym takiego strasznego? To znaczy, ja wiem, wy zawsze uznawałyście swojego ojca za niewiniątko, ale był tylko mężczyzną. Cóż, zawsze grał na boku. – Gdyby to zdanie padło z ust kogoś innego, mogłoby totalnie wyprowadzić Iris z równowagi, ale czułam, że Abigail wysyła ku niej uspokajające sygnały, żeby mogła zacząć myśleć racjonalnie, zamiast działać pod wpływem złości. Ale nie wyglądało, żeby odnosiły skutek. – Wszyscy o tym wiedzieliśmy. Nawet wasza mama wiedziała. – Moje spojrzenie powędrowało ku portretowi babci. – Przykro mi...

Iris zaczerpnęła powietrza. Zamknęła oczy i wzięła jeszcze jeden głęboki oddech.

– Nie chodzi tylko o to, że nasz ojciec był kobieciarzem.

Abby złożyła dłonie jak do modlitwy.

– Cokolwiek zobaczyłaś, to przeszłość. Niech tam pozostanie.

– Nie. – Pokręciła głową. – Może Bóg jest zbyt miłosierny. Drań odpowie za swoje grzechy przede mną.

Wokół nas zaczęło się tworzyć pole elektryczne, prąd przeskakiwał po naszej skórze. Abby poklepała się po głowie, a gdy poczułam, jak moje rozpuszczone włosy się podnoszą, zrozumiałam dlaczego. Moc nagromadzona w naszym domu poddała się z głośnym trzaskiem. Mlecznoniebieska kula wystrzeliła z dłoni Iris w sam środek koła, które tworzyliśmy. Powoli wirując, ciemniała i przybierała barwę rąci.

– Edwinie Taylorze, mówię do ciebie. Wstań, powróć! – wykrzyknęła Iris.

Kula pulsowała, a na jej powierzchni zaczęły się tworzyć wypukłe obrazy. Niektóre ciemne, zamazane i bez wątplenia demoniczne, inne pełne bólu i przerażające.

– Czy to... – zaczęłam.

– Tak, to Gehenna – odpowiedziała Iris, zanim zdążyłam dokończyć pytanie. – Miejsce zarezerwowane dla tych, którzy popełnili najgorsze grzechy.

– Więc istnieje – rzuciła Ellen. – Miejsce wiecznego cierpienia. – Pochylona wpatrywała się uważnie w to okno pomiędzy naszym światem a piekłem.

– Jest tak samo prawdziwa jak wszystko inne. – Abigail pokręciła głową. – Ale wierzę, że to nasza robota. Jak wszystko, co złe. Bóg nigdy by nie stworzył takiego miejsca.

– Skąd wiesz, że dziadek tam jest? – zapytałam, patrząc na twarze, które zbliżały się do powierzchni kuli w poszukiwaniu wyjścia z tego więzienia.

– Nie wiem. – Iris brzmiała, jakby została pokonana. – Ale myślę, że właśnie tam mogłby się znaleźć.

– Nie chcesz chyba... – zaczęła Abigail, ale grawitacja przyciągająca nas do kuli była tak silna, że nie mogłyśmy się jej przeciwstawić. Wszystkie zrobiłyśmy krok w jej kierunku.

„To nie jest dobry pomysł”, pomyślałam.

– To nie jest dobry pomysł – powtórzyła Ellen jak echo. – To jakaś sztuczka. Tata nigdy nie znalazłby się... tam.

– Jeśli to, co zobaczyłam u Jessamine, jest prawdą, powinien być właśnie w Gehennie. – Iris uniosła ręce, wyginając nadgarstki w kierunku światła. Przez pęknięcia, które się na nich

pojawiły, trysnęła krew, by nakarmić lśniąca, wirującą kulę. Wchłonęła ją łapczywie. – Krew wzywa krew. Duch wzywa ducha. Wróć. – Wpatrywała się w nas. – Mówcie. Wyśpiewajcie to. Powtarzajcie za mną. Krew wzywa krew. Duch wzywa ducha. Wróć.

Bałam się, co się może wydarzyć, gdy posłucham Iris, ale jeszcze bardziej, co się stanie, gdy jej nie posłucham. Włączyłam się do inkantacji.

– Krew wzywa krew. Duch wzywa ducha. Wróć.

Nerwowo zerknęłam na Ellen. Skinęła i zaczęła śpiewać.

– Krew wzywa krew. Duch wzywa ducha. Wróć.

– To błąd – usłyszałam słaby protest Abby, który szybko uciszyło surowe spojrzenie Iris.

W końcu i ona włączyła swój głos, swoją magię, w zakłęcie ciotki.

– Krew wzywa krew. Duch wzywa ducha. Wróć.

– Edwinie Taylorze – zawołała Iris, przekrzykując nasz śpiew. – Rozkazuję ci przez tę krew...

Skupiła wszystkie swoje moce w centrum kuli, a kolejna porcja krwi przepłynęła na jej orbitę. Nagle wszystkie zrobiłyśmy kolejny krok do przodu. Pierścień krwi zacisnął się, pozostając cały czas w środku kręgu, który tworzyłyśmy. Przez ułamek sekundy konstrukcja przypominała idealną kulę, ale zaraz zaczęła się rozciągać, przyjmując kształt ludzkiej sylwetki. Między nami w powietrzu zawisła głowa z delikatnie zaznaczonymi rysami, wyglądająca jak zdjęta z manekina.

– Pokaż się, tchórzliwy draniu!

Iris niemalże wypluła ten rozkaz, ale owal jedynie nieco urósł i jakby trochę się zmarszczył. Duch bronił się przed przywołaniem – najwyraźniej wołał potępienie niż spotkanie z wściekłą córką. Przyciągnęło nas kolejne silne szarpnięcie i stałyśmy już na odległość ramienia od siebie. Bezwolnie wyciągnęłam ręce i jedną dłonią chwyciłam rękę Iris, a drugą – Ellen. Stałyśmy bez słowa, aż przebiegł przez nas strzał energii.

– Powiedziałam: pokaż się! – Głos Iris przypominał już rżenie, a moje serce zamarło, gdy zobaczyłam jej twarz. Piękne, jasne oczy lśniły czerwonym blaskiem. Żrenica i tęczęwka zlały się, tworząc dwa jednolite rubiny. – Wróć!

Siła przyciągania nagle zelżała, odrzucając nas do tyłu, tak że Ellen i Abby wylądowały na plecach. Mnie udało się ustać na nogach, ale podmuch zapał mi dech w piersi. Podczas gdy ja walczyłam o oddech, sylwetka dalej się zmieniała. Miała już kształt ludzkiej głowy, choć posiniaczona skóra przypominała powierzchnię lustra. Widziałam odbite w niej moje własne rysy. Przypomniał mi się makabryczny żyrandol matki, stworzony z głów tych, którzy nie byli jej już potrzebni do niczego innego. Dla takiej magii straciłam matkę. Nie mogłam stracić także Iris.

– Coś ty zrobiła?! – krzyknęła Ellen, gdy Abby pomogła jej się podnieść.

Wszystkie spojrzaliśmy na ciotkę, a ja odetchnęłam z ulgą, widząc, że jej twarz wygląda tak jak zwykle. Następnie poczułam zalewającą mnie falę złości. Wpuściła tę ciemną magię do swojego życia, do naszego domu.

Nie skupiałam się jednak na tym, bo trudno było zignorować głowę wiszącą w powietrzu na środku biblioteki. Jej otwarte oczy błyszczały lekko i odbijały otoczenie. Niczym się nie różniły od okrywających je powiek. Powoli wyodrębniły się wargi, a pokrywająca je cienka, niebieskawa błonka zapadła się i pękła, jak przy implozji balonu.

– Moje dziewczynki, moje piękne córeczki, to wy mnie tak męczycie? – Głos dobiegający z głowy nie miał intonacji – brzmiał płasko, niemal mechanicznie. Nie, nawet gorzej, był

pozbawiony wszelkiej nadziei. Z pewnością jednak nie należał do mężczyzny, pobrzmiwał w nim kobiecy alt.

– Mama? – Ellen zbladła. Przerwała krąg i podeszła do głowy. Stała tuż przed nią, niemalże jej dotykając.

Iris z kolei obeszła ją dokoła.

– Gdzie on jest? Był za słaby, żeby stanąć przed nami?

– Waszego ojca tu nie ma. Tylko ja. Jestem sama.

Ellen upadła przed widmem na kolana.

– Mamo, tak za tobą tęskniłam. – Jej zachwycona mina świadczyła o tym, że nie obchodzi jej przesłuchanie, które zamierzała przeprowadzić Iris. – Co się stało, mamo? Mówili, że specjalnie zjechałaś wtedy z drogi. – To była dla mnie nowość.

Na pytanie Ellen najpierw odpowiedziała cisza, a potem rozdzierający jęk.

– Nie miałam wyboru. Nie miałam!

Abby cicho obeszła głowę, żeby lepiej przyjrzeć się twarzy. Chwilę trwało, zanim srebrny czerep zauważył naszą obecność. Najpierw dostrzegł Abby, a potem zwrócił się w moją stronę. Zamiast jednak patrzeć prosto na mnie, skierował uwagę na coś, co znajdowało się dalej.

– Co to za rodzaj magii?

Iris opuściła głowę, zawstydzona.

– Przepraszam, mamo. Wiem, że nie powinnam była używać magii krwi...

– Nie – odparła i przeniosła pusty wzrok na mnie. – Ta dziewczyna. Jest zła.

Podskoczyłam, czując na ramieniu czyjś dotyk. Spojrzałam za siebie i zauważyłam, że do biblioteki niepostrzeżenie weszła Maisie. Myślałam, że śpi. Miała na sobie za duży szary T-shirt, jej włosy były w nieładzie. W pokoju rozblęskło, strzeliło i pociemniało. Wokół dał się wyczuć zapach ozonu.

– Mówiłam ci, żebyś została w pokoju – delikatnie zwróciła jej uwagę Abby. Oderwała ode mnie Maisie, usiłując skierować ją do drzwi. – Wracaj do łóżka, słyszysz?

– Mamo, nie mamy wiele czasu. Moc słabnie. – Iris mówiła ostrym głosem.

– Znajdziemy sposób, by cię uwolnić – zapewniła Ellen. – Naprawdę. Ale musisz nam powiedzieć, dlaczego jesteś tam... gdzie jesteś.

– Bo zabiła dziadka – odezwała się Maisie, która uwolniła się z uścisku Abby i zrobiła kilka kroków w stronę widma. Pewność, z jaką to powiedziała, sprawiła, że poczułam dreszcz na kręgosłupie, bo w jakiś sposób rozumiałam, że ma rację.

W odpowiedzi na słowa Maisie babka jęknęła przeciągle.

– Dlaczego? – zapytała Ellen łamiącym się głosem. Odsunęła się o kilka kroków od głowy matki.

– Bo miał inną rodzinę. Przed nami. – Tym razem to Iris odpowiedziała. To tego się dowiedziała, kiedy dotknęła dłoni Jessamine. – Młodszą siostrę Jilo. – Pomyślałam o tej nocy, gdy po raz pierwszy byłam u Jilo. Gdy poszłam na skrzyżowanie. Nienawidziła nas, Taylorów. Teraz zaczynałam rozumieć dlaczego.

– Jego rodzice się nie zgadzali, ale sprzeciwił się im. – Iris stała z założonymi rękami. – Gdy zabrał ją do Francji i ożenił się, odcięli go od pieniędzy i rodzinnego majątku. Wiedzieli, że syn uwielbiał luksusowe życie. W końcu znudził się i biedą, i żoną. Nigdy się nie rozwiódł. Zostawił ją i dziecko i wrócił do Savannah, by poślubić mamę.

– Gdy braliśmy ślub, nic nie wiedziałam o jego pierwszej żonie i rodzinie. Potem się

dowiedziałam, co zrobił, że ich zostawił. Że mnie oszukał. Nie mogłam żyć z myślą, że zrobił ze mnie swoją dziwkę. – W jej głosie brzmiała wściekłość. – Chciałam mu odpłacić. Za to, co mi uczynił. Za opuszczenie dzieci. Za porzucenie prawdziwej żony. Chciałam, żeby umarł. Po prostu jechałam coraz szybciej i szybciej. I obudziłam się w piekle.

– No cóż – odezwała się Abby, a złote światło emanowało z za jej głowy jak korona. – Spędziłaś tam już zbyt wiele czasu. Jeśli pozwolisz, wyprowadzę cię. Myślę, że potrafię to zrobić. – Światło stawało się coraz intensywniejsze, aż w końcu Abigail cała promieniała łagodną, złocistą aurą. Halo. Uderzyło mnie, że wszystko to wyglądało jak powrót do domu.

Zrobiła krok w stronę metalicznej twarzy, potem następny. W miarę, jak zbliżała się do widma, Abby zaczęła się zmieniać. Malała, jakby odchodziła prostą drogą w kierunku horyzontu.

– Abby, nie wiesz, co robisz! – zawołała Maisie pełnym niepokojem, napiętym głosem.

– Nie bój się, kochanie. – Abigail pokiwała głową. – Wiem. Pomogę twojej babci się stamtąd wydostać.

– Nie. Nie możesz tak po prostu sięgnąć i jej wyciągnąć. – Maisie zwróciła się do mnie: – Gehenna to nie miejsce. To nawet nie jest inna rzeczywistość czy inny wymiar. To maszyna.

– Kochanie, nie mamy czasu na słuchanie twoich fantazji. – Iris nawet nie spojrzała na Maisie.

Siostra popatrzyła na mnie z taką miną, jakby ciotka ją uderzyła.

– To dla ciebie za trudne. – Ellen objęła Maisie. – Nie powinnaś na to patrzeć. Pozwól, że odprowadzę cię do pokoju.

– Nikt nie musi odprowadzać mnie do pokoju, w którym mieszkam od urodzenia – sarknęła Maisie, wrywając się. – Musicie mnie wysłuchać. Wiem o rzeczach, o których wy nie macie pojęcia. – Znów odwróciła się do mnie.

Srebrna twarz rozpląnęła się, najpierw zmieniając się z powrotem w kulę, a potem w wybrzuszony dysk. Dysk latał przed nami, a postać Abby malała.

– Musimy ją zatrzymać. – Maisie potrząsnęła Iris za ramiona.

Wypukła twarz na dysku najpierw zupełnie się spłaszczyła, a potem się zapadała nadal, aż dysk zrobił się wklęsły.

– Abby nic nie rozumie. Musimy sprowadzić ją z powrotem. – W głosie Maisie panika wzięła górę.

Obeszłam wizję, by zdać sobie sprawę, że obraz jest taki jasny tylko od frontu. Z boku wydawał się rozciągnięty, z przodu ostro zarysowany, a z tyłu jakby zamglony i niewyraźny. Promień światła przebijał się przez czerń na horyzoncie. Blask Abby zaczął się rozpraszać w ciemności. Gehenna pokazała zęby, uwalniając nienasyconą żądzę pożarcia, zniszczenia wszystkiego, co dobre. Paszcza piekieł otwarła się szeroko, szykując się na ucztę.

Moje serce tłukło się jak szalone. Wizja Abby wiszącej przed bramą Gehenny nie zmieniała się od kilku sekund. Zdałam sobie sprawę, że z naszej perspektywy ten obraz tam pozostanie, unieruchomiony w piekielnym krajobrazie. Z perspektywy Abby wyglądało to tak, że zostanie zgubiona na wieki. Promień światła opasał mnie i pociągnął. Wróciłam do Iris, akurat by zobaczyć, jak Maisie rzuca się w ślad za Abby.

Światło, które mnie sprowadziło, przyłączyło się także do moich ciotek. Maisie związała nas wszystkie, tworząc rodzaj liny. Wędrowały wzdłuż niej impulsy, jakby ktoś ciągnął za ten magiczny sznur. Gdy obraz Maisie spłaszczył się i zlał z obrazem Abby, całą swoją mocą pociągnęłam za linę, ale Gehenna nie chciała oddać ofiar, które same z własnej woli zapukały

do jej bram. Złota nić naciągnęła się i zrobiła się cienka niczym jeden z jasnych włosów Maisie. Byłam już niemal pewna, że pęknie, pozostawiając je w portalu do piekieł. Pokój wypełnił się krzykami i zawodzeniem. Pojawiła się Maisie, obwiązana liną razem z Abigail, a paszcza Gehenny się rozwarła. Ciemność próbowała dosięgnąć naszego świata i pochłonąć go, lecz nagle cofnęła się i zapadła w siebie. Niczym drżący hologramowy obraz, wizja Gehenny rozleciała się na kawałki, a każdy z nich rozpadł się na jeszcze mniejsze cząstki, aż w końcu całkiem zniknął. Maisie stała przede mną, trzymając w ramionach Abigail, i patrzyła na mnie z triumfem w oczach.

SIÓDMY

– Okej. Słuchamy. Co miałaś na myśli, mówiąc, że Gehenna to maszyna? – zaczęłam.

Ellen usiadła na kanapie. Poklepała miejsce obok i Maisie przysiadła przy niej. Wyglądało na to, że Iris nie ma ochoty słuchać. Odwróciła się i zaczęła przeglądać książki na półkach. Prawdopodobnie chciała tam znaleźć konkretniejsze odpowiedzi niż historie mojej siostry.

– Wiem o rzeczach, których nie znajdziesz w książkach, ciociu.

Iris obróciła się i skinęła głową. Uniosła ręce w geście poddania i usiadła w fotelu. Abby zajęła drugi i w końcu ja także opadłam na otomanę.

– Słuchamy – zapewniłam siostrę.

Przez chwilę zbierała się w sobie. Wzięła głęboki oddech i zaczęła mówić, ale patrzyła tylko na mnie.

– Wiesz, że Ginny uczyła mnie rzeczy, o których powinni wiedzieć tylko kotwiczący. O granicy i jej ograniczeniach. Nie powiedziała mi tylko, jak dokładnie doszło do jej powstania. Nie zdążyła. Ty masz prawo wiedzieć wszystko, ale inni kotwiczący ci nie ufają. Chcą, byś pozostała ignorantką.

– Gehenna, kotku – przypomniała jej Ellen. Nie zamierzała słuchać pełnej wersji, wiedząc, że jej matka cierpi wieczne męki.

– Gehenna – powtórzyła moja siostra jak echo. – Dojdę do tego, ale musicie wysłuchać wszystkiego po kolei.

– Okej. – Ellen musiała uzbroić się w cierpliwość. Przeczesła włosy Maisie palcami.

Wydawało się, że moja siostra nawet nie zauważyła tego gestu. W zamyśleniu marszczyła czoło, miętosząc w palcach T-shirt pod szyją. – Granica ma swoje ograniczenia. Wiedźmy stworzyły ją, by chronić tę rzeczywistość, świat śmiertelnych, przed starymi światami. – Teraz patrzyła mi głęboko w oczy. – Jak powiedziałam, nie wiem, jak dokładnie to zrobiły, ale myślę, że ty gdzieś w głębi serca wiesz. Że granica próbowała ci powiedzieć. Miałaś sen.

Gdy rzekła te słowa, przyszło mi na myśl wspomnienie snu, który od czasu do czasu mi się śnił, który czasami pamiętałam, a czasami zupełnie nie. Obraz uderzanych piorunami piramid i obelisków, cisza, w której rozbrzmiewa jedynie brzęczenie energii przepływającej wokół kamiennych kręgów, nic mocy biegnącej między olbrzymimi ścianami z kamienia. Pełzający mężczyzna bez twarzy. Tak, miałam sen, ale nie miałam zielonego pojęcia, jaki to ma związek z granicą. Te miejsca, pomniki, z których przynajmniej jeden rozpoznawałam, zostały zbudowane w różnych okresach historii, odległych od siebie o tysiąclecia. Nie wydawało mi się możliwe, żeby Giza, Kopiec Mnichów i Teotihuacán mogły brać udział w tworzeniu granicy.

– Kotwiczący dostaliby furii na wieść, że powiedziałam ci o Gehennie – ciągnęła Maisie. – Myślę, że jeszcze żyję, bo są przekonani, iż zupełnie postradałam zmysły. – Powoli przesunęła wzrokiem po naszych twarzach. – Zabiją mnie, jeśli się dowiedzą, że o tym mówię. Zabiją was, bo tego słuchacie. Poza Mercy, rzecz jasna. Jej nie zabiją, ale zwiążą jej moc. Musicie zdecydować, czy chcecie podjąć ryzyko, zanim zacznę.

Serce mi się ścisnęło, bo zdawałam sobie sprawę z prawdziwości jej słów. Pozostali kotwiczący powinni być moimi sprzymierzeńcami, nie wrogami, ale chcieli mnie zniszczyć, tak jak moi zadeklarowani wrogowie. Może nawet bardziej.

Iris i Ellen zerknęły na siebie. Ellen położyła rękę na kolanie Maisie, a Iris wygodniej rozparła się w fotelu.

– Cóż, ja z pewnością nigdzie się nie wybieram – oznajmiła Abby. – Jedźmy z tym koksem.
– Była wstrząśnięta tym, co przeżyła, ale za wszelką cenę nie chciała dać tego po sobie poznać. Mimo wszystko dłonie wciąż lekko jej drżały, a nagromadzone ładunki elektryczne strzeliły cicho, gdy wyciągnęła z włosów ostatni wałek. Oczy miała wielkie jak spodki.

Maisie zwilżyła wargi.

– Gehenna leży poza zasięgiem granicy. Nie oddziela jej od fizycznego wymiaru nawet grubość włosa, ale to nie jest miejsce. Gehenna to maszyna, elektrownia. To starożytni ją stworzyli. Przedtem, gdy ktoś umierał, jego duch mógł swobodnie wrócić tam, skąd pochodził. Starożytni zdali sobie sprawę, że gdyby mogli uwięzić te dusze, mogliby też zamienić je w energię. Jeśli w przypadku magii moc krwi jest jak olej napędowy, to magię duszy, magię Gehenny, można porównać do energii jądrowej. Nasz świat nie jest jedynym, który zasila Gehennę, istnieje jeszcze wiele innych. Nasze dusze, i dusze milionów innych wrażliwych istot, dostarczają mocy służącej starożytnym w praktykowaniu ich magii.

– Jeśli to prawda, jeśli Gehenna stanowi pewnego rodzaju dynamo, to dlaczego mama miałaby zostać tam uwięziona?

Spojrzenie szczerych oczu Ellen przesunęło się z twarzy mojej siostry na moją i zrozumiałam, że pyta mnie w ten sposób, czy w to wszystko wierzę. Odpowiedziałam lekkim wzruszeniem ramion. Rozum podpowiadał mi, że ta opowieść jest zbyt naciągana, ale czułam, że jest aż nazbyt prawdziwa.

– Gdy człowiek umiera, drgania jego duszy przyspieszają, tak jak silnik samolotu przed startem. Jeśli częstotliwość tych drgań nie będzie wystarczająco wysoka, dusza nie da rady się ruszyć. To dla tych uwięzionych dusz starożytni zbudowali Gehennę. Jest żarłoczna. Wszyscy czujemy jej przyciąganie. Ludzie się zastanawiają, dlaczego Savannah wyłapuje tyle duchów. To proste. Podobnie jak granica w naszym świecie kotwiczona jest przez wiedźmy, to Gehenna kotwiczona jest przez konkretne miejsca. Savannah jest jednym z nich. Nawet jeśli Gehenna nie złapie jakiejś duszy, to może tłumić jej drgania, uniemożliwiając osiągnięcie częstotliwości potrzebnej do opuszczenia naszego wymiaru.

– Co zatrzymuje dusze przed ucieczką? – Od siedzenia na otomanie zaczynały mnie już boleć plecy, odchyliłam się więc i oparłam na łokciach, żeby je odciążyć.

– Poczucie winy. Dusze kończą w Gehennie nie za uczynki, które ich właściciele popełnili w życiu, ale ze wstydu za swoje decyzje, za pomyłki. – Podniosła na mnie wzrok. – Ci ludzie w większości nie są źli. Nie są nawet zepsuci. Jak na przykład facet, który spędził w Gehennie całe lata, bo czuł się winny, że zamiast poddać swojego psa bolesnej operacji oferującej niewielką szansę wyleczenia, wolał go uśpić. Duch psa czekał na niego tuż za bramą Gehenny, aż w końcu się zmęczył i wszedł tam, by go wyciągnąć.

Abby uniosła rękę.

– Czekaj. A gdzie idą duchy, które nie mają poczucia winy?

Maisie pokręciła głową i wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Nie sędzę, żeby ktokolwiek to wiedział. Ale na pewno nie do Gehenny. – Spuściła wzrok i przygryzła wargę, ważąc słowa. – Zbrodnie uwięzionych tam dusz mogą być prawdziwe albo wymyślone, ale Gehenna jest pełna takich ludzi jak my. Jak babcia. Jak ty. – Spojrzała na Ellen, która westchnęła i odwróciła wzrok. Wiedzieliśmy, jak bardzo czuje się winna, że nie uratowała Paula. – Jak Oliver, który niezależnie od tego, co teraz mówi, wciąż nosi w sobie wstyd za to, co stało się Grace. – Zwróciła się do mnie. – Jak Peter, który gdzieś w głębi serca wie, że cię zgwałcił.

Niemalże podskoczyłam na kanapie.

– Peter mnie nie zgwałcił.

– Rzucił na ciebie zaklęcie, magiczną tabletkę gwałtu, po czym wziął cię do łóżka. Możesz sobie racjonalizować to, co zrobił, ale ja dostrzegam w nim głęboki wstyd, nawet jeśli ty tego nie widzisz.

Podniosłam się i podeszłam do okna. Spojrzałam na ogród. Nigdy nie patrzyłam na to w ten sposób. Ale dziś nie był ku temu odpowiedni moment. Nie mogłam pozwolić sobie na analizowanie uczuć, które wzbudziły słowa Maisie. Odsunęłam je od siebie, by przyjrzeć im się innego dnia. W końcu to tylko jedna rzecz więcej w kolejce „do przepracowania”. Wpatrywałam się w zieleń za oknem.

– Ten pies to tylko słodka historyjka, czy sposób, żeby wyciągnąć stamtąd mamę? – dobiegł mnie spokojny głos Iris, który zmusił mnie do obejrzenia się na ciotkę.

Czułam na sobie wzrok Maisie. Myśli mojej siostry zdradzały żal, że powiedziała o Peterze o kilka słów za dużo. Ciche przeprosiny spowodowały, że automatycznie się rozluźniłam. Wpuściłam wstrzymywane od kilku chwil powietrze.

– Niektóre dusze w końcu same wyzbywają się bólu i znajdują drogę ucieczki. – Maisie znów skupiła uwagę na ciotce. – Inni pozostają w pułapce. Te demoniczne twarze, które widziałyście, tak naprawdę nie należą do demonów. To ludzie, którzy za długo byli w Gehennie. Ona ich tak zmieniła. Wycisnęła z nich ostatnie krople człowieczeństwa. Są tak mroczni, tak źli, że czasem przedostają się do naszej rzeczywistości, by przekonywać innych do czynów, które zaprowadzą ich do Gehenny. – Maisie zadrżała. – Ty ich widzisz – zwróciła się do Abby. – Te cienie ludzi śmigające gdzieś w twoim polu widzenia. Chcą twojego światła. – Abigail poprawiła się w fotelu, mocniej otulając się szlafrokiem.

– Co z twoją babką?

Maisie skinęła głową.

– Obawiam się, że jedynym sposobem, by wyciągnąć stamtąd babcię, jest pójść po nią.

– Jak? – Ellen stężała i nachyliła się w kierunku Maisie.

– Dostanie się do Gehenny jest proste. Wystarczy umrzeć. – Moja siostra zamilkła, czekając, aż to do nas dotrze.

– To da się zrobić – stwierdziła Iris. – Możemy zatrzymać moje serce i pójść tam. – Spojrzała na Ellen. – Gdy tylko się wydostaniemy, przywrócisz mnie do życia.

Ellen zmarszczyła czoło.

– Nie. To zbyt ryzykowne. Nie zaryzykuję, że cię stracę. Nawet dla mamy.

Iris wstała, przeszła przez pokój i przyklękła przed siostrą.

– Musimy to zrobić. Nie mogłabym żyć ze świadomością, że nic nie zrobiłam. – Chwyliła siostrę za ramiona. – Pobyt w Gehennie na pewno mnie nie ominie, jeśli nie spróbujemy.

– Czy jest ktoś, kto nie ma żadnego poczucia winy? – Abby wypowiedziała na głos pytanie, które chodziło mi po głowie. – Tylko dzieci i socjopaci, a oni raczej nie będą chcieli nam pomóc.

– To prawda. – Iris wyglądała na pokonaną. – Każdy, kto żyje wystarczająco długo, ma coś na sumieniu, nieważne, jak bardzo stara się być w porządku.

Każdy, kto żyje wystarczająco długo... Nie mogłam wyrzucić z myśli tych słów. Znałam kogoś, kto nie był w stanie wywoływać bólu. Kto był naprawdę niewinny. I był na tym świecie dopiero od kilku miesięcy.

– Wezwijmy Rivkah. Emmet powinien wrócić do Savannah. Do domu.

ÓSMY

– Twoi dziadkowie nigdy tak naprawdę nie byli małżeństwem. Wielka sprawa. To nie zmienia tego, kim ty jesteś. – Peter przytulił mnie mocno.

To była wielka sprawa. Zwłaszcza dla Iris. Zawsze była bardzo dumna z historii naszej rodziny, z naszego drzewa genealogicznego. I fakt, że jej ojciec był na tyle bezduszny, by zostawić swoją pierwszą rodzinę, był dla niej wielką sprawą.

Mimo to nie protestowałam. Peter próbował po prostu mnie pocieszyć i tak dobrze było leżeć koło niego. Przycisnęłam policzek do jego skóry i odetchnęłam jego zapachem. Wciąż byłam poruszona słowami Maisie, że Peter użył magii jak pigułki gwałtu. Od dawna wiedziałam, że Peter był u Jilo. Cholera, sama do niej poszłam po zaklęcie, które miało rozniecić we mnie miłość do Petera, tylko że on pierwszy złożył zamówienie. Ale interpretacja Maisie przedstawiała tę sytuację w innym świetle. Był to po prostu kolejny niezbadany teren, przez który musiałam się przedostać. Któregoś dnia, już niedługo, będziemy musieli o tym porozmawiać, ale nie dziś. Odłożyłam te myśli na później.

– A tamta rodzina twojego dziadka. – Na dźwięk głosu Petera wróciłam do rzeczywistości. – Gdzie ona teraz jest?

– Przynajmniej jedna osoba jest tu. Jessamine. A co do reszty, to nie mam pojęcia. To znaczy, nawet nie wiem, jak duża jest ta rodzina. – Poczułam ukłucie w sercu. – I czy oni w ogóle uważają mnie za rodzinę.

– Och, kochanie, byliby głupi, gdyby było inaczej – powiedział, głaszcząc mnie po włosach.

– No nie wiem. Gdybym była na ich miejscu...

– Gdybyś była na ich miejscu, już byś myślała, jak połączyć całą rodzinę. A może to łączenie trwałoby tylko do czasu, aż wszyscy byście się spotkali? – roześmiał się, ale jego dobry humor wcale nie pomógł.

– To naprawdę musi ich boleć, że zostali tak opuszczeni...

– Tak, myślę, że to musi cholernie boleć, ale to nie ty ich opuściłaś. Nie bierz tego na siebie.

– Myślę, że najbardziej obwinia się Iris.

– Zupełnie się przez to wszystko załamie. – Jego duża dłoń przesunęła się po moim ramieniu i ześlizgnęła się na brzuch. – Teraz, gdy dowiedziała się o kłamstwach swojego ojca, pewnie wydaje jej się, że nie jest tą osobą, za którą się uważała. Chyba rozumiem, jak się czuje.

Zdrętwiałam, a serce podeszło mi do gardła.

– Co masz na myśli?

Westchnął.

– Już od jakiegoś czasu zastanawiałem się, jak z tobą o tym pogadać.

Czułam, jak jego serce bije przy moim policzku. Był zdenerwowany.

– Wiesz, że możesz mi wszystko powiedzieć.

Pocałował mnie w czubek głowy.

– Tak, wiem. Ale nie powinienem o tym wspominać, przynajmniej teraz. Masz już tyle na głowie. – Uderzyło mnie poczucie winy. Nawet jeszcze nie wspomniałam o babci, a co dopiero o najtrudniejszym temacie, czyli o powrocie Emmeta do Savannah.

Położyłam dłoń na jego twardym jak skała ramieniu i odchyliłam głowę, by spojrzeć mu

w oczy.

– Powiedz.

Zdjął moją rękę ze swojego ramienia i odsunął się, by na mnie spojrzeć.

– Chyba powinniśmy powiedzieć moim rodzicom, kim naprawdę jestem, zanim urodzi się dziecko.

Zatkało mnie. Czy w jakiś sposób zdradziliśmy jego pochodzenie? Powiedziałam coś? Nie powiedziałam czegoś? W panice omal nie wyrzuciłam z siebie tych pytań.

– No cóż, spójrz na nich, a potem na mnie – ciągnął. – Tata ma ledwo metr siedemdziesiąt. I on, i mama mają czarne włosy.

Rozluźniłam się. To prawda, w Peterze, moim wysokim rudzielcu, mogłaby się objawić tylko jakaś zupełnie nieprawdopodobna mieszanka genów Colina i Claire.

– Wiem, co chcesz powiedzieć. – Peter kołysał mnie delikatnie. – Przejrzałem wszystkie zdjęcia z dzieciństwa. Nie jestem podobny do nikogo z rodziny.

– Myślisz, że cię adoptowali? To chcesz powiedzieć?

– Tak myślałem, ale nie, jest zbyt wiele zdjęć, na których mama jest w ciąży i wygląda na większą niż... – Ugryzł się w język i szybko dokończył. – Nie wyglądała w ciąży tak dobrze jak ty.

Zalała mnie fala ulgi. Nie miał pojęcia, że Claire nie jest jego matką.

– Tak, to niezły test.

– Tak więc jej dzieckiem z pewnością jestem, ale myślę, że tata nie jest moim prawdziwym ojcem.

Nie miałam sił ani serca, żeby się wczuwać i opowiadać jakieś kłamstwa.

– I jak się czujesz, kiedy myślisz, że może tak być?

– Tak, pani doktor, dziękuję za pomoc. Przecież to coś więcej niż tylko jakieś „może”.

Mam przeczucie. Kocham go bardzo i nigdy wcześniej to wszystko nie miało znaczenia, ale teraz... – Wyswobodziłam się z jego ramion, chcąc spojrzeć mu w twarz. Jego oczy, jedno niebieskie, drugie zielone, wpatrzone były w dal, jakby wyobrażał sobie rozmowę, którą, jak sądził, będzie musiał przeprowadzić z matką. – Muszę wiedzieć, kim jestem. – Przeniósł wzrok na mnie. – Jestem to winien naszemu synowi. To znaczy, no wiesz, są kwestie medyczne.

Ten powód nie zabrzmiał szczerze, nawet jeśli był sensowny. Z pewnością od dawna się zastanawiał, kim są jego rodzice, a to, że miał zostać ojcem, na nowo pobudziło pragnienie poznania prawdy. Bolało mnie, że musiałam być jedną z osób ukrywających przed nim prawdę.

– Jutro pójdziemy do Claire. Razem. I razem ją spytamy. Okej? – powiedziałam.

Pokiwał głową, a mnie prawie pękło serce, gdy zobaczyłam napływające mu do oczu łzy. Otarł je wierzchem dłoni i wyciągnął się, żeby zgasić światło.

DZIEWIĄTY

Obudziłam się i zobaczyłam, że Peter już wyszedł. Znów. Przetarłam oczy, spojrzałam na zegar i ze zdumieniem stwierdziłam, że jest po jedenastej. Powinnam była wstać kilka godzin temu i pomagać Iris w przygotowaniach do Święta Dziękczynienia. Wskoczyłam z łóżka i wzięłam błyskawiczny prysznic. Makijaż mógł poczekać. Wysuszyłam włosy tylko na tyle, żeby nie poskręcały się w loki, i włożyłam luźne spodnie oraz jedną z koszulek Petera.

Nie czułam zapachu goździków, cynamonu ani szaławii. Zbiegłam na dół. Kuchnia była pusta, jeśli nie liczyć wujka Olivera. Siedział przy stole i przyglądał się starej mapie, na której zaznaczyliśmy miejsca znalezienia obciętych części ciała. Miał czerwone oczy. Płakał. Ten widok wytrącił mnie z równowagi, bo on zawsze ukrywał emocje. Teraz wyglądał na zbolanego. Widok Olivera w takim stanie był czymś nowym i bardzo nieprzyjemnym. Opuściłam wzrok na mapę. Tak wiele się wydarzyło, odkąd ostatnio na nią patrzyłam, że wydawało mi się, jakby minęło tysiąc lat.

– Peter jest w barze. Prosił, żebym ci przekazał, żebyś się nie martwiła, bo rozmowa z matką może poczekać. – Odetchnęłam z ulgą. Miałam czas, żeby ostrzec Claire. – Kryptowiadomość przekazana, jestem zwolniony ze służby. – Zerknął na mnie i zauważył moją minę. – Aha, i Święto Dziękczynienia w tym roku zostało odwołane, Rudzielcu. – Uśmiechnął się smutno. – Przynajmniej u Taylorów.

– Och. – Czułam się w jakiś sposób oszukana, a jednocześnie winna z powodu tego, że czuję się oszukana. Halloween czy Samhain nie były dla nas tak ważnymi dniami jak dla naszych przyjaciół wiccan¹. Dla nas to po prostu czas folgowania sobie z ilościami spożywanego cukru i przebierania się zgodnie z tym, co nam, wiedźmom, dyktuje popkultura. Iris zazwyczaj wybierała przeróżne atrybuty hipisów, a Ellen zakładała szpiczasty kapelusz i malowała się na zielono. Święto Dziękczynienia miało być pierwszym moim wielkim świętem rodzinnym w roli żony Petera. Czekałam na nie, bo nasze rodziny miały się spotkać. Maisie była z nami i czuła się coraz lepiej. Chcieliśmy świętować jej powrót do zdrowia. Narosło we mnie poczucie winy. To miało być pierwsze Święto Dziękczynienia, podczas którego nie musiałabym wysłuchiwać głośnych, nie, wręcz krzykliwych wyrazów dezaprobaty Ginny z powodu każdego mojego uczynku. Niech to, w ciągu ostatnich miesięcy przeżyliśmy tak wiele, że chciałam, by dla odmiany choć ten jeden dzień był miły. Dzień, kiedy wszyscy, których kocham, zebraliby się razem i moglibyśmy cieszyć się nim wspólnie.

– Dlaczego? – Musiałam spytać, chociaż podejrzewałam, że znam odpowiedź.

– Fakt, że nasza matka jest uwięziona w piekle, jakoś zabił w Iris ducha dziękczynienia. A na koniec zadzwonił Sam. Stwierdził, że chce spędzić święto ze swoją rodziną w Augustcie. Iris zamknęła się w pokoju i nie możemy jej wyciągnąć ani prośbą, ani groźbą.

– Babcia nie jest w „piekle”, tylko w Gehennie. I wyciągniemy ją.

– Jeśli ktokolwiek w ogóle jest w stanie to zrobić, to na pewno ty.

Zauważyłam, że ma obandażowaną rękę.

– Zraniłeś się?

Zerknął na opatrunek.

– Tak, małe skaleczenie. Nic wielkiego.

– Nie wygląda na małe. Powinieneś pokazać to Ellen.

– Tak zrobię, kiedy wróci. Poleciała gdzieś z samego rana. Kolejny meeting, jak sędę.

Miałam nadzieję, że chodzi o jeden z jej meetingów. Stałam koło wujka. Roześmiał się,

ale wcale nie zabrzmiało to radośnie.

– Co cię tak bawi?

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Myślę, że po tylu razach, kiedy byłem nazywany „draniem”, nawet zabawnie jest zrozumieć, że faktycznie coś jest na rzeczy. – Łzy napłynęły mu do oczu i stoczyły się po policzkach. Nawet nie próbował ich ukryć czy otrzeć. – Myślę, że nie muszę już dłużej czuć się winny kalania dobrego imienia naszej rodziny.

Nie mogłam na to patrzeć. Przytuliłam go, a on pogłaskał mnie po ramieniu.

– Dzięki, Rudzielcu.

Mój wzrok powędrował na mapę.

– Są nowe ikсы. – Powiodłam palcem po nowych znakach.

– Uhm. To kolejna rzecz. Adam musi dziś pracować. Mamy już wszystko oprócz głowy. – Postukał w mapę długopisem. – Dziś rano jakiś biegacz w Forsyth dosłownie potknął się o nogę naprzeciwko Old Candler. – Wskazał miejsce na południe od Madison Square. – Druga została porzucona na chodniku przed Scottish Rite Temple. – Znow postukał w innym miejscu. – Ręka przy świętym Janie. – Odgiął lekko mapę. – Ostatniej nocy strażnik znalazł zaginioną stopę w tekturowym pudle na schodach ratusza.

To było trochę za dużo jak dla mnie. Czułam, że krew odpływa mi z twarzy, i byłam bliska omdlenia. Omdlenie. To słowo uderzyło mnie, gdy poczułam, że kolana się pode mną uginają, i jedynie jego absurdalność pozwoliła mi utrzymać się na nogach i pozbierać do kupy. Oliver wyczuł, co się dzieje, i podtrzymał mnie. Szybkim, zgrabnym ruchem podsunął mi swoje krzesło i posadził mnie na nim.

– Rozumiesz? – zapytał. – Rozczłonkowane ciało. Są na świecie gorsze rzeczy niż fakt, że twój ojciec nie do końca był mężczyzną, za którego go uważałaś.

Oparłam łokcie na stole i ujęłam głowę w dłonie, walcząc z zawrotami głowy i ich najlepszymi przyjaciółmi nudnościami. Oddychałam powoli i głęboko.

Oliver delikatnie ujął mnie za ramiona.

– W porządku?

Skinęłam głową. Przełknęłam ślinę.

– Tak, już dobrze.

– Dalej, Nancy Drew², złożmy to do kupy. Oderwij moje myśli od problemów rodzinnych. Rozgryźmy tę zagadkę. Adam nas potrzebuje. Nie jest facetem, który często prosi o pomoc, a tym razem poprosił.

Skapitulowałam z westchnieniem.

– Ciocia Iris uważa, że ktoś próbuje rzucić zaklęcie. – Przysunęłam mapę bliżej. – Ale sposób, w jaki układają się części ciała, z niczym mi się nie kojarzy. Nie układa się we wzór, który coś by znaczył. Nie potrafię znaleźć historycznego powiązania między tymi konkretnymi miejscami i częściami ciała.

– Dobra. – Oliver wydawał się dziwnie uszczęśliwiony moją niezbyt odkrywczą uwagą. – Zacznijmy od podstaw tego, co wiemy.

– Ty zaczynaj. Ja muszę wypić herbatę. – Wstałam.

– Siadaj, zrobię ci – zaproponował, ale pokręciłam głową.

– Nie, już wszystko okej.

Podeszłam do blatu. Otworzyłam szafkę i wyjęłam dzbanek z Clary's Café, który jakimś cudem znalazł się u nas. Wysunął mi się z rąk i rozbił się na blacie na trzy kawałki.

– Jesteś pewna, że dobrze się czujesz? – Oliver podniósł wzrok znad mapy.
– Tak, tak. Po prostu jestem niezdarą. – Chwyciłam ręcznik, zawinęłam w niego ostre kawałki szkła i wyrzuciłam wszystko do śmietnika, który Iris postawiła w spiżarni. Nacisnęłam pedał kosza i zamarłam. Tam, razem z innymi przedmiotami skazanymi na zapomnienie, leżała poskręcana srebrna ramka od zdjęcia. Szklane odłamki sterczały nad fotografią przedstawiającą wujka Olivera z dziadkiem na rybach. Wyciągnęłam ją ostrożnie ze śmieci i odstawiłam na półkę, zdecydowana zachować ją dla Olivera. Gdy ból zniknie, a urażona duma się zagoi, będzie chciał ją odzyskać. Wytrzymałam kawałki dzbanka do kosza i pozwoliłam pokrywce się zatrzasnąć.

Wróciłam do kuchni.

– Dopóki zabójca nie postanowi pociachać także i głowy, możemy założyć, że kawałków jest dziesięć – stwierdził Oliver i zanotował to w notatniku, którego wcześniej nawet nie zauważyłam. Obok narysował grubą gwiazdkę. – Dotąd pojawiło się dziewięć. Co jeszcze wiemy?

– Cóż, skoro mówimy o takich oczywistościach, to ktoś użył magii, żeby zachować świeżość tych części ciała, tak? To znaczy, jeśli te koleje części też były w takim samym stanie.

– Tak twierdzi Adam.

– Więc możesz to dopisać – zarządziłam, a wujek posłuchał. – Wiemy też, że to ciało kobiety.

Urwał w połowie zdania i podniósł wzrok.

– Wiemy, że ma rude włosy.

– Ale nie znaleźli jeszcze... A, okej. – Myśl, że tego jeszcze nie mogli wiedzieć, szybko przegoniła inna, jeszcze bardziej nieprzyjemna. Powiązania magiczne. Laleczki voodoo. Magia sympatyczna. Może zaczynałam myśleć paranoicznie, ale ostatnio wyglądało na to, że cały świat sprzysiągł się przeciwko mnie. Przypomniałam sobie naszą wcześniejszą rozmowę o Alice Riley. Wiedźma. Ciężarna. Teraz mamy rudowłosą ofiarę. Usiadłam z powrotem przy stole, czując się tak, jakby ktoś przywalił mi w brzuch. – Czy ktoś zamordował tę biedną kobietę, by dać do zrozumienia, że to powinnam być ja?

Oliver nie odpowiedział, ale jego mina mówiła sama za siebie. Przez kilka sekund siedział, nerwowo postukując długopisem w notes.

– Nie chcę teraz wyciągać wniosków. Zostaw to na razie. – Zarumienił się ze złości. – Cholera jasna, Iris mogłaby się ogarnąć i zejść do nas. Ona jest najlepsza w takich sprawach. – Rzucił długopis, że aż spadł ze stołu. – Idę do niej i przywlokę ją tutaj.

– Nie będzie potrzeby. – Drzwi do kuchni otworzyły się, ukazując stojącą za nimi Iris. – I robię, co mogę, żeby „się ogarnąć”.

Oliver zerknął na nią zmieszany. Jego wzrok wędrował od siostry do mnie i z powrotem.

– Wiesz, co mam na myśli. Czuję się tak samo paskudnie, ale nie chowam głowy w piasek jak struś.

– Nie, braciszku, ty wolisz puszyć się jak paw.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza, w której oboje mierzyli się zaciętym wzrokiem. Już chciałam szukać schronienia pod stołem, gdy nagle oboje wybuchnęli śmiechem. Iris podeszła do brata i pocałowała go w czoło. Ujęła jego zranioną rękę. – Co się stało?

– Zaciąłem się.

– Pokaż to Ellen, gdy wróci. – Odsunęła się, by spojrzeć na nas. – Więc co takiego się

stało, że już planowaliście najechać na zamek i porwać mnie z wieży?

– Znaleźli resztę ciała – wyjaśnił Oliver. – No, poza głową. Wciąż nigdzie jej nie ma.

– No cóż, wiedzieliśmy, że prędzej czy później znajdą.

– Mercy trochę się martwi, ja zresztą też. – Oliver przygryzł wargę. – Ta kobieta była rudowłosa.

– No i to powiązanie z Alice Riley – przypomniałam ciotce. – Ciężarna, powszechnie uważana za wiedźmę. I nie zapominajmy, że połowa magicznego świata postawiła sobie za zadanie mnie dręczyć.

Iris usiadła obok brata.

– No to słucham. Mówcie.

Oliver odpowiedział za mnie:

– Boimy się, że ktokolwiek za tym stoi, zamierza, tak jak myślisz, rzucić zaklęcie, używając ciała jako laleczki. Laleczki reprezentującej Mercy.

Iris ściągnęła usta w wąską kreskę. Tego ranka wydawała się zupełnie wypompowana, jakby cały odzyskany ostatnio blask zbladł.

– Rozumiem. – Przez kilka minut wpatrywała się w mapę. – To nie wygląda na robotę wiedźmy. Nie. Laleczki? To dla amatorów. – Wzięła do ręki notatnik. – Dziesięć kawałków. Większość z tych, którzy niespecjalnie znają się na magii, zazwyczaj używa szóstki, siódemki albo trzynastki. Jakie znaczenie ma liczba dziesięć? – spytała, ale zaraz sama udzieliła sobie odpowiedzi. – Ten, kto to robi, nie tylko zna się na magii. Wie też o dziesięciu rodach. Wie coś o granicy i tych, którzy pozostali jej wierni.

To właśnie zjednoczone rodziny podtrzymywały granicę. Pierwotnie było ich trzynaście, ale trzy odmówiły współpracy. Z radością wyzwoliły się spod władzy swoich pradawnych mistrzów, ale nie wzięli pod uwagę, że tracą kontrolę nad niewiedźmami, zwyczajnymi ludźmi, którzy do tej pory byli im podlegli. Erik, mój ojciec, pochodził z jednej z tych rodzin. Gdy Ellen, jego żona, zawiodła i nie urodziła córki, która miała zniszczyć granicę, Erik wdał się w romans z moją matką. A Maisie i ja byliśmy tego efektem.

– Gdyby tak było, że człowiek lub ludzie stojący za rozczłonkowaniem tej biedaczki naprawdę zamierzają użyć jej ciała jako magicznego substytutu Mercy, to podejrzewam, że mogłoby to nie mieć nic wspólnego z nią osobiście, ale z jej rolą jako kotwiczącej.

„Co za ulga”, sarknęłam w myślach, krzyżując ręce na piersi.

– Myślisz, że granicę chce obalić zwykły magiczny wyrobnik? – zapytał Oliver.

– To nie jest zwykły wyrobnik. Powiedziałabym raczej, że jest dość potężny. Ktoś na miarę Jilo... – Ledwo jej słowa ucichły, gdy jednocześnie przyszło nam do głowy to samo.

– Jessamine? – Pomyślałam o złości, jaka od niej biła. Mogłam zrozumieć tę dziewczynę, zrozumieć, że czuje się zdradzona, ale czy byłaby gotowa, czy mogłaby użyć magii, by mnie zaatakować? Próbować zaszkodzić granicy przez zaszkodzenie mi? Coś tu nie pasowało. – Jessamine wie, że Jilo i ja byliśmy ze sobą blisko. Nie wierzę, że mogłaby tak zdradzić Jilo.

– Jeszcze jej nie widziałem, ale z tego, co słyszę, raczej nie jest osobą, która myślałaby w ten sposób.

– Twój wujek ma chyba rację. Myślę, że Jessamine może postrzegać twoje uczucia względem Jilo jako słaby punkt twojej obrony. Pomyśl, Mercy, jaki może być lepszy sposób zemścić się na twoim dziadku niż zniszczyć jedyną rzecz, której tak naprawdę pozostał wierny. Może i zrobił głupców z członków swojej rodziny... obu swoich rodzin, ale z przyjemnością oddałby życie, by chronić granicę.

– Jak sobie z nią poradzimy? – Oliver już skazał Jessamine.

– Daj mi się zastanowić. – Iris przeszła przez kuchnię, chwyciła fartuch i zawiązała go wokół talii, a potem uśmiechnęła się do mnie. – A ty tymczasem leć na górę i złap Abby. Przypomnij jej, że mamy przed sobą trochę pieczenia. – Uniosła wysoko głowę i oparła dłonie na biodrach, specjalnie przybierając śmieszny pozę. – Święto Dziękczynienia oficjalnie powraca do domu Taylorów.

„Jeśli powtórzysz coś tysiąc razy, w końcu stanie się to prawdą”. Przyszedł mi do głowy jeden ze sloganów, które Ellen przyniosła z meetingów. Podniosłam się i wypadłam przez wahadłowe drzwi do holu. Weszłam po schodach i skierowałam się do pokoju Maisie. Zdażyłam zrobić zaledwie kilka kroków, gdy usłyszałam pisk zawiasów, wyraźnie spragnionych oliwy. Serce na chwilę mi stanęło, po czym zaczęło bić jak szalone. Znałam ten dźwięk lepiej niż własny głos. Tak skrzypiały drzwi do starej garderoby, pokoju, który Maisie i ja jako dzieci zaadaptowałyśmy na naszą kryjówkę. Był to ten sam pokój, z którym Jilo połączyła swoją komnatę.

Zamarłam w pół kroku. Wiedziałam bez cienia wątpliwości, że jeśli odwrócę się w kierunku drzwi, które najwyraźniej właśnie się uchylili, to zobaczę akwamarynową aurę komnaty Jilo wylewającą się na korytarz. Wiedziałam, że tak będzie, choć zdawałam sobie sprawę, że to niemożliwe. Na prośbę Jilo osobiście zniszczyłam to miejsce, oscylujące na granicy czasu i przestrzeni, czy może, mówiąc dokładniej, czasoprzestrzeni. Fizyka tego miejsca była poza moim zasięgiem i chociaż czułam, że mam dość mocy, by odtworzyć taką przestrzeń, nie miałam wyczucia w subtelnościach magii. Jilo może nie urodziła się wiedźmą, ale wiele razy udowodniła, że w czarowaniu była świetna.

Odwróciłam się i zobaczyłam, że korytarz migocze niczym odbijające się w basenie słońce. Jilo wiedziała, jak manipulować różnymi wymiarami. Czy znalazła sposób nawet na to, by obejść własną śmierć? Gdy tylko to pytanie pojawiło się w mojej głowie, impuls, by zanurzyć się w akwamarynowym świetle, stał się niemalże obsesyjnym pragnieniem. Przeszłam przez korytarz w stronę garderoby. Zatrzymałam się na progu uchylonych drzwi, a mój umysł w ostatniej chwili wykrył oszustwo. Magia była fałszywa. Zrobiłam krok w tył, odskoczyłam od światła, ale było za późno, bo ono już sięgnęło w moim kierunku, już mnie zagarnęło. Wszystko wokół rozmyło się w pulsującym blasku.

Wicca – religia neopogańska znana w Europie i Stanach Zjednoczonych, zainicjowana w latach 40. XX wieku przez Geralda Gardnera [przyp. tłum.]. ↵

Nancy Drew – dziewczyna detektyw, bohaterka cyklu powieściowego dla młodzieży autorstwa Carolyn Keene [przyp. tłum.]. ↵

DZIESIĄTY

Gdy blask zbladł, zobaczyłam, że nie jestem już w domu, przed drzwiami do naszego dziecięcego pokoju zabaw. Stałam na Oglethorpe Square, ale wszystko wokół było nie na swoim miejscu. Tak dobrze znane mi elementy krajobrazu znajdowały się gdzie indziej niż zwykle. Nie, one leżały w lustrzanym odbiciu do swego zwykłego położenia. Północ była na południu, wschód na zachodzie, a południowe słońce wisiało wysoko, ale jego światło pochodziło znanąd północnego horyzontu.

Owens-Thomas House stał na południowo-zachodnim rogu skweru. Zamrugałam, ale zanim otworzyłam oczy, rezydencja przepłynęła na północno-zachodni kraniec, a President i Abercorn Street zawirowały niczym szprychy w kole od roweru. Słońce znów oświetlało z wysoka Savannah, które nie było moim domem. Obróciłam się dokoła, lustrując zamarły wokół mnie świat w poszukiwaniu jakiegokolwiek znaku życia, ale niczego nie dostrzegłam. Cicha przyroda była jak zamarznięta, nawet najłżejszy wiaterek nie poruszał listkami tillandsii¹.

Nie wiedząc, co robić dalej, ruszyłam w kierunku, w którym, jak mi się zdawało, powinien leżeć dom. Czułam gęstniejącą wokół siebie atmosferę. Niebo z błękitnego stało się szare, ale nie tak łagodnie popielate, jak to czasem bywa. Była to szarość, która zna jedynie biel i czerń. W mojej głowie pojawiło się wspomnienie. Kiedyś już to widziałam. Przyspieszyłam kroku, ale im bliżej byłam miejsca, w którym powinien stać dom, tym bardziej miałam poczucie zagrożenia. Ktoś zastawił na mnie pułapkę. Ulice Savannah mieszały się jak w kalejdoskopie, a dobrze znana trasa stanowiła teraz śmiertelne zagrożenie.

Starłam się to zignorować. Odwróciłam się i poszłam w przeciwnym kierunku, na Lincoln, próbując oszukać rzeczywistość. Właśnie to podpowiadało mi przeczucie wiedzy. Zdołałam jednak zrobić zaledwie kilka kroków, po czym powietrze wokół mnie zgęstniało, stężało i coś pchnęło mnie z powrotem na moją, teraz karykaturalnie zmienioną, zwykłą trasę.

Nie zamierzałam panikować. Skoro nie da się uciec na własnych nogach, użyję magii. Jedną z pierwszych sztuczek, których nauczyłam się po odzyskaniu mocy, było teleportowanie się na małe odległości – po prostu wystarczyło skupić się na miejscu, w które chciałam się przenieść, i już. Wiedziałam, że lepiej zamknąć oczy, bo inaczej teleportacja wywoła u mnie mdłości. Zmrużyłam powieki i skoncentrowałam się na domu. Natychmiast poczułam znajome wrażenie ześlizgiwania się, ale tym razem było jakoś inaczej. Poczulałam, jakbym odbiła się od jakiejś bariery czy rozciągniętej gumowej liny. Usłyszałam zgrzyt metalu o metal i otworzyłam oczy. Wciąż stałam kawałek od Owens-Thomas House i zaledwie kilka centymetrów od miejsca, w którym byłam przed chwilą.

Czułam na sobie czyjś wzrok. Ktoś się ze mną bawił.

– Wiem, że mnie obserwujesz. Że cieszysz się moim strachem. Ale koniec zabawy. – Obserwowałam pustą ulicę, wyludniony plac. – Jestem kotwiczącą, nie możesz użyć mocy granicy przeciwko mnie. – W związku z tym faktem chciałabym czuć się nieco pewniej, ale gdzieś w głębi duszy zdawałam sobie sprawę, że przecież to prawda. Przynajmniej w dużej mierze. – A to oznacza, że czerpiesz z innych źródeł i że twoja magia jest niebezpieczna. Jeśli przestaniesz, pomogę ci. Obiecuję. A teraz się pokaż. – Chociaż intuicja podpowiadała mi, że Iris trochę za szybko obarczyła winą Jessamine, spodziewałam się, że za chwilę wyrośnie przede mną właśnie ona. Czekałam, ale odpowiedziała mi jedynie cisza, która po prostu mnie rozwścieczyła. – Powiedziałam, pokaż się. – Mój głos był cichy, lecz sama się zdziwiłam, jak

stanowczo zabrzmiały te słowa.

Powietrze zamigotało. To cienie tańczyły ze światłem. Przede mną stężała ciemność. Kłaśnięcie dobiegło mnie, zanim jeszcze zdołałam rozpoznać osobę.

– No, no, kuzynko, jakże stałaś się władca. – Kilka metrów przede mną stał Teague Ryan. Przypominał kolesia, który mógłby relacjonować w telewizji zawody sportowe. Wyglądał dobrze, ale nie do przesady, miał krótko obcięte włosy i szerokie ramiona. Może uważałabym go za przystojnego, gdyby jego osobowość tak bardzo nie rzucała się w oczy. Teague był tyranem. Ni mniej, ni więcej. Nie widziałam go, nawet o nim nie myślałam od nocy losowania, gdy mieliśmy wyłonić zastępcę Ginny. Teague poruszał żuchwą z prawa na lewo, aż strzeliła, i dopiero wtedy podszedł bliżej. Na skroni pulsowała mu żyła. Nie poruszyłam się.

– Chciałaś mnie widzieć – odezwał się. – Więc jestem.

Teague chciał, a właściwie oczekiwał, że granica pominie nas, niegrzecznych Taylorów z Savannah, i złoży swoją moc w jego ręce. Ze wszystkich pretendujących do roli kotwiczącego Teague był ostatnim, którego bym wybrała. Cóż, poza Maisie, która próbowała mnie zabić, żeby położyć rękę na mocy. Czy Teague miał nadzieję na zwycięstwo tam, gdzie moja siostra przegrała?

– W co ty grasz?

Skrzyżował ramiona na piersi, próbując wyglądać na wyluzowanego, co zresztą mu się udało.

– W nic nie gram. W ogóle nie gram. Jestem tu, by zrobić to, czego nikt w tej rodzinie nie ma odwagi zrobić. Jestem tu, żeby się z tobą rozprawić.

W tym momencie zrozumiałam, jak to wszystko łączy się w jedną całość: zakłęcie, nad którym pracował, przyćmione światło, wszechogarniająca szarość, pierścień, który zaciskał się wokół nas, atak na dom Jilo.

– To ty zaatakowałaś Jilo i mnie – stwierdziłam.

Zaprowadził mnie do domu Jilo i rzucił zakłęcie, które miało zgnieść rzeczywistość wokół nas. Udało nam się uciec, ale dom został dosłownie zmieciony z powierzchni ziemi, jakby go tam nigdy nie było. Magia, której użył Teague, czerpała z najczarniejszych źródeł, stokroć gorszych niż te, z którymi spotkałam się w Tillandsii. Nie potrafiłam nawet wyobrazić sobie, skąd mogła pochodzić tak toksyczna moc.

Uśmiechnął się.

– A jeśli tak, to co?

– A jeśli tak, to co? – powtórzyłam. Poczułam, że krew napływa mi do twarzy, a dłonie zaciskają się w pięści. – Czujesz się taki odważny, bo napadłeś na starszą kobietę? Gdyby nie ty, gdyby nie to, co zrobiłeś, ona może nie...

– Co? Nie kopnęłaby w kalendarz? Nie wyciągnęłaby kopyt? – Nachylił się i wpatrywał się we mnie z góry. – Starucha już dawno do niczego się nie nadawała i narażanie dla niej granicy było bez sensu. Była za sprytna. Zbyt cwana. A gdyby znalazła sposób, żeby się w niej zaczepić? Myślisz, że postawiłaby dobro granicy ponad własne? Do diabła, niby dlaczego? Jesteś kotwiczącą, a tego nie robisz.

Zignorowałam jego kpiny i cofnęłam się o krok. Wiedział, że dotyka drażliwego tematu, i podejrzewałam, że drażni mnie dla własnej przyjemności, próbując doprowadzić mnie do stanu, w którym stracę nad sobą kontrolę. Jeszcze nie tak dawno temu rozjuszyłby w ten sposób mój słynny niegdyś temperament, ale nie teraz. Wciąż jednak mnie wkurzał. Zazdrość

i chciwość czyniły z niego szaleńca. Musiał brać udział w zbezczeszczeniu grobu Jilo.

– Jesteś jak ghul. Profanujesz groby. Paktujesz z demonami. Rozczłonkowałeś niewinną kobietę. Masz pojęcie, jak bardzo pobłądziłeś?

– Nie wiem, o czym mówisz. Jestem tu, by chronić granicę. Nie nic wspólnego z bałaganem, w który się wplątałaś.

Zaczęłam krążyć wokół Teague'a, zmuszając go, by odwracał się razem ze mną. Jilo sporo mnie nauczyła. Nawet jeśli moje ruchy nie mogły wywołać żadnego magicznego efektu, może uda mi się zadziałać na niego psychologicznie i zmusić go, by przyjął pozycję obronną.

To była pierwsza okazja, by przyjrzeć się mojemu kuzynowi oczami wiedzy. Zanim odzyskałam moc, onieśmielał mnie, ale nic więcej. Z jednej strony nie wydawało mi się, żeby pomimo wygórowanego mniemania o sobie posiadał jakiś wielki zasób mocy. A inteligencją też się nie wyróżniał.

Intuicja podpowiadała mi, że czuł się bojownikiem za sprawę, ale był zwykłym naiwniakiem, który nie dysponował żadnymi środkami do walki.

– Okej. Skoro nie używasz magii krwi, to jak rzucasz te zaklęcia? – Uderzyłam w czułe miejsce. – Wiem, że sam nie masz takiej mocy. Czyjej w takim razie używasz? Której spódnicy się trzymasz, chłopczyku?

Pokręcił głową i nagle skoczył naprzód, zmniejszając dystans, jaki zbudowałam między nami. Dłonie zacisnął w pięści, a wokół nich strzeliły czerwone iskry. Nie byłam pewna, czy ma zamiar użyć magii, czy mnie uderzyć. A może i to, i to. Przygotowałam się i niech mnie szlag, jeśli dam się pokonać.

– Nigdy nikogo nie zabiłem – wysyczał. – Ale z przyjemnością zacznę od ciebie.

Powinam się przestraszyć, może nawet spanikować, ale spłynął na mnie jakiś dziwny spokój, jakby ważny kawałek układanki właśnie wskoczył na swoje miejsce.

– I zrobiłbyś to, gdybyś zdołał. Gdyby to wystarczyło. Ale mnie nie zabijesz, bo w takim wypadku granica nigdy nie wybierze cię na kotwiczącego – roześmiałam się. – Jeśli już, mogłaby co najwyżej zupełnie cię odciąć. Byłbyś taki malutki. Impotent. – Nachyliłam się ku niemu. – To dlatego próbowałeś mnie uwięzić. Nie chcesz mnie zabić, tylko uciszyć. – Teraz zdałam sobie sprawę, że i tamto zaklęcie, które zniszczyło dom Jilo, było potrzaskiem, a nie śmiertelną pułapką.

Uśmiechnął się.

– Chcesz spróbować jeszcze raz dostać się do domu? To było zabawne, gdy odbiłaś się od mojej bariery. Do diabła, próbuj dalej. Mógłbym cały dzień na to patrzeć.

Zaczął odzyskiwać rezon, więc tylko się uśmiechnęłam i pokręciłam głową, jakbym nie wierzyła, że sam wymyślił taki scenariusz.

– Więc jaki dokładnie masz plan? – Znowu drażniłam jego ego. – Bo chyba masz jakiś plan, nie? Powiem ci, że tylko kompletna niedojda mogłaby próbować takiej sztuczki, nie przygotowawszy najpierw planu.

Wyprostował się i spojrzał na mnie spod przymrużonych powiek. Oblizwał wargi.

– Oczywiście, że mam plan. Właśnie to miejsce, w którym stoimy. Mam cię. Będiesz siedzieć cicho i nic na to nie poradzisz.

Rozejrzałam się, starając się z całej siły robić wrażenie niewzruszonej.

– Co jest takiego specjalnego w kalejdoskopowym krajobrazie? Okej, z początku był dezorientujący, ale prędzej czy później znajdę wyjście...

– Być może – odparł ze śmiechem. – Ale wierz mi, że to będzie dużo później, niż sobie

wyobrażasz. – Mrugnął. – Można by się spodziewać, że kotwicząca z prawdziwego zdarzenia, taka jak ty, mogłaby się już nauczyć, że czas w różnych wymiarach płynie z różną prędkością.

Roześmiałam się.

– Och, ty bystrzaku. Więc wrzuc mnie do wymiaru, gdzie czas będzie płynąć szybciej. Gdzie lata równają się miesiącom, wtedy nie będziesz musiał długo czekać. Jest tylko jeden duży problem, geniuszu. Wygląda na to, że utknąłeś tu ze mną.

Krzywy uśmiech wykwitł mu na twarzy.

– I tu się mylisz, Ruda. Ja mam drogę ucieczki. – Wyciągnął rękę, ukazując świeży tatuaż na przedramieniu: okrąg złożony z symboli przypominających stylizowane błyskawice lub posplatane litery „s”. Spojrzał na mnie z dumą, za którą powinnam go znieawidzić, ale właściwie mu współczułam. Rozpoznałam symbol. Coś podobnego widziałam w dokumentach na temat Lebensbornu, które zgromadził dziadek. Ten groteskowy nazistowski projekt rozmnożenia białej rasy był źródłem także i mojego istnienia. Nie miałam wpływu na to, że Lebensborn zapisał się w moim DNA, ale Teague wyrzył go sobie na ciele z własnej woli. Odrzucało mnie to, ale nie mogłam sobie pozwolić na obrażanie go.

– Od jak dawna pracujesz z Emily?

Podniósł rękę i otarł twarz, a uśmiech znikł z jego ust.

– Z kim? – Zirytowany przewrócił oczami.

Musiał udawać.

– Nie udawaj głupiego. Z Emily. Moją matką. – Pokręciłam głową, myśląc o tym, jaki jest łatwowierny. – Ona nie jest twoim sojusznikiem. Nie będzie współpracować, tylko cię oszuka. Chce zniszczyć granicę.

Odsunął się i zadrzał mimo woli.

– Myślałem, że twoja matka nie żyje? – Jego słowa z początku brzmiały jak stwierdzenie, a potem zmieniły się w pytanie. Nie udawał. Nic nie wiedział.

Ale skoro nie bierze mocy od mojej matki, to skąd ją ma? Ledwo to pytanie przyszło mi do głowy, myśli przysłoniła mi wizja Teague’a. Co dziwne, zamiast obserwować go z zewnątrz, czułam się raczej, jakbym była nim. Jego oczami patrzyłam na jego odbicie w lustrze. Stał sam w pokoju oświetlonym jedną świecą.

Był wiedźmą i nie powinnam była tak łatwo przeniknąć jego psychiki, nawet jeśli byłam potężniejsza od niego. Jednak jakaś nieznaną moc dała mi dostęp do jego pamięci. Ta wizja, jak niemy film, dalej trwała w moim umyśle.

Widziałam jedynie mojego kuzyna, ale nie był tam sam. Wyczuwałam wokół niego inne, bezcielesne byty, które go prowadziły. Jeden był potężniejszy niż pozostali razem wzięci. Patrząc na siebie w lustrze, Teague rozebrał się do pasa i na piersi, nad sercem, narysował symbol niemal identyczny jak ten, który widziałam na grobie Jilo. Zobaczyłam łuk energii, który wystrzelił znikąd prosto w mężczyznę i rzucił go na kolana. Czułam, że wniknęła w niego nie tylko magia, nie tylko moc. Przyjął jakąś świadomość. Oddał się komuś w posiadanie. Nie, to nawet nie do końca tak: uczynił z siebie kotwicę dla mocy, która nie mogła egzystować w naszym świecie.

Zamiast być biernym obserwatorem, postanowiłam otworzyć jego świadomość jeszcze szerzej. Udało mi się to z łatwością i zanurzyłam się głębiej w jego psychikę, podążając za mroczną magią łączącą go ze źródłem mocy. To, co zobaczyłam, zmroziło mnie, bo rozpoznałam tę postać.

Ten, kogo odkryłam, nie był pomniejszym demonem, jak Wren, ani nawet większym,

podobnym do Barrona, demona, którego Emily poświęciła, by przenieść mnie do starożytnych. Źródłem mocy Teague'a nie był demon, jak to czasem bywa. Pomyślałam o tej chwili, gdy pierwszy raz spróbowałam magii i byłam świadkiem pewnej sceny w moim własnym lustrze. Zdałam sobie sprawę, że Teague jakoś połączył siły z jedną z najbardziej niebezpiecznych wiedźm na świecie, Gudrun, która kiedyś była najlepsza przyjaciółką Marii Orsic, mojej prababki.

– Gudrun. – Jej imię samo wydostało się z moich ust.

Teague zadrżał, widząc, jak łatwo przełamalam jego ochronę. Spuścił wzrok, a na czoło wystąpił mu pot.

Zaśmiałam mu się w twarz.

– Nawet jeśli mógłbyś mnie tu zatrzymać i z jakiegoś bezpiecznego miejsca obserwować, jak opuszczają mnie siły, to i tak cały ten twój plan ma jeszcze jedną lukę. – Spojrzał na mnie i pokręcił głową, jakby próbował mnie powstrzymać. – Nie czujesz, Teague? Świat się zmienił. Granica się zmieniła. Możesz czekać i przez tysiąc pokoleń, a ona nigdy cię nie wybierze. Nigdy.

Wykorzystałam jego zmieszanie oraz to, że podszedł tak blisko, i chwyciłam jego wytatuowane ramię.

– Pozwól, że nauczę cię podstaw magii krwi. – Zacisnęłam dłoń, wbijając mu paznokcie głęboko pod skórę. Kwiknął, a krew zalała tatuaż. Wykorzystam moc tego znaku do własnych celów. – Dalej, Pinokio, przywitajmy się z twoim panem.

Zamknęłam oczy i ześlizgnęłam się. Tym razem nie poczułam żadnego oporu – bez problemu pokonałam barierę, za którą próbował zamknąć mnie Teague, z nim samym na dokładkę. Gdy znów otworzyłam oczy, byliśmy w mojej sypialni. Teague odsunął się ode mnie, upadł na kolana i wymiotował prosto na mój dywan. Sam to posprząta, gdy tylko się z nim rozmówię. Odwróciłam się, by nie patrzeć na jego czerwoną twarz, i dostrzegłam własne odbicie w lustrze toaletki.

Zobaczyłam w nim, jak oblepia mnie obrzydliwa magia Gudrun. Zmusiłam się, by strząsnąć z siebie strachu na myśl, jak może się zakończyć moja ucieczka.

– Chodź, Gudrun. Mam twojego chłopczyka, więc mnie słyszysz. – Przez krótki moment dostrzegłam jej twarz, lodowato zimne spojrzenie i idealny nos, obramowane czarnymi włosami przystrzyżonymi na pazia, ale gdy po raz pierwszy użyłam lustra, by zajrzeć do jej świata, Gudrun szybko machnęła ręką i obraz znikł. Tym razem jednak usłyszałam pyknięcie i chociaż szkło wróciło na swoje miejsce, sieć pęknięć rozeszła się od centrum tafli aż po ramy. Gudrun najwyraźniej miała dość moich niezapowiedzianych wizyt.

I pomyśleć, że rody chciały wysłać mnie do niej na nauki. Kto wie, czy gdybym się zgodziła, wróciłabym jeszcze do domu. Za mną rozległ się śmiech i gdy się odwróciłam, zobaczyłam, że Teague podniósł się już na nogi.

– Nie masz szans, nie z nią. Nie przeciwko nam.

– Nie ma żadnych „nas”, dopóki jesteś z nią w zмовie. – Staralam się, by mój głos brzmiał spokojnie, ale stanowczo. – Niech dotrze do twojego pustego łba, Teague, że Gudrun cię okłamała. Wrobiła cię. Nie ma żadnego interesu w chronieniu granicy. Jeśli już, to jest dla niej największym zagrożeniem.

– Mylisz się. Zmieniła się. Nie zagraża bezpieczeństwu granicy. Za to ty i owszem.

Podniosłam rękę.

– Przestań. Wierz sobie, w co chcesz, a ja i tak zaraz odeślę cię do domu. Nie

pozostawiasz mi wyboru. Powiem rodom i innym kotwiczącym, co próbowałeś zrobić. Że działałeś przeciwko mnie, przeciwko kotwiczącej.

– Albo kłamiesz, albo jesteś głupia – rzucił Teague. Jego twarz była czerwona z wściekłości, ale nagle jego emocje zmieniły się o sto osiemdziesiąt stopni. Wybuchnął histerycznym śmiechem, a radość wyciskała mu łzy z oczu. Otarł je wierzchem dłoni. – Wiesz, to już przesada! Naprawdę nie masz tylu przyjaciół, jak ci się wydaje. Myślisz, że spotkałem się z Gudrun sam? Że jakoś dogadaliśmy się za plecami kotwiczących, żeby mogła zakotwiczyć we mnie swoją moc? Niektórzy kotwiczący, Mercy, już wiedzą, i wspierają mnie. – Czy kazała mi mu uwierzyć moja intuicja, czy po prostu strach? – I będę do ciebie przychodził, aż wykonam zadanie.

– Twoje intrygi przeciwko mnie nie mają nic wspólnego z ochroną granicy. To po prostu twoja cholerna potrzeba bycia kimś ważnym. – Skrzywiłam się, widząc jego pełne nienawiści spojrzenie. – Zostaw mnie w spokoju – powiedziałam, ale tym razem zabrzmiało to znacznie mniej przekonująco.

– O nie. Nie zrobię tego. Jedyнным sposobem, żeby się mnie pozbyć, jest zabicie mnie, a oboje wiemy, że na to cię nie stać.

– To prawda – usłyszałam znajomy głos. Byłam tak skupiona na Teague’u, że nie zauważyłam stojącej w drzwiach Maisie. – Mercy nie stać, ale mnie tak.

Zanim zdążyłam ją powstrzymać, Maisie uniosła rękę w stronę popękane go lustra. Największy odłamek szkła uwolnił się z ramy i śmignął obok mnie. Doleciał do Teague’a i przejechał mu po szyi, otwierając ją aż do kości. Życie chlusnęło z niego falą szkarłatu i padł na podłogę u moich stóp. Zamknęłam oczy, gdy poczułam, jak krople jego krwi dotknęły mojej twarzy.

Gdy znów spojrzałam przed siebie, Maisie wpatrywała się we mnie ponad zwłokami Teague’a.

– Och – powiedziała. – Chodź, musisz umyć twarz.

Tillandsia, czyli oplątwa – roślina z rodziny bromeliowatych występująca na obszarze obu Ameryk [przyp. red.]. ⇐

JEDENASTY

Widziałam już tyle przerażających rzeczy, odkąd znalazłam ciało Ginny w salonie jej własnego domu. Ale mimo wszystko leżące na podłodze przede mną ciało mojego kuzyna to było o jedną przerażającą rzecz za dużo. Nie byłam pewna, co powinnam czuć, ale czułam tylko wstyd. Wiedziałam, że za pięćdziesiąt, a może i sto lat, gdy mój własny wnuk lub praprawnuk zbada atmosferę tego pokoju, by znaleźć jakieś wspomnienia po mnie, wyrosnie przed nim obraz tej sceny, zobaczy mnie spryskaną krwią Teague'a. Czy poczuje też chłód, który zmroził mnie w tamtym momencie?

Krzyk zmusił mnie do podniesienia wzroku. O rany. „Już wiedzą”, przyszło mi do głowy, gdy w drzwiach zobaczyłam dyszącą Abigail. Nogi ugięły się pode mną i wylądowałam na czworakach. Znów spojrzałam na twarz mojego kuzyna, na jego szkliste oczy, w których zastygło zdumione spojrzenie. Usłyszałam tupot ciężkich butów na schodach, a potem w korytarzu. Sam odnalazł mój pokój, zanim zdążyła dobiec tu Iris. Nie spodziewałam się go dzisiaj – widocznie musiał zmienić zdanie. Teraz bym wołała, żeby przemyślał tę decyzję raz jeszcze. Przyklęknął, podniósł mnie i wyniósł z pokoju. Oliver minął nas w korytarzu, wpadł do pokoju, po czym cofnął się szybko, a jego twarz zbieleła. W korytarzu pojawiła się i Iris, ale Oliver chwycił ją, zanim zdołała przejść przez próg.

– Nie. – Pociągnął ją. – Nie powinnaś na to patrzeć.

Słowa zlewały się w mojej głowie w jeden niezrozumiały potok dźwięków. Światło wokół zamigotało i zamknęłam oczy. Zaczepnęłam powietrza i zmusiłam się, by wrócić do świata żywych.

– Już w porządku. Dziękuję. Możesz mnie postawić.

Sam opuścił mnie delikatnie, aż moje stopy dotknęły ziemi. Pokój natychmiast zaczął wirować.

– Nie sędzę – stwierdził i nachylił się, by z powrotem wsunąć ramię pod moje kolana.

– Zabiła go. Bez wahania. Jej twarz... – *Wzrok jak słońce: pusty, bez litości*¹, przyszły mi na myśl słowa Yeatsa. – Żadnych uczuć. Ona po prostu... – Głos mnie zawiódł.

– Mam w ciężarówce jakiś brezent i trochę srebrnej taśmy – rzucił gładko Sam.

Uroczy, przystojny, gotów bez pytania pomóc ukryć ciało. Prawdziwy anioł stróż. Zaczęłam się śmiać, choć właściwie w całej tej sytuacji nie było nic zabawnego. To był raczej historyczny śmiech.

Iris stała przed nami, jakby nie wiedziała, czy ma Sama uściskać, czy uderzyć.

– Miejmy nadzieję, że to nie będzie konieczne.

Pojawiła się Maisie z mokrym ręcznikiem. Zmyła krew ze swoich rąk, ale wciąż miała rozbryzgi na ubraniu. Na jej widok mój śmiech się urwał.

– Zajrzałam do jego głowy – stwierdziła, gdy napotkała mój wzrok. – Nienawidził cię i na pewno by się nie poddał, dopóki nie odebrałby ci wszystkiego. – Zmrużyła oczy z obrzydzeniem. – Zobaczyłam, jak marzył, nie, fantazjował o pokonaniu cię, zranieniu, zabiciu. Sprawiało mu to przyjemność. – To słowo w jej ustach wydawało się jakieś takie brudne, obrzydliwe. – Gdy odeszłam, gdy byłam tam, gdzie umieściła mnie granica, to miejsce nappełniło mnie pewnością, że jeśli jeszcze kiedykolwiek cię zobaczę, muszę zrobić co w mojej mocy, żeby cię chronić. Przykro mi, jeśli moje sposoby negocjacji są dla ciebie nieprzyjemne, ale z przyjemnością zabiję jeszcze tysiąc takich Teague'ów, jeśli to będzie cena za twoje bezpieczeństwo. – Nie wiedziałam, czy czuć wdzięczność, czy przerażenie, gdy jej

słowa zawisły między nami. – Proszę. – Podała mi ręcznik.

– Ja to wezmę, kochanie – wtrąciła się Iris. – Abby, mogłabyś zabrać Maisie do jej pokoju?

Abigail szła za nami, ale wciąż była w szoku.

– Tak, zrobię to, ale zaraz potem pakuję walizki i wracam do domu. Myślałam, że mogę pomóc, ale obawiam się, że Maisie zabrnęła już za daleko. – Spojrzała na mnie, a w jej oczach zalśniły łzy. – Przepraszam, ale nie piszę się na to.

Może to bardzo niewdzięczne po tym wszystkim, co dla nas zrobiła, ale byłam rozczarowana. Wystarczyło trochę krwi, żeby się poddała, chociaż Maisie wkroczyła do Gehenny, aby ją ratować.

– Oczywiście, moja droga – odparła Iris, nie spuszczać ze mnie wzroku. – Rozumiemy to. Ja nie rozumiałam, ale miałam dość i bez wszczynania walki. Abby zawahała się, zanim chwyciła Maisie za rękę, ale w końcu poprowadziła ją do pokoju.

– Weź, proszę, Mercy do mojej sypialni. – Ciotka zwróciła się do Sama.

Mężczyzna przeniósł mnie przez drzwi i posadził w nogach łóżka, a sam przyklęknął obok. Oliver usiadł i objął mnie ramieniem, próbując okazać mi wsparcie.

– Tak w ogóle to kim jest koleś, którego zabiła Maisie? – Sam zwrócił się do Iris. Użył czasu teraźniejszego.

Iris nie odpowiedziała. Zamiast tego dalej ścierała ręcznikiem ślady krwi z mojej twarzy.

– Teague Ryan – odparł za nią Oliver. – Był naszym kuzynem.

Podniosłam wzrok na ciotkę.

– Współpracował z Gudrun, żeby... mnie uwięzić. – Iris gwałtownie uniosła głowę i zacisnęła wargi. – Powiedział, że zabicie go to jedyny sposób, żeby go powstrzymać, a Maisie, cóż, Maisie...

Nie poznawałam własnej siostry, odkąd granica pozwoliła jej wrócić do domu. Z wyglądu się nie zmieniła. W środku, no cóż, prawdę mówiąc, nigdy do końca nie wiedziałam, co jej w duszy grało. Chciałabym wierzyć, że to nie moja siostra ofiarowała mnie w ofierze demonowi. Że nie była odpowiedzialna za to, co zrobiła, że po prostu zwariowała na skutek tego, co zrobiła jej Ginny. I miałam nadzieję, że jakoś odnajdziemy w niej cząstkę tej dziewczynki, którą miała się urodzić, i pozwolimy jej się uwolnić. Abby miała najwięcej doświadczenia w sondowaniu ludzkich dusz. Może miała rację, może Maisie zaszła już za daleko, ale ja jeszcze nie byłam gotowa się poddać.

– Spiskował przeciwko kotwiczącej. – Iris przerwała moje rozmyślenia.

– Tak, ale twierdził, że inni kotwiczący o tym wiedzą. Dał do zrozumienia, że wyrazili zgodę, nawet jeśli mu nie pomagali.

– To nie ma znaczenia. Właściwie to ma, ale nie w kontekście tego, jak sobie z tym poradzimy. Posłuchaj. – Odłożyła ręcznik i położyła mi dłonie na ramionach. – To nie Maisie zabiła Teague'a. Ty to zrobiłaś. Słyszysz?

– Nie rozumiem. – Potrząsnęłam głową.

– Jesteś kotwiczącą. Kotwicząca ma prawo usunąć każdego, kto jej zagraża.

– Prawo? To potworne. Nie powinnam mieć prawa zabijać kogokolwiek.

– To ich zasady, nie nasze. Spełniałaś swój obowiązek. Chroniłaś granicę. Tej historii musimy się trzymać.

– Nie rozumiem, o czym mówicie – wtrącił Sam – ale czy naprawdę musicie sprzedawać tym ludziom takie brednie? Mnie to wszystko wygląda po prostu na samoobronę. – Czy mi się

tylko zdawało, czy Sam się odsunął? Wyglądał, jakby starał się unikać dotyku Iris, nawet przypadkowego. To wszystko nie wpłynie dobrze na ich związek. Czy nie zobaczył za dużo? Jeszcze przed chwilą gotów był działać, o nic nie pytając.

Iris wyciągnęła rękę, ale on się cofnął. Błysk w oku ciotki podpowiedział mi, że i ona zauważyła jego chłód.

– Oczywiście, że to była samoobrona, ale gdy rody się dowiedzą, że to Maisie zabiła Teague’a...

Nie musiała nawet kończyć. Zrozumiałam. Użyją wszystkich dostępnych środków, by odebrać nam Maisie. Tym razem na zawsze.

Pewność, z jaką zabiła, i absolutny brak wyrzutów sumienia, zmusiły mnie do refleksji, że to może ta zabójczyni była prawdziwą Maisie. To, że pojawiłyśmy się na świecie, było ściśle związane z czarną magią – byliśmy nieoczekiwanym rezultatem próby zniszczenia granicy za pomocą seksu i ciemnych mocy, zgromadzonych w Tillandsii. Czy byliśmy od poczęcia skalane tym, co zrobili nasi rodzice? Czy popełniłam błąd, ściągając Maisie do domu?

– A może po prostu nie możemy już jej uratować. – W drzwiach stała Ellen. Potknęła się lekko, przestępując próg, ale utrzymała się na nogach. – Tak samo jak mamy. – Nawet z odległości paru metrów czułam od niej alkohol. Zrobiła kilka kolejnych chwiejnych kroków i stanęła przed nami. – Czasem tak jest, że ludzie są już za daleko, żeby ich uratować.

– O, cholera jasna, Ellen, jakby wszystko nie było już wystarczająco skomplikowane. – Oliver wstał, upewniając się, że mogę siedzieć o własnych siłach. – Chodź, nastawię kawę.

Chwycił siostrę za ramię. Wyrwała się.

– Nie chcę kawy.

– Wybacz, siostrzyczko, ale w tym momencie nie obchodzi mnie, czego chcesz. – Wzmocnił uścisk i obrócił ją w stronę drzwi. Gdy wyprowadził ją z pokoju, Iris podeszła do drzwi i popatrzyła za nimi. Słyszałam, jak Ellen protestuje, gdy Oliver sprowadza ją po schodach.

– Powinnam się umyć – stwierdziłam, po czym zdałam sobie sprawę, że nie mogę pójść do swojej łazienki, bo na korytarzu niedługo zaroi się od wiedźm. Łazienka Iris przylegała do sypialni, a to oznaczało, że od reszty świata będzie mnie dzieliło dwoje zamkniętych drzwi. Nie była to specjalnie mocna bariera przeciwko intruzom, a już z pewnością nie przeciwko magii, ale w tym momencie nawet wrażenie intymności wydawało się na wagę złota.

– Ciociu Iris? – zapytałam, a ona odwróciła się do mnie.

– Tak?

– Mogę skorzystać z twojej łazienki?

Pokiwała głową.

– Oczywiście, kochanie.

Fragment wiersza W.B. Yeatsa *Powtórne przyjście* w tłumaczeniu Henryka Krzyżanowskiego [przyp. tłum.]. ⇐

DWUNASTY

Czułam się tak, jakbym całe wieki stała pod strumieniem gorącej wody, obserwując, jak krople lepkiej krwi Teague'a spływają do odpływu. Nawet gdy woda nie była już różowa i wiedziałam, że moja skóra jest czysta, umyłam się raz jeszcze, modląc się, bym kiedyś zdołała zapomnieć, jak z mojego kuzyna ulatywało życie.

Wycierając się, na chwilę zatrzymałam rękę na brzuchu i wysłałam uspokajające, pełne miłości myśli do mojego maluszka. Owinęłam się ręcznikiem kąpielowym i pożyczyłam suszarkę Iris. Jej szum choć na chwilę zagłuszył toczącą się na dole kłótnię. Gdy tylko wyłączyłam suszarkę, głosy znów rozbrzmiały.

Z ulgą zobaczyłam, że Iris przyniosła mi z pokoju ubranie. Błękitno-białą sukienkę i pasujący do niej niebieski sweterek. Moja skromna garderoba młodej matki. Ubrałam się przy akompaniamencie wrzasków i przerywanych łkaniem wzajemnych oskarżeń. Krzyczał Oliver, płakały jego siostry. Usłyszałam trzaśnięcie drzwi i dołączył do nich kolejny głos. Ten należał do Adama. Głosu Sama nie słyszałam, więc się domyśliłam, że na czas załatwiania spraw wiedźm Iris gdzieś go wysłała.

Iris albo zapomniała przynieść mi buty i skarpetki, albo za bardzo wzięła sobie do serca wizję bosej i ciężarnej¹. Moje wygodne tenisówki były uwalane krwią Teague'a. Już nigdy w życiu ich nie założę. Przez chwilę myślałam, czy nie pożyczyć butów Iris, ale były tak małe, że prawdopodobnie skończyłabym z pęcherzami. Zebrałam się w sobie i ruszyłam bosą przez korytarz w stronę mojego pokoju.

Ciało zniknęło. Podejrzewałam, że rody zabrały zwłoki, a sprzątanie zostawiły nam. Będziemy musieli spalić dywan. Moją ulubioną kołdrę. Ubrania, które Maisie i ja miałyśmy na sobie. Wszystko, co zbryzgała krew Teague'a. To jedyny sposób, by się upewnić, że moc zawarta w jego krwi nie zostanie wykorzystana do rzucenia jakichś niepożądanych zaklęć. Chociaż sypialnia została dokładnie oczyszczona za pomocą magii, nie mogłam znieść myśli, że miałabym tu spać. W przyszłości będziemy mogli przenieść się do mojego starego pokoju, ale na dzisiejszy wieczór powinnam zabrać niezbędne rzeczy, moje i Petera, do pustego teraz pokoju Olivera.

Usłyszałam kroki w korytarzu i kiedy się odwróciłam, stanęłam twarzą w twarz z Peterem. Jego zazwyczaj rumiana cera była szara. Wspierał się na framudze, jakby nie mógł ustać o własnych siłach.

– Myślałem, że w domu będziesz bezpieczna – wyszeptał, kręcąc głową na widok sypialni. Nie musiałam pytać, żeby wiedzieć, dlaczego przyjechał. Nasze dziecko go wezwało, tak jak wtedy, gdy Ryder zaatakował mnie w Magh Meall, i później, gdy Emily uwięziła mnie w Tillandsii. Peter wszedł do pokoju, omiatając wzrokiem zakrwawioną podłogę.

– Cieszę się, że go zabiła – stwierdził. – Naprawdę.

Nie mogłam tego słuchać. Chciałam się odwrócić, ale złapał mnie za ramię. Wzrok mojego męża płonął mieszaniną wściekłości i strachu.

– Zaoszczędziła mi kłopotu.

Nie chciałam na niego patrzeć. Tymi słowami łamał mi serce.

– Nie mów tak. – Ujęłam jego dłoń i położyłam sobie na brzuchu. – Wiesz, że cię słyszy. Rozumie więcej, niż myślisz. Nie chcę, żeby uważał swojego ojca za mordercę. Nie jesteś taki.

Przykucnął i pocałował miejsce, gdzie przed chwilą spoczywały nasze dłonie.

– Wiem, że mnie słyszy. – Spojrzał na mnie, a na ustach znów miał uśmiech. – Mówi do mnie, wiesz? Nie słowami. Uczuciami. Obrazami.

Wiedziałałam, że Colin mógł wzywać na pomoc ojca, ale nie przyszło mi do głowy, że jest między nimi aż taka więź.

Uśmiech Petera zbladł.

– Bał się. Czuł prawdziwe przerażenie, a tego nie mogłem znieść. Chcę, żeby wiedział, że zrobię wszystko, by go chronić. By chronić was oboje. Jeśli trzeba będzie zabić...

– Proszę, nie mów tak. Nie.

Urwał, ale mina, spojrzenie, ściągnięte brwi, wszystko to mówiło samo za siebie.

– Próbował skrzywdzić ciebie i dziecko.

Nie mogłam nie przyznać mu racji. Nie chodziło o to, że Teague mógł jeszcze żyć. Po prostu nie chciałam, by krew splamiła ręce mojego męża. Albo mojej siostry, prawdę mówiąc.

– Nie mówmy o tym więcej – rzuciłam. – Chodź na dół. Dowiemy się, co się tam dzieje.

Podeszłam do szafy. Na najwyższej półce stała para starych, płóciennych trampek. Wspięłam się na palce, by po nie sięgnąć, ale Peter wyciągnął rękę i podał mi je. Ominawszy krew na podłodze, wyłowiłam z szuflady w komodzie czyste skarpetki i skończyłam się ubierać. Peter nie odstępował mnie na krok, a potem sprowadził mnie po schodach, obejmując mnie w pól. Trząśił się nade mną, jakby ktoś znowu miał mnie porwać, ale pozwoliłam mu na to.

– Myślałem, że tu będzie bezpieczna – usłyszałam pełen frustracji głos Adama, gdy zeszliśmy do holu. – Byłem pewien, że po tym, jak Jilo przechadzała się swobodnie po waszym domu, wszystko zabezpieczyliście. – Z zaskoczeniem zarejestrowałam, że głosy dochodzą z biblioteki, a nie z kuchni, gdzie zazwyczaj naradzaliśmy się w chwilach kryzysu.

– Próbowaliśmy. – Teraz mówiła Iris. – Wiele razy, przez całe lata. Problem w tym, że wszystkie zaklęcia ochronne są słabsze niż te, które możemy rzucić przeciwko konkretnemu zagrożeniu. Silny czar i duża ilość mocy poradzą sobie z nimi. Te, które pomagają odeprzeć konkretny atak, są silniejsze, czasem nawet o wiele silniejsze, ale działają tylko na określone zagrożenie. Poza tym nawet najlepsze zaklęcia starzeją się i słabną, a magia cały czas ewoluje. To, co zrobiliśmy w zeszłym roku, dziś okazało się bezużyteczne.

– Ginny zawsze trzymała w ryzach chroniące nas zaklęcia – stwierdziła Ellen, wciąż nieco bełkotliwym głosem. – Nie tłumaczę się. – W jej słowach huczał ogień, najwyraźniej w odpowiedzi na niewypowiedziany zarzut Adama. – Ale nie mamy takich umiejętności jak ona.

– Nie wspomnieli jedynie o tym – wyszeptałam do Petera – że za zapewnienie nam bezpieczeństwa tak naprawdę odpowiedzialna jestem ja, tylko nie mam pojęcia, jak to zrobić. Ci, którzy mogli mnie nauczyć, inni kotwiczący, traktują mnie jak wyrzutka. Nie chcą mi powiedzieć, jak mam chronić moją rodzinę i siebie...

Peter położył mi palec na ustach.

– Do diabła z nimi wszystkimi. – Pocałował mnie. – Powiedz, gdzie będziesz się czuła najbezpieczniej.

Nie byłam pewna, czy istnieje miejsce, w którym mogę się czuć bezpieczna, ale wiedziałam, co chce usłyszeć, i poprosiłam:

– Zabierz mnie do Magh Meall. Chciałabym pogadać z twoimi rodzicami.

– Moja kochana. – Spojrzał na mnie z radością. W tawernie, gdzie kiedyś zaatakował mnie Ryder, wcale nie będzie mi o wiele lepiej niż w domu, w którym zaatakował mnie Teague, ale

Peter chciał czuć, że mi pomoże, jeśli zabierze mnie do własnej ostoji bezpieczeństwa. Kolejne kłamstewko, może małe, ale jednak kłamstewko, między nami. W dodatku Oliver i Adam zaczęli się na siebie drzeć. Słowa padały szybko i zagłuszały się nawzajem. Nie mogłam rozróżnić poszczególnych wyrazów, ale było oczywiste, że są wściekli.

– Wyjdźmy tylnymi drzwiami. – Peter pociągnął mnie delikatnie w stronę kuchni, a potem ruszył w kierunku wyjścia.

Gdy przekroczyłam próg kuchni, coś przykuło moją uwagę.

– Poczekaj. – Uwolniłam dłoń z jego uścisku.

– O co chodzi?

– Nie jestem pewna. – Podeszłam do stołu, gdzie wciąż leżała rozpostarta mapa. Stał na niej kubek. Ciemny pierścień z kawy znaczył papier kilka centymetrów od miejsca, w którym kubek był teraz. Jeden z iksów postawionych przez Adama na mapie znajdował się w samym środku brązowego okręgu. Przeszłam jeszcze ciepły kubek, by znaleźć drugą, jaśniejszą plamę wokół drugiego znaku X. Idealne koła. Krzyżujące się linie.

– Idź po Olivera.

– Jesteś pewna? Myślę, że powinnaś trochę od tego odpocząć.

Pokręciłam głową. Serce zaczęło mi dudnić. To wszystko było takie oczywiste.

– Nie. Proszę, zawołaj mojego wujka. – Peter się nie poruszył, więc spojrzałam na niego.

– Proszę. Szybko. Powiedz mu, że znalazłam Drzewo Życia.

W oryg. *barefoot and pregnant*, fraza przypisywana Arthurowi E. Hertzlerowi, który w początkach XX wieku głosił pogląd, że kobieta w wieku rozrodczym nie powinna podejmować pracy poza domem, a jej zadaniem jest wydać na świat jak najwięcej dzieci [przyp. tłum.]. ↵

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Iris wparowała do kuchni, a Oliver i Adam deptali jej po piętach.

– Wysłałam Sama do domu – rzuciła, zanim zdążyłam zapytać. Skinęłam głową, gdy Peter podsunął mi krzesło. – Nie wiem, jak to wszystko zniesie. Oczywiście, nie czuje w stosunku do nas takiej niechęci jak większość ludzi, ale gdy wszystko za bardzo się skomplikuje, stanie się zbyt dziwne... Cóż, w końcu to tylko mężczyzna. – Ciotka usiadła naprzeciwko mnie.

– Jeśli panią kocha, zniesie i to. – Peter uśmiechnął się do mojej ciotki. – Proszę spojrzeć na mnie. Nic nie jest wystarczająco dziwne, by mogło stanąć między mną i Mercy.

Iris odwzajemniła uśmiech.

– Tak, ale wy dwoje jesteście sobie przeznaczeni. Chyba nie mam takiego szczęścia w miłości.

Zacisnęłam dłoń na jej ręce, starając się przekazać jej tym uściskiem całą swoją miłość. Nie mogłam jej okłamywać ani zwodzić – Sam zastał mnie nad zwłokami mojego kuzyna i najwyraźniej był przytłoczony dziwnymi wydarzeniami w naszej rodzinie. Zachowywał się tak, jakby się bał dotyku Iris. Adam też był już kiedyś bliski opuszczenia Olivera i miał ku temu wystarczające powody. Dopóki się nie pojawił na moim weselu, byłam pewna, że ma już dość Taylorów i naszej magii, która kosztowała go życie syna i niemalże jego własne.

Zalała mnie nowa fala wdzięczności do Petera. Byłam szczęściarą, że go miałam, zwłaszcza po tej całej sprawie z Jacksonem (znowu zadrżałam na myśl, że pozwoliłam mu się dotykać). A potem znowu te sprzeczne komunikaty, które wysyłałam na temat Emmeta. Nagle zdałam sobie sprawę, że nie powiedziałam mu o powrocie Emmeta.

– Chciałabym jakoś podzielić swoje życie – westchnęła Iris, wyciągając rękę spomiędzy moich dłoni. – Umieścić Sama w bezpiecznej części, gdzie nie byłby na nic narażony. Szkoda, że żadna magia na to nie pozwala.

Adam chrząknął i położył jej rękę na ramieniu.

– Trzeba być silnym facetem, żeby kochać Taylora. Jeśli nie jest w stanie temu podołać, to znaczy, że na ciebie nie zasługuje.

– To prawda – potwierdził Peter.

– Skoro już sobie pogratulowaliście tej niezwykłej odwagi, to może Mercy powie nam, o co chodzi z tym Drzewem Życia. – Oliver starał się mówić obojętnym tonem, ale nie bardzo mu wyszło, bo nie zdołał ukryć, że słowa Adama chwyciły go za serce.

Wskazałam kręgi po kawie.

– Coś ci to przypomina?

– Hmm... może. – Wyciągnął z szuflady stary kompas, którego nie widziałam od czasów liceum, a następnie narysował dziewięć równych okręgów z iksami w środku. Usiadł i uważnie przyjrzał się znakom, a potem odłożył kompas. – Możesz mieć rację, Rudzielcu, ale nie widzę żadnego związku między rozłożeniem części ciała a sefirami.

– A czym? – Adam nachylił się i popatrzył na mapę znad mojego ramienia.

– Sefirami. – Dotknęłam każdego z dziewięciu okręgów i obejrzałam się na niego. – W kabale... – zaczęłam, ale po uniesionych brwiach od razu dostrzegłam, że i o tym nie ma pojęcia. – To taki rodzaj mistyczno-filozoficznej szkoły w judaizmie. Sefiry reprezentują dziesięć przymiotów nieskończonej istoty. Razem z łączącymi je liniami – mój palec podążał pomiędzy znakami – tworzą Drzewo Życia.

Oliver spojrział na Adama.

– To nie jest prawdziwe drzewo, a raczej taka mistyczna mapa do Twistera. Gdy znajdzie się głowa, pojawi się tu i dziesiąta sefira.

– *Sefira bez niczego, dziesiąta i nie dziewiąta* – zacytowała Iris, choć nie miałam pojęcia, z czego to. – *Dziesiąta i nie jedenasta*. „Sefer Jecira”, Księga Stworzenia. – Przysunęła się bliżej w stronę brata.

Uświadomiłam sobie, że to jest nasze Święto Dziękczynienia. Inne rodziny siedzą nad kandyzowanymi batatami i plackiem z dyni, ale nie my. My siedzimy wokół mapy morderstwa.

Adam wpatrywał się we mnie tępo.

– Przepraszam, nie mówię w języku wiedźm.

– Bóg jest wieczny. Bóg jest niepodzielny – wtrąciła Ellen, odgarniając włosy z zaczerwienionych, ale już trzeźwych oczu. – Bóg jest idealny. – Patrzyła na Adama. – Gdzie jest Bóg, tam nie ma już potrzeby ani nawet miejsca na zmiany lub wzrost. Dla Boga, nieważne, czy chcesz go nazwać on, ona czy ono, tworzyć oznacza zejść z drogi. Bóg stworzył dziesięć białych plam, dziesięć miejsc, w których jest, a w których jednocześnie go nie było. Razem te miejsca tworzą wielką pustkę, gdzie powstają wszystkie rzeczywistości.

– Więc chcecie mi powiedzieć, że Księga Rodzaju tak naprawdę była sequelem?

– Tak – odparł Oliver z błyskiem w oku. – To właśnie chcemy powiedzieć.

Cieszyłam się, widząc, że ich złość znika. Nie chciałam, żeby ze sobą walczyli, zwłaszcza przy mnie.

Adam obszedł stół, by spojrzeć na mapę z innej perspektywy.

– W jaki sposób cała ta filozofia miałaby się odnosić do naszego problemu?

Iris odpowiedziała za mnie:

– Pracujemy nad hipotezą, że kobieta została zabita i rozczłonkowana w celu rzucenia zaklęcia. To mogłoby zasilić zaklęcie magii sympatycznej.

– Podejrzewamy, że zaklęcie to może być skierowane przeciwko Mercy. Prawdopodobnie ma za zadanie odsłonić granicę poprzez osłabienie kotwiczącej – dokończył Oliver.

– A więc już po wszystkim? To ten cholerny Teague za tym stał?

– Nie. – Pokręciłam głową. – Zniszczony grób Jilo, zaklęcie wojownika, nie sądzę, żeby to miało coś wspólnego z naszym kuzynem. Przynajmniej nie bezpośrednio. Jego celem była ochrona granicy. Świadomie nie brałby udziału w ataku na nią. Te całe sefiry mogą mieć z tym związek, ale mogą też tylko wywoływać zamieszanie.

– Zabójstwo i rozczłonkowanie kobiety miałyby być tylko sztuczką?

– Nie wiem, ale chcę pójść do miejsc, gdzie znaleziono poszczególne części ciała. Teraz jestem już pewna, że ich rozmieszczenie to nie przypadek. Chcę na nie spojrzeć przez pryzmat sefir. Jeśli się domyślimy, jakie zaklęcie chcą rzucić, dowiemy się też, kto za tym stoi.

– A jak myślisz, kto to? – zapytał Adam. Dobre i sensowne pytanie, którego nikt inny nie śmiał zadać.

– Zależy, w kogo wycelowane jest zaklęcie. Wiemy, że Emily gdzieś tam jest, ale coś mi mówi, że nie używała ciała jako laleczki voodoo, i wątpię, by polegała na mocy pozostałej w kościach Jilo. Jeśli zaklęcie ma skrzywdzić mnie, a nie granicę, to może to być ktokolwiek z niezadowolonych wiedźm, kto nie chce ściągać na siebie niepotrzebnej uwagi, czerpiąc moc z granicy.

– To mi nie wygląda na robotę wiedźmy. – Iris nachyliła się w moim kierunku. – Czuję, że nie chcesz myśleć w ten sposób, ale Jessamine jest pełna wściekłości. Jest wnuczką taty, tak jak ty. Kto wie, ile ma w sobie mocy? Wiesz, że ja też kochałam Jilo, ale ty i Oliver

wystawiliście ją na działanie Drzewa Życia. Nie wiemy, czym podzieliła się z Jessamine. Ta dziewczyna sama mogła próbować mieszać przy grobie Jilo.

– Nie...

Podniosła dłoń, nakazując mi milczenie.

– Nie mówię, że Jilo celowo zrobiła cokolwiek, by ciebie lub kogokolwiek z nas narazić na niebezpieczeństwo, ale kto wie, co Jessamine wyłapała z rzuconych nieświadomie tu i tam zdań.

Przygryzając wargę, zastanawiałam się, czy powinnam powiedzieć jej prawdę. Nie chciałam ranić ciotki, ale dla własnego spokoju nie mogłam też pozwolić, żeby nosiła w sobie fałszywy obraz całej sprawy.

– Przykro mi, ale myślę, że chcesz, aby Jessamine okazała się winna.

Iris wciągnęła powietrze i zeszywniała, jakbym co najmniej ją uderzyła.

– Nigdy nie obarczyłabym winą niewinnego człowieka, ale...

– Ale – wtrącił Oliver, kładąc jej dłonie na ramionach – jakaś część ciebie chce się jej pozbyć, bo odebrała ci pewność siebie. Chcesz się zemścić za ojca, za tę świadomość, że matka od dwudziestu lat tkwi w Gehennie. Jessamine, winna czy nie, przewróciła twój świat do góry nogami. Chcesz ją za to ukarać.

– Jak możesz tak mówić, Oli? – Iris potrząsnęła głową.

– Bo czuję dokładnie to samo.

– Tak jak ja – dodała słabo Ellen. Uniosła palce do skroni. Wyglądało na to, że kac zaczyna dawać o sobie znać. Dzięki leczniczym mocom ból nie będzie męczył jej długo, ale wyraźnie widziałam, że huczy jej w głowie.

Do kuchni weszła Maisie. Spojrzenia wszystkich natychmiast skierowały się na nią. Nie patrząc na nikogo, podeszła do stołu i usiadła. Przypominała mi zdjęcie, które kiedyś widziałam, przedstawiające rannego żołnierza wracającego z Wietnamu do niewdzięcznej ojczyzny. Chciała mnie bronić, a ja potraktowałam ją jak morderczynię. Może granica ochroniła ją, przygotowała i odesłała, by ona chroniła mnie? Nikt inny, nawet ja, nie zachowałby się tak zdecydowanie.

– Nie twierdzę, że Jessamine jest niewinna. – Znowu się skupiałam. – Uważam tylko, że nie powinniśmy się uprzedzać.

Oliver puścił Iris i spojrzał na mnie.

– Zgadzam się, ale pod warunkiem, że i ty pozostawisz kwestię sefir otwartą. – Oparł się dłońmi o stół, a mnie się przypomniało, ileż to razy zostałam wezwana na dywanik u dyrektora, by się dowiedzieć, że taka bystra dziewczyna jak ja mogłaby dużo osiągnąć, gdyby tylko się skupiła. – Tak, jest dziesięć sefir, ale jeśli chodzi o magiczne powiązania... – urwał i zaczął wyjaśniać Adamowi: – Podobne z podobnym się przyciągają, *jak w piekle, tak i na ziemi* i takie tam, więc nie widzę żadnych połączeń między sefirami i miejscami rozłożenia szczątków. Nie leżą w miejscach, które tworzyłyby klasyczne odwzorowanie drzewa. A tutaj – postukał palcem w miniaturkę ratusza – została znaleziona stopa. Tylko stopa. Tu – wskazał Hutchinson Island – dłoń. – Zerknął na Adama, szukając u niego potwierdzenia. Ten skinął głową. – To nie odpowiada zwyczajowemu połączeniu części ciała z sefirami. Nigdy nie oddziela się tam dłoń od ręki ani stopy od nogi. – Przeczesał palcami coraz dłuższe blond loki. – Przykro mi, ale gdy spojrzeć na to z tej strony, nie mam zielonego pojęcia, jakie może być magiczne powiązanie z sefirami. – Jeszcze raz przyjrzał się wszystkim okręgom. – Ja go nie widzę.

– Sądzę... – odezwała się Maisie chrapliwym głosem. Podniosła na mnie wzrok, a ja zachęciłam ją kiwnięciem głowy. Oblizała wargi. – Sądzę, że to dlatego, że próbujesz myśleć tylko o aspektach pozytywnych. Ktokolwiek chce rzucić to zaklęcie, korzysta z czarnej magii. Wybrał Ścieżkę Lewej Ręki. Musicie szukać powiązań negatywnych.

– I tak właśnie zrobimy – stwierdziłam. Chwyciłam jej dłoń. – Zamknij oczy – rzuciłam i razem wyslizgnęliśmy się z pokoju.

CZTERNASTY

Nie miałam żadnego powodu, żeby zaczynać akurat od ratusza, po prostu przyszedł mi na myśl jako pierwszy, bo Oliver wspomniał o nim, chcąc obalić moją teorię. Gdy otworzyłam oczy, stałyśmy ramię w ramię na rogu Bull i West Bay, przed cukierkowym, neoklasycystycznym, trzypiętrowym budynkiem. Słońce odbijało się od złoczonej kopuły, ale to złote płatki aksamitek w doniczkach na drugim piętrze przyciągnęły mój wzrok. Przeniosłam spojrzenie z dwóch jońskich kolumn w środkowej części fasady na nas, dwie siostry stojące pod kopułą.

– Sztuka i przemysł – szepnęła Maisie, pokazując, jak wiele wciąż nas łączy, nawet po tym wszystkim.

Uśmiechnęłam się wbrew sobie.

– Fannie i Rita Mae. – Dwie statuy zdobiące ratusz nazwałam po swojemu, gdy miałam dwanaście lat, tydzień po tym, jak zaczęłam prowadzić Wycieczki Kłamców, i dzień po tym, jak się dowiedziałam, kim są lesbijki. – No co, wujek Oliver uważał, że to zabawne. – Maisie uśmiechnęła się do mnie, a ja uścisnęłam jej dłoń. Znowu popatrzyłam na budynek. – I co myślisz, widzisz coś?

– Myślę, że Oliver z chęcią zignorowałby najbardziej oczywiste powiązania. – Wskazała złotą kopułę. – Dla mnie to wygląda jak korona.

– Keter, tak? Korona?

– Tak, gdy bierzesz pod uwagę aspekt pozytywny, ale podejrzewam, że powinniśmy pomyśleć raczej o Fannie i Ricie Mae. Spójrz na nie. Są takie same, ale jednak inne.

– Jak my, hę?

Opuściła rękę, a ja odwróciłam się, by spojrzeć jej w twarz.

– Może. Wiem, obawiasz się, że ciało zostanie użyte jako magiczny odpowiednik ciebie samej, ale ja myślę raczej o tym, jak rozkazy demonów mogą się wiązać z sefirami. – Mrugnęła i odchyliła głowę. – Widzisz, gdy ty spacerowałaś po mieście, niszcząc reputację Savannah, mnie Ginny uczyła o rządach demonów. – Puściła moją dłoń i zwiesiła rękę. – Może jednak oszalałam po tym wszystkim.

– Nie. – Znow wzięłam ją za rękę. Wydawało się niezwykle, że ta sama delikatna dłoń zamordowała Teague'a, ale nie mogłam w nią wątpić. – Nie sądzę, żebyś była szalona. Powiedz. Powiedz, co widzisz.

Znow wbiła wzrok w posągi.

– Jak mówiłam, są takie same, choć różne. W aspekcie pozytywnym Keter reprezentuje koronę. W negatywnym dwoistość.

– W jaki sposób dwoistość jest negatywna?

– Chodzi o to, co jest dwoiste, choć powinno być niepodzielne. Dwie natury Boga. Bóg... – Zdawała się rozmyślać nad czymś, co absolutnie nie było związane ze świętością. – Przy katedrze też coś znaleźli, prawda?

– Tak, rękę.

Stała nieruchomo, a ja niemalże słyszałam obracające się w jej mózgu trybiki. Skinęła głową.

– Co jest wyjątkowego w kościele świętego Jana?

Zastanowiłam się.

– Cóż, jest duży. I piękny. – Nasza matka weszła kiedyś w ciało jednej z turystek przed

kościółem, ale raczej nie tego szukała Maisie. – Na początku Savannah nie było zbyt przyjazne wobec katolików. – Miasto zostało założone jako bufor między brytyjskim portem Charleston i hiszpańskim terytorium Florydy. Oglethorpe obawiał się, że papiści prędzej wesprą katolicką Hiszpanię niż protestancką Anglię.

– Ciepłej, ciepłej. Skwery.

Błyskawicznie się zorientowałam, dokąd zmierza. Oglethorpe zaprojektował skwery Savannah i otoczył je działkami, z których jedne były przeznaczone pod budowę budynków użyteczności publicznej, takich jak kościoły, a inne pod domy prywatne. Wiązało się to ze ściąganiem określonych podatków.

– Katedra stoi nie tam, gdzie powinna.

– Podejrzewam, że dla naszego czarnoksiężnika może reprezentować Chaigidel.

– Chaigidel?

– Gałąź boskiej mocy reprezentowaną przez kościół, który w zamyśle Boga wcale nie miał powstać.

Dla mnie to było trochę naciągane. Już zaczęłam tracić wiarę w sens naszej teorii, gdy Maisie odwróciła się na wschód.

– Czy drugą rękę porzucono gdzieś tam?

– Tak. – Wskazałam na Bay. – Gdzieś w okolicy Moon River. A tors przy Old Reksie.

– Tors? Nie dłoń?

– Tak powiedział Adam i jakichś trzydziestu rozhisteryzowanych turystów. A czemu?

– Lew na fontannie Cotton Exchange – rzuciła, ale nic nie przyszło mi do głowy. – Rex? King Cotton?

– Okej. – Udałam, że łapię.

– Ósma sefira. W pozytywnym aspekcie oznacza Chwałę. W demonicznym reprezentuje wielkiego króla Adramelecha.

– I co z tego?

– Jest też nazywany lewą ręką Boga. Spodziewałabym się znaleźć dłoń, ale to może jedynie oznaczać, że powiązanie miejsca i lewej strony jest drugorzędne.

– Albo że mój pomysł to bujda i szukamy wiatru w polu.

– To nie ma znaczenia. Jest prawie jak kiedyś, gdy jeszcze mnie kochałaś.

Zaczęłam protestować.

– Gdy naprawdę mnie kochałaś. Gdy jeszcze nie dałam ci powodu, by było inaczej.

– Kocham cię. Nigdy nie przestałam. Gdyby tak było, nie ryzykowałabym wszystkiego, żebyś mogła wrócić. Po prostu boję się, że siostra, którą kochałam całe życie, tak naprawdę nigdy nie istniała – powiedziałam i natychmiast pożałowałam swojej szczerości. Niemniej jednak prawda została powiedziana i nie było sensu się wycofywać. – Po prostu chciałabym wiedzieć, kim naprawdę jesteś.

– W takim razie witam w klubie. – Zmusiła się do uśmiechu. – Co wiemy o miejscu, gdzie znaleźli ramię?

Objęłam ją i podprowadziłam do wylotu Bull Street, a potem prosto na Bay Lane.

– Moon River jest nawiedzony, tyle wiem.

– No dobra, ale rękę znaleźli nie w barze, tylko obok. Co wiemy o okolicy Moon River? – zapytała, zakreślając koło, które objęło fragment ulicy i chodnika. – Podziemia i korytarze pod ulicą. – Patrzyła na mnie. – Nie słyszysz tego? Dźwięk skrajnej nędzy.

– Przed wojną secesyjną przetrzymywano tam niewolników.

Przyklękła na chodniku i przyłożyła rękę do betonu.

– Tak. Nehemot. Jęki. – Wstała i spojrzała na wschód. – Znaleźli coś na Columbia Square.

Przed Kehoe Mansion?

– Tak.

Twarz jej się rozjaśniła.

– Król żelaza. Tubal-Kain. Lord broni siecznej. – Chwyła mnie za ramię. – Old Candler.

To był kiedyś szpital psychiatryczny, prawda?

– Tak. Tak mi się wydaje. – Wiedziała o tym, ale nie chciałam wdawać się z Maisie w rozmowę o zdrowiu psychicznym.

– Bóg jeden wie, ile ludzi tam zginęło.

Josef i Ryder zabili, by uwolnić demona uwięzionego w szpitalu przez naszego dziadka. Ryder bez wahania poświęcił Birdy, swoją dziewczynę, i ich nienarodzone dziecko, by wchłonąć demona i jego moc. Pomyślałam o rozszarpanym ciele Birdy. Wzdrygnęłam się.

– Belfegor – rzuciła. – Pan śmierci, który panuje nad smutnymi i płaczącymi. – Nie mogłabym sobie wyobrazić radośniejszego tonu. – Miałaś na mapie znak koło kościoła Chrystusa Króla.

Przytaknęłam.

– Idziemy tam.

W mgnieniu oka znalazłyśmy się na miejscu.

Maisie obejrzała budynek kościoła episkopalnego, jakby widziała go po raz pierwszy w życiu. Obróciła się o sto osiemdziesiąt stopni i stanęła przodem do Johnson Square, po czym spojrzała na mnie.

– Nie do końca. To nie było tu. – Zrobiła kilka kroków w stronę rogu, po czym skręciła w Congress i ruszyła na wschód. Usiłowałam ją dogonić, drepcząc najszybciej, jak mogłam. Nagle zatrzymała się i wskazała parking. – To było tam, prawda? – Wybuchnęła śmiechem. – Przepraszam, wiem, że nie ma w tym nic śmiesznego, ale to mnie przekonuje, że miałaś rację. Nie mam wątpliwości, że zakłęcie ma związek z sefirami, i ktokolwiek za tym stoi, ma poczucie humoru. Demon Astaroth. Jego tytuł brzmi Jeden z Trzody. – Czekałam w milczeniu na dalsze wyjaśnienia, ale patrzyła na mnie, jakby nie było już dla mnie nadziei. W końcu westchnęła zrezygnowana. – Opowiadałaś mi tysiące razy, co tu kiedyś stało.

Tak się wstydziłam własnej głupoty, że aż się zaczerwieniłam.

– Bo Peep's Pool Hall... – ledwo zdążyłam to powiedzieć, usłyszałam klakson.

Zauważyłam trójzab na nowym quattroporte Olivera, które zaraz zatrzymało się obok nas. Szyba zjechała w dół.

– Wracajcie do domu, obie. Ciotki się martwią, a ja muszę jechać na lotnisko.

– Na lotnisko?

– Tak. Odebrać Rivkah i Emmeta. Wracajcie do domu, ale już – nakazał i odjechał, zanim okno zdołało zamknąć się do końca.

PIĘTNASTY

Wciąż uważałam, że tylko Emmet może uwolnić moją babkę, ale trochę żałowałam, że poradziłam Iris skontaktować się z Rivkah. Nie chciałam widzieć Emmeta, nie chciałam być blisko niego. Nie chciałam czuć, jak puls przyspiesza mi za każdym razem, gdy spojrzę w jego kierunku, ale nie mieliśmy innego wyjścia. Nie znosiłam motyli, które poderwały się do lotu w moim brzuchu, gdy usłyszałam głos Emmeta w holu. Nie przywitałam ich w drzwiach, nie chcąc ryzykować, że dostrzeże moją radość na swój widok. Zostałam przy stole, niańcząc kubek letniego już rumianku.

Byłam wdzięczna Oliverowi, który skłonił Petera, by spędził ten wieczór z rodzicami. Nie dalibyśmy rady z Peterem i Emmetem w jednym pomieszczeniu. Uprzedziłam Claire o podejrzeniach Petera, ale wymogłam na mężu obietnicę, że nie będzie zaczynał tematu beze mnie. Miałam nadzieję, że tę sprawę na chwilę mamy z głowy.

Wahadłowe drzwi otworzyły się gwałtownie.

– Kochanie, jak dobrze widzieć cię znów w dobrej formie. – Rivkah mocno objęła Maisie, która zerknęła na mnie znad jej ramienia i wytrzeszczyła oczy, krzywiąc się zabawnie. Przyzwyczaiałam się już do entuzjastycznych powitań Rivkah i zebrałam się w sobie, czekając na swoją kolej. Rozgrzałam uśmiech, a Rivkah w końcu puściła moją siostrę i odwróciła się do mnie. – Co to za nonsens, dla którego chcesz zabić mojego chłopca?

– Rivkah – wtrącił Emmet – obiecałaś, że tego nie zrobisz. – Zaczerwienił się jak zawstydzony przez matkę nastolatek. Cóż, może nie było to takie dalekie od prawdy – tych dwoje łączyło coś na kształt pokrewieństwa.

Emmet wyglądał dobrze. Nadal miał w sobie coś z wymuskanego wizerunku, z jakim się „urodził”, ale było w nim też coś z tego dzikiego mężczyzny, którym stał się przed wyjazdem z Savannah. Zanim go stąd wyrzuciłam. Wróciło do mnie wspomnienie z Tillandsii, tego, jak się czułam w jego objęciach, zanim wszystko zmieniło się w koszmar.

– Że czego nie zrobię? Próbuję się dowiedzieć, dlaczego ta dziewczyna myśli, że ma prawo oczekiwać od nas, że rzucimy wszystko na każde jej skinienie. Wystarczająco nietaktowne byłoby już samo żądanie, żebyś przyjechał, ale ona chce cię zabić.

– Nie na zawsze – zaproponowałam, zdając sobie sprawę, jak bardzo nieudolna była ta próba uspokojenia jej.

– Nie na zawsze, nie na zawsze. – Trzasnęła dłonią w stół, aż podskoczyłam.

– Rivkah, wystarczy. – Emmet chwycił ją za rękę.

– Nie. – Spojrzała na niego. – Ona zbyt wiele od ciebie wymaga.

– Tak – przerwała jej Iris. – To zbyt wiele, ale chce tego nie tylko Mercy. To prośba od całej naszej rodziny. – Stała za mną i położyła mi dłonie na ramionach.

– Ale Emmet nawet by o tym nie pomyślał, gdyby to nie Mercy go poprosiła.

– Ale poprosiła. – Głos Emmeta był taki uspokajający. – A ja się zgodziłem.

– Widzę, że to po prostu romantyczny gest, mój kochany. – Rivkah obróciła się w moim kierunku i machnęła ręką. – Spójrz na nią. Proszę, spójrz. Ma na palcu obrączkę od innego mężczyzny i nosi jego dziecko. Nie jest twoja. I nigdy nie będzie.

Emmet wbił wzrok w podłogę.

– Wiem o tym. Ale ja zawsze będę jej.

Tymi słowami złamał mi serce. Wiedziałam oczywiście, że nadużywam jego uczuć wobec siebie, by uzyskać pomoc. Użyję go, umrze dla mnie, a potem, po wszystkim, znów go odeślę.

Muszę. Nie mogłabym mu się oddać tak, jak by tego chciał. Nie mogłam znieść myśli, że go w to wciągnęłam.

Rivkah ujęła jego podbródek i zaczęła mówić, ale zaraz urwała. Uniosła ramiona i westchnęła.

Krew tętniła mi w głowie, a pokój pociemniał. Poczułam, jakby zrobiło się w nim ciasno i gorąco.

– Nie – powiedziałam bezwiednie, zanim zdążyłam się zastanowić dlaczego. – Nie rób tego. Nie chcemy tego. Ja tego nie chcę. Przepraszam. – Obejrzałam się na Iris. – Nie mamy prawa prosić o to Emmeta. Przykro mi z powodu babci. Naprawdę.

Napięta twarz Rivkah złagodniała. Przestała zaciskać usta, a jej spojrzenie stało się cieplejsze.

– To jest Mercy, którą znam i kocham.

– Ale to nie ty decydujesz, tylko ja. – Emmet ukląkł przede mną. Nie musiał nic mówić, wystarczył wzrok oczu o obsydianowych tęczęwkach, niemalże zlewających się ze źrenicą, żebym wszystko zrozumiała. Zamknęłam oczy, jakbym nie mogła przyjąć tego do wiadomości. Kochałam mojego męża. To nie ulegało wątpliwości. Ale przez krótką chwilę zapragnęłam się podzielić, by móc oddać część swojego serca temu golemowi przemienionemu w człowieka, spełnić jego pragnienia. Odeгнаłam tę myśl i otworzyłam oczy.

Patrzył na Iris.

– Zaczynamy?

– Poproszę Ellen i Olivera. – Ciotka ruszyła do wyjścia, ale zatrzymała się jeszcze na chwilę. – Dziękuję ci – zwróciła się do Emmeta.

– Ostrzegam cię, Iris. – Rivkah wycelowała palec w stronę jej twarzy. – Zawsze kochałam i wspierałam twoją rodzinę, ale jeśli cokolwiek stanie się Emmetowi...

– Doceniam to i odwzajemniam całym sercem. Nic złego się nie stanie.

– Ale jeśli...

– Oddam swoje życie, żeby mógł do ciebie wrócić.

Kobiety przez chwilę mierzyły się wzrokiem, aż pakt został zawarty. Potem Iris się odwróciła i wymaszerowała z pokoju. Chciałabym, że tak to działało, żeby można było zamienić jedno życie za inne.

– Pójdę wziąć kąpiel – mruknęła Maisie. – Wybaczcie. – Opuściła kuchnię w ślad za Iris, ostrożnie, cicho, jakby bała się zburzyć kruchą równowagę, którą zbudowaliśmy.

– Proszę, chłopcze. Nie rób tego. – Rivkah spojrzała na mnie, w myślach nakazując mi, bym ją poparła.

– Przepraszam, że cię prosiłam. To był błąd. Nie chcę, żebyś to robił.

Emmet wstał, a ja musiałam cofnąć głowę, chcąc objąć go spojrzeniem.

– Okłamujesz się – stwierdził, krzyżując ramiona na piersi i wpatrując się we mnie z tym irytującym dumnym uśmiechem. – Chcesz, żebym pomógł twojej babci, ale nie jesteś gotowa wziąć odpowiedzialności za ewentualne ryzyko. – Przyłożył ciepłą dłoń do mojego policzka. – Ale ci przebaczam. To mój wybór. – Zerknął na Rivkah. – Zrobiłbym to samo, nawet gdyby Mercy nie istniała.

– No i kto tu się okłamuje? – huknęła Rivkah. – Widzę, że jesteś zdeterminowany.

– Im szybciej zaczniemy, tym szybciej skończymy – zaśmiał się i wyciągnął rękę, by pomóc mi wstać.

– Nie. – Nie chciałam ani jego pomocy, ani poświęcenia.

– Tak – odparł. – Musisz tam być. Będziesz moim światłem. – Ujął moją dłoń. Nie mogłam się zmusić, żeby popatrzeć mu w oczy. – Mercy. – Jego głos zabrzmiał tak chrapliwie, że aż musiałam na niego spojrzeć. Uśmiechał się, pomimo tej szorstkości w głosie. – Nie martw się. Nic nie powstrzyma mnie od powrotu. Dopóki będziesz na mnie czekać. – Poczucie winy, miłość, irytacja, wdzięczność, zmieszanie. W Niemczech, ojczyźnie mojego dziadka, prawdopodobnie znalazłoby się jedno słowo opisujące wszystkie uczucia, które zalały mnie w tej chwili. Mój język takiego nie zna. – Chodźmy. – Ciepły uśmiech zmienił się w drwiący uśmieszek. – Wiele rąk czyni pracę lżejszą.

– Idźcie – odparłam. – Zaraz do was dołączę.

Zostawili mnie samą w kuchni. Rivkah wyszła, gdacząc jak kura nad świeżo wyklutym pisklakiem. Odchyliłam się na krzesło i rozprostowałam kręgosłup. Pogłaskałam rosnący brzuch. Niemalże spodziewałam się otrzymać jakąś odpowiedź od Colina, ale poczułam, że śpi. Pociągnęłam łyk rumianku, opróżniając kubek. Umyłam go i odstawiłam na suszarkę. Przez chwilę wpatrywałam się w wyszczerbioną porcelanę zlewu, dumając nad rozchlapaną wodą.

– Są gotowi. – Głos Maisie zaskoczył mnie. – Wybacz.

– Nic się nie stało. Jestem trochę zdenerwowana. Wiesz, nie co dzień się kogoś morduje.

– Tak, staram się ograniczać do jednej, no, dwóch osób na tydzień. – Spojrzałyśmy na siebie i chociaż to szalone, wiem, wybuchnęłyśmy śmiechem. – Chodźmy, czekają na ciebie.

– Ty nie idziesz?

– Nie. Rivkah jest przeszczęśliwa, że mnie widzi, ale wolałaby, żebym nie pomagała zabijać jej syna. – Wyczuła, że szukam jakichś słów pocieszenia, i machnęła ręką. – Nie, serio, próbuję się ograniczać do dwóch zabójstw tygodniowo, a drugie może być mi jeszcze potrzebne.

– Jesteś straszna.

– A ty jesteś jak zaraza. Idź już i zostaw mnie samą.

Ucisnęłam jej dłoń, po czym ruszyłam na górę. Usłyszałam głosy Emmeta, ciotki i Olivera dochodzące zza drzwi rzadko używanej łazienki na końcu korytarza. Stałam w progu, wbijając wzrok w podłogę wyłożoną kafkami w szachownicę, na których spoczywały nóżki głębokiej wanny. Normalnie łazienka byłaby o wiele za mała dla sześciu osób, ale teraz została powiększona.

Zastanawiałam się właśnie, które z nas jest takie utalentowane, żeby pożyczyć sobie trochę przestrzeni z innego wymiaru, gdy Emmet rozłożył ręce, demonstrując powiększone rozmiary łazienki.

– Nieźle, co? – Aż promieniał dumą.

– No nieźle, nieźle. – Weszłam do środka.

– Trzy minuty. – Głos Rivkah zmusił mnie, by spojrzeć w górę.

Emmet zaczął się rozbierać, starannie odkładając ubrania na nieistniejący grzejnik. Byłam chyba jedyną osobą, którą speszyła jego nagość. Zauważył moją konsternację i uśmiechnął się z satysfakcją.

– Trzy minuty – potwierdziła Ellen. – Potem sprowadzę go z powrotem. – Z radością zauważyłam, że pozbyła się już kaca.

– Ani sekundy dłużej.

– Masz moje słowo, Rivkah. – Ellen wręczyła jej stoper. – Od chwili, gdy jego serce przestanie bić, do momentu, gdy po raz pierwszy uderzy na nowo.

Emmet pochwylił moje spojrzenie i opuścił swoje wielkie dłonie, zakrywając genitalia. Modliłam się, żeby moje spojrzenie nie podążyło za nimi, ale oczy robiły, co chciały, śledząc zaczynającą się między sztywniejącymi sutkami linię włosów, która biegła w dół, przez środek brzucha, aż do napiętego podbrzusza.

– Wstydu nie masz – rzuciła Iris, widząc, że Emmet próbuje ze mną flirtować.

– Owszem, mam. Czy nie na tym polega to ćwiczenie?

Może to i wisielczy humor, ale już drugi raz w ciągu kilku minut śmiałam się w zupełnie nieodpowiednim momencie. Spojrzałam na Emmeta i zobaczyłam mroczny błysk w jego oczach. Odwróciłam wzrok.

– Chyba powinniśmy zaczynać – zarządziła Iris. – Proszę, możesz wchodzić. – Odwrócił się, rzucił mi przez ramię ostatnie dwuznaczne spojrzenie i gdy postawił nogę w wodzie, natychmiast się skrzywił. – Przykro mi, że jest taka lodowata. Będzie jeszcze zimniejsza.

Emmet chwycił się brzegów wanny obiema rękami i wsunął do wody drugą stopę, po czym zaraz ją wyjął.

– Mercy, kim jest ta bojaźliwa dziewczynka, która właśnie gramoli się do wanny? – spytała ciotka.

Twarz Emmeta zalał rumieniec wstydu i złości, ale zaraz zmrużył oczy.

– Prawie zadziałało – mruknął, ale najwyraźniej był bardzo zdeterminowany, żeby pokazać, jaki jest twardy, bo jednak wszedł do wody. Chociaż zachował kamienną twarz, niemal dyszał z zimna. W końcu usiadł z kolanami podciągniętymi pod brodę. – Nie jest źle.

– Dobrze, w takim razie możemy dołożyć resztę lodu.

Iris otworzyła starą lodówką turystyczną, której nie widziałam ze sto lat. Oliver wyciągnął torbę z lodem i ją rozdarł. Kostki posypały się najpierw pojedynczo, a potem z jednym wielkim chlapnięciem wpadły wszystkie naraz.

Ellen i Iris spojrzały na siebie.

– Wciąż jest zbyt płytko – stwierdziła Iris. – Musi wyprostować nogi, żebyśmy mogły zanurzyć go całego.

– Dlaczego ta woda musi być taka zimna? – zapytałam i dreszcz przebiegł mi po kręgosłupie.

– To zabezpieczenie. – Oliver sięgnął po kolejną torbę. – Obniżanie temperatury może pomóc zapobiec... – przerwał i rzucił pełne winy spojrzenie Rivkah. – Chodzi mniej więcej o to, że w ten sposób można ograniczyć niebezpieczeństwo uszkodzenia mózgu z powodu niedotlenienia. – Wrzucił torbę z powrotem do lodówki, nie patrząc na nas.

Iris zdjęła z szyi złoty wisiołek i podała go Emmetowi.

– Proszę. Należał do mamy, wciąż ma w sobie jej moc. Skup się na energii, ona pomoże ci zlokalizować jej ducha w ciemności.

Upuściła naszyjnik na siną dłoń Emmeta, a on zacisnął na nim palce. Iris skinęła na Olivera, który obszedł wannę i stanął z tyłu. Każde z nich położyło dłoń na jednym ramieniu Emmeta. Ellen ujęła jego lewy nadgarstek.

– Zanim zaczniemy – odezwał się Emmet. Zęby tak mu szczękały, że z trudem mógł mówić. – Słyszałem, że duchy często noszą to, co miały na sobie przed śmiercią. Jeśli to prawda... Gdybym nie wrócił...

– Tak?

– Pamiętajcie, proszę, że ta woda naprawdę jest lodowata. – Parsknął śmiechem i wyrzucając obie nogi na boki zanurzył się pod wodę, że aż chlusnęła na podłogę. Oliver

i Iris trzymali go na wypadek, gdyby zaczął się szarpać, próbując wypłynąć na powierzchnię. Nie było potrzeby. Nie szarpał się. Oddał się w dobrowolnej ofierze.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Podeszłam do wanny, ostrożnie stąpając po śliskich, mokrych kafelkach, akurat by zobaczyć, jak na powierzchnię wypływają bąbelki powietrza, które Emmet wypuścił z płuc wraz z ostatnim oddechem. Ciało zadrżało raz i drugi, po czym zwiotczało.

– Odszedł. Zaczynj odliczać – poleciła Ellen, ale już od kilku sekund słyszałam tykanie stopera. Rivkah nie zamierzała przedłużyć czasu ani o jedną milisekundę w stosunku do tego, co ustaliliśmy. Pływające kostki lodu gromadziły się nad twarzą Emmeta, zniekształcając jego rysy. Bardziej wyczuwałam, niż widziałam, że miał otwarte oczy; patrzyły na nas już z drugiej strony, z pustki, w którą wszedł. Nachyliłam się, odgarnełam lód i strząsnęłam z palców zimne kropelki.

Iris i Oliver pociągnęli śliskie ciało w górę. Zastanawiałam się, dlaczego chcą to zrobić bez pomocy magii. Kiwnęłam palcem i głowa Emmeta wystrzeliła spod wody. Zaraz za nią wynurzył się tors, zimny, sinofioletowy, a nogi z powrotem opadły do wanny. Ciało, Emmet, wyglądał teraz, jakby siedział.

– Macie nieco ponad dwie minuty i musi wracać. – Rivkah zaciskała palce na stoperze tak mocno, że pobielały jej knykcie.

Ellen skinęła głową.

Wszyscy obróciliśmy się jak jeden mąż, gdy rozległo się stukanie w drzwi. W progu stał Sam, opierając się o framugę. Skrzyżował ręce na piersi.

– Sam, kochanie. – Iris ściągnęła podwinięte rękawy bluzki i ruszyła w jego stronę. – Cudownie, że przyszedłeś, ale to nie jest dobry moment. Poczekaj na mnie na dole, dobrze? – Wyciągnęła do niego rękę, ale cofnęła się o krok.

– Wtedy nie byłoby zabawy. – To było ciało Sama, głos Sam, ale to nie był on. Chyba jednak tylko ja zauważyłam mroczną aurę, która go otaczała.

– Odejdź od niego – powiedziałam, ale było już za późno. Złapał Iris i brutalnie wykręcił jej rękę, z taką siłą, że wyrwał ją ze stawu.

Wrzasnęła z bólu, przerażona.

– Sam, co robisz, do diabła?! – krzyknęła Ellen.

– Dziewięćdziesiąt sekund – zaznaczyła Rivkah.

Oliver skoczył obok mnie i rzucił się na mężczyznę.

– To nie Sam!

Chwyciłam Olivera za T-shirt, próbując go zatrzymać. Wyrwał mi się i natarł na Sama, ale ten pchnął Iris na ziemię i odparł atak. Odrzucił Olivera, który aż uderzył głową w brzeg wanny. Z rany natychmiast popłynęła szkarłatna strużka.

– Od lat marzyłem, żeby to zrobić – odezwał się Sam.

Iris zdołała usiąść i wyciągnęła rękę w stronę mężczyzny. Kula błękitnego światła, która utworzyła się na końcach palców mojej ciotki, wystrzeliła i pokryła ciało Sama. Przez chwilę jakby zastygł bez ruchu, ale liliowa powłoka zaraz zniknęła.

– Jak dobrze znowu być w domu – roześmiał się piskliwym, dziecięcym chichotem. Kopnął Iris w brzuch, aż się zwinęła.

– Wren – wydyszała z trudem.

Oblizwał wargi i wrzuszył ramionami.

– To ciało jest takie wygodne. Przestronne i solidne. Pasuje jak ulał, można by rzec. – Mrugnął do Iris. – Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko, że pożyczyłem je sobie

z Jefferson Street dla towarzystwa. Bardzo chciałem wziąć je na testy, zobaczyć, jak daje radę na zakrętach. – Znów oblizał wargi i roześmiał się, patrząc na nas. – Zjarane dziwki tak egzotycznie pachną, wiecie? Coś jak słodki stopiony plastik. Albo długopis w cukrze.

– Jakim cudem przejąłeś kontrolę nad Samem? – wyjąkała Iris.

– Jakim cudem przejąłeś kontrolę nad Samem? – przedrzeźniał ją Wren.

Rivkah cisnęła stoperem, trafiając Sama między oczy.

– Wyciągajcie Emmeta, już! Ja się rozprawię z tym słabeuszem.

Ellen zignorowała ją i przypadła do Olivera. Podniosła rękę, a ręcznik sam do niej wskoczył.

– Oli – mówiła. – Otwórz oczy. Potrzebujemy cię. – Nie dał znaku, że ją słyszy.

– Słabeuszem? – Wren wybuchnął śmiechem tak jadowitym, że prawdziwy Sam nigdy nie wydobyłby z siebie czegoś takiego. – Nie. Nigdy więcej, a biorąc pod uwagę twoją pomoc w tym małym eksperymencie, trochę dzięki tobie. – Klasnął w ręce, a spomiędzy nich wytrysnęła kula ciemnej energii, tak czarnej, że zdawała się pochłaniać światło. – W zamian masz prezencik z Gehenny.

Rivkah wrzasnęła jak wściekła szyszymora i zasłoniła się, ale ciemny wybuch uderzył w nią z taką siłą, że uniósł jej ciało i cisnął nim o ścianę. Sam się uśmiechnął.

– O ludzie, mógłbym to robić całymi dniami.

Ellen zaczęła się podnosić, żeby stawić mu czoło.

– Śpij – nakazał ostrym głosem Sam, a ona osunęła się bezwładnie na pierś Olivera. – Zawsze lubiłem tę pijaczkę. Dostanie ulgę. – Ruszył w moim kierunku, a gdy się zbliżał, łazienka za nim jakby się rozciągała. Jakby każdy jego krok pchał moją rodzinę i Rivkah coraz dalej od świata zewnętrznego. – Ciebie za to wcale nie lubię.

Skupiłam się na Emmecie, przyciskając dłonie do jego skroni. Myślą zmusiłam korek, by wyskoczył z odpływu, i zimna woda zaczęła znikać. „Czas wracać”. Chciałam, by jego serce zaczęło bić. Poczułam lekkie kopnięcie prądu, gdy zdałam sobie sprawę, że się udało. Wciąż jednak się nie poruszał.

Szloch Iris cichł, a jej obraz oddalił się najpierw o metry, a potem o setki metrów ode mnie. Po drugiej stronie tak samo szybko zniknęła Rivkah. Staralam się wyczuć ducha Emmeta. Czułam, lecz był bardzo daleko. „Wracaj”. Inna siła, mocna, o wiele mocniejsza niż moja, ciągnęła go w przeciwnym kierunku.

– Nie musisz się martwić o ciało golema – zachichotał Wren. – Może być puste, ale skoro wróciłaś mu życie, będzie żył, nawet wiecznie. No, przynajmniej dopóki będzie trwać Gehenna, a oboje wiemy, że to oznacza wiecznie. – Wren postukał palcem w pierś Emmeta.

„Emmet. Musisz walczyć. Potrzebuję cię”. Staralam się trzymać go wystarczająco mocno. Ellen i Oliver zniknęli mi z oczu.

– Zostaliśmy tylko ty i ja, księżniczko, a dzięki tobie mam za sobą całą moc Gehenny. – Rozrzucił ręce, a wokół dłoni tańczyły mu czarne iskry. W gardle zaczęła mi rosnać gula, gdy powietrze wypełniła woń zgniłych jajek. Nie: siarki.

– To zapach mocy. Nie magii krwi. Ani magii wiedźm. To tutaj to zabawa dla dorosłych. Magia duszy. – Wystawił nos i wdychał ten zapach. Miał minę szaleńca, oczy wychodziły mu z orbit, komicznie uniósł brwi. – Poczuj ten zapach. Możesz nauczyć się go kochać, wiesz? Piekielna racja – zaśmiał się. – Piekielna, łapiesz?

– Dlaczego tu jesteś? – zapytałam. – Jak możesz kontrolować Sama?

– Możesz za to podziękować swojemu braciszкови Josefowi. – Skrzyżował ręce na piersi.

– Josef złapał tę nową zabaweczkę Iris i zabrał nas do Sapelo. Trup tej twojej kochanej Jilo gnije już pod ziemią, ale wciąż ma w sobie dość mocy Tillandsii na małe zaklęcie. Pozostało mi tylko zaopiekować się tą miłą przesyłką i upewnić się, że ta kuzyneczka zapuka do waszych drzwi. Wiedzieliśmy, że gdy Jessamine tutaj przyjdzie, powiążecie jedno z drugim i zlokalizujecie biedną Adeline, uwięzioną w Gehennie. I że na pewno będziecie na tyle głupi, żeby próbować ją uwolnić.

Przesunęłam dłonie z muskularnej szyi Emmeta na jego ramiona. Stawał się coraz cieplejszy. Zaryzykowałam i spuściłam Sama z oczu, tylko na sekundę, by się upewnić, że klatka piersiowa Emmeta rytmicznie unosi się i opada.

– Więc to wszystko kolejna sztuczka Emily?

– Nie nazwałbym tego „sztuczka”. – Pokręcił głową. – Raczej ujawnieniem prawdy w idealnym momencie. Twoja matka trzyma karty przy orderach. A tego asa trzymała w rękawie przez kilka ładnych lat. Nieźle, co? Wiedziałem, że twój dziadek nie potrafił się opanować, ale to? Nie tylko zasiał nasienie w mrocznej glebie, ale jeszcze kupił całe pole! Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo mi się podoba, że ta dziwka, ta twoja nadęta, pyszałkowata babunia, nigdy tak naprawdę nie wyszła za twojego dziadka. Pomyśl. Wszyscy pochodzicie z nieprawego łoża. Nieślubne dzieci. – Akcentował każdą sylabę.

Gniew się we mnie zagotował. Polubiłam Sama, ale nienawidziłam potwora, który przejął nad nim władzę.

– Co się stało z Samem? Jest tam z tobą?

– Sam? Sam, jesteś tu?! – Wren rozejrzał się, stukając się w czoło. Pokręcił głową. – Nieee. Tu go ni ma.

– Więc gdzie jest?

– Wkurzał mnie, bez przerwy latając wokół i próbując wrócić. Nie będzie mi więcej przeszkadzał.

– To właśnie chciałam usłyszeć.

Głos Maisie dobiegał znikąd. Wkroczyła zza mgły w moje pole widzenia. Dostrzegłam nóż, który przeciął powietrze i wbił się w Sama. Jego ręka powędrowała w stronę rany, ale Maisie odepchnęła ją. Jej usta z początku poruszały się bezgłośnie, a potem zaczęła szeptać. Wiedziałem, że to inkantacja jakiegoś zaklęcia, ale nie znałam języka, którego używała.

Podniosła zboczony krwią nóż z podłogi, bo wpadł pod wannę. Ciało Sama stało prosto, zamrożone zaklęciem Maisie. Wyprostowała palce i skierowała je w kierunku dziury, ziejącej w brzuchu Sama. Poruszyła palcami i wsunęła rękę pod skórę po nadgarstek. Sam otworzył usta, wydając z siebie przerażający dźwięk, coś między skrzekiem a wściekłym wrzaskiem.

Maisie wyszarpnęła dłoń. Trzymała w niej coś, co przypominało kulkę smoły, która próbowała jej uciec. Moja siostra zacisnęła dłoń i zaczęła mówić coraz głośniejszym głosem. Drżąca kula w jej dłoni stanęła w płomieniach.

– Tyle w temacie – stwierdziła i wytarła w dzinsy resztkę z tego, co pozostało po Wrenie.

Ciało Sama zwiotczało i Maisie z pomocą magii ułożyła je delikatnie na ziemi. Ściany zaczęły wracać na swoje miejsce, ale w łazience oprócz nas nie było nikogo. Maisie przyklękła przy Samie, starając się zatamować rękoma upływ krwi z rany.

Spojrzała na mnie.

– Teraz musimy znaleźć Ellen.

SIEDEMNASTY

Nie mieliśmy nawet dnia na odpoczynek po koszmarnych wydarzeniach ze Święta Dziękczynienia, gdy wezwali nas inni kotwiczący. Musieliśmy tak usunąć zwłoki Teague'a, by jednocześnie ostrzec każdego, kto jeszcze chciałby zaatakować kotwiczącą.

Teraz moja rodzina i ja staliśmy w miejscu, które było jednocześnie wszędzie i nigdzie. To była pusta przestrzeń, istniejąca tylko w naszej wyobraźni. W tej pustce zazwyczaj spotykali się kotwiczący i zazwyczaj tylko oni mogli się tu dostać. Mogli tutaj być pod postacią projekcji, obrazów samych siebie, podczas gdy w rzeczywistości nie opuszczali swoich domów. Do tej pory nigdy tu nie byłam. Nawet jako kotwicząca nigdy wcześniej nie zostałam zaproszona i podejrzewałam, że to zaproszenie nie oznacza, że będą następne. Tego wieczoru kotwiczący otworzyli jednak przestrzeń dla wszystkich wiedźm z dziesięciu rodów, które pozostały lojalne granicy. Ale najpierw ja, moja rodzina i kotwiczący mieliśmy spotkać się sami.

Zastanawiałam się, czy Emmet skorzysta z okazji i mnie znajdzie. Udało mu się uwolnić moją babcię z Gehenny i jej duch uleciał tam, dokąd zwykle udają się wolne dusze. Za to Rivkah dostała szafu po tym, jak Ellen rzuciła się ratować Olivera zamiast Emmeta. Nalegała, żeby Emmet wrócił z nią do Nowego Jorku, i myślę, że słusznie. On jednak chciał zostać i wiedziałam, że by się nie ugiął, gdybym tylko dała mu najmniejszy powód. Ale zrobiłam to, co musiałam. Kurczowo trzymałam się Petera, jakby był jedynym facetem, którego kiedykolwiek kochałam, bo też kochałam go całym sercem. Dokonałam wyboru, więc musiało tak być.

Zwykle podczas spotkania kotwiczących można było wyświetlić każdą projekcję mentalną. Ci, którzy do nas dołączają, będą mogli wysłać projekcję swojego otoczenia w postaci paryskiego Père-Lachaise, małego wiejskiego cmentarzyka albo nawet kosza na śmieci w jakiejś ciemnej alejce. My się umówiliśmy, że jako naszego tła użyjemy plaży na Huntington Island. To tam starliśmy się z kotwiczącymi i wygraliśmy. Wspomnienie tego zwycięstwa zapewni nam psychologiczną przewagę. Oczywiście gdyby nie Jilo, wynik tamtego starcia mógł być zupełnie inny. Znowu poczułam znajomy ucisk w piersi. Naprawdę tęskniłam za Jilo.

– Witamy w wielkiej wyobraźni. – Głos Olivera nie brzmiał zbyt entuzjastycznie. – Miejmy nadzieję, że chociaż sklepik z pamiątkami będzie otwarty. – Byłam pewna, że większość wiedźm, które dziś zobaczą to miejsce, będzie pod wrażeniem, ale Oliver i ja widzieliśmy już lepsze. Dużo lepsze. To wszystko tutaj wyglądało na zwykłą amatorszczyznę w porównaniu z akwamarynową komnatą Jilo, która naprawdę zaginała czas i przestrzeń. – Pomyśl tylko, co staruszka mogłaby zrobić, dysponując taką mocą. – Najwyraźniej Oliver i ja myśleliśmy, a może nawet czuliśmy dokładnie to samo.

– Nie powinniśmy ubierać się na czarno – powtórzyła Iris po raz enty, mówiąc o projekcjach nas samych, które stworzyliśmy.

– To pogrzeb... – zaczęłam, ale zaraz mi przerwała.

– To święto. Niebezpiecznie jest ignorować tradycję, zwłaszcza gdy działa na naszą korzyść.

Po tym, jak Ellen zaszyła Sama i postawiła go na nogi, on odszedł bez słowa. Wystraszył się, co zresztą zrozumiałe. Wiedziałam, że ciocia cierpi, więc wzięłam poprawkę na jej ostry ton. Nie miał przecież nic wspólnego ze mną.

– Nie, absolutnie nie wezmę udziału w świętowaniu śmierci Teague'a – odparłam

spokojnie.

– No cóż, Rudzielcu, możesz być pewna, że ten mały skurwiel z przyjemnością wzięłyby udział w twoim pogrzebie, gdyby tylko miał szansę. – Oliver się zgodził, żebym włożyła ciemną sukienkę, choć nie było łatwo.

– Wujek ma rację – poparła go Maisie. – Teague zabiłby bez wahania, gdyby pozwoliło mu to zawładnąć mocą.

Ellen położyła mi dłoń na ramieniu, choć nie byłam pewna, czy w rzeczywistości, czy tylko w wizji. Tak czy inaczej, poczułam to, więc ostatecznie to wszystko jedno. Wydarzenia toczące się w magicznych przestrzeniach mogły oddziaływać na wymiary, z którymi były związane. Podejrzywałam, że cokolwiek będzie się tu działo, przedrze się to i do naszej rzeczywistości, a może nawet i do wszystkich innych.

– Po prostu pozostali mogą się zdziwić, widząc nas w żałobie. Zgodnie z tradycją, powinniśmy świętować śmierć każdego, kto próbował zaszkodzić granicy lub kotwiczącemu. To ma być radosna fiesta.

– Powinnaś słuchać starszych. – Głos napłynął znikąd.

Rozpoznałam go. Nawet gdy już się dowiedziałam, że naprawdę nazywał się Fred Firth, w myślach nazywałam go Beżowym. Powietrze zamigotało i stanął przed nami budzący sympatię mężczyzna, a przynajmniej jego obraz. Był średniej budowy, z przerzedzonymi ciemnoblonde włosami, w średnim wieku. Miał na sobie spodnie khaki i niebieską koszulę zapinaną na guziki. Dla tego stonowanego mężczyzny ta kombinacja kolorystyczna wydawała się niemal jaskrawa.

Był jednym z kotwiczących i powinniśmy być sprzymierzeńcami, ale nasze ostatnie spotkanie twarzą w twarz zakończyło się tak, że niemalże zerwałam jego powiązanie z granicą. Zagroził mojemu dziecku, ale miałam nadzieję, że już nigdy nie będzie taki głupi. Podobnie jak inni zresztą. Jednak nikt z kotwiczących nie pozwoli mi się do siebie zbliżyć bardziej niż na odległość rzutu kamieniem.

Ledwo pomyślałam o innych kotwiczących, a powietrze za Beżowym załśniło. Ukazała się Azjatka, która, jak już wiedziałam, nazywała się Ayako Izanagi. W innym świecie pewnie zostałybyśmy przyjaciółkami, ale w świetle tego, jak śledzili mnie kotwiczący, raczej tak nie będzie. Pozostali dołączyli po chwili, a Beżowy ich przywitał.

– Niedługo opuścimy barierę i wpuszczymy tu inne wiedźmy, ale przedtem musimy się upewnić, że wszyscy jesteśmy zgodni co do tego, co musimy dziś zrobić.

Nie interesowało mnie, co ma do powiedzenia Beżowy. Jego słowa przepływały obok, gdy ja obserwowałam kotwiczących, przenosząc spojrzenie z jednej osoby na drugą. Rozbawiło mnie, że obrazy, które wysyłali na spotkania, skrywały mankamenty urody i ukazywały ich jako wyższych, szczuplejszych i zazwyczaj młodszych. Trochę jakby większość z nich tworzyła projekcję na podstawie starych zdjęć.

Tylko jeden wyglądał dokładnie tak, jak go zapamiętałam. Młody, niemalże bezpłciowy mężczyzna miał płowe włosy i przerażające białe oczy. Wiedziałam o nim już coś więcej niż tylko to, jak się nazywa – szukałam informacji na jego temat, bo jako jedyny dostrzegł związek między moim Colinem a zmianą, jaka zaszła w granicy. Gdy pozostali kotwiczący próbowali mnie związać, granica wyciągnęła się ku mojemu synkowi i zanurzyła się w mocy *Fae*. Dzięki temu stała się mocniejsza i w pewnym stopniu uwolniła się spod kontroli wiedźm.

Blady mężczyzna nazywał się o Fridtjof Lund i mieszkał w szwedzkim mieście o tej samej nazwie. Miasto Lund uznawane było za najstarsze w Szwecji, ale nie zostało wyjaśnione, czy

wzięło swoją nazwę od nazwiska rodziny Fridtjofa, czy odwrotnie. Co dziwne, ten mężczyzna nie narodził się ze związku kobiety i mężczyzny. Miał tylko jednego rodzica, zdolną do samozapłodnienia istotę o podobnie jak on sam niejednoznacznej płci. W efekcie każde kolejne pokolenie było identyczne z poprzednim. Nikt nie wiedział, jak dawno się to zaczęło, ale opowieści o wiedźmach podobnych do Fridtjofa sięgają czasów, gdy historia mieszała się z podaniami ludowymi. A to, jak długo jeszcze rodzina Fridtjofa będzie trwała, zależy od tego, czy dostosuje się on do mojego ostrzeżenia i zostawi moje dziecko i mnie w spokoju.

W pewnej odległości za kotwiczącymi zobaczyłam niesamowicie szczupłych żałobników, którzy na niezwykle długich ramionach nieśli mary z nagim ciałem Teague'a. Zbliżali się, choć trudno było dostrzec jakiś widoczny ruch. Ich stopy unosiły się kilka centymetrów nad ziemią. Mieli na sobie jakieś dziwne, anachroniczne stroje i cylindry rodem z epoki wiktoriańskiej. Już miałam wytknąć, że są ubrani na czarno, ale wtedy podeszli dostatecznie blisko, żeby zobaczyć ich twarze, a przynajmniej miejsca, gdzie powinny być. Nie było tam rysów, a jedynie bladość, wyglądająca jak naciągnięty na czaszkę biały jedwab. Oczodoły wypełniał cień, a w miejscu nosa widniały dwie cienkie szparki, jak u węża. Ich rozdziawione usta pełne były maleńkich stalowych ostrzy, przywodzących na myśl drut kolczasty.

– Czym oni są? – zapytałam.

– Jak mówiłem, to ścierwojady. – Beżowy spojrzał na mnie jak na głupiutkie dziecko. Najwyraźniej zdradziłam się z tym, że go nie słuchałam. – Zjedzą ciało twojego kuzyna, a razem z nim magię, którą jeszcze zawiera.

– O nie – jęknęłam. Zemdliło mnie na samą myśl. – Tylko nie to. – Sześć ścierwojadów obróciło głowy w moją stronę, warcząc i zgrzytając ostrymi zębami.

– Są bardzo głodne – stwierdził Beżowy. – Nie jadły prawie sześćset lat. – Jego obraz się przybliżył. – To nie tylko tradycja. Takie jest prawo. Młody Teague próbował skrzywdzić kotwiczącą. – Wyczuwałam, że szuka wzrokiem mojego spojrzenia, ale nie chciałam, żeby myślał, że może mnie kontrolować. Mówił dalej, bardziej gorzkim tonem. – A taki los spotyka ludzi, którzy dokonują zamachu na kotwiczących. Przynajmniej tych, którzy wcześniej sami nie znajdują jakiegoś sposobu, by zaczarować granicę.

Zapewne chciał, żeby jego komentarz wywołał u mnie dreszcz, ale ja poczułam jedynie narastającą zaciętość. Już niemal zapominałam, że to ja tu rządę, ale na szczęście mi przypomniał. Granica trochę rozluźniła więzi z innymi kotwiczącymi. Nie wiedziałam dlaczego, ale postanowiła sprzymierzyć się ze mną.

– Skończyliśmy już ten show? – zapytał Oliver. – To nie jest ciało Teague'a, tylko jego projekcja.

– Nie, panie Taylor. To nie jest projekcja pana Ryana. Stworzona przez nas przestrzeń nie wpuszcza żyjących, przynajmniej na dłużej, ale pana Ryana to ograniczenie już nie dotyczy.

– A te potwory? – wtrąciłam.

– No cóż, one też są tu naprawdę.

– To okropne. – Ellen objęła mnie ramieniem. – Dlaczego nie możemy po prostu go spalić i tyle?

– Ponieważ, pani Weber – zwrócił się do niej, używając nazwiska mojego ojca – zginął z rąk kotwiczącej. Utworzyło się połączenie, rodzaj otwartej rany. Ścierwojady wyssały jednak również i te toksyny, dzięki czemu rana nie zacznie się jątrzyć. To zapobiegnie infekcji granicy. Ale gdyby zabił go ktoś inny, nie kotwicząca, moglibyśmy... – Wzruszył ramionami, nawet nie kończąc zdania.

„Kłamie”. Ta pewność napłynęła do mnie sama. Odruchowo się rozejrzałam, szukając źródła tego słowa, ale niczego nie dostrzegłam. Wyzwoliłam się z objęć Ellen.

– Tak, zabiłam go, ale wiem, że kłamiesz. To obrzydliwe przedstawienie nie jest potrzebne.

– Cóż, może nie mówię dosłownie całej prawdy, ale w metaforycznym sensie mam rację.

Na pewno to zrozumiesz – stwierdził. Jego nijaka twarz skrzywiła się, a na ustach wykwitł uśmiech. Wiedział, że mojego kuzyna nie tknęłam nawet palcem. – To „obrzydliwe przedstawienie”, jak je nazwałaś, jest bardzo potrzebne. Dzięki twojej matce... – Pokręcił głową. – Nie, dzięki tobie – wycelował we mnie palec – my, kotwiczący, musimy aranżować takie przedstawienia, żeby utrzymać wiedźmy pod naszą... pod kontrolą granicy. – Sam się poprawił. – Żeby wiedziały, że wciąż mamy moc, że działamy razem.

– Gdzie jest to wspólne działanie? – przerwała mu Iris. – A poza tym wszyscy wiemy, że wasza kontrola nad granicą jest co najwyżej mierna. To pełne zaangażowania przedstawienie służy wyłącznie waszym interesom. Chcecie, żeby wiedźmy myślały, że panujecie nad sytuacją, żeby wam wierzyły.

– Nie przeczę, pani Flynn. – Uniósł dłonie, przywołując na twarz niewinny uśmieszek. – To znaczy, pani Taylor, proszę wybaczyć. Rozumiem, że w przeciwieństwie do siostry porzuciła pani nazwisko męża. – Powiedział to tak, jakby Ellen, nie zmieniawszy nazwiska, zdradziła granicę albo wręcz poparła Erika w próbach jej zniszczenia. Już miałam mu powiedzieć, co myślę o jego tonie, ale szybko zaczął mówić dalej. – Proszę tylko pomyśleć: jeśli stracimy zaufanie rodów, możemy nie utrzymać granicy. A jeśli utracimy kontrolę nad granicą, to cały nasz świat z łatwością może runąć. Wątpię, by wtedy ktokolwiek z nas przeżył powrót starożytnych panów. Można z powodzeniem powiedzieć, że to byłby koniec świata wiedźm i ludzkości – westchnął. – Słuchajcie, wiem, że odczuwacie to wszystko bardzo osobiście, jakby wszyscy byli przeciwko wam. Ale to nieprawda. Jako kotwiczący mamy wspólny cel: chronić granicę. Wiele wiedźm jest przerażonych tym, co postrzegają jako wasze zuchwałe zachowanie. Nawet wasz kuzyn zrobił to, co zrobił, wierząc, że chroni granicę.

– Teague zrobił to, co zrobił, bo był zazdrosny i chciwy. I tylko dlatego.

Beżowy pokiwał głową.

– Może tak być, lecz są również inni, i może was to zdziwi, ale ja do nich nie należę, choć uważacie, że próbuję was uciszyć. To dla twojego dobra, Mercy, przypadek pana Ryana powinien stać się przykładem. Musimy pokazać, że atak na ciebie był atakiem na nas wszystkich, bez względu na motywacje, jakimi kierował się twój kuzyn, czy zapewnienia o słuszności jego planu.

– Więc to prawda – rzuciłam w stronę pozostałych kotwiczących. – Popieraliście Teague’a. Przygotowaliście mu dojście do magii Gudrun.

– O nie. Nie wszyscy spośród nas, a już na pewno nie ja. Ale w naszej małej rodzinie znalazła się czarna owca. – Odwrócił się do kotwiczących. – Prawda, Ayako?

Oblała się rumieńcem, zrobiła krok w tył i wyjąkała:

– Wydawało się, że to rozwiązanie jest bezpieczne. Nic ci nie groziło.

To tyle, jeśli chodzi o naszą przyjaźń.

– Nie, wcale. Moje dziecko i ja zostaliśmy porwani z rodzinnego domu i wrzuceni do wymiaru, w którym umarłabym ze starości, zanim moja rodzina zdążyłaby zjeść obiad.

– Różnica czasowa nie była aż tak duża. I nie byłabyś tam sama, wszyscy mieliście... – urwała, zdając sobie sprawę, że powiedziała o parę słów za dużo.

Oliver zrobił kilka kroków w jej stronę.

– Ja oszaleję. – Spojrzał na nas. – Słyszeliście? Ona zamierzała uwięzić nas wszystkich. Pozbyć się tych upierdliwych Taylorów raz a dobrze.

– Nie, to nie tak. Chciałam, żebyście byli wszyscy razem. – Słyszałam brzęczenie kotwiczących, porozumiewających się ze sobą w myślach. Blokowali przede mną słowa, ale czułam, że na Ayako zapada właśnie wyrok. – Przepraszam – jęknęła.

– Nie – zaprotestował Beżowy. – Przykro nam. Ayako Izanagi, pętam twoją moc. Niech cię odrzuci. Niech nie uznaje się za podległą tobie.

Fridtjof postąpił naprzód.

– Ayako Izanagi, pętam twoją moc. Niech cię odrzuci. Niech nie uznaje się za podległą tobie.

Obraz Ayako zamigotał jak przepalająca się lampka choinkowa. Gdy się ustabilizował, do inkantacji dołączyła Rosjanka, której imienia zapomniałam.

– Przestańcie! To ją boli! – zawołałam.

Beżowy i Fridtjof jednocześnie spojrzeli na mnie, zszokowani.

– Ale ona próbowała cię zabić – zaproponował Fridtjof.

Wiedziałam, że nie mówi po angielsku i używa języka szwedzkiego, ale zrozumiałam, o co mu chodzi. Miałam nadzieję, że i on zrozumie moją odpowiedź.

– Jeśli ją spętacie, wyczyścicie jej umysł. Do końca życia będzie egzystować jak warzywo.

– Oczywiście. Właśnie o to chodzi.

– To jeszcze gorzej, niż gdybyście ją zabili.

– Zabicie jej zagroziłoby granicy – stwierdził Beżowy. – Chyba nie do końca zdajesz sobie sprawę, jak musieliśmy się nakombinować, gdy zamordowano twoją babkę Ginny.

Zwróciłam się do mojej rodziny:

– Zróbcie coś. Nie możemy stać i patrzeć na to beczynnienie.

Ellen spojrzała na mnie.

– Tak bardzo cię kocham, Mercy. Całym sercem. Ale ta kobieta – wskazała głową Ayako – spiskowała przeciwko tobie. Chyba nie mam takich pokładów miłosierdzia jak ty.

Spojrzałam na Olivera. Spuścił głowę i odwrócił wzrok. Chwyciłam go za rękę.

– Przykro mi, ale zgadzam się z Ellen – odparł, nie patrząc na mnie.

Iris? Nie, nie chciała żadnych dalszych konfliktów z kotwiczącymi, miała to wypisane na twarzy. Już chciała się odwrócić, ale zatrzymała się w pół kroku. Odetchnęła głęboko.

– Nie żyjemy już w Ciemnych Wiekach. Na pewno możemy znaleźć inne rozwiązanie. – Spojrzała na mnie, potem na Beżowego. Nagle się uśmiechnęła, gdy do głowy wpadło jej rozwiązanie. – Skoro Ayako i Gudrun tak dobrze się dogadują, wyślijcie ją do niej.

Beżowy spojrzał na mnie i położył rękę na sercu.

– Jestem poruszony tym, co próbujecie zrobić dla osoby, która was zaatakowała, ale ta kara została zasądzona już dawno.

– Naprawdę? Gudrun była odpowiedzialna za śmierć milionów niewinnych ludzi i jakoś jej się upiekło.

– Nie można spętać mocy Gudrun – przerwał mi Fridtjof. – Nie można też jej zabić. Gdyby to było możliwe, już dawno by się stało. Mogliśmy jedynie ją zesłać.

– Nie zastanawiałaś się nad tym, jak to możliwe, że Gudrun od dziesięcioleci trwa w wymiarze, w którym czas płynie o wiele szybciej? – spytał Beżowy. – Ona nie ma wieku. W porównaniu z nami jest nieśmiertelna. A co gorsza, wygląda na to, że również niezniszczalna.

– Więc jak mogliście wysłać do niej moją siostrę?
– Gudrun okazała skruchę. – Beżowy rozejrzył się niespokojnie, zanim znów spojrzął na mnie. – Nie tylko ty chcesz być dobra dla innych, a my mieliśmy nadzieję, że Maisie nauczy się czegoś na błędach Gudrun. Wciąż ufamy, że i ty czegoś się nauczysz. Że przestaniesz iść po trupach do celu.

– W takim razie przykro mi. – Pokręciłam głową. – Nie zgadzam się. Nie wezmę udziału w tym spętaniu. – Obserwowałam Ayako, jednak zamiast wdzięczności dostrzegłam na jej twarzy narastającą złość.

– Nie masz żadnego szacunku dla autorytetów. Żadnego poszanowania dla tradycji. Jesteś zagrożeniem dla granicy – wysyczała, z wściekłością mrużąc oczy. Odwróciła się ode mnie i spojrzała na Beżowego. – Zróbcie to. No już.

Szczęka mi opadła.

Krępa Rosjanka podjęła swoją kwestię.

– Ayako Izanagi, pętam twoją moc. Niech cię odrzuci. Niech nie uznaje się za podległą tobie. – Odsunęła się, by zrobić miejsce mężczyźnie o cerze koloru cynamonu i błyszczących, czarnych włosach.

– Nie potrzebujemy twojej zgody – wyjaśnił spokojnie Beżowy. – Spętanie kotwiczącego nie wymaga udziału wszystkich, a jedynie większości.

Zaczęłam protestować, chciałam coś zrobić, cokolwiek, żeby tylko przestali, ale kątem oka dostrzegłam, że wśród ścierwojadów zapanowało jakieś poruszenie. Szczękały metalowymi zębami, a potem puściły mary, które runęły w dół i roztrzaskały się na ziemi, a przynajmniej na tym, co udawało tutaj ziemię. Huk wydawał się naprawdę realny, więc wszystkie potwory wrzasnęły z przerażeniem. Ich strach i wściekłość z każdą chwilą narastały. Ciało przetoczyło się o kilka metrów i zastygło twarzą do góry. Z początku leżało spokojnie, ale po chwili jakby przeszedł je dreszcz. Czyżbyśmy się pomylili? Czy Teague w jakiś sposób zdołał przetrwać? Niemożliwe. Ellen nie wykryła nawet iskry życia, gdy go badała. Ale ciało poruszało się, drżało. Podeszłam kilka kroków. Jakiś szaleńczy impuls kazał mi przerwać krąg, który ścierwojady utworzyły wokół swojego posiłku. Zwłoki podskoczyły jeszcze raz czy dwa, a potem uspokoiły się i zawisły niczym marionetka na sznurkach. Głowa zatańczyła jeszcze i w nienaturalny sposób przechyliła się na bok.

Pod skórą Teague'a coś się ruszało. Jego brzuch się wzdął, jakby od środka wypychał go łokieć. Wybrzuszenie przesunęło się w dół i wyglądało na to, że czymkolwiek jest to, co znajduje się w środku, to właśnie się obróciło. Nagle Teague wzniosł ręce, wbił palce w swoją klatkę piersiową i rozerwał ją, jakby rozpinał kurtkę. Rozdzierał ranę, dopóki nie zalała jej krew i wnętrzności. Z jego brzucha wysunęła się jakaś forma i strząsnęła z siebie ciało Teague'a niczym płaszcz. Leżało teraz bez ruchu, a ja patrzyłam już tylko na tę dziwną istotę wypełzającą z niego jak z poczwarki. Stała przed nami, mokra i czerwona, zupełnie naga, pokryta jedynie krwią Teague'a. Zauważyłam, że jest człowiekiem, w dodatku kobietą. Jej śmiech zmieszał się z wrzaskiem ścierwojadów, które jednym ruchem dłoni zmieniła w popiół.

– Gudrun – odezwał się jakiś głos za mną, a na mnie padł blady strach. Zrozumiałam, że to rzeczywiście wiedźma, która razem z moją prababką knuła, jak obalić granicę. Odwróciłam się od niej akurat w chwili, gdy poczułam w brzuchu rwący ból, tak silny, że zgięłam się w pół. Zamknęłam oczy. Wzięłam głęboki oddech i ucisk trochę zelżał. Gdy znów spojrzałam wokół, dostrzegłam, że na powrót jestem w domu, a obok mnie siedzą Maisie, ciotki i wujek Oliver.

Gwałtownie zaczerpnęłam powietrza. Kolejna fala bólu uderzyła mnie w brzuch.

Zobaczyłam błysk i wróciłam do swojej projekcji. Beżowy coś mówił, ale nie byłam w stanie rozpoznać słów. Wszyscy, nawet moja rodzina, całkowicie skupili się na Gudrun, nikt nie zauważył, jak bardzo mnie boli. Kolejne uderzenie wbiło się we mnie jak rozgrzane ostrze i wzrok zaszedł mi mgłą. Wciągnęłam powietrze i zaczęłam się krztusić. Prawie nic nie widziałam. Nic oprócz płomieni pochłaniających wszystko wokół mnie. Serce stanęło mi z przerażenia, gdy zrozumiałam, że jestem w Magh Meall.

OSIEMNASTY

Gęsty, białawy dym zmieniał się w czarne, duszące opary. Wołałam moją rodzinę, mając nadzieję, że pojawią się nagle przy mnie, ale nikt nie odpowiedział. Oczy mi łzawiły. Klęczałam na czworakach, by możliwie jak najdłużej pozostać pod trującymi oparami. Gorąco było nieznośne, a co gorsza, coraz bardziej brakowało powietrza. Patrząc na szafę grającą, starałam się zorientować, gdzie jestem. Uniosłam się na kolanach.

– Claire! – krzyknęłam i natychmiast zaniósłam się kaszlem. Upadłam z powrotem na podłogę, gdy przez salę przetoczyła się fala uderzeniowa po eksplozji w kuchni. Belka spadła z sufitu zaledwie kilka centymetrów ode mnie. Skupiłam się na płomieniach. Rozkazałam im się wycofać, zniknąć. Między nimi dostrzegłam tańczące istoty, podobne do salamander pierwiastki ognia, coś na kształt świadomych płomyków. To one wyniosły mnie z pożaru w domu Ginny.

Skierowały się ku mnie, jakby były jednym, myślącym organizmem. Malutkie głowy podnosiły się i opadały, gdy śpiewały w swoim starożytnym języku pieśń, tworzącą dysonans z rykiem szalejącego ognia. Pierwiastki deptały płomienie, próbowały je zdusić, ale te były za silne. Po chwili jedna z istot podeszła do mnie, pokiwała głową i odwróciła się. Zrobiła kilka kroków i zerknęła na mnie przez ramię. Zrozumiałam, że chce, żebym za nimi poszła, jeszcze głębiej w szalejący ogień. Zawahałam się. Rozpaczliwie zastanawiałam się, czy mogę znaleźć jakąś inną drogę ucieczki, by uratować siebie i swoje dziecko, ale znów poczułam ból. Nie tak ostry jak wcześniej, ale czułam go wyraźnie.

Ten ból, pomyślałam, to było pierwsze kopnięcie Colina, który próbował zwrócić na siebie moją uwagę. W jakiś sposób wiedział o czymś, o czym ja nie miałam pojęcia.

– Dobrze, kochanie. Mama słucha – powiedziałam, zniżając głowę.

Pierwiastek poprowadził mnie do kuchni, ale zatrzymał się przy barze. Tam spod dymiącego gruzu wystawała dłoń. Zdałam sobie sprawę, że należy do Petera. Już nie pełzłam, ale rzuciłam się do przodu, by jak najszybciej znaleźć się koło męża. Machnęłam ręką i usunęłam sufit, który na niego spadł. Zobaczyłam, że nie jest sam, pod nim leżała Claire. Wyglądało na to, że próbował ją ochronić. Przyklękłam przy nich. Lewą rękę wsunęłam Claire pod szyję, a prawą chwyciłam Petera za ramię. Obawiałam się, że gdzieś tu, uwięziony, jest i starszy Colin. Musiałam go znaleźć, ale najpierw chciałam zabrać w bezpieczne miejsce Petera i Claire.

Wycie syren dobiegło do mnie zza ściany ognia i kłębow dymu. Słyszałam głosy wykrzykujące zwięzłe rozkazy. Od strony wejścia bar miał jedynie jedno małe okienko. Boczna ściana była zrobiona ze staromodnego bąbelkowego szkła. Pod wpływem silnego strumienia wody szyby rozleciały się na tysiące szklanych kryształków. Odłamki rozprysnęły się dokoła. Zamknęłam oczy i skupiłam się na ulicy na zewnątrz. Gdy je otworzyłam, Peter leżał obok, a ja zaciskałam palce na jego ramieniu tak mocno, że powstawały siniaki. Ale nigdzie nie widziałam Claire. Rozejrzałam się, chora ze strachu. Peter drgnął, ale ja musiałam tam wrócić i znaleźć jego rodziców.

Uścisnęłam dłoń męża, przygotowując się, by wrócić do płonącej tawerny. Już miałam zamknąć oczy, gdy ktoś stanął między mną a migającymi światłami karetki.

– Opuść sobie. – Błyskające na czerwono, biało i niebiesko koguty pogotowia oświetliły Josefa, kochanka mojej matki i mojego przyrodniego brata. – Twoja sztuczka z teleportacją działa tylko na żywych. – Odchylił głowę tak, że światło padło na jego twarz i dostrzegłam

wyrzywione w złośliwym uśmiechu usta i dwoje lodowatych, błękitnych oczu, emanujących czystym złem. – Twoja matka chce, żebyś wiedziała, że zawsze o tobie myśli – roześmiał się i rozwiął w ciemności.

Ratowniczka usłyszała jego śmiech, dostrzegła nas i podbiegła.

– Tam są moi teściowie! – Próbowałam krzyczeć, lecz mój głos zabrzmiał skrzekliwie i chrypiąco. Kobieta zrozumiała i zawołała kolegów. Jeden z nich, strażak, zdjął hełm i otarł czoło rękawem. Pokręcił lekko głową, zanim włożył go z powrotem i wrócił do gaszenia ognia. Zrozumiałam, co chciał powiedzieć, ale byłam pewna, że się myli. Wysłałam w myślach sondę w poszukiwaniu Colina i Claire, ale wróciła bez odpowiedzi. W zgłiszczach nie było nikogo żywego.

Pamiętam jak przez mgłę, co się zdarzyło później. Podnieśli Petera i położyli go na noszach.

– Wszystko w porządku – zaprotestowałam, gdy i mnie otoczyły postaci w uniformach. – Zajmijcie się moim mężem. – Więcej syren. Więcej świateł błyskających na tle nocnego nieba. Samochody policyjne. Usłyszałam słowo „akcelerator”. Zawołałam moją rodzinę, ale nikt nie odpowiedział. Czy Gudrun coś im zrobiła? Czy jej powrót był związany z pożarem?

– Mercy. – Dźwięk własnego imienia wyrwał mnie z zamyślenia. Serce mi drgnęło, gdy rozpoznałam głos Petera. Zdjął z twarzy maskę tlenową. Był blady jak ściana, a ręka cała mu drżała.

– Co tu się stało, kolego? – Pytanie zostało zadane władczy tonem, lecz z niepokojem. Odwróciłam się i ujrzałam Adama.

Peter spróbował się podnieść, ale nie dał rady i usiadł z powrotem.

– Było pusto. Zamykaliśmy już. To coś pojawiło się nagle znikąd – mówił do Adama, czy może raczej do inspektora Cooka, bo jak sądziłam, Adam pojawił się tu oficjalnie. Peter zakaszlał i jakiś ratownik natychmiast chciał z powrotem nałożyć mu maskę, ale on ją odepchnął. Jego zazwyczaj błyszczące oczy były jakby matowe. Oddychał szybko i gwałtownie.

– Ojca po prostu rozszarpało. O Boże. Boże. – Starał się przypomnieć sobie, co było potem. Spojrzał na mnie ze łzami w oczach.

– Ale co się pojawiło?

– Ten człowiek jest w szoku. – Ratownik siłą nałożył Peterowi maskę tlenową. – Nie zdejmuj jej. – Zaświecił mu w oczy latarką. – Przeżył wstrząs, prawdopodobnie ma też złamaną rękę. – Wskazał prawe ramię Petera, które ktoś umieścił na temblaku. Nawet nie zauważyłam kiedy. Zwrócił się do Adama. – Musi pan poczekać z pytaniami, dopóki nie obejrzymy go w szpitalu.

– Inspektorze – krzyknął umundurowany policjant. – Musi pan to zobaczyć!

– Już idę. – Adam objął mnie mocno i pocałował w czoło. Nozdrza mu chodziły. Zaczął coś mówić, ale tamten policjant znów go zawołał, tym razem tonem bardziej niecierpliwym. – Ją też zbadaj – rzucił ratownikowi surowe spojrzenie, które wskazywało, że to nie była zwykła prośba. Już zaczęłam protestować, mówiąc, że dobrze się czuję, ale Adam pogroził mi przed nosem palcem i pobiegł zobaczyć, czego od niego chcą.

Ratownik zapakował mojego męża do karetki, a ja usiadłam obok. Peter nadal próbował się podnieść, ale ratownik zapobiegliwie przytrzymał go na leżąco. Peter obrócił głowę, żeby spojrzeć na mnie.

– Musisz powiedzieć Adamowi.

– Co, kochanie? – Byłam pewna, że majączy.

– Ogień. To był wilk.

Ambulans pomknął na sygnale. Mocno trzymałam Petera za rękę i wpatrywałam się w zgliszcza Magh Meall. Gdy karetka skręciła, widać już było tylko słup dymu ponad dachami.

DZIEWIĘTNASTY

Jestem pewna, że kotwiczący uważali się za szczęściarzy. I chociaż Gudrun wyrwała się z więzienia w innym wymiarze i znów mogła siać chaos w naszym świecie, z ich punktu widzenia ucieczka wiedźmy obyla się bez przelewu krwi. Nie brali, rzecz jasna, pod uwagę kilku ścierwojadów, które zamieniła w popiół. No i nie troszczyli się zbytnio o straty w mojej rodzinie.

Siedziałam przy kuchennym stole, obserwując padający na Savannah deszcz, i przy okazji malowałam paznokcie na skromny róż. Wydawał się odcieniem równie dobrym na pogrzeb jak każdy inny. Nie czułam przejmującego smutku, jakiego powinnam się spodziewać. Byłam po prostu ogłuszona. Wciąż nie docierało do mnie, że rodzice Petera odeszli. Zabici przez mojego brata.

Powinnam była wziąć pod uwagę, jacy bezbronni byli Tierneyowie. Zrobić coś więcej niż rzucenie kilku ochronnych zaklęć. Przewidzieć, że jeśli magia zawiedzie, to ci, którzy chcą nas skrzywdzić, użyją zwykłej, brutalnej przemocy. Colin zginął bezpośrednio z ręki Josefa, a właściwie jego szczęk. Zaatakował raczej pod postacią wilka, nie człowieka. Wilk zdolny do ludzkiego okrucieństwa. Zadrżałam.

Ale Claire Josef nawet nie tknął. Zginęła pod belką, która spadła po wybuchu. Peter chronił ją, już ledwo żywą, dopóki mógł wstrzymać oddech. Złamał rękę i został przysypany gruzem, spadającym z mieszkania Tierneyów do baru.

Coś w moim mózgu krzyczało, że to po prostu nie może być prawda. Że wkrótce obudzę się z tego złego snu. Ale koszmar trwał.

Podmuchałam na paznokcie, żeby lakier szybciej wysechł, i sięgnęłam po rumianek. Ciepło kubka grzało prawą dłoń, lewa spoczywała na chłodnym sznurze pereł na szyi. Białe perły, czarna ciężowa sukienka. Stopy miałam zbyt spuchnięte nawet na płaskie buty – kolejny dodatek do mojej niezwyklej ciąży. W końcu znalazłam praktyczne zastosowanie swojej beużytecznej magii – zmieniłam buty tak, by pasowały.

Wiedziałam, że niedługo będę musiała obudzić Petera. Od trzech dni prawie nie wychodził z pokoju. Nie golił się i nie mył. Iris robiła, co mogła, żeby jadł. Gotowała tylko jego przysmaki i mało brakowało, a zaczęłaby go karmić. Oliver próbował z nim pić, a potem zostawić go, żeby mógł napić się sam. Jeśli chodzi o Ellen, to Peter nawet nie pozwalał jej się zbliżyć. Gdy chciała uleczyć jego ramię, stwierdził, że musi czuć ból. Ze mną prawie nie rozmawiał.

Nie chciał obarczać mnie winą za to, co się wydarzyło, tego byłam pewna, ale czy mogło być inaczej? Patrzył wszędzie, tylko nie na mnie. Błagałam go, żeby podzielił się ze mną swoim bólem, a nie odwracał się ode mnie, ale nie chciał rozmawiać. Obwiniął mnie o śmierć rodziców i, po prawdzie, ja też się o nią obwinałam. Odstawiłam kubek i nałożyłam lakier na paznokcie drugiej dłoni.

Obserwowałam wysychające paznokcie pięciu palców swojej dłoni i przyszło mi na myśl, że przez ostatnie pół roku w mojej rodzinie zmarło właśnie tyle osób. Wliczyłam w to Ginny, bo jakoś czułam, że powinnam, oczywiście Jilo, a nawet Tuckera, bo serce podpowiadało mi, że byli częścią rodziny. Rzecz jasna ani o Connorze, ani o Teague'u nawet nie pomyślałam.

Ani o mojej matce.

Tamten policjant, który zawołał Adama, znalazł przed Magh Meall głowę Emily. Umieszczono ją w wykładanej atlasem szkatułce. Być może nigdy się nie dowiemy, dlaczego

Josef zwrócił się przeciwko niej. Skumała się z socjopata, niewątpliwie wierząc, że może go kontrolować, i pewnie nie podejrzewała, że jej brutalność może kiedyś zwrócić się przeciwko niej. Josef zjednoczył się z Gudrun, a to okazało się zgubne dla Emily.

– Płonące ciała, ostatnia sefira – wyszeptała Maisie, gdy Adam opowiedział nam o znalezisku.

Wszystkie części ciała Emily, niczym upiorne puzzle, zostały złożone w kostnicy jako N.N. Nic nie zrobiliśmy ani nie zamierzaliśmy nic robić, żeby zabrać ją i pochować. Emily Taylor dla świata umarła ponad dwadzieścia lat temu. Ja byłam bardziej niż szczęśliwa, mogąc teraz podtrzymywać tę wersję.

Z początku byłam pewna, że to tylko kolejna sztuczka. Miała moc tworzenia doppelgängerów i z ich pomocą załatwiała swoje sprawy. Sama byłam świadkiem, jak jednego z nich zabił deszcz szklanych odłamków, spadający z sufitu. Ale Iris i Oliver byli w kostnicy i rzucili zaklęcie niszczące wszystko, co powstało z pomocą magii. Nie przyniosło rezultatów. Części ciała rozrzucone wcześniej w Savannah były prawdziwe, a nie stworzone z pomocą magii. To naprawdę było ciało mojej matki.

To wszystko było takie dziwne. Od początku się bałam, że to Emily stała za tym morderstwem i nie potrafiłam przyjąć do wiadomości, że to jej ofiara pozwoliła Gudrun uwolnić się i rozpocząć nową wojnę przeciwko granicy. Wszystko to nie miało sensu. Czy było to morderstwo, kara za to, że nie zdołała uwięzić mnie w Tillandsii, czy też oddała się dobrowolnie, żeby zniszczyć granicę? A może prawda leżała pośrodku? Może musiała umrzeć, ale chciała zrobić to tak, żeby możliwie najwięcej mnie to dotknęło?

Tak, chociaż głowa Emily spoczywała w skrzynce, czułam, że to ona zorganizowała napad na Magh Meall, żeby ukarać mnie za to, że się jej przeciwstawiłam. W przeciwieństwie do Gudrun, Emily nigdy nie ryzykowała frontalnego ataku. Wolała krążyć w ciemnościach i podsycać w nas niepewność i zwątpienie. Odbierała tych, którzy byli dla ciebie najważniejsi, ograniczała poczucie bezpieczeństwa, jednym słowem robiła wszystko, żebyś nie czuł się pewnie. To było w jej stylu, nawet jako pożegnanie.

Cel zaklęcia, do którego posłużyła ofiara w postaci Emily, był oczywisty, nawet jeśli jego mechanizm taki nie był. Gudrun zdołała uciec z wymiaru, w którym zamknięto ją pod koniec drugiej wojny światowej. Naiwnością byłoby mieć nadzieję, że uciekła na Aldebarana, do aryjskiego rajy, do mojej prababki Marii. Teraz, gdy była wolna i wróciła, jej głównym celem będzie rozprawić się raz na zawsze z granicą. Gdyby jej się udało, starożytni władcy prawdopodobnie dobrze by ją wynagrodzili. Zostałaby naszą królową.

Kotwiczący zwołali nadzwyczajne spotkanie. Zjednoczone rody były gotowe do wojny. Członkowie mojej rodziny i ja zostaliśmy wyłączeni z przygotowań, stanowiliśmy bowiem część problemu, a nie rozwiązanie. Fakt, że moja prababka od strony ojca pomogła Gudrun rozpętać wojnę, nie działał na moją korzyść, gdy zgromadzenie mnie osądzało.

Wiedźmy na świecie były teraz zgodne w sprawie opinii na mój temat. Byłam Szkarłatną Kobietą z przepowiedni, wiedźmą, która doprowadzi granicę do upadku. Były jedynie zaskoczone, że nigdy świadomie nie próbowałam zaszkodzić granicy. Moje próby ratowania rodziny i Savannah uważały za niedojrzałe, impulsywne, głupie i samolubne. Zgodziły się, że tym, co doprowadzi świat do upadku, nie będzie wrodzone zło, ale mój charakter. Mimo że Oliver dbał o mój wizerunek jako specjalista od *public relations*, ta opinia była już powszechna. Niemal w każdej chwili spodziewałam się inkwizycji pod naszymi drzwiami. Prawdopodobnie przed takim losem chronił mnie jedynie strach, jaki odczuwała wobec mnie

każda wiedźma na świecie – oprócz tych, którzy na nazwisko mieli „Taylor”, co zresztą też miało związek z działalnością mojego wujka. Kiedy zdał sobie sprawę, że nie przekona nikogo, żeby udzielił mi wsparcia, uznał, że lepiej wzbudzić wobec mnie lęk.

– Tylko dopóki sprawa nie ucichnie – twierdził z pewnym siebie, nawet jeśli nie całkiem przekonującym uśmiechem.

Prawda była taka, że miałam gdzieś, co inne wiedźmy o mnie myślą. Magia nie była dla mnie dostępna przez lata. Nie dbałam o nią. Ludzi, których kochałam, ale kochałam naprawdę, mogłam policzyć na palcach jednej ręki, a teraz straciłam kolejnych dwoje. A może i troje. Nie byłam pewna, czy Peter jeszcze uporządkuje swoje emocje i czy przebaczy mi to, co stało się z jego rodzicami. Rozumiał, że wina nie leży po mojej stronie, ale czuł, że gdyby Claire i Colin mnie nie spotkali, nadal by żyli.

Emily dotrzymała ostatniej obietnicy, którą złożyła. Wiedzę o pochodzeniu Petera zabrała do grobu. Mimo wszystko wbiła jednak pomiędzy nas duży, ostry klin, a jedyna kobieta, która mogła pomóc mi do niego dotrzeć, cóż, za trzy godziny miała spocząć na Laurel Grove wraz z tym, co pozostało z jej męża.

Może gdyby wciąż była z nami Abigail, znalazłaby sposób na uśmierzenie bólu Petera, na przytłumienie go, tak jak zrobiła na początku leczenia Maisie. Nie, zdawałam sobie sprawę, że odrzuciłabym każdą taką propozycję. Nie czułabym się dobrze, robiąc coś za jego plecami. Zresztą, gdyby miało to tak działać, to już powinien czuć się lepiej, szczególnie w świetle ilości whiskey, które wypijał.

„Podpalenie czy morderstwo?” – brzmiały nagłówki gazet dzień po pożarze. Artykuł wskazywał, że chociaż jeszcze nie wiadomo, co było przyczyną pożaru, to rzecznik prasowy policji poinformował o znalezieniu dowodu na użycie akceleratora. Gazeta nie wspominała słowem o wyściełanej atlasem skrzyneczce. Komisarz musiał zdecydować o zatrzymaniu tego faktu dla siebie do czasu identyfikacji zwłok.

Ale ludzie gadali i gdy zaczęły krążyć pogłoski, że Tierneyowie sami podłożyli ogień, Adam poprosił o odsunięcie go od śledztwa.

– Nawet nie wiesz, jak mnie to wkurza – wyznał. – Wiem, kto za tym stoi, ale nic nie mogę zrobić. Nie pójdę do szefa i nie powiem mu, że cała ta sprawa to ćwiczenie z magicznych powiązań.

Ponieważ Adam nie mógł potwierdzić, że istnieje związek między rozczłonkowanym ciałem a naszą rodziną, jego prośbę oddalono. Jako oficjalny powód podano, że wdrożenie w sprawę kogoś nowego zajęłoby zbyt dużo cennego czasu. Tak naprawdę jego szefowie chcieli, żeby dostał kopniaka – nie miał teraz łatwego życia z powodu związku z moim wujkiem.

Adam nalegał, by stłumić plotki, podając prasie, że Tierneyowie padli ofiarą nieznanego zbrojcy i że ani Peter, ani jego rodzice nie mieli nic wspólnego z pożarem. Gdy Peter zobaczył, że dobre imię jego rodziny zostało oczyszczone, ulżyło mu. No, może trochę. Ale nie na długo. Znowu pogrążył się w swojej otchłani.

Wzięłam kolejny łyk rumianku i zebrałam się w sobie, by go obudzić. Poczułam drgnięcie, wibrację, którą natychmiast połączyłam z Maisie. Spojrzałam na drzwi jeszcze zanim weszła. W skromnym ubraniu, które włożyła na pogrzeb, wyglądała jak bibliotekarka.

– Mam nadzieję, że może być – powiedziała cicho, jakby najmniejszy hałas mógł mnie spłoszyć. – Kochałam Claire i Colina. Chcę ich pożegnać. Proszę, powiedz, że mogę iść.

Wyciągnęłam do niej rękę, a ona podeszła i chwyciła je.

– Jeśli czujesz się gotowa, by stawić czoło światu, na pewno nie powiem „nie.” – Potem uderzyła mnie nieprzyjemna myśl i dodałam: – Tylko nie wchodź Peterowi w drogę, okej? Nie jest ostatnio sobą.

DWUDZIESTY

Przestało padać i mimo odczuwalnego chłodu kilka promieni światła przedarło się przez zasłone chmur. W Savannah wszyscy kochali Claire i Colina, więc chociaż nie wszyscy żałobnicy przeszli z nami z kościoła na cmentarz, miejsce ostatniego spoczynku rodziców Petera otaczał tłum ludzi. Maisie stanęła z boku, po drugiej stronie zgromadzenia.

Iris skanowała wzrokiem tłum, uważnie obserwując ludzi stojących na drodze aż do bramy cmentarza. Wiedziała, że szuka Sama, mając nadzieję, że postanowił do nas dołączyć. Zadzwoiła do niego i zostawiła wiadomość o czasie i miejscu pogrzebu. Nie przyszedł do kościoła i wątpiłam, żeby pojawił się tutaj, ale nie miałam serca odbierać ciotce nadziei. Sam może i nie miał uczulenia na magię, ale myślę, że zawładnięcie ciałem przez demona każdego może skutecznie do niej zniechęcić. Iris poczuła na sobie mój wzrok i zerknęła na mnie.

– Trzeba być silnym, żeby kochać Taylora. – Poklepała mnie po ręce. – Sam najwyraźniej nie był.

Miałam nadzieję, że Peter w końcu okaże się wystarczająco silny. Koledzy wzięli go na bok. Otoczyli go i byłam pewna, że zamierzają kontynuować czuwanie rozpoczęte nad grobem. Oliver ruszył, by przypilnować, żeby Peter nie wypił za dużo. Czułabym się pewniej, gdyby był z nami również i Adam – nie dysponował magią, ale był jak opoka. Byłam pewna jego bezwarunkowej lojalności, a ostatnio to poczucie rzadko mi towarzyszyło. Wyglądało jednak na to, że praca nie pozwoli mu do nas dołączyć. Mogłam jedynie łapać spojrzenia Petera, rzucane zza otaczających go kolegów. Zebrałam się w sobie, by zacząć żegnać ludzi, ale moje zamiary zakłócił głos dochodzący zza moich pleców:

– Mam nadzieję, że nie macie mi za złe, że przyszłam. – Obróciłam się i ujrzałam stojącą z boku Jessamine. Podeszła wystarczająco blisko, żebyśmy ją usłyszeli, ale zachowała bezpieczną odległość. – Posłuchaj, wiem, że to nie czas ani miejsce na rozmowy, ale... – Nerwowo poprawiła swoje kasztanowe włosy. – Chciałam, żebyś wiedziała, że wracam dziś do domu. Po południu mam samolot. – Przeniosła wzrok na Iris. – Wiem, że wiesz... o mnie. Kim jestem. Gdy mnie dotknęłaś, zobaczyłam to w twoich oczach. – Znów zerknęła na mnie. – Słyszałam o tym... wszystkim. Po prostu chciałam, żebyście przyjęli moje kondolencje. Przepraszam. Nie powinnam była przychodzić.

Złapałam ją szybko za ramię.

– Dlaczego przyszłaś? Nie dziś. Wtedy.

Zaczęła mówić, ale urwała. Zacisnęła wargi. W końcu znalazła odpowiednie słowa.

– Czułam się, jakby Jilo nas zdradziła. Gdy się dowiedziałam, że się z tobą zaprzyjaźniła, nie mogłam w to uwierzyć. Musiałam cię zobaczyć. – Chmura przesłoniła słońce i dostrzegłam gęsią skórę na jej przedramieniu. – Byłam pewna, że cię znenawidzę. – Potarła dłonią odsłoniętą skórę. – Chciałam cię znenawidzić. Dorastałam, wierząc, że jesteście potworami, ale gdy zobaczyłam was na żywo, zrozumiałam... – Objęła się ramionami. – Zrozumiałam, że za to, co zrobił dziadek, nie jesteście ani trochę bardziej odpowiedzialni niż ja. Zobaczyłam, że jesteście... może nie zwykłymi ludźmi, ale też na pewno nie jakimiś zwyrodnialcami. No i zaczęłam się zastanawiać, czy to nie moja rodzina należy do szczęśliwców. – Spojrzała na wciąż otwarte groby. – Cała ta magia chyba nie daje wam szczęścia. – Zamilkła, jakby wytracona z równowagi. – Przepraszam, nie mam prawa zawracać wam głowy, zwłaszcza dziś i zwłaszcza w ten sposób. Pójdę już.

– Zostań, proszę – powiedziałam zupełnie instynktownie. Ściągnęła delikatnie usta,

odsuwając się ode mnie.

– Tak – poparła mnie Iris, a Ellen się przesiadła, by Jessamine mogła usiąść pomiędzy nimi. Dziewczyna rzuciła mi jeszcze jedno niepewne spojrzenie, ale przysiadła na krześle. Iris żałowała, że tak bardzo chciała obwinić Jessamine o to wszystko, wiedziałam o tym. Zrodziło się to z bólu, z rozczarowania fałszywym obrazem ojca, który nosiła w sobie. Była szczęśliwa, że może poukładać sprawę ze swoją nową bratanicą.

Ellen zdjęła ciemne okulary, za którymi ukryła zaczerwienione oczy, i odsunęła je na czubek głowy.

– Mamy rodzeństwo, którego nigdy nie widzieliśmy – stwierdziła, jakby dotarło to do niej dopiero teraz. Tak naprawdę pewnie właśnie tak było.

– Tak, siostrę i brata, mojego ojca. – Jessamine patrzyła na mnie. – A ty masz też innych kuzynów.

Iris ostrożnie położyła rękę na dłoni dziewczyny.

– Okoliczności, które doprowadziły do naszego spotkania, były dość – zawahała się, szukając odpowiedniego słowa, ale chyba się poddała – nieszczęśliwe. Mam nadzieję, że będziemy mogli to nadrobić. Gdy to wszystko już się skończy.

Jessamine przez chwilę patrzyła bez słowa przed siebie, po czym skinęła głową.

– Nie mogę wypowiadać się za moją rodzinę, ale myślę, że ja bym chciała.

Ksiądz odchrząknął i wśród zebranych zapadła cisza. Znajomi Petera rozproszyli się i Oliver poprowadził go w naszym kierunku. Peter coś powiedział, a wujek odpowiedział skinieniem. Jeśli był zaskoczony obecnością Jessamine, to nie dał tego po sobie poznać. Co do mojego męża, nie byłam nawet pewna, czy w ogóle ją zauważył.

Zebrani otoczyli nas ciaśniejszym pierścieniem. Drewniane, składane, białe krzesła uniemożliwiały żałobnikom zbliżenie się do grobu, wielu z nich stało więc, przestępując z nogi na nogę, a niektórzy opierali się o siebie. Byłam szczęśliwa, że nie muszę stać, ale obraz tych krzeseł przypominał mi moje wesele, które odbyło się zaledwie kilka tygodni temu.

Upłynęło tak mało czasu, odkąd Peter i ja złożyliśmy przysięgę, a mnie się wydawało, jakby minęło wiele pokoleń. Ledwo rozpoznawałam mężczyznę, który stał przede mną.

Wyglądał na nieszczęśliwego w nowym ciemnym garniturze. Swój drugi garnitur nosił od szkoły średniej i spodnie były znacznie bardziej wyblakłe niż marynarka. Nie było mowy, żeby zaciągnąć go do sklepu, bo od czasu pożaru prawie nie wychodził z łóżka. Oliver wziął miarę ze starego garnituru i dokonał koniecznych poprawek. Zwężona marynarka będzie idealnie leżała, gdy Peter pozbędzie się gipsu, na razie jednak wisiła na nim, luźno narzucona na ramiona, a mój mąż wyglądał, jakby tylko marzył, żeby ją zrzucić. Po sposobie, w jaki na mnie patrzył, domyśliłam się, że najchętniej rzuciłby i mnie.

Chwyciłam go za rękę. Spojrzał na mnie z góry i przez jedną króciutką chwilkę w jego spojrzeniu dostrzegłam czułość. Ten moment minął, gdy ksiądz zaczął mówić. Chciałam utrzymać na sobie jego spojrzenie choć sekundę dłużej. Przeszedł mnie dreszcz, a wraz z nim pojawiło się przecucie, że już nigdy tak na mnie nie spojrzy. Przytrzymał moją dłoń, ale odwrócił oczy. Wiedziałam, że nie słucha słów księdza. Wzrokiem skanował okolice, jakby się kogoś spodziewał.

– Pewni nadziei zmartwychwstania...

Do mojej świadomości przebiły się słowa kapłana. Popatrzyłam w dół, na bliźniacze groby okolone ramą trawnika. Coś mnie w tym zdaniu uderzyło. Zmartwychwstanie wcale nie było pewne, jedyną pewną rzeczą była nadzieja. Gdy ta myśl przyszła mi do głowy, siedząca

po mojej prawej stronie Iris wyciągnęła rękę i przyciągnęła mnie do siebie. Z ulgą złożyłam głowę na jej ramieniu i zamknęłam oczy, pozwalając promieniom słońca grzać moją twarz.

Peter mocniej ścisnął mnie za rękę i poczułam wędrujące od niego wibracje.

Wyprostowałam się i spojrzałam na niego. Siedział z niespokojną miną i zmarszczonym czołem. Na jego skroniach perlily się krople potu. Wyglądał, jakby wyczuł coś dziwnego, co działo się na obrzeżu cementarza. Przebiegał wzrokiem po krzakach w oddali. Też tam spojrzałam. Nikogo nie dostrzegłam, ale wyczuwałam jakiegoś nieproszonego gościa. Dotknęłam ramienia Iris i wskazałam miejsce, gdzie według mnie czaił się intruz. Zmrużyła powieki, zwróciwszy twarz w tamtą stronę, ale po chwili zerknęła na mnie i delikatnie pokręciła głową. Uniosła brwi i lekko wzruszyła ramionami. Niczego nie wyczuła.

Peter obejrzał się na mnie, a jego piękne, dwukolorowe oczy nabrały metalicznego blasku rtęci, zdradzając pochodzenie od *Fae*. Nie wiedziałam, czy tę zmianę mógł dostrzec każdy, czy też krew wiedźm pozwalała na to tylko mnie.

– Słyszysz to? – zapytał głośno, przerywając księdzu, który właśnie kończył przemówienie.
– Oni się śmieją. – Puścił moją rękę i wskazał miejsce, z którego, jak sądził, dobiegał śmiech.

Kapłan urwał zmieszany.

– Oczywiście, są w domu Pana – odparł. Najwyraźniej opacznie zrozumiał Petera albo uznał go za nie do końca zdrowego na umyśle. Obdarzył nas szerokim uśmiechem i szybko zaczął kolejną modlitwę.

Ale Peter już mnie puścił, zerwał się i zaczął się przebijać przez zgromadzonych ludzi, jakby grał w *red rover*.

– Ja to zrobię – zawołał za nim Oliver. – Peter, wracaj!

Każdy z nas, każdy, kto znał Olivera, od razu zrozumiał, że to nie jest zwykła prośba. Mój wujek miał moc przekonywania innych, by robili to, czego sobie życzył. Odwrócił się jednak do nas skołowany, bowiem Peter, nic sobie z niego nie robiąc, szedł dalej.

– Nie stój tak – powiedziała Iris. – Idź za nim.

– Ja się do tego nie nadaję. – Oliver pokręcił głową i zaczął się przepychać pomiędzy żałobnikami, którzy na chwilę zapomnieli o Colinie i Claire i śledzili wzrokiem mojego odchodzącego męża.

– Peter! – zawołałam, ale nie zareagował. Nawet nie zwolnił. Szedł prosto przed siebie, przeskakując nagrobki i zmierzając do jakiegoś celu, którego nie mogłam nawet dostrzec.

DWUDZIESTY PIERWSZY

Kiedy Peter odszedł, wszyscy ulotnili się w niezręcznej atmosferze. Kondukt, który przybył na cmentarz uporządkowany i spokojny, wychodząc, przypominał ostatnie okrążenie podczas wyścigów samochodowych. Jedyne kilka osób podeszło, by wziąć mnie za rękę albo szybko pocałować w policzek. Większość z nich, jak sądziłam, czuła w kościach, że to Taylorowie są winni śmierci Colina i Claire, a zachowanie Petera tylko potwierdzało, że oszalał, gdy żenił się z jedną z nas. Co miałam powiedzieć? Jeśli chodzi o punkt pierwszy, mieli rację, i bardzo prawdopodobne, że również jeśli chodzi o drugi.

Mimo wszystko byłam serdeczna dla wszystkich, którzy do mnie podchodzili, a jednocześnie obserwowałam bramę i nasłuchiwałam w nadziei, że Oliver da znać, co się dzieje. Gdy tylko ludzie się rozeszli, wsunęłam się za drzewo, żeby nikt mnie nie widział, i zamknęłam oczy, koncentrując się na mężu. Spodziewałam się, że w mgnieniu oka znajdę się przy nim. Poczułam ciepło promieni słonecznych. I kilka kropli deszczu. Ale nie poczułam Petera.

– Nie mogę go znaleźć. Nawet go nie wyczuwam. – Czułam narastającą we mnie wszechogarniającą panikę.

– Wszystko będzie dobrze, kochanie. – Głos Iris dochodził z drugiej strony pnia. Zagarnęła mnie ramieniem i poprowadziła do reszty rodziny.

Jessamine położyła mi rękę na ramieniu.

– Nie chcę cię tak zostawiać, ale samolot...

– Oczywiście – odparła za mnie ciotka. – Rozumiemy. Cudownie, że przyszedłś.

Chwyciłam ją za rękę.

– Dziękuję.

Uśmiechnęła się niepewnie.

– Nie martw się. Jestem pewna, że twój mąż dojdzie do siebie. Teraz cierpi, ale z czasem to minie. – Uścisnęła moją dłoń. – Będziemy w kontakcie. Do zobaczenia. – Puściła mnie i ruszyła w stronę wynajętego samochodu.

– Ma rację. Na pewno wszystko z nim w porządku – stwierdziła Maisie, nawet jeśli nie brzmiało to zbyt pewnie.

Ellen skinęła, że też się z tym zgadza.

– Jedźmy do domu. Pewnie już tam jest. – Wszyscy wiedzieliśmy, że to nieprawda, ale zaczynał padać deszcz, a limuzyna czekała.

Stalowszare niebo ciemniało, kontrastując z wymuszoną wesołością sznurów lampek rozwieszonych na werandach domów, które mijaliśmy, jadąc drogą prowadzącą z cmentarza. Świecący, zbyt mocno nadmuchany bałwan tańczył na wietrze, uderzany bez litości strugami deszczu. Kolejne światła, tym razem białe-czerwone, wypełniły wnętrze auta, rzucając zabawne, wirujące cienie. Za nami włączyły się syreny i kierowca miękko zjechał na pobocze.

– Panie wybaczą – odezwał się. – Nie wiem dlaczego...

Podskoczyłam, słysząc stukanie w moją szybę. Była zamglona, a obraz rozmyty przez krople deszczu, ale rozpoznałam Adama. Nacisnęłam przycisk i szyba się opuściła.

– Mercy, musisz pójść ze mną.

– Co się stało? – zapytała Iris, przechylając się do przodu.

– Mamy mały problem z Peterem. Nie ma czasu na wyjaśnienia.

Otworzył drzwi i rozpiął mi pas, jakbym była dzieckiem. Woda z jego nieprzemakalnej

kurtki połała się na mnie, ale wyciągnął mnie z samochodu bez słowa. Poczłapałam w ulewie i wcisnęłam się na siedzenie radiowozu. Gdy wsiadałam, Adam położył mi rękę na głowie, chroniąc ją przed uderzeniem. Wyciągnął pas, dłuższy o kilka centymetrów, niż powinien być, i zapiął mnie. Poprawiłam się, szukając bardziej wygodnej pozycji, a Adam zatrzasnął drzwi. Cieszyłam się, że ten radiowóz nie miał oddzielonej, zakratowanej przestrzeni za siedzeniami.

Adam zajął miejsce pasażera i nakazał policjantowi za kierownicą:

– Ruszaj.

Syrena zawyła, a my popędziliśmy ulicą, ignorując wszystkie znaki STOP i czerwone światła po drodze – przy każdym z nich kierowca okazywał tylko lekkie wahanie. Przez tylne okno widziałam światła auta podążającego za nami.

– Co się stało? Z Peterem wszystko w porządku? – spytałam, zmuszając Adama, by obejrzał się na mnie przez ramię.

– Peter jest na Talmadge Bridge i wygląda, jakby zamierzał skoczyć.

– Niemożliwe – odparłam odruchowo.

Adam westchnął.

– Cóż, mam nadzieję, że masz rację, ale nawet jeśli o tym nie myśli, to jest na moście i balansuje na krawędzi. Próbowaliśmy z nim rozmawiać, ale nie odpowiada. Pomyślałem, że może z tobą...

– Oliver tam jest? Poszedł za Peterem.

– Najwyraźniej pozwolił mu uciec.

Zmarszczył czoło, wpatrzony w mnie. Czyżby przyszło mu do głowy, że Peter mógłby coś zrobić mojemu wujkowi? Nie, nawet zważywszy na jego ostatnio dziwne zachowanie, Peter nie skrzywdziłby muchy. Zaczęłam dygotać, zarówno ze strachu i przyływu adrenaliny, jak i z zimna. Adam zdjął kurtkę.

– Włóż to. – Posłuchałam go, bardziej wdzięczna za troskę niż za kurtkę. Zmusił się do uśmiechu. – Prawie jesteśmy – rzucił i zgasił syreny.

Most w obu kierunkach był wyłączony z ruchu, a na jego krańcach stały wozy strażackie i policyjne, blokując wjazd. Serce stanęło mi na widok karetki.

– To tylko środki ostrożności. – Adam zdawał się czytać w moich myślach.

– Co wy jesteście, jakieś więdźmy czy co? – zażartowałam, gdy samochód się zatrzymał, wciąż ledwo żywa ze strachu.

Prychnął z rozbawieniem.

– Nie, gdybym miał jakieś magiczne moce, to mieszkałbym teraz na mojej prywatnej słonecznej wyspie. Chyba każda wiedźma, która ma choć trochę rozumu, tak by zrobiła. A teraz chodźmy dogadać się z tym twoim mężem, co?

Pokiwałam głową, a Adam wyskoczył z radiowozu. Sięgnęłam ręką w stronę klamki, ale zanim zorientowałam się, że jej nie ma, Adam już otworzył mi drzwi. Deszcz zelżał i przez moment jedynie mżyło. Skinął głową.

– Tam.

Spojrzałam w kierunku, który wskazał, i zobaczyłam plecy ustawionych w półkole ratowników. Adam poprowadził mnie w stronę odblaskowych skafandrów.

– Już jest. – Na słowa Adama rozstąpili się, akurat na tyle, żebym mogła zobaczyć tył głowy mojego męża. Zdałam sobie sprawę, jak niepewnie siedzi na krawędzi mostu, za barierką, machając nogami nad przepaścią. Adam uściśnął pokrzepiająco moje ramię i przeszliśmy między jego kolegami.

– Peter – powiedziałam delikatnie. Głos mi drżał. Nie odpowiedział. Był wpatrzony w coś na horyzoncie. – Wiesz, wszyscy się o ciebie martwimy. – Stałam tuż obok, ale bałam się go dotknąć.

Odwrócił się do mnie i serce niemal mi stanęło. Chwycił mnie i pociągnął, aż niemal przeleciałam nad barierką.

– Przerażasz mnie. – Próbowałam uwolnić jedną rękę, a on mnie objął i wskazał niebo po lewej.

Zdałam sobie sprawę, że jego lewa ręka jest w porządku, a gips zniknął. A przecież od momentu, gdy wybiegł z cementarza, minęło tak niewiele czasu. Może nie władał magią, ale ona z pewnością działała w nim. W tym momencie poczułam dłoń Adama, zaciskającą się na moim ramieniu jak imadło. Zrobiłam krok w tył, w jego stronę, a Peter, świadom, że mój strach zmienia się w złość, puścił mnie.

– To tam, Mercy. – Opuścił rękę. Zwalczyłam w sobie chęć chwycenia go za włosy i wciągnięcia na bezpieczny most.

Wzięłam głęboki wdech.

– Co tam, kochanie?

Zrobiło mi się ciepło na sercu, gdy odwrócił się do mnie i szeroko się uśmiechnął do mojego brzucha.

– Hej, chłopaku – powiedział do naszego syna. – Teraz już wszystko będzie dobrze, wiesz? – Pokiwał głową, a ja dostrzegłam srebrzysty błysk w jego oczach.

– Tak. Tak będzie – odparłam, delikatnie zdejmując rękę Adama ze swojego ramienia.

Podeszłam o krok do barierki. – Wszystko będzie dobrze, ale teraz czas już wracać do domu.

– Którego domu? – Spojrzał w dół i ogarnął wzrokiem Savannah, po czym nachylił się i wpatrzył w nurt rzeki. – Tam jest mój dom. Właśnie tam. Na wyciągnięcie ręki. Mój prawdziwy dom. Teraz to wiem. Nasz mały Colin mi powiedział.

– Jemioła. – Irracjonalna myśl napłynęła gdzieś z podświadomości, chociaż rozum nie miał nawet czasu jej ogarnąć. Odruchowo zakryłam brzuch rękami i przez ułamek sekundy dostrzegłam na horyzoncie to, co tak przyciągnęło uwagę mojego męża. Okno, lśniący portal do zielonego świata, gdzie, niczym w środku lata, wciąż świeciło słońce. Nikt spośród niemagicznych ludzi nie byłby w stanie go zobaczyć – twarz Adama powiedziała mi, że nie ma pojęcia o istnieniu tego portalu, o tym, że jest tak blisko. Sama już raz dostrzegłam błysk światła z tego świata, gdy granica zmieszała swoją moc z rosnącą we mnie mocą *Fae*. Peter przesunął się kilka centymetrów do przodu, a ja niemalże krzyknęłam, gdy się zachwiał. Złapał się w ostatnim momencie.

– Chcesz tam iść? – zapytałam go. Spojrzał na mnie. Na moment przyciągnęłam całą jego uwagę.

– Chcę iść do domu. Pragnę tego bardziej niż czegokolwiek na świecie. – Zabolalo. Pragnął tego bardziej niż bycia przy narodzinach swojego syna. Bardziej niż dzielenia ze mną życia.

– Mogę to dla ciebie zrobić – powiedziałam. – Mogę pomóc ci wrócić do domu. Wiesz, że jeśli ktokolwiek może to zrobić, to tylko ja.

Uwielbienie. To było to. Jedyne słowo, które mogło opisać jego minę.

– Pomogę ci, ale musisz ze mną pójść. – „Tak. Mogę ci pomóc mnie zostawić. Zostawić twojego syna”. Czułam, jakby moje serce przebijały lodowe igły, ale wyciągnęłam dłoń. – Musisz ze mną pójść. – Na chwilę, która niemal odebrała mi dech w piersi, stracił

równowagę, ale w końcu stanął pewnie na nagi. Przeskoczył barierkę, objął mnie i obrócił mnie w powietrzu. Pierwsi ratownicy już byli gotowi, żeby mi go wyrwać.

– Nie. – Powstrzymałam ich. – Wszystko w porządku.

Peter trzymał mnie mocno i całował w czoło, we włosy. Wtulił w nie twarz i odetchnął głęboko, a potem całował moje usta i policzki, nawet nie zauważając płynących po nich łez. Odgrodziłam się od moich emocji, odwróciłam się od nich i zmieniałam się w przewodnika. Mówi się, że z powodu złamanego serca nikt jeszcze nie umarł, ale nawet jeśli to prawda, w tamtej chwili byłam pewna, że będę pierwsza. Zmierzę się z tym później. Później będę cierpieć. Peter postawił mnie na nogi i raz jeszcze pocałował w czoło, w usta. Nie z powodu pożądania czy miłości. To było pożegnanie.

Odsunął się i potulnie pozwolił się zaprowadzić do czekającej karetki. Po raz drugi w ciągu kilku dni. Wzięłam głęboki oddech, obserwując, jak ratowniczką świeci mi w oczy.

– Coś ty brał, kolego? – Naprawdę to usłyszałam, czy po prostu przeczytałam jej myśli?

Cofnęłam się odrobinę i patrzyłam, co się dzieje. Jakiś policjant podszedł do radiowozu i po krótkiej rozmowie z technicznymi przykuł Petera do noszy.

– Siedemdziesiąt dwie godziny na obserwacji psychiatrycznej.

Różne strzępy myśli w służbowym żargonie obiegiły zgromadzonych policjantów i strażaków, tworząc niemalże pieśń. Gdzieś dalej widziałam Maisie i ciotki, próbujące dostać się za żywą barierę, ustawioną przez policję.

– Jesteśmy rodziną – usłyszałam Iris. Mówiła takim tonem, jakby to było prawo starsze i ważniejsze niż wszystkie inne. I może miała rację.

Adam stał krok ode mnie. Rozmawiał przez telefon. „Też cię kocham” odpowiedziało mi, że rozmawiał raczej z moim wujkiem niż z komendą.

Zaskoczył mnie dźwięk syren. Ambulans odjechał, a ja rzuciłam się za nim. Adam złapał mnie za rękę.

– Chcę z nim jechać! – Wrywałam mu się.

– Ja cię zawiozę. Nie martw się, będzie dobrze. Wszystko się ułoży.

– Nie. – Spojrzałam na Ellen, Maisie i Iris, torujące sobie drogę przez tłumek policjantów. Na karetkę, która nabierała prędkości, błyskając światłami i wyjąc. – Nie ułoży się.

DWUDZIESTY DRUGI

Czym jest magia? Kiedyś myślałam, że to klucz do społeczności wiedźm, droga na skróty do sukcesu, ratunek w przypadku wszelkich niebezpieczeństw i zabezpieczenie przed stratami. Myliłam się. Jak wszystko inne w życiu, magia jest rozwiązaniem, które jedynie przysparza jeszcze więcej kłopotów.

To nieprawda, że magia jest wszędzie wokół nas, ale potencjał magiczny rzeczywiście tkwi we wszystkim. Każda rzecz utkana jest z energii, a gdzie jest energia, tam jest i potencjał. Magia to tylko odblokowanie tego potencjału i użycie go po swojemu. Prawdziwe wiedźmy mają zapisaną w DNA zdolność do używania energii.

Magiczni wyrobownicy, ludzie, którzy urodzili się bez mocy, ale nauczyli się czerpać ze strumienia magii, tacy jak moja kochana Jilo, muszą ciężiej pracować – korzystając z powiązań oraz umiejętności dostrajania się – aby osiągnąć swoje cele. Ale nawet prawdziwe wiedźmy, a przynajmniej te sprytniejsze spośród nich, paru sztuczek nauczyły się od tych, którzy sami zdobyli moc, a nie tylko od tych dziedziczących ją w sposób naturalny. Przy korzystaniu z potężnej magii i rzucaniu zaklęć, na których efektach szczególnie nam zależy, nawet prawdziwe wiedźmy pomagają sobie, używając pewnych narzędzi i magicznych podpór. Wybierają też najkorzystniejsze miejsce i czas do rzucenia zaklęcia.

Staliśmy na skrzyżowaniu Jilo. Ja i moja rodzina. Zaklęcie, nad którym właśnie pracowaliśmy, aż się prosiło o miejsce naturalne, a jednocześnie wzmocnione magią. Skrzyżowanie było ukryte w gaju i służyło Jilo jako miejsce uprawiania magii przez dziesięciolecia. Poza tym sam fakt, że to miejsce należało do niej, czynił mnie silniejszą. Tej nocy potrzebowałam całej siły, jaką mogłam wyblagać, pożyczyć czy ukraść. Wycelowałam palcem w ziemię i wyrysowałam pentagram w kole. Białe światło padło na twarz Olivera, podkreślając kształt jego czaszki. Śmierć i strata. Gdy dorastałam, byłam głodna magii. Niby akceptowałam zdolności mojej rodziny, ale potajemnie wszystkim im zazdrościłam. Byłam taka głupia. Magia w ogóle nie dała mi radości. Wszystko przez nią straciłam. A teraz miałam jej użyć, żeby odszedł ode mnie Peter.

Po wypadku na moście mój mąż spędził trzy dni na obserwacji. Oczywiście Oliver mógł wymusić dla niego wcześniejsze zwolnienie, ale on i ciotki spędzili trzy bezsenne noce, próbując znaleźć sposób na odwrócenie szkody, którą niechcący spowodował Colin, próbując pocieszyć swojego tatę. Pozwoliłam im na to, bo wiedziałam, że dla własnego spokoju będą potrzebować poczucia, że zrobili wszystko, co było możliwe.

Pozwolono mi odwiedzać Petera, chociaż podejrzewałam, że tak liberalna postawa policji była efektem działań Olivera. Siedziałam z mężem godzinami, obserwując, jak wycofuje się z naszego świata. Był coraz cichszy, aż w końcu nie było już między nami żadnych słów, a jedynie błagalne spojrzenia.

Lekarze ze swej strony próbowali dodawać nam otuchy. Robili badania i konsultowali się ze sobą. Podawali lekarstwa. Pytali i próbowali sobie tłumaczyć odpowiedzi Petera. Nie potrafili wyjaśnić tego, co mu się przydarzyło. Byli dobrymi ludźmi. Robili, co mogli. Ale wiedziałam, że tylko odwlekają nieuniknione. Peter nie był główną częścią mojego życia, był całym moim życiem przez ponad połowę jego trwania. Byliśmy nierozłączni w dzieciństwie, bawiliśmy się, łaziliśmy, łamaliśmy zasady, a czasem nawzajem łamaliśmy sobie serca. Kochałam go całą duszą i nie wyobrażałam sobie życia bez niego. I w jakiś sposób czułam się zdradzona. Ale nie mogłam zaprzeczyć, że naszą przygodę zakończyliśmy wspólnie.

Próbowałam się przygotować, wzmocnić się przed uderzeniem.

Teraz, w momencie załamania, chciałam, żeby świat się zatrzymał. Żeby moje serce przestało bić, a duszę pochłonięła pustka, ale nic takiego się nie stało.

Bez słowa zajęliśmy przynależne nam miejsca na ramionach gwiazdy. Z mojej perspektywy, Ellen stała na niższym prawym ramieniu. Miała największe zdolności do odblokowywania potencjału ziemi, świata materialnego. Naprzeciwko niej, na lewym ramieniu, stanął Oliver, złoty chłopak naszej rodziny, obdarzony, jak się zdaje, wieczną młodością i zdolnością osiągnięcia zamierzonych celów bez względu na wszystko.

Reprezentował siłę wody, cierpliwość i energię, która nawet skałę potrafi rozkruszyć w pył. Spojrzał na mnie. Uśmiechnął się pokrzepiająco, ale w jego oczach czaił się strach. Bał się, że tego nie przetrwam, a jeśli nawet, to że zmienię się nie do poznania. I miał rację, że się martwił. Jego serce krwawiło za mnie, ale ja nie mogłam pozwolić sobie na ból. Jeszcze nie teraz. Musiałam to zrobić. Odwróciłam się do Iris, która stała po mojej prawej stronie, w miejscu na pentagramie związanym z potencjałem powietrza. Iris mogła latać. Myśl, że ona tak po prostu umie wzlecieć do nieba, nigdy nie przestanie mnie zdumiewać. Nawet w takich momentach.

Maisie stała w miejscu ognia, odziedziczonego po obojgu rodzicach pierwiastka, który nas łączył. Pragnienie, żebym jej zaufała, żebym zaczerpnęła od niej siłę, było wyczuwalne.

Gdy wszystkie ważne punkty na pentagramie zostały zajęte, nie mogłam nie zauważyć, jak posiadane przez nas moce nas samych zawiodą lub działają przeciwko nam. Ellen, która z taką łatwością leczyła innych, sama musiała polegać na codziennych spotkaniach grupy AA, żeby jakoś się trzymać. Iris bez trudu wznosiła się w powietrze i wlatywała ku niebu, a przez większość życia była przykuta do męża, który nękał ją psychicznie i – jak się okazało – również fizycznie. Z kolei zdolności Olivera do przekonywania innych doprowadziły do śmierci młodej dziewczyny i jej nienarodzonego dziecka. Wujek udawał, że pozbył się poczucia winy, ale widziałam, że oplotło się ono wokół jego serca i nadal tam tkwi. Wiedziałam, że za każdym razem, gdy patrzy na Adama, zastanawia się, jak wyglądałby jego syn, kim byłby w przyszłości. Podejrzewałam, że Adam myśli o tym samym. Czy kiedyś znajdą sposób, żeby się z tym uporać, czy też będą tylko krążyć wokół problemu?

W końcu moja siostra. Magia niemalże pożarła Maisie żywcem. Skaziła każde jej słowo i uczynek. Czy w ogóle znałam siostrę? Ziarno zdrady zasiano między nami jeszcze w łonie matki. Zaufałam jej z wyboru. Zaufałam, że zło, które nią zawładnęło, nie pochodziło z jej wnętrza. Czy przyjdzie mi za ten wybór zapłacić? Czułam, że tak, w ten czy inny sposób.

No i ja. Ta, która dorastałam z dala od magii, tylko po to, żeby teraz mogła mnie ona rozjechać jak rozpedzony pociąg. Stałam w najwyższym punkcie pentagramu, na miejscu ducha, miejscu mocy, bo to ja miałam rzucać zaklęcie.

– Peter! – zawołałam w stronę ciemności. – Musisz stanąć w środku.

Podszedł miarowym, ostrożnym krokiem.

Chciałam krzyknąć, że go kocham, ale wiedziałam, że to jak rzucać grochem o ścianę. Moje serce i umysł sprzeczały się ze sobą, a jednocześnie w jakiś sposób się zgadzały: mężczyzna, którego znałam, którego poślubiłam, odszedł. Gdyby rodzice Petera nie umarli, nasze dziecko nie próbowałoby go pocieszyć, mówiąc, że jego prawdziwa matka wciąż gdzieś tam jest, w świecie *Fae*, i że go kocha. Ale co się stało, już się nie odstanie.

– Spójrz na mnie – nakazałam łamiącym się głosem.

Oczy lśniły mu srebrem w blasku nocy. Wszelka miłość, którą mnie darzył, przestała

istnieć.

Obserwowałam, jak się miota, tocząc z góry przegraną bitwę ze swoją prawdziwą naturą. Jak Peter, którego kochałam, umiera każdego dnia odrobinę bardziej, aż w końcu ginie, pozostawiając za sobą tylko poranione stworzenie, desperacko próbujące uciec ze świata, do którego nie należało. Wrócić do ludzi, którzy tak długo byli dla niego niedostępni. Dziecko, które kiedyś na dźwięk głosu swojego taty niemalże tańczyło w moim brzuchu, teraz zamarło. Prawdopodobnie nigdy nie zdołam wypełnić pustki, którą pozostawi po sobie Peter, ale zrobię, co w mojej mocy. Zamknęłam oczy i zaczerpnęłam powietrza. „Obiecuję, malutki. Jakoś to wszystko poukładamy”.

Gdyby magia spełniała marzenia, po otwarciu oczu powinnam zobaczyć nas wszystkich w domu, razem wieszających sznury błyskających lampek na fasadzie naszej i tak już zbyt dużej i za bogato zdobionej wiktoriańskiej willi. Myśl o świętach znów poprowadziła mnie do skojarzeń z jemiolą. Niby wegetuje sobie niewinnie, ale jest śmiertelnie niebezpieczna, jeśli ją przeoczyć. Podobnie jak nordycka bogini, która nigdy by nie pomyślała, jak bardzo może zaszkodzić ona jej synowi, ja nigdy nie wpadłabym na to, że to nasz syn zdradzi Peterowi jego związki z *Fae*.

Tego dnia nie dane było nam świętować. Jedyne światło, jakie widziałam, pochodziło z lśniącej gwiazdy na ziemi i błyszczących oczu mojego męża. Spojrzał w górę, ku otwierającemu się portalowi, który miał zaprowadzić go do domu. Moją uwagę przykuł szelest w koronach drzew.

Najczarniejsze włosy, skóra niemal biała. Giętka szyja, wyciągnięta do granic możliwości. Wyglądała jak królowa. Chociaż skrywał ją cień, byłam pewna, że nigdy nie widziałam nikogo równie zachwycającego. Szkarłatna toga i usta jak pąki róż. Najpiękniejsza z księżniczek. Choć była uosobieniem tych wszystkich cudownych opisów i epitetów z bajek o elfach, nie cierpiałam jej z całej duszy. Jęknęłam cicho. Dotarło do mnie, że to wszystko jest nieodwracalne, że nie ma już nadziei, bo oto stoi przede mną biologiczna matka Petera. Przybyła zabrać swoje dziecko.

Peter odwrócił się w jej stronę i natychmiast ją poznał. Rzucił się do niej, ale więziła go bariera magicznego koła. Zaryczał, miotając się jak dzikie zwierzę w klatce.

– Ta magia wiedzim nie jest potrzebna – odezwała się kobieta czystym głosem, który zadźwięczał w nocnej ciszy. Podniosła dłoń i nasze koło się rozwiało. Uwolniony Peter skoczył ku niej.

– *Mo mhac*. Mój syn.

Portal, który zawsze był dla Petera na wyciągnięcie ręki, teraz spłynął i znalazł się obok niego. Twarz rozjaśniła mu się z zachwyty i bez słowa, bez zawahania, nawet bez jednego spojrzenia w moją stronę przeszedł przez portal. Odszedł.

DWUDZIESTY TRZECI

Jęknęłam, gdy moje serce przeszył lodowaty smutek, ściskając je jeszcze raz, i znów. Znalazłam dość siły, by pozwolić mu odejść, ale pozostało tak wiele rzeczy do powiedzenia, tak wiele słów, które chciałam usłyszeć od mojego męża. Miałam nadzieję usłyszeć, że żałuje. Obietnicę, że kiedyś wróci do mnie, do naszego syna. Ta pewność, radość, z jaką nas zostawił, to było więcej, niż mogłam znieść.

Niczym chłopiec wybiegający ze szkoły w pierwszy dzień wakacji, Peter wskoczył w otwarty portal i dołączył do świata *Fae*. Bez wahania. Bez oglądania się za siebie. Bez pożegnania, choćby machnięciem ręką. Gdy patrzyłam, jak znika na horyzoncie swojego nowego świata, w moim powstawała czarna dziura. Dla mnie jakby już nie żył. Nie, gorzej. Było mnóstwo historii o światach po śmieci, które pozwalały na ponowne spotkanie ukochanej osoby. Nie słyszałam o żadnym, który mógłby odwrócić rozejście takie jak nasze.

Dyszałam, desperacko łapiąc powietrze, bo na myśl, że naprawdę odszedł, że już nigdy go nie zobaczę, zaparło mi dech. Przez minione lata tyle razy miałam okazję, żeby z nim porozmawiać. Wziąć go za rękę. Powiedzieć, że go kocham. Tyle razy. A nie korzystałam z tego. Gardziłam sobą za te zmarnowane lata. Ta kobieta, *Fae*, jego matka, w jakiś sposób się dowiedziała, że zaklęcie zostało złamane, i przyszła odebrać syna. Stała tam, obserwując, jak serce wyrywa mi się z piersi. Taka spokojna, taka wytworna. Byłam bliska uznania jej za zupełnie nieczułą, dopóki nie spojrzałam głęboko w jej srebrzyste oczy. Chociaż nie były ludzkie, poczułam, że to, co w nich zobaczyłam, jest tak bardzo bliskie współczuciu, jak to tylko możliwe u *Fae*. Może i była źródłem mojego bólu, ale czułam, że nie czerpała z tego satysfakcji.

Poczułam jakby ukłucie w klatce piersiowej. Zgarbiłam się, kuląc ramiona. Ból pochodził z najgłębszego, najbardziej pierwotnego zakamarka mojej duszy i łatwo można by pomylić go ze śmiechem. Nie wiedziałam, czy dam radę go przetrwać. Nie wiedziałam nawet, czy na pewno tego chcę. Jakaś część mnie błagała, by ból zabrał mnie ze świata żyjących, inna kazała mi się rzucić w stronę portalu, który wciąż widniał kilka metrów ode mnie, chwycić Petera i zmusić go, by został ze mną. W głębi serca wiedziałam, że nawet gdyby to było możliwe, nie mogłabym być tak samolubna. Tak okrutna.

Poczułam narastającą we mnie ślepą wściekłość, która obrała sobie oczywisty cel.

– Jak mogłaś? – Odwróciłam się do jego matki. – Ty potworze, jak mogłaś przysłać tutaj swoje dziecko, pozwolić nam je pokochać, a potem zabrać je z powrotem?

– Potworze? – Patrzyła na mnie srebrnymi oczami. – Jeśli *Fae* są potworami, to uczyniłyście nas nimi wy, wiedźmy. – Nawet jeśli te słowa były wyrzutem, nie usłyszałam za nimi złości. Jej głos jakby mnie głaskał. – Nie, ja nigdy bym ci nie sprawiła tego bólu, bólu, który sama czułam, oddając własnego syna do waszego świata.

– Więc dlaczego to robisz? – zapytała Ellen. – Ja straciłam dziecko. Gdybym miała wybór, oddałabym duszę, by je ratować, zatrzymać przy sobie. Nie mogłabym oddać go obcym ludziom.

Oczy wróżki otworzyły się szerzej.

– Czy to możliwe, żebyście wy, wiedźmy, zapomniały swoją historię? – Cisza z naszej strony stanowiła odpowiedź. Jej piękna twarz znów zwróciła się ku mnie. – W takim razie rzeczywiście musisz mnie uważać za potwora.

– Powiedz nam. – Iris opuściła swoje miejsce na pentagramie, żeby podejść do mnie,

i objęła mnie ramieniem. – Co was zmusza do takiego działania? Dlaczego wymieniacie własne dzieci za dzieci ludzi? Co chcecie osiągnąć przez taką zamianę?

Zauważyłam, że Oliver podszedł do Maisie i też otoczył ją ramieniem. Boże. Ona też kochała Petera. Czy serce mojej siostry krwawiło tak jak i moje?

Fae stanęła w naszym kręgu. Szybko dotarło do mnie, że w porównaniu z ich mocą magia więdźm to żalosne kuglarstwo.

– Twój mąż – wyciągnęła ku mnie długie smukłe palce – a mój syn nie jest zwykłym *Fae*. Jest członkiem rodziny królewskiej. Jest księciem. – Podniosła głowę trochę wyżej, łabędzią szyję otulał blask księżycy. Na tej szyi wisiał naszyjnik, który mogłabym wziąć za olbrzymi rubin, gdyby rubiny świeciły w ciemnościach. Wokół kobiety unosił się delikatny zapach kwiatów drzewa oliwnego. – Nie mówię ci tego z próżności, tylko żebyś zrozumiała, w jak niekorzystnej pozycji wy, więdźmy, i ta wasza „granica” – to słowo zabrzmiało w jej ustach wyjątkowo ostro – postawiliście *Fae*.

– Granica? – Jeszcze zanim zdążyła to wyjaśnić, poczułam się winna. Może zupełnie niesłusznie, biorąc pod uwagę okoliczności, ale fakt, że więdźmy w jakiś sposób były odpowiedzialne za to, co właśnie przeżywałam, był równie nieprzyjemny, co niezaprzeczalny.

– Tak. Bo tak nazywacie tę waszą magiczną sieć, prawda? Dzięki niej ogłosiliście, że ten świat, ten wymiar, należy do was, i nazwaliście ją „granica”.

Iris zacisnęła dłoń na moim ramieniu jeszcze mocniej.

– Wciąż tak ją nazywamy. Ale jakie konsekwencje rozpięcie granicy mogło mieć dla was?

– Gdy powstała, gdy zaznaczyliście swoje terytorium, stworzyliście barierę, oddzieliliście jedną rzecz od drugiej. Żeby odgrodzić się od wymiaru, przez który mogły się do was przedostać demony, zablokowaliście dla siebie o wiele więcej przestrzeni, niż było to konieczne. Kiedyś nasz wymiar zajmował mniej więcej tę samą przestrzeń co wasz. Ta cała granica zmniejszyła nasz świat, odcinając nas od samego źródła. To gorsze niż zniszczenie. Zostaliśmy zdziesiątkowani. W mgnieniu oka nasz świat przestał istnieć. Przetrwało bardzo mało *Fae*. Próbowaliśmy odbudować naszą społeczność. Próbowaliśmy zacząć od nowa, ale wiele spośród naszych dzieci zostało zatrutych przez waszą zdradę. Urodziły się zdeformowane, niepełnosprawne umysłowo i bez szans na wyleczenie. – Jej twarz straciła trochę blasku. – Najgorsze są drgania wywołane waszą magią, które przedostają się do naszego świata. Nasi mędrcy orzekli, że moglibyśmy je spowolnić, umieszczając w waszym świecie swój odpowiednik waszych kotwiczących. Mieli dla nas być wiecznym wyrzutem sumienia. Byliśmy jednak tak wściekli, tak zrozpaczeni, że przez całe pokolenia wykradaliśmy ludzkie dzieci i w ich miejsce podrzucaliśmy nasze, chore.

– Ale mój Peter jest piękny.

Uśmiechnęła się z widoczną dumą.

– Nasze wysiłki się opłaciły. Wymiana dzieci niemal powstrzymała pomagiczne prądy. Nie całkiem, ale dała nam czas na znalezienie lepszego rozwiązania. – Przybliżyła się do mnie, jakby płynęła w powietrzu. Położyła mi dłoń na policzku, a ja poczułam, jak moje ciało się odpręży. – Po wielu generacjach zaczęliśmy zdrowieć. Problemy rozwojowe, z którymi borykały się pierwsze pokolenia po tamtej katastrofie, u większości zaczęły zanikać. Nasze dzieci znów są piękne i obdarzone niezwykłym intelektem. Ich magia – jej oczy rozszerzyły się z radości – jest niesamowita, nawet jak na *Fae*.

Opuściła rękę i natychmiast poczułam się smutniejsza, w jakiś sposób stęskniona za jej dotykiem.

– Dlaczego odesłałaś Petera, skoro jest księciem?

– Ponieważ, kochanie, przywódca nie ma prawa prosić ludzi, by płacili cenę, jeśli sam nie jest gotów jej zapłacić. – Łza, lśniąca i jakby ulana ze srebra, spłynęła jej po policzku. – Nie jesteśmy potworami. Żyjemy, oddychamy i walczymy o swoje dusze. Nie jestem bez serca. Jestem matką. I chociaż cieszę się z powrotu mojego syna, bardzo mnie boli, że ty go tracisz. Czuję, że go kochasz, może nawet bardziej, niż zdajesz sobie sprawę.

– Jak on mógł zostawić mnie tak łatwo? – Te słowa wywołały we mnie wybuch złości. – Jak mógł zostawić nasze dziecko?

Spojrzała na mnie ze smutkiem i cofnęła się w stronę portalu, który, jak zauważyłam, zaczął drżeć i się rozwiewać.

– Nie chowaj do niego urazy – urwała. – Nie wiem, jak ci to wyjaśnić w tak krótkim czasie. Pozostawienie naszych dzieci w waszym świecie to coś więcej niż tylko fizyczna zamiana miejsc. To całkowite przearanżowanie ich potencjału na najgłębszym poziomie, głębszym nawet niż ten, który nazywacie „kwantowym”. Ta zamiana dokonuje się w sercu nicości.

– Wielka pustka – wyszeptalam, bardziej do siebie niż do pozostałych.

Jej spojrzenie odpowiedziało mi, że spodobała jej się ta definicja.

– Tak, wielka pustka, w której nic nie żyje, ale skąd pochodzi wszelki potencjał. – Poczułam, że waży słowa, że się zastanawia, jak wiele naraz jestem w stanie przyjąć. – Nie zapomniał o tobie, kochanie. Gdyby chodziło o zapomnienie, nigdy tak naprawdę nie zniknęłabyś z jego serca. Peter wrócił na pierwotny tor swojego życia, tor, w którym jesteś obcą osobą. Nigdy cię nie poznał i nie pozna. – Rzuciła niespokojne spojrzenie ku znikającemu portalowi.

– Ale nasze dziecko...

W jednej chwili jakby zapomniała o wrotach do swojego świata. Nagle znowu stanęła przede mną, a jej śliczna twarz przypominała maskę bólu. Położyła obie słońce na moim brzuchu, a ja po raz pierwszy od kilku dni poczułam, jak mały Colin się poruszył. Czuję, jak się cieszy ze spotkania z babcią, ale po twarzy wróżki widziałam, że wiadomości nie będą dobre.

– Musisz być silna – powiedziała głosem niemalże śpiewnym, jakby chciała uspokoić mnie jego melodią. – Gdybym mogła oddać życie, by odmienić najbliższe wydarzenia, zrobiłabym to z radością.

Skoczyłam w tył, pociągając za sobą Iris.

– Przerażasz mnie.

– Przykro mi, ale nie urodzisz dziecka.

– Co ty opowiadasz? – Natarłam na nią desperacko i chwyciłam za ramię. Coś jakby delikatne kopnięcie prądu zmusiło mnie do rozluźnienia palców i kobieta wyslizgnęła mi się.

– Wciąż masz nadzieję. To ona pozwala ci sięgać ku mojemu synowi i podejrzewam, że ta nadzieja wzmocni twoją magię, dlatego, przynajmniej jeszcze przez jakiś czas, możesz czuć w sobie dziecko, ale ono przestanie istnieć. Tak jakby go nigdy nie było. – Położyła dłonie na sercu i zaczęła się cofać w stronę niemalże już niewidocznego portalu. – Przykro mi, moja kochana. Naprawdę. Chcę, żebyś o tym wiedziała. – Zatrzymała się tuż przed portalem i spojrzała mi w oczy. – Może odnajdziesz miłość kogoś, kto nigdy cię nie opuści, nigdy nie zapomni. Tego ci życzę. – Z tymi słowami weszła w okno do innego wymiaru i zniknęła, a wraz z nią wydobywające się stamtąd światło.

Opadłam na ziemię i darłam palcami piasek na skrzyżowaniu Jilo. Słyszałam swoje wrzaski, gdy próbowałam dokopać się do jakiegokolwiek magii, która mogła jeszcze tam tkwić, zakopana pod ziemią.

DWUDZIESTY CZWARTY

Nie pamiętam, jak dostałam się do domu. Zostałam wykąpana i położona do łóżka, łóżka Iris. Ale jak to się stało? Miałam pustkę w pamięci. Gdy się obudziłam, rzeczywistość zaczęła mnie kąsać ze wszystkich stron. Wszystkie ostatnie wydarzenia, odejście męża, morderstwo jego rodziców, śmierć mojej matki, ucieczka Gudrun i ostrzeżenie *Fae*, że nie urodzę mojego dziecka, były się ze sobą o pierwsze miejsce w emocjonalnym wyścigu. Żałoba i wściekłość, przerażenie i przygnębienie kotłowały się jak w kalejdoskopie pełnym okruchów udręki.

Na chwilę pozwoliłam sobie pogrążyć się w iluzji, że to wszystko to był tylko sen. Że Peter za chwilę wejdzie do sypialni, położy się obok i złoży na moich ustach pachnący killian'sem¹ pocałunek. Zamknęłam oczy i odepchnęłam te myśli od siebie. Z moją magią, z bólem, mogłam stworzyć dla siebie świat z fałszywym szczęściem, ale nie mogłabym tam uratować mojego dziecka.

Dotarł do mnie nieprzyjemny zapach. Amoniak? Poczułam ukłucie paniki. Obmacałam brzuch, by z ulgą stwierdzić, że wciąż jest okrągły i napięty, po czym się rozplakałam. Colin był wszystkim, co pozostało mi po Peterze, wszystkim, co jeszcze mnie z nim łączyło. Nawet go nie widziałam, ale był moim synem. Czułam go. Znałam. Kochałam. Był dla mnie prawdziwy, realny. Byłabym głupia, gdybym po prostu pozwoliła mu zniknąć. Odrzuciłam kołdrę i zdałam sobie sprawę, że jestem zupełnie naga. Zaskoczona dostrzegłam runy, magiczne starożytne symbole północnych ludów, które pokrywały mój brzuch i uda. Zdałam sobie sprawę, że przykry zapach pochodził właśnie z tuszu, którym namalowano symbole.

Runy *uruz*, symbolizujące zdrowie, siły i nieustępliwość, powtarzały się, tworząc na moim brzuchu koło. Potarłam jeden z nich. Czułam w runach magię Ellen. To ona je narysowała i wypełniła swoją miłością i mocą, byłam pewna. Drugi krąg, okalający *uruz*, tworzyły znaki *laguz*. One z kolei oznaczały energię życiową. Te znaki, a także inne, których nie poznałam – chińskie? hebrajskie? – zostały nakreślone ręką Iris. Wyczułam, że ciotka połączyła się z pokładami magii, do których nigdy wcześniej nie sięgała. Wydało mi się dziwne, że nie odnajduję działania Olivera, ale może w takim wypadku zaklęcia ochronne rzucają tylko kobiety? Przecież rodzenie to nasza domena.

Tak byłam pochłonięta symbolami, że dopiero gdy usłyszałam odgłos upadającej na podłogę książki, zobaczyłam, że nie jestem w pokoju sama. Iris siedziała zwinięta w fotelu z naszej biblioteki. Spała, posapując lekko, z nogami podwiniętymi pod siebie. Hałas spadającej książki jej nie zbudził. Rozpoznałam tę książkę – to był dziennik dziadka. Był specjalistą od zaklęć runicznych oraz innych magicznych symboli. Wiedziała, że jeśli pomoże ocalić Colina, będzie to duży krok w kierunku pozwalającym na to, żeby mu przebaczyć.

Zasłony zostały szczelnie zasunięte, a jedyne światło pochodziło z lampy, którą Iris przysunęła do fotela. Nie wiedziałam, która jest godzina ani jak długo spałam. Nagle doznałam *déjà vu*. To samo uczucie dezorientacji miałam w szpitalu, gdy się obudziłam po znalezieniu ciała Ginny. To prawie niemożliwe, że od tego czasu upłynęło już pół roku. Pamiętałam wszystko dokładnie, jakby to było wczoraj. Słyszałam tykanie jej zegara i bzyczenie much w tle. Czy to w tym momencie moje życie zmieniło się z nudnego w szaleńczo rozpędzone? Czy może poprzedniej nocy, gdy postanowiłam oddać swoje sercowe problemy w ręce pewnej gburowatej wiedźmy?

Dzięki Bogu, że zabrałam wtedy swoją wycieczkę na Colonial Park Cemetery. Dzięki temu

akurat zdążyłam zobaczyć kobietę ze skrzyżowania, która przebijała się między nagrobkami, niczym igła przez splot materiału, w stronę bramy, opierając się na zielonym krzeselku jak na balkoniku i ciągnąc ze sobą czerwoną lodówkę turystyczną. Za nią podążała nieszczęśliwa kobieta, która wydała wyrok śmierci na niewiernego męża, po czym prosiła o odwrócenie zaklęcia, bo się zorientowała, że osądziła go zbyt pochopnie. Czy Jilo odczytała czary na czas, czy też tamten biedak zginął przez głupie nieporozumienie? Chciałabym móc ją o to zapytać. Powinnam mieć dość wycucia, co jest dobre, a co złe, żeby to wiedzieć. Czy może za bardzo bałam się poznać prawdę? Chciałam wierzyć, że Jilo zdążyła zapobiec wszystkim złym skutkom zaklęcia, nim było za późno.

Jilo nie zawsze brała pod uwagę kwestie dobra i zła, gdy praktykowała magię, ale mimo to ją pokochałam, a ona pokochała mnie. Moja rodzina dysponowała magią, o której Jilo nie mogła nawet marzyć, ale i tak byłam pewna, że ona by wiedziała, jak uratować Colina, gdyby tu była. Zastanawiałam się, czy miałabym jakieś obiekcje co do jej metod, gdyby była tu ze mną, i czy bym ją zatrzymała, gdyby znalazła jakiś sposób, który miałby szanse powodzenia.

Ale mimo że zdawałam sobie sprawę z tego, jak zmieniła mnie przyjaźń z Jilo, wiedziałam, że fałsz, którego nadal doświadczałam, zaczął się przed spotkaniem na Colonial. Próbowalam zaczarować się z powrotem w dziewczynę, którą byłam, gdy Maisie pierwszy raz przyprowadziła do domu Jacksona i nam go przedstawiła. Dorastałam przyzwyczajona do życia poza magią, jakby na uboczu mojej rodziny, i stałam się samotnym wilkiem. Nie byłam zupełnie sama, ale też nie byłam częścią niczego. Być może dlatego lubiałam oprowadzać turystów i opowiadać im kłamstewka o Savannah, bo wtedy choć przez chwilę byłam w centrum uwagi, byłam częścią grupy. A po wycieczce, zanim wszystko zdążyło się skomplikować, machałam im na do widzenia i zostawiałam ich w City Market albo w Pirates' House.

Byłam szczęśliwa. Szczęśliwa, żadna przygód, szalona, związana z Peterem nigdy niewypowiedzianą obietnicą, którą jednak szybko złamałam. Złamałam ją w momencie, gdy spojrzałam na to piękne kłamstwo, którym był Jackson. Zobaczyłam w nim własną magię, magię, którą mi kiedyś skradziono. Kochałam moją moc i dlatego przez jeden głupi moment myślałam, że pokochałam Jacksona. Moja bezduszość sprawiła, że aby mnie zdobyć, Peter musiał sięgnąć po inne środki, czego efektem było rozwijające się teraz we mnie cudowne życie.

Położyłam dłonie na brzuchu i wysłałam całą miłość świata mojemu małemu chłopcykowi, rosnącemu teraz w moim łonie.

– Będzie dobrze, kochanie. Oboje to przetrwamy. Mama ci obiecuje – wyszeptałam, dobrze wiedząc, że nie mogę tego zagwarantować, ale moja miłość była tak silna, że wciąż dawała mi nadzieję. Ogarnęła mnie niesamowita radość, gdy poczułam, że wróciła do mnie odpowiedź. Colin mi uwierzył. Co więcej, uwierzył we mnie. Wiedział, że nie zamierzam łatwo pozwolić mu odejść i zniknąć, niezależnie od tego, co powiedziała jego babcia wróżka. Otworzyłam dla Colina całe serce, całą duszę. Obiecałam mu wtedy, że bez względu na wszystko zrobię, co w mojej mocy, żeby go chronić, żeby dać mu szansę życia na świecie – nawet gdyby miało to być życie zagmatwane i trochę zamieszane, tak jak jego mamy.

Gdy moja dusza zdecydowała się chronić Colina za wszelką cenę, poczułam jakby szarpnięcie. Komunikowała się ze mną jakaś nieznana, potężna magia. Rozpoznałam ją tylko dlatego, że źródło tej mocy było diametralnie różne od mojego. Było obce w każdym tego słowa znaczeniu. Gudrun była blisko, mówiła do mnie.

Ale brzmiało to bardziej jak zaproszenie, a nie jak wezwanie. Obietnica wsparcia, bezpieczeństwa, potęgi, wystarczającej, by chronić mnie i tych, których kocham. By uratować mojego syna.

– Nie, to wszystko twoja wina. Może to Josef rozniecił ogień, ale Claire i Colina zabiłaś ty – powiedziałam na głos, jakby Gudrun stała tuż obok. Iris drgnęła, ale się nie obudziła. – Mój syn stracił ojca, który próbował ratować swojego tatę, ratować od losu, który mu zgotowałaś. A teraz... – Słowa zawiodły mnie, nie mogłam, nie potrafiłam nawet głośno stwierdzić, że mogłabym stracić dziecko.

Odpowiedź nadeszła raczej w postaci odczuć niż słów. Zapewnienie o niewinności. Obietnica ukarania winnych. Z całej tej masy uczuć dało się wyłuskać również delikatne przypomnienie, jak zdradzili mnie – i dalej zdradzają – moi sojusznicy. No i propozycja bliższego poznania się. Czyż obie nie cierpiałymy przez innych kotwiczących? Czy każda z nas w jakiś sposób nie była wyjątkowa? Ci, którzy powinni stanowić dla nas solidne wsparcie, dogadali się i próbują ściągnąć nas z piedestału. Tak, mamy wiele wspólnego.

Wiedziałam oczywiście, że przyjąć to zaproszenie byłoby głupotą. Magia Gudrun pochodziła z ciemnego miejsca, którego nigdy nie chciałabym odwiedzać. Zdrowy rozsądek podpowiadał, że bym natychmiast obudziła ciotkę i powiedziała jej, co poczułam, ale zdrowy rozsądek nie miał też zielonego pojęcia, jak chronić Colina. Jeśli Gudrun miała choćby cień pomysłu, musiałam zaryzykować. Wysłuchać jej. Przesunęłam dłońmi wzdłuż ciała i nagość natychmiast zniknęła, a ja miałam na sobie wyjściowe ubranie.

Zamknęłam oczy i skupiłam się na mocy. Nie miałam pojęcia, do jakiego mrocznego świata mnie zaprowadzi, ale przesłabym się boso po piekło, prawdziwym piekło, gdyby to mogło doprowadzić mnie do miejsca, w którym moje dziecko miałoby szansę się narodzić. Usłyszałam znajomy dźwięk turystycznej rikszy i otworzyłam oczy, aby się przekonać, że znalazłam się w Oglethorpe Park pod drzewem, które ja i Peter zawsze nazywaliśmy drzewem wspinaczkowym. Pod tym samym, przy którym zaledwie kilka miesięcy temu wzięliśmy ślub.

Tamtego dnia Peter zapytał mnie:

– Będiesz czekać pod wspinaczkowym drzewem?

– Do końca życia – brzmiała moja odpowiedź. Dotknęłam kory i poprosiłam drzewo, by zapamiętało dla mnie ten moment, nawet jeśli wszyscy inni mnie opuszczą.

Poczułam, że coś odciąga moją uwagę od drzewa i od wspomnień, niczym magnes przyciągający opiłki żelaza. Na pobliskiej ławce, plecami do mnie, siedziała Gudrun. Podniosła rękę i gestem zaprosiła mnie, że bym do niej dołączyła.

Wzięłam głęboki oddech i obeszałam ławkę.

– Dziękuję, że przyszałaś. – Mówiła z wyraźnym niemieckim akcentem, który przypomniiał mi Erika Webera, mojego wujka i ojca jednocześnie.

Siedziała przede mną kobieta, której rysy znałam z lustra. Teraz weszła w samo centrum mojego świata. Zajęła ławkę, jakby była tronem, z którego chciała rządzić. Obserwowała mnie, czekając na odpowiedź, ale stałam przed nią bez słowa. Widziałam jej magię gołym okiem, błyszczała wokół niej jak sierpniowy upał nad asfaltem. Przechyliła głowę. Obcięte na pazia czarne włosy oparły się na linii szczęki.

– Nie mam żadnego interesu w krzywdzeniu cię – stwierdziła. – Ale zrobiłabym wszystko, żeby uciec z więzienia. Żeby się uwolnić, poświęciłabym ciebie, twoje dziecko, rodzinę, wszystko. Mimo to nie masz we mnie wroga. – Wpatrywałam się w szare oczy, błyszczące w porcelanowej twarzy. Promieniowały spokojem charakterystycznym jedynie dla osób

absolutnie pewnych siebie. – Nawet nie bardzo obchodzi mnie nienawiść twoich prawdziwych wrogów. Po prostu jej użyłam, by obluzować korek w moim więzieniu.

W końcu znalazłam odpowiednie słowa, chociaż wciąż przytłaczała mnie jej dziwna aura.

– Powiedz, czego chcesz. Zniszczyłaś moje życie. Zamordowałaś mi teściów. Odebrałaś męża, a przez to zagroziłaś życiu mojego dziecka.

Podniosła dłoń.

– Wystarczy tej litanii. To nie ja jestem odpowiedzialna za twoje problemy.

– To twoje zaklęcie...

– Owszem, zaklęcie było moje, ale też mój współpracownik – sposób, w jaki to powiedziała, wskazywał, że to słowo jest niezbyt precyzyjnym tłumaczeniem określenia, jakiego by użyła, gdybym władała jej językiem ojczystym – a twój brat potraktował moje instrukcje dość liberalnie. Josef chciał się z tobą zmierzyć osobiście. To nie było moje życzenie. – Wzruszyła lekko ramionami, podkreślając, że mówi o samych oczywistościach. – Rozrzucenie części ciała jego kochanki w miejscach poszczególnych sefir miało być pewną formą pokuty. Przypieczętowanie zaklęcia wymagało płonących ciał. Spodziewałam się, że jako miejsce ofiary dla Asmodeusza zaproponuje krematorium. A on wolał podłożyć ogień w knajpie twoich teściów. – Złożyła dłonie. – Mówię ci raz jeszcze: nie kłamię. Gdyby ceną za moją wolność było spalenie całego tego miasta, nie zawahałabym się, ale to, co zrobił Josef, było niepotrzebne. Jediną motywacją była jego złość i żaluję, że go nie powstrzymałam.

Moja gorycz przesłoniła wszelką ostrożność.

– No cóż, w takim razie to chyba wszystko załatwia – rzuciłam, nasycając każde słowo sarkazmem. – Po co tu przysłałaś? Nie sądzę, żebyś chciała prosić mnie o wybaczenie.

Wybuchnęła śmiechem, który przywodził na myśl piwiarnie i odgłos broni ciężkiej.

– Wybaczenie? Ostatni raz nad takimi ckliwościami zastanawiałam się całe lata temu. – Jej twarz znów przybrała chłodny wyraz i jedynie delikatny uśmiezek zdradzał rozbawienie. – Nie, nie szukam twojego przebaczenia ani nie zamierzam szukać pokoju. – Nachyliła się konspiracyjnie. – Ciebie i twoją wątłą moc mogłabym zgnieść jedną myślą – urwała. – Nie wierzysz mi?

Do tej pory w naszej rozmowie nie pojawił się temat spełnienia obietnic.

Poczerwieniałam. Zacisnęłam pięści, aż pobieleły mi knykcie. Było mi niedobrze i miałam serdecznie dość gróźb, niezależnie od tego, czy mogły zostać spełnione, czy nie.

– Wierzę, że mogłabyś spróbować.

Znów się roześmiała. W oczach zalśniło jej coś na kształt sentymentu.

– Wiesz, masz w sobie coś z Marii.

W jej ustach miał to być komplement, ale poczułam, jak te słowa godzą w moją duszę.

– Jeśli jestem dla ciebie nikim, to po co się ze mną spotykasz?

– Usiądź – nakazała, jakby mówiła do małego dziecka. Ani drgnęłam. To sprowokowało Gudrun do gestu, który dla niej był raczej nietypowy. Przewróciła oczami i poklepała wolne miejsce obok siebie. – Nigdy nie powiedziałam, że jesteś nikim. Proszę. – Zabrała dłoń, robiąc mi miejsce.

Skinęłam głową i przysiadłam bokiem, abym mogła patrzeć jej w twarz. Była przyjaciółką Marii, mojej prababki ze strony ojca, a nic z tego, co wiedziałam o Marii, nie świadczyło o niej dobrze. Gudrun też obróciła się w moją stronę i przerzuciła ramię za oparcie ławki. Moją uwagę przyciągnął duży opal na jej palcu. Podążyła wzrokiem za moim spojrzeniem i uniosła dłoń, żebym mogła bliżej się przyjrzeć ognistemu kamieniowi.

– Uroczy, prawda? – Obróciła pierścionek i klejnot rozjarzył się w promieniach słońca. – Umierają, wiesz? Opale. Ogień je opuszcza i pozostawia jedynie zimny, niewiele warty kamyk. – Na powrót splotła palce i położyła łokieć na oparciu ławki. – Ten też na pewno już dawno by zbladł, gdybym go nie nosiła, ale tego pierścionka nigdy nie zdejmuję. Przechwyciła moje spojrzenie. – To prezent od Heinricha. – Czekala chwilę, najwyraźniej rozczarowana brakiem reakcji z mojej strony. – Czyżbyś, moja droga, była aż taką historyczną ignorantką? – Zjeżyłam się na te słowa. Matka Petera zadała mi niemalże to samo pytanie kilka godzin wcześniej. – Czy nazwisko Himmler cokolwiek ci mówi?

Odsunęłam się automatycznie, starając się znaleźć jak najdalej od pierścionka. Oczywiście, że znałam to nazwisko. Himmler by uosobieniem czystego zła, nazistowskim przywódcą odpowiedzialnym, podobnie jak sam Hitler, za śmierć ponad jedenastu milionów ludzi. Patrzyłam na opal spod zmrużonych powiek.

– Najchętniej startłabym ten kamień w proch i stopiła złoto, które go okala.

Gudrun odchyliła dłoń, by przyjrzeć się pierścionkowi z bliska. Nawet delikatnie się uśmiechnęła.

– To tylko błyskotka, i to całkiem ładna.

– Dostałaś go od potwora.

– I to w twoich oczach czyni go w jakiś sposób winnym?

– Winnym nie, ale skażonym owszem.

Z dumą uniosła głowę. Ściągnęła pierścionek z palca i podniosła go. Rozwiął się w pył na moich oczach, a lekki powiew wiatru rozproszył popiół. Zakaszlałam, gdy wciągnęłam odrobinę pyłu.

– Dziękuję – powiedziałam, chociaż wydawało mi się trochę dziwne za cokolwiek jej dziękować. Mimo wszystko cieszyłam się, że kamień zniknął.

– W tamtych czasach ze względów politycznych korzystnie było przyjąć ten prezent od Himmlera, dziś korzystniej będzie go zniszczyć. – Ściągnęła usta, najwyraźniej ważąc słowa. – Dysponujesz olbrzymią mocą, tylko za bardzo skupiasz się na tym, co jest dobre, a co złe. – Uniosła nieco brwi. – Wciąż wierzysz w Boga, prawda?

– Oczywiście, że tak – odparłam, trochę zdziwiona kierunkiem, w jakim zmierzała ta rozmowa.

– Oczywiście – powtórzyła. – Jak wyobrażasz sobie tego Boga? Jest wielkim sędzią? Rozważnym rozjemcą? Ojcem?

– Cóż, szczerze mówiąc, nie jestem pewna, czy można o nim mówić jak o osobie.

– Jasne – przerwała mi, zanim zdążyłam dokończyć. – Ale uważasz go za kogoś, kto ustala zasady. Za źródło dobra i zła. – Poglaskała moje ramię. – A gdyby nie było żadnego Boga? Kto wtedy miałby podejmować decyzje? – Poprawiła się na ławce i przeniosła spojrzenie ze mnie na grupkę rozchichotanych dzieci, biegnących chodnikiem obok.

– Doprawdy? – zapytałam, gdy skończyła. – Przeszłaś przez to wszystko, by poddać pod dyskusję relatywizm moralny?

Znów spojrzała na mnie z uśmiechem satysfakcji na twarzy.

– Przez bardzo długi okres, w naszym rozumieniu czasu przez stulecia, byłam uwięziona w innym wymiarze. – Zmrużyła oczy. – I nigdy, ani razu, nie dostrzegłam nawet cienia obecności Boga. Doświadczałam oczywiście obecności różnych istot. Ba, niektóre, z którymi współpracowałam, były tak potężne, że same siebie nazywały „bogami”, a ich moc znacznie przerastała ludzkie wyobrażenia. Jednak Wielki Niewymowny nie ukazał mi się ani razu. Ale

mówię ci to tylko z życzliwości. – Jej wzrok powędrował w okolice mojej talii. – Musisz być dumna. Twój syn podjął śmiałą walkę. Ale nie może jej wygrać. Tworzy się wokół niego świat, który mówi wyraźnie, że to dziecko nie może przetrwać. I nie przetrwa.

Objęłam brzuch rękoma. Gudrun mlasnęła językiem i smutno pokręciła głową.

– Im mniejsza wiedźma, tym słabszy płód, to zostało ustalone dawno temu. A ty, tak, ty już podążasz drogą, na której zapomnisz i o dziecku, i o jego ojcu.

– Nie mogłabym zapomnieć o żadnym z nich. – Moje przerażenie zamieniło się w złość.

– Zapewniam cię, że możesz. – Jej słowa zawisły pomiędzy nami, jakby czekała, aż się wchłoną. – I zapomnisz. Kiedy ostatni raz czułaś, jak się porusza? – Wpatrzyła się w mój pękaty brzuch. – No, powiedz sama, nie wydaje ci się, że twój brzuch robi się coraz mniejszy? – Wyciągnęła rękę, niemalże mnie dotykając, po czym cofnęła ją, jakby uznała, że to nie jest najlepszy pomysł. – Jestem pewna, że rozwój dziecka już został zahamowany, nawet jeśli zanikanie jeszcze się nie rozpoczęło. – Wzrok Gudrun spoczął na mojej twarzy. – Och, moje dziecko, jak ty zbladłaś. – Chwyciła mnie za rękę i trzymała ją, jakbyśmy od lat były najlepszymi przyjaciółkami. Nie czułam obrzydzenia, którego mogłabym się spodziewać. – W końcu do ciebie dotarło, jak naprawdę wygląda twoja sytuacja, prawda? Straciłaś wszystko. Życie wyrwało ci się spod kontroli. Ale jeszcze możesz to wszystko zmienić.

Puściła moją dłoń. Otoczyła mnie ramieniem i przyciągnęła do siebie. Pogładziła moje włosy.

– Nie jesteś zmęczona, Mercy? Tymi wszystkimi kłamstwami i zdradami? Ci, którzy powinni poświęcić życie, żeby cię chronić i otaczać opieką, oszukują cię i zdradzają. Wiesz, że kotwiczący knują przeciwko tobie nawet teraz, gdy rozmawiamy. Nic nie mogę z nimi zrobić, jeszcze nie teraz, ale zadbałam o to, żeby twoi wrogowie zostali ukarani. Usunęłam Emily.

– Zabiłaś i rozczłonkowałaś Emily, żeby rzucić zakłęcie. – Próbowалам się uwolnić z jej uścisku, ale nie mogłam. Nie dlatego, że trzymała mnie siłą, ale po prostu nie byłam w stanie zrezygnować z komfortu, który czułam w jej ramionach. Wiedziałam, że to jak spoczywać w uścisku boa dusiciela, ale nie znalazłam w sobie siły, by walczyć z Gudrun. – Nie rozumiem tylko, jakie zakłęcie pomogło ci się uwolnić.

– Sz... sz... – zamruczała, gdy przestałam się jej opierać. Rzuciła na mnie czar. Wyczuwałam to, ale zakłęcie sprawiało, że nie miałam sił się przeciwstawić. – Mogłam wybrać do zaklęcia kogokolwiek, ale chciałam dać jasny sygnał. Zabiłam Emily i rozdarłam ją na kawałki, żeby ją ukarać i ostrzec tych, którzy cię zdradzili, Mercy. Świat na ciebie czekał – w jej głosie brzmiała skrywana złość – i ja czekałam na ciebie tak długo. Ta kobieta, twoja rodzona matka, próbowała cię zniszczyć, żeby przypisać sobie zaszczyt, który należy się tylko tobie.

To powinno mnie przerazić, ale w jakiś sposób pasowało mi, że użyła przykładu Emily.

– Jesteś wyjątkowa, Mercy, nawet pośród wiedźm. Masz olbrzymią moc w zasięgu ręki, wystarczy po nią sięgnąć. Magia na ciebie czeka, chce, żebyś jej użyła. Pomyśl tylko. Musisz tylko odebrać moc należną ci z racji urodzenia, a cały świat spocznie u twych stóp. Jak nazwałaś swojego syna?

– Colin – odparłam, czując jedynie ciche ostrzeżenie napływające z podświadomości. Czy podając imię dziecka, dałam jej też kontrolę nad nim?

– Colin – powtórzyła, gdy mój strach zdążył się już rozwiać. – Możesz ochronić jego życie, obserwować, jak staje się mężczyzną. Jeśli przyjmiesz należną ci moc, już samo jej posiadanie

pozwole ci zdecydować, co jest dobre, a co złe. Tobie, nie jakimś tam Bogu. Pomyśl przez chwilę, poczuj to. Czy nie w to właśnie chcesz wierzyć? Czy gdzieś tam z nieba patrzy na nas jakiś wielki Ojciec? Uwierz, nawet gdyby tak było, to twój Bóg każdego dnia pozwala umierać milionom ludzi. Starzeją się. Chorują. Patrzą, jak umierają ich najbliżsi. Nie karmię cię frazesami, nie mam obietnicami. Nie jestem jakimś oschłym i nudnym księdzem, który nalega, żebyś pokładała nadzieję w nieistniejącym Bogu. Nie – ciągnęła nieustępliwie. – Ja jedynie chcę ci pokazać, że możesz sama dla siebie być bogiem. Same sobie jesteśmy bogami, ty i ja. – Jej entuzjazm poruszył czułą strunę moich pragnień i przytępił zdrowy rozsądek.

Gudrun puściła mnie i skinęła głową w stronę małej dziewczynki na różowym trzykołowym rowerku, za którą podążał jej tata.

Patrzył na córkę, jakby była całym jego światem. Na taki widok powinienam poczuć radość, ale zamiast tego jakiś mrok ścisnął mi żołądek. Usłyszałam w uchu szept Gudrun:

– Czy to jest dobre, że to zwykle dziecko może żyć, a twoje wyjątkowe, magiczne, nie? Gdyby Bóg istniał, to jakim musiałby być potworem, żeby pozwolić na taki poroniony pomysł. – Zmiana w jej głosie uzmysłowiła mi, że dopiero teraz zdała sobie sprawę z niezamierzonego żartu. – Nie myślę, żeby istniał jakiś Najwyższy czy jakiś Wielki Plan, a jedynie, że przetrwają ci, którzy zrobią, co trzeba. – Patrzyła na dziewczynkę, która zawróciła i jechała teraz w kierunku swojego taty. – A gdybyś mogła zamienić jej życie na życie Colina?

Zrobiło mi się słabo na samą myśl.

– To potworne...

– No cóż, w rzeczy samej, jest słodziutka, prawda? Nie chciałybyśmy zrobić jej krzywdy. – Powiodła wzrokiem po placu i wskazała inne dziecko. To było starsze i przechodziło przez tę nieprzyjemną fazę rozwoju, gdy zewnętrzne piękno jest zarówno wspomnieniem, jak i marzeniem na przyszłość. Klóciło się z jakimś młodszym dzieckiem i popchnęło je tak, że maluch się rozplakał. – A tamto?

– To okropne. Nie mam prawa tego zrobić.

– Oczywiście, że masz. Jeśli masz siłę to zrobić, masz też do tego prawo. To tylko kwestia wyboru między własnym przetrwaniem a ustąpieniem miejsca komuś, kto umie z niego skorzystać. – Uniosła brew. – Chyba że swoje ideały i moralność kochasz bardziej niż Colina.

– Nie. Próbujesz mieszać dwie różne rzeczy, żeby mnie zmylić. – Wiedziałam, że jej zaklęcie sprawiło, że stałam się bardziej ugodowa. Bardziej podatna na sugestie. Miało to coś wspólnego z opalem, może nawet z pyłem, który wraz z powietrzem dostał się do moich płuc. Najbardziej idiotyczne było to, iż zaklęcie uczyniło mnie obojętną na fakt, że mnie zaczarowała. Czułam się tak, jakbym się co chwilę zanurzała i wypływała nad powierzchnię morza. Nie topiłam się jeszcze, a jednak...

– Dziecko, próbuję otworzyć ci oczy. Dać ci siłę, której potrzebujesz, żeby zrzucić krępujące cię łańcuchy. I próbuję uratować twój syna. Mam nadzieję, że to docenisz. – Przeniosła spojrzenie ze mnie na fontannę otoczoną posągami łabędzi i trytonów. – A gdyby uratowanie Colina nie wymagało poświęcenia innego dziecka? Tamten mężczyzna. – Wskazała bezdomnego, który skierował się w stronę ławki. Trzymał owiniętą w brązowy papier butelkę, śpiewał i klął na każdego, kto na niego spojrzał. Miał szczęście, że nie zauważył, iż Gudrun zauważyła jego. – Dlaczego miałby kurczowo trzymać się życia, gdy Colin będzie zniknął? Spójrz na niego. I co? Gdybyśmy mogły za jego nic niewarte życie kupić Colinowi jeszcze jeden dzień, czy nie powinnyśmy tego zrobić?

Spojrzałam na tego biedaka. Ścisnął butelkę z całej siły, jakby się bał, że któryś

z przechodniów zapragnie jej tak, jak on pragnął jej zawartości. Kręcił się wokół, kłócąc się z jakąś nieistniejącą osobą. Gdy patrzyłam na niego oczami wiedźmy, widziałam, że nie ma tam żadnego niewidzialnego ducha, że nic mu nie zagraża. Walczył z jakimiś omamami wywołanymi przez alkohol. Czy ktoś by za nim zatęsknił? Czy zniknięcie tego mężczyzny pozostawi po sobie pustkę w tkance naszego świata? Czy łatwo będzie wyciągnąć z niego wszystkie siły i oddać je...

Potworność zbrodni, którą zaczęłam rozważać, wyrwała mnie spod władzy zaklęcia Gudrun. Przez głowę przemknęła mi historia Ewy i węża. Jak wielkimi grzechami musiała być kuszona, zanim dała się namówić na ten jeden, pozornie niewinny kęs?

– O Boże – jęknęłam. – Nie. To jego życie. Nie jestem morderczynią.

Gudrun odetchnęła głęboko, jakby usiłowała zachować spokój, gdy testowałam jej cierpliwość. Nie próbowała mi przerywać.

– Nie. Niezależnie od istnienia Boga, twój sposób myślenia jest zły. To prawda, chcę uratować moje dziecko, ale znajdę inny sposób. – Zeskoczyłam z ławki, niemalże się przy tym przewracając. Odwróciłam się od niej. – Ten świat, który opisujesz... Nie oddałabym Colina do tamtego świata.

– Skazujesz swoje dziecko na zagładę. Poświęcić się dla większego dobra, to prawdopodobnie byłby jedyny szlachetny czyn tego żebraka. – Machnęła ręką w kierunku bezdomnego, który się odwrócił i ruszył w stronę wyjścia z parku. – Myślę, że rozumiem twój problem. – Gudrun spojrzała na mnie i opuściła wzrok. Emanowała pełnym współczuciem zrozumieniem. – Kiedy ktoś zabije jakąś osobę, to jest to morderstwo. Gdy zostaje zabita grupa osób, to rzeź. Tobie wydaje się to niewyobrażalne, Mercy, ale uwierz mi, że gdy giną setki tysięcy ludzi, to wszystko staje się wyłącznie statystyką. W pewnym momencie, gdy liczby staną się wystarczająco wysokie, umysł człowieka nie jest w stanie zająć się sprawami ukrytych za tymi wszystkimi liczbami jednostek. Emocje się przytępiają, sumienie przestaje mieć prawo głosu – urwała. – Gdy osiągasz ten punkt, zostajesz bogiem.

– Nie chcę być bogiem.

– Nawet jeśli za każdą śmierć będziesz mogła kupić Colinowi kolejny dzień życia?

Odpowiedziałam, zanim jakiegokolwiek zwątpienie zdołało przedrzeć się przez moją osłabioną obronę.

– Tak, nawet wtedy – stwierdziłam, wiedząc, że robię dobrze, nawet jeśli czułam, że zdradzam Colina. – Idę. I nie próbuj mnie...

– A co z tymi, których zniszczyła granica? Usłyszałaś z pierwszej ręki opowieść o tym, jaki wpływ miała ona na świat *Fae*, a i to tylko dlatego, że kilkorgu spośród nich udało się przetrwać i mogą o tym opowiedzieć. Co z innymi, których światy zniknęły całkowicie w momencie stworzenia granicy?

– Byli inni? – Znowu doświadczyłam ciężącego na mnie poczucia odpowiedzialności i winy.

Gudrun spojrzała na Confederate Monument i wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, ale jestem pewna, że gdy wiedźmy tworzyły granicę, interesowały się wyłącznie sobą. – Mężczyzna bez koszulki, za młody dla Gudrun o jakieś tysiąc lat, przebiegł obok nas i zdałam sobie sprawę, że to już piąty raz. I zawsze, gdy nas mijał, ich spojrzenia się spotykały. – Głupie dziecko – rzuciła, ale nie byłam pewna, czy ma na myśli biegacza, czy mnie. – Kotwiczący są dzisiaj dokładnie tacy sami. Ayako powiedziała mi, że trzymają przed tobą w tajemnicy wiele rzeczy. Nawet teraz kazali ci uwierzyć, że została spętana, ale

zapewniam cię, że ma się dobrze. Twoi kotwiczący zdecydowali, że ponieważ chodziło o ciebie, jej decyzje były usprawiedliwione, nawet jeśli doprowadziły do sytuacji zaskakującej nawet dla samej Ayako. – Uśmiechnęła się delikatnie i położyła dłoń na sercu. – Zgodzili się, że Ayako będzie im jeszcze potrzebna w czasie bitwy, którą planują wydać nam obu. – Pokiwała głową na myśl, że kotwiczący uznali mnie za tak niebezpieczną, jak sama wielka Gudrun. Splotła dłonie, jakby zamierzała się modlić. – Zdaję sobie sprawę, że zmuszam cię do zupełnie innego sposobu myślenia, niż przywykłaś, być może nawet sprzecznego z twoją naturą, ale odszukałam cię, ponieważ jesteś kimś wyjątkowym. Jestem pewna, że to na ciebie czekaliśmy. Jesteś wiedźmą, która może zrobić porządek z tym obrzydlistwem, nazywanym przez was granicą. Obiecuję ci jednak, że jeśli nie zdołam cię przekonać, odejdę. Zostawię cię i twoich bliskich w spokoju. Nie ma sensu, żebyśmy się kłócili. W końcu jesteśmy rodziną.

No i wszystko jasne. Nie miałam cienia wątpliwości, że jej słowa są prawdą. Nic nie mogłam na to poradzić, ale od momentu, gdy Gudrun zaczęła kłapać dziobem, wierzyłam jej we wszystko. We wszystko.

– Jesteś z Weberów? – Byłam spokrewniona z Jilo, okej, może. A teraz znowu Gudrun. Najwyraźniej dzieliłam DNA z połową cholernego świata.

– Nie, ale Erik, twój ojciec, był moim kuzynem.

Nie próbowałam nawet zacząć się z tym oswajać. To tak, jakbym była kuzynką drugiego stopnia dla boogeymana. Wydawało się to równie niemożliwe i dwa razy tak przerażające. Ale w tym momencie fakt, że łączyło nas pokrewieństwo, mógł być jedyną rzeczą, dzięki której ciągle żyłam. W nadziei, że Gudrun podporządkuje się złodziejskiemu honorowi, postanowiłam przyspilić ją obietnicą:

– Więc zgadzamy się, że się nie dogadamy, a ty pozwalasz mi odejść i zostawiasz w spokoju mnie i moich bliskich?

– Kotwiczący uznają tę propozycję za ostateczny dowód twojej zdrady. – Wydawało się, że ta myśl sprawiła jej przyjemność. Skinęła głową. – Masz moje słowo. Jest jeszcze tylko jedna rzecz, o której chcę z tobą porozmawiać, zanim się rozejdziemy.

Od razu poczułam, jak moja czujność rośnie, a żołądek zawiązuje się w supeł.

– Tak?

– W porządku, przyjęłam do wiadomości, że nie jesteś morderczynią. Przynajmniej w tych okolicznościach. Ale co by się stało, jeśli byłaby to kwestia wykonania wyroku sądu?

– Nie jestem sędzią, nie jestem też katem.

– Nie? Więc może powinnam dać ci możliwość, byś została jednym i drugim. – Uniosła rękę i zaczęła kreślić małe koło w powietrzu obok mnie. – Obwiniasz mnie za swoje straty, ale naprawdę nie ja jestem im winna. – Pusta przestrzeń obok mnie zaczęła gęstnieć i ciemnieć. – Za to on i owszem – stwierdziła, gdy u mojego boku pojawił się Josef. Gdy zdał sobie sprawę z sytuacji, splunął w stronę Gudrun. Wyprężył się i szarpnął ciemne kajdany, które pętały mu nogi i przytrzymały ręce za plecami. – Oddaję ci go, możesz go osądzić.

– Dziwka. – Ledwo to słowo wyszło z jego ust, jego głowę natychmiast oplotła ciemność, tworząc knebel.

– Może – odparła Gudrun – ale to ty potrzebujesz kagańca na pysk. Jest twój – zwróciła się znowu do mnie. – Przynajmniej przez najbliższą dobę. Nałożyłam na jego moc kajdany i przez dwadzieścia cztery godziny jest pozbawiony magii. Po tym czasie uwolni się, by znów krzywdzić twoich najbliższych, a kto wie, kogo jeszcze. – Przyjrzała mu się. – Zabił ponad

pięćdziesiąt zwykłych osób i – z zaciekawieniem przechyliła głowę – trzy wiedźmy. – Wydawała się speszona. – Naprawdę, Josef, jeśli twoja siostra będzie na tyle słaba, żeby pozwolić ci dożyć jutra, chciałabym posłuchać o tych wiedźmach. – Zerknęła w moją stronę. – Jeśli okaże się tak słaba, to oczywiście myślę, że zanim się zobaczymy, ta liczba zwiększy się do czterech wiedźm. – Poczekala, aż jej słowa w pełni do mnie dotrą. – Mam nadzieję, że znasz drogę do domu – dodała. Z tymi słowami zniknęła.

Killian's – nazwa handlowa, pod którą sprzedawane są dwie marki piwa pochodzenia irlandzkiego [przyp. tłum.]. ↵

DWUDZIESTY PIĄTY

Zostawiliśmy zakneblowanego, związanego i pozbawionego mocy Josefa w moim dawnym pokoju. Po śmierci Teague'a i tak był skażony. Nie czułam już względem tego pokoju żadnych pozytywnych emocji, postanowiłam więc zająć inny, po drugiej stronie pokoju dziecięcego. Był mniejszy, a widok z okna nie był taki ładny jak w mojej starej sypialni, ale też nie łączyły się z nim takie wspomnienia.

Iris nalegała, żeby Maisie, dla jej własnego dobra, pozostała zamknięta w swoim pokoju do czasu, aż zdecydujemy, co zrobić z Josefem. Maisie przyjęła ten wyrok ze spokojem.

– Rozumiesz, prawda? – zapytałam ją, zanim rodzinnie złączyliśmy moce, by zamknąć drzwi.

– Tak – odparła z figlarnym uśmiechem. – Ręcznie tkane orientalne dywany są drogie i trudno je doczyścić. – Cholera, naprawdę ją kochałam.

Z drugiej strony stał z kolei Josef, mój młodszy brat, lub dokładniej rzecz biorąc: brat przyrodni. Zastanawiałam się, jak by to było, gdyby moja matka i jej znajomi go nie zwichrowali. Czy w końcu spotkalibyśmy się i polubili? A może od samego początku taki był? Uderzyło mnie to słowo. Od początku, nie od poczęcia. W jakiś sposób w odniesieniu do czworga dzieci Erika Webera to określenie wydawało się bardziej właściwe. My, jego potomstwo, stanowiliśmy raczej element zaplanowany niż owoc zwykłego fizycznego stosunku. Zamiast wychowywać swoje dzieci, by pamiętały o nim lub podążały jego śladem, on płodził pionki, którymi mógłby rozgrywać swoją grę. Miałam nadzieję, że naprawdę było nas czworo, a nie że stworzył całą armię wadliwej psychicznie progenitury.

– Nie podoba mi się, że on tu jest. – Oliver trzasnął dłońmi o stół, ściągając moje myśli ku bieżącym sprawom. – Ktoś na pewno przyjdzie go ratować. Mówię wam, że skurczybyk ma robić za jakiegoś konia trojańskiego. Gudrun przysłała go tu z jakiegoś powodu.

– Chyba nie uważasz, że powinnam go była zostawić na Sentient Bean, prawda?

– Rudzielcu. – Pokręcił głową. – Nie mówię, że coś zrobiłaś źle, ale to byłoby zbyt proste, gdyby pełnoprawny członek klubu „Włóczni Przeznaczenia”¹ tak zwyczajnie oddał nam ładnie opakowanego Josefa w prezencie.

Adam odwrócił się do Olivera:

– Czy tobie się ten chłopak podoba?

Oliver uniósł wysoko brwi. Wydawał się zszokowany.

– Jak w ogóle możesz o to pytać? To psychopata!

Adam patrzył raczej na mnie niż na mojego wujka.

– Okej, mój błąd. – Uśmiechnął się. Starał się rozluźnić atmosferę i byłam mu za to bardzo wdzięczna, ale moje serce pozostało niewzruszone. Błysk w oku Adama zbladł. Przebiegł palcem po brzegu swojej szklanki. – Zgadzam się, bylibyśmy głupi, wierząc bodaj jednemu słowu tej Gudrun. – Spojrzał w przestrzeń, a jego rysy stwardniały. – Muszę przyznać, że po tym, co ten drań mi zrobił, hamuję się z całej siły, bo chciałbym przyłożyć mu w gębę i bić, dopóki nie zostanie tylko kupa kości i kawałki stołu.

– Nie zrobisz tego. – Iris potrząsnęła głową. – Nie znizysz się do jego poziomu. Jesteś lepszym człowiekiem niż Josef.

– Myślę, że masz mnie za lepszego, niż jestem naprawdę. – Jego głos był spokojny, ale Josef chyba miał szczęście, że była tu Iris, by służyć Adamowi za sumienie.

– Chcesz zemsty, to zrozumiałe, ale nie, ja widzę cię dokładnie takim, jaki jesteś. A jak

mnie nie posłuchasz, zabronię ci się spotykać z moim braciszkiem.

Adam zatrząsł się ze śmiechu i spojrzął na Olivera.

– Czy ona właśnie powiedziała „zabronię”?

Oliver zachichotał.

– Na to wygląda.

– I dokładnie to miała na myśli – wtrąciła ciotka z udawaną surowością.

Kolejna próba rozładowania gęstego jak ołów napięcia. Ellen zaczęła drżeć. Nawet siedząc po przeciwnej stronie stołu, mogłam zauważyć gęsią skórkę na jej ramionach.

– Związany czy nie – odezwała się – czuję się bardzo niedobrze, wiedząc, że jest tak blisko. – Powiodła po nas wzrokiem. – Po tym, co stało się w Tillandsii...

– Och, kochana. – Iris nachyliła się, objęła siostrę i zakołysała nią delikatnie.

Najwyraźniej naprawdę wzięła sobie do serca obowiązki najstarszej z rodzeństwa.

– Możemy albo się śmiać, albo go zabić – odezwał się Oliver. Chwycił Ellen za rękę. – Wiemy, co ci zrobił, siostrzyczko.

Oczy Ellen rozszerzyły się na chwilę, a jej wargi zadrżały.

– Jestem za tym, żebyśmy go zabili.

Oliver puścił jej dłoń i wstał. Przeszedł przez kuchnię i oparł się o zlew. Jego ramiona kilka razy uniosły się i opadły, zanim się odwrócił, by na nas spojrzeć.

– Ja też.

Iris podskoczyła i rzuciła się ku młodszemu bratu, na wpół idąc, a na wpół lecąc. Wylądowała przed nim i z całej siły uderzyła go w twarz, aż zawibrowało powietrze.

– Nie będę nawet rozmawiać o morderstwie. Słyszycie mnie? Nie będzie żadnego bicia.

– Nie. – Oliver się pozbierał i stał przed siostrą wyprostowany. – Będziemy bić mnie zamiast drania, który na to zasłużył.

Iris trochę się uspokoiła.

– Przepraszam – wyciągnęła rękę, ale ją odepchnął – ale naprawdę stać cię na więcej. – Spojrzała na swoją rękę. – Tak jak i mnie. Naprawdę przepraszam, Oli.

– W porządku, ale musiałaś walić tak mocno, do cholery? – Kiwnął głową, zmierzając z powrotem do stołu. Spojrzałam na czerwony ślad, ciągnący się przez jego policzek aż do skroni. Zamrugałam, myśląc, że to tylko gra światła, ale nie, zobaczyłam tam kilka siwych włosów. Chociaż cała trójka starzała się korzystnie, moje ciotki wyglądały na swój wiek. Oliver z kolei mógł spokojnie uchodzić za mojego brata. Odkąd pamiętam, wujek wyglądał na dwadzieścia pięć lat. Czy jego młody wygląd, który wydawał się wieczny, jednak taki nie był?

– Tak mi przykro – powiedziała Iris. Zamknęła oczy, wciągnęła powietrze i wypuściła je, patrząc na nas. – Nie jesteśmy strażą obywatelską i na pewno nie jesteśmy mordercami. Wiem, jaką krzywdę wyrządził naszej rodzinie ten dzieciak. Ale żyjemy w państwie, w którym obowiązuje prawo, i będziemy tego prawa przestrzegać. Prawda, Adamie?

Cook potarł twarz, po czym chwycił Olivera za rękę.

– Tak, Iris – odparł ze znacznie mniejszym przekonaniem, niż oczekiwałam po przedstawicielu policji. – Masz rację, tak powinniśmy poradzić sobie z tą sytuacją.

– Powinniśmy? – Wychwyciła jego powściągliwość.

Adam podniósł wolną rękę.

– Tak, my. A przez „my” rozumiem policję, która nie da mu rady. Gdyby był zwykłym facetem, to oczywiście, ale gdy tylko Gudrun go uwolni, Josef zabije każdego policjanta w okolicy. Wiesz, że tak będzie.

– Zabije znów – odezwałam się, choć nie miałam zamiaru mówić tego głośno. Poczulałam, że wszyscy na mnie patrzą. – Tak sobie myślę, że Georgia to stan, w którym obowiązuje kara śmierci. Gdyby nawet udało się oddać go w ręce policji, efekt byłby taki sam.

Ellen podskoczyła na dźwięk moich słów.

– Tak. – Spojrzała na Iris. – Widzisz, nawet Mercy zdaje sobie sprawę, że musimy zakończyć działalność tego psychopaty.

Iris przeniosła wzrok na mnie. Rozczarowanie miała wypisane na twarzy.

– Uważasz, że powinniśmy dać sobie spokój z sądem i po prostu wykonać wyrok?

– No cóż – zaczęłam się jąkać. – Tego bym nie powiedziała. To znaczy, powinniśmy mu uniemożliwić krzywdzenie ludzi, ale...

Szczerze mówiąc, nie wiedziałam, jak z tego wybrnąć. Nigdy wcześniej nawet nie myślałam o karze śmierci. Josef torturował Ellen i Adama, zabił Colina i Claire. To wszystko spowodowało, że moje życie zaczęło się pruć. W zasadzie zabił też Petera, bo mój mąż odszedł z tego świata i był jak umarły. Czy chciałam ukarać Josefa? Zdecydowanie. Czy chciałam, żeby zginął? Może i tak. Ale czy powinnam wziąć udział w tym zabójstwie? Czy powinnam zabić go sama?

– Wszyscy wiemy, jak najlepiej to zrobić – stwierdziła Ellen z rozdrażnieniem. – Iris, dobrze wiesz, że niektórzy ludzie po prostu na to zasługują.

– Ellen, nie wierzę, że ty to mówisz. – Iris patrzyła na nią błagalnie. – To wszystko dlatego, że wciąż to przeżywasz.

– Dlaczego? – wrzasnęła Ellen, a drzwi szafek wokół zaczęły się otwierać i zamykać, trzaskając głośno. – Erik miał dwóch synów. Dlaczego Josef miałby żyć, a Paul nie?

Dotarliśmy do sedna. Zimny kamień bólu, który Ellen polerowała w sobie od czasu śmierci syna, był gorszy niż fakt, że Josef stanowił żywy dowód niewierności Erika, i gorszy niż wspomnienie tortur, które przeżyła wtedy w nocy w Tillandsii.

Znałam swój strach o Colina i po raz pierwszy zaczęłam rozumieć udrękę ciotki. Boże, te wszystkie chwile, gdy potępiałam ją za pijackie wysoki. „Powinna zebrać się w sobie. Zostawić to za sobą”. Jaką nieczułą suką byłam dla niej. Dzięki Bogu, że zawsze trzymałam te egoistyczne myśli dla siebie, zamiast dzielić się z nią nimi jak ta głupia. Teraz czułam, jak jej ból mnie przyciąga, i rozumiałam, że czasem trudno jej wstać rano z łóżka. A mimo wszystko to robiła, działała i, psia krew, nawet jeśli czasem okazywała się zbyt słaba i sięgała po butelkę, nie miałam prawa jej osądzać. Pomagać jej, wspierać, przypominać, że potrafi sobie radzić, ale nie osądzać.

– Proszę, ciociu. – Miałam nadzieję uciszyć trochę hałas. – Przerażasz mnie.

Ellen zadrżała, ale trzaskanie ustało. Iris patrzyła na siostrę, wahając się, czy mówić dalej, ale w końcu stwierdziła to, co myśleliśmy my wszyscy.

– Masz rację, Ellie, to nie ma najmniejszego sensu. – Umilkła i widziałam, że stara się uporządkować myśli. – Szczerze mówiąc, gdyby zabójstwo Josefa miało przywrócić do życia twoje dziecko, sama bym go zamordowała. Własnoręcznie. – Ich spojrzenia się spotkały. – Ale zabicie Josefa nie wróci nam Paula. Wiesz o tym.

Ellen zamknęła oczy i pokiwała głową.

– Tak, wiem. Masz rację. Mój rozum też tak mówi. Musimy poradzić sobie z nim po ludzku. Ale, Iris, moje serce aż krzyczy, żebym mu odpłaciła.

Iris usiadła przy stole między mną a Adamem i ujęła nas za ręce. Ja wyciągnęłam dłoń w stronę Ellen, ona chwyciła Olivera, a wujek zamknął koło, ściskając dłoń Adama.

Siedzieliśmy tak przez minutę albo dłużej, w ciszy, złączeni. Poczułam, że Colin kopnął i westchnął. Połączone moce mojej rodziny rozpięły nad nim ochronną sieć. Działała. Mój synek był wojownikiem i nie zamierzał łatwo się poddać. Wierzyłam w niego. Twarze wszystkich rozjaśniły się, gdy zrozumieli, co się stało. Zaciśnęłam dłonie i zapragnęłam, żeby Maisie z nami była i też mogła się cieszyć.

Moment minął. Iris rozluźniła uścisk.

– Maisie – powiedziała.

Odwrociłam się i zobaczyłam stojącą obok siostrę.

– Jak wyszłaś z pokoju?

– Mała rada, Mercy. – Maisie oplotła mnie ramionami i delikatnie uścisnęła. – Uważaj, czego sobie życzysz. – Puściła mnie. – To nie moja wina, tylko mojej siostrzyczki. Wyciągnęła mnie.

– Mercy – zaczęła Iris zirytowanym głosem. – Ustaliliśmy...

– Nie chciałam, po prostu... po prostu tęskniłam za nią.

– No, może to i dobrze. – Ciotka rozluźniła się trochę. – Ale ty, młoda damo – wycelowała palcem w Maisie – nie podniesiesz nawet palca na Josefa, rozumiano?

– Tak, psze pani. – Ton Maisie przypomniiał mi czasy, gdy Iris kazała nam wracać do domu przed zmrokiem.

Ciotka wskazała krzesło i sama usiadła przy stole.

– Siadaj – nakazała, a Maisie posłuchała bez protestów. – Dobrze – powiodła wzrokiem po nas wszystkich. Podejrzewałam, że szuka najlepszego sposobu, by znów skierować nasze myśli ku sprawiedliwemu procesowi dla Josefa. – Słuchajcie wszyscy. Jesteśmy za blisko całej tej sprawy. Nie możemy być jednocześnie ofiarami i sędziami. Wiem, że zwykły system prawny nie jest w stanie poradzić sobie z takim potworem jak Josef. Ale uważam, że musimy znaleźć cywilizowany sposób rozwiązania problemu. – Zmarszczyła lekko czoło. – Może oddajmy go kotwiczącym? Niech oni go osądzą.

– Iris. – Krzesło Adama skrzypnęło cicho, gdy poprawił się na nim. – Nie chcę być niegrzeczny, ale wydaje mi się, że próbujesz zrzucić z siebie odpowiedzialność.

Ciotka wyduła wargi, ale nie skomentowała.

– Poza tym – dodał Oliver – wszyscy wiemy, co się stanie, gdy dorwą go w swoje łapy. Zabiją go, i to w znacznie mniej humanitarny sposób niż my, jestem tego pewien.

Iris oblizwała wargi i pokiwała głową.

– Może moglibyśmy ich przekonać, żeby zatrzymali go jako jeńca wojennego?

– O tak, jasne, siostrzyczko. A jeśli się zgodzą? Wiesz dobrze, że wymienią go najszybciej, jak tylko się da. Za trzy tygodnie obudzisz się, a Josef będzie stał ci nad głową.

Zadrżałam. To nie była przyjemna myśl.

– Ja go wezmę – wszyscy zdurnieliśmy, gdy Maisie z tym wyskoczyła. Od razu pomyślałam, że to szalona propozycja, ale jej śliczna twarz była spokojna, a błękitne oczy pełne jasności jak nigdy wcześniej. – Zabiorę go do wymiaru, w którym trzymali Gudrun. Znam drogę.

– To nie jest zły pomysł – wtrącił Oliver.

– Zostanę z nim oczywiście. Może dopóki zdołam go przytrzymać...

– Nie mów głupstw! – zachnęła się Iris. – To idiotyzm. Nie pozwolimy narazić twojego życia w zamian za zrehabilitowanie tego chłopaka.

Maisie splotła ręce na stole.

– Skrzywdzili go ci, którzy chcą zniszczyć granicę. – Patrzyła kolejno na każdego z nas. – Mnie skrzywdzili ci, którzy ją chronią.

– Nie, kochanie. – Ellen nachyliła się ku niej. – Nie jesteś jak Josef. Ani trochę.

– Ani trochę? – To pytanie było adresowane do mnie. – To prawda, Josef znajduje przyjemność w zabijaniu, ale i ja mogłabym skończyć z nim nawet teraz, bez chwili zastanowienia. – Odwróciła się do Iris. – Naprawdę mam spędzić resztę życia zamknięta w pokoju, żeby przypadkiem nie zrobiła komuś krzywdy? – Teraz mówiła do Ellen. – Wiem, że nie chcesz widzieć podobieństwa między mną a Josefem, ale naprawdę, ciociu, dla mnie jest on jak lustro. Może mogę mu pomóc. Może mogę pomóc sobie. – Zerknęła na Olivera. – Wujku, ty to rozumiesz, wiem o tym. – Z początku wydało mi się to jakimś tajnym szyfrem, ale wnet pojęłam. – Josef może być moją jedyną szansą na odkupienie.

Z oczu Olivera popłynęły łzy.

– Rozumiem, kochanie. Rozumiem.

– Jak możesz się na to zgadzać? – Iris spojrzała na brata.

– Bo tak naprawdę nie obchodzi mnie, co zrobimy z tym chłopakiem. Zabijemy. Zatrzymamy. Wszystko mi jedno. Ale obchodzi mnie Maisie, a właśnie zdałem sobie sprawę, jak nieludzko ją potraktowaliśmy. Nie jest małą dziewczynką, żebyśmy ją ostrzegali przed zabawą nożyczkami. Stała się kobietą. Kobieta, która zrobiła straszne rzeczy. Dzięki Bogu, żałuje za nie – urwał i spojrzał na Maisie. – Tym, kochanie, różnisz się od Josefa.

– On ma rację, Iris – wtrąciła spokojnie Ellen. – Nie byliśmy w stanie dobrze przyjąć Maisie. Może nie skazaliśmy jej na śmierć, ale zamknęliśmy ją w pułapce bez wyjścia. Przepraszam – zwróciła się do siostrzenicy. – Kocham cię tak bardzo. Jeśli myślisz, że to przywróci ci spokój, że możesz znaleźć odkupienie, to ja cię wspieram... – głos jej się załamał, ale dokończyła na wdechu – tylko obiecaj, że nie zostaniesz tam na zawsze.

Maisie chwyciła jej dłoń przez stół.

– Spróbuję.

– Co tu się dzieje? – zapytała Iris wstała. Strach i złość wzięły nad nią górę.

Oliver wstał, okrążył stół i położył dłonie na ramionach Maisie.

– To się dzieje, że nasza dziewczynka dorosła i musimy pozwolić jej odejść.

– Nie – odparła Iris stanowczym, nieustępliwym tonem. Zamrugła. – Może i dorosła, ale nadal jest moim dzieckiem. – Wzrokiem szukała u mnie wsparcia. – Obie jesteście.

Wychowałam was. Moje dziewczynki.

Zaczerpnęłam głęboko powietrza, walcząc z emocjami, które próbowały wziąć nade mną górę.

– I zawsze będziemy, ale Maisie ma rację. Daliśmy jej wolność. Zasługuje na szansę, by stać się taką osobą, jaką byłaby, gdyby granica nie odebrała jej poprzedniego życia. – Odwróciłam się do siostry i zupełnie straciłam nad sobą panowanie. – Wiem, że muszę pozwolić ci odejść, ale moje serce nie zniesie teraz kolejnej straty. Jeśli naprawdę tego potrzebujesz, nie stanę ci na drodze, ale nie licz na pożegnanie. – Odepchnęłam krzesło od stołu, wstałam i ruszyłam do drzwi. Nie byłam w stanie obejrzeć się na nią, bo byłam pewna, że ją związę, zamknę w tym domu na zawsze, żeby już nigdy mnie nie opuściła. – I, na Boga, lepiej tu wróć, bo inaczej... bo inaczej znajdę cię i ściągnę raz jeszcze.

– Liczę na to – odparła.

– Kocham cię. – Otworzyłam drzwi.

– Ja ciebie też – usłyszałam, gdy już się za mną zatrzasnęły.

Chodzi o włóczę, która przeszła bok Chrystusa w czasie ukrzyżowania i która stała się jedną z największych relikwii chrześcijaństwa. Włócznią interesował się Adolf Hitler, przekonany, że pozwoli mu ona na uzyskanie absolutnej władzy nad światem i stanie się symbolem jego siły [przyp. tłum.]. ↵

DWUDZIESTY SZÓSTY

Najszybciej, jak tylko mogłam, ruszyłam w stronę rzeki. Musiałam oddalić się trochę od świadomości, że znowu straciłam siostrę. Moje serce było już tak dziurawe, że niemalże słyszałam świszczący w nim wiatr.

Odruchowo szłam przez Savannah, moje rodzinne miasto, starając się nie myśleć, jak się dla mnie zmieniło. Tyle miejsc zdawało się w jakiś sposób zanieczyszczonych. Dorastałam, bawiąc się w Oglethorpe Park. Teraz, gdy tamtędy przechodziłam, myślałam tylko o Gudrun albo o Peterze, którego straciłam. Zerkając w stronę Candler Oak, czułam, a czasem nawet widziałam, dusze uwięzione tam przez mojego dziadka, który chciał chronić Savannah przed demonem Barronem, dzieciobójcą. Oczywiście, skoro mowa o dziadku, to nie byłam już z niego dumna – zastanawiałam się raczej, jak on mógł opuścić swoją pierwszą rodzinę.

Dobrzy ludzie z Savannah, ci sami, z którymi dorastałam, przyjaźniłam się, których kochałam, teraz ode mnie stronili, czując powracającą do mnie moc. Zmiana w ich zachowaniu nie rzucała się w oczy, ale mimo wszystko w głębi serca czułam, że serdeczność zmieniła się w wymuszoną uprzejmość. Ta niechęć ze strony mieszkańców mojego ukochanego miasta bolała jak jasna cholera, bez względu na to, jak byli uprzejmi, wznosząc ten mur między nami. Wiedziałam, że to nie ich wina – zwykli ludzie instynktownie trzymają się z dala od wiedźm. Może ta awersja wobec nas, którzy mamy magię wpisaną w DNA, wyewoluowała jako reakcja obronna.

Zdałam sobie sprawę, że nie ma w tym mieście ani jednej ulicy, której bym nie przeszła. Po raz pierwszy zobaczyłam Savannah jako małe miasto, którym jest w istocie. Małe miasto, w którym nie ma miejsca dla outsidera, nawet jeśli tu się urodził i wychował.

Właściwie tylko raz oddalałam się od Savannah dalej niż na odległość rzutu kamieniem, gdy po skończeniu szkoły średniej odwiedziłam Olivera w San Francisco. Dorastałam w miejscu, gdzie przed oczami ma się tylko płaskie krajobrazy, więc wzgórze mnie zachwyciły. Pokochałam to pełne życia miasto. Mimo swoich wiktoriańskich domów, skłaniało się w stronę nowoczesności. Ale wtedy nie mogłam sobie wyobrazić życia poza Savannah. Dziś zamarzyły mi się podróże. Nowy Jork i Paryż. Jeszcze niecały rok temu wszystko wskazywało, że będę miała na to całe życie.

Czy Ginny czuła się tak samo? Czy to uczucie było przyczyną jej zgorzknienia? Miała wrażenie, że jest w pułapce, była pełna żalu? Czy odpowiedź Savannah na jej moc sprawiła, że Ginny czuła się jak piąte koło u wozu? Ja nie skończę tak jak ona. Zznałam w życiu miłości. Mam dla kogo żyć. Mam kogoś, kto jest dla mnie ważniejszy niż ja sama. Może straciłam męża, ale wciąż miałam syna i musiałam trzymać się nadziei, że nic mi go nie zabierze.

Wolałabym uniknąć przechodzenia przed Cotton Exchange. Obraz przywiązanego do Old Reksa torsu matki wypalił się w mojej pamięci na zawsze. Mogłam pójść w dół East Broad, koło Pirates' House. Przeszukałam w głowie katalog nieszczęść. Nie, Pirates' House był w porządku. Nic strasznego się tam nie wydarzyło. Na razie.

Musiałam przeciąć wschodnią stronę Bay, żeby ominąć Exchange. Nagle zamarłam. Zielony park przede mną nazywał się Emmet Park, park Emmeta. Nie mogłam uwierzyć, że wcześniej tego nie zauważyłam, ale zaraz do głowy przyszło mi coś innego.

– Prawie ci się udało, ale wiem, że tu jesteś. Możesz się pokazać.

Przestrzeń przede mną otworzyła się jak koperta i moim oczom ukazał się mój niemalże

dwumetrowy przyjaciel.

– Musiałem się wysilić – odezwał się Emmet – żeby nadażyć za twoim rosnącym strumieniem mocy. Wygląda na to, że uczennica przerosła mistrza. – Wydawał się jednocześnie dumny i rozczarowany i nawet przez sekundę nie pomyślał, że mogłabym mu przyłożyć. Jak często rozmawialiśmy o szpiegowaniu?

Innego dnia, wieki temu, obrugałabym go, ale teraz cieszyłam się, że go widzę.

– Tak, twoje odrażające nawyki więcej nie przejdą niezauważone. – Nawet mój sarkazm trochę się ostatnio przytępił. Ale gdy wzięłam go pod ramię, wydawał się co najmniej niepewny. – Przejdziemy się nad rzekę?

Popatrzył na mnie z góry. Spojrzenie ciemnych oczu obiecywało wytchnienie, którego tak potrzebowałam, a silne ramię schronienie.

– Oczywiście. Cała przyjemność po mojej stronie.

Wsparłam się na jego ramieniu i pomyślałam, że czerpię z tego znacznie więcej wygody, nie, przyjemności, niż powinnam jako mężatka, którą wciąż się czułam. Ludzie będą gadać, jeśli nas zobaczą. Oczywiście jeśli jeszcze pamiętają Petera. Jego matka mówiła, że gdy Peter wsiąknie w swój prawdziwy świat, powoli zniknie z naszego i nawet wspomnienia o nim w końcu zostaną wymazane z ludzkiej pamięci. Jak to miało działać? Czy wszystko się cofnie, jak w przypadku kamienia tonącego w stawie, i wspomnienia o Peterze znikną najpierw u tych, którzy znali go najmniej, aż w końcu rozpląną się i u tych, którzy najmocniej go kochali? Czy będę ostatnią osobą na ziemi pamiętającą, że Peter Tierney w ogóle istniał? Czy on już o mnie zapomniał?

– Razem zachowamy go w pamięci. Dla dziecka.

Przystanęłam. Emmet chyba jednak zakończy dzisiejszy dzień z ochrzanem.

– Jestem zbyt wścibski?

Po jego głosie poznałam, że to naprawdę było pytanie, a nie sarkazm.

– Tak. Zdecydowanie.

– Przepraszam. – Ruszył dalej, ciągnąc mnie za sobą. Nie protestowałam.

– Jak to się dzieje, że tak łatwo czytasz w moich myślach?

Tym razem to on się zatrzymał. Spojrzał na mnie i uchylił usta.

– Nie zdajesz sobie sprawy, jak widoczne są twoje myśli? – Zmierzył mnie wzrokiem. – Emocje z ciebie emanują. Nawet psy schodzą ci z drogi.

– Zamknij się i chodź już.

Milczał przez trzy, cztery kroki, po czym znów się odezwał.

– Colin będzie pamiętał swojego ojca. Będzie dumny z Petera. Powiemy mu, że bardzo kochał was oboje, tylko przyciąganie jego świata było zbyt silne. My...

– Nie jestem pewna co do tego „my”, Emmecie. Nie ma żadnego „my”.

Spojrzał na mnie z góry. Tym razem jego twarz zdradzała absolutną pewność siebie.

– Oczywiście wychowam to dziecko jak własne. Będę dla Colina ojcem.

– Nie przypominam sobie, żebym cię o to prosiła. – Nie wiedziałam, jak zareagować, jak mam się czuć. Byłam poruszona, że tak bardzo chciał się poświęcić, wściekła, że tak się rządzi, poirytowana, bo wybrał sobie najmniej odpowiedni moment, zawstydzona własnym pragnieniem znalezienia się w jego ramionach, sfrustrowana tak bardzo, że miałam ochotę przyłożyć mu prosto między oczy.

Znów przystanął. Chyba nie zobaczą rzeki tego dnia.

– Nie musiałaś mnie o nic prosić. Już pokochałem to dziecko jak własne i wiesz, że

kocham ciebie.

– Emmecie. – Mój głos drżał z irytacji. – Nie jestem jeszcze gotowa nawet myśleć o odejściu od Petera. Ja nie żyję od lat jako wdowa, ja dopiero co straciłam męża.

– Dobrze o tym wiem. – Ze zdziwieniem stwierdziłam, że jego rozdrażnienie miesza się z moim. – Ale musisz pamiętać, że czekałam na ciebie całe moje życie. – Zaczęłam mówić, ale położył mi palec na ustach. – Nie musisz mnie kochać. Nie oczekuję, że będziesz ze mną sypiać. Po prostu chcę, żebyś pozwoliła mi być dla siebie wsparciem. Wypełnić pustkę, która powstała w waszym życiu. Będę świetnym ojcem. – Popukał się palcem w czoło. – Mieszczą się tu doświadczenia ośmiu mężczyzn i jednej żydowskiej matki.

Mówił, oczywiście, o dziewięciu wiedźmach, w tym i Rivkah, biorących udział w stworzeniu golema z pyłu ziemi. Gdy skąpała go moc granicy, która zamieniła go w człowieka z krwi i kości, pozostały w nim wspomnienia i doświadczenia jego twórców.

Stałam na jego drodze w momencie, w którym został stworzony. Wtedy jego widok mnie przeraził. Teraz bałam się go w trochę inny sposób. Wiedziałam, że ma rację. Colin nie mógłby wymarzyć sobie lepszego ojca. Poza swoim własnym, rzecz jasna. Ale nie byłam jeszcze gotowa na taki krok. Odepchnęłam jego dłoń.

– Wiem o tym, Emmecie. Ale nie możesz zastąpić mi Petera.

– Ależ ja nie pragnę zastępować Petera. Chcę oddać swoje życie, żeby zachować pamięć o nim. Wychować jego syna. Wielbić kobietę, którą i on kochał...

– On o mnie zapomniał. – Zaczęłam płakać, ale Emmet przyciągnął mnie i zamknął w mocnym uścisku. Pozwoliłam mu na to. Pozwoliłam sobie na chwilę ulgi.

– Nie zapomniał. – Emmet pogładził mnie po włosach. – Peter nigdy by o tobie nie zapomniał. Jego uczucia, pamięć, historia, wszystko się rozluźniło. Stracił nie tylko ciebie i Colina, ale również samego siebie. – Pocałował mnie delikatnie w czoło. – Nie obwiniaj go. Nie miej żalu. Wiem, że by cię nie zostawił, gdyby miał na to choć najmniejszy wpływ.

Zaczerpnęłam powietrza, po czym wypuściłam je powoli. Pozwoliłam jego słowom mnie otulić, odprężyłam się w jego ramionach. Mogłabym zupełnie się rozluźnić, a i tak bym nie upadła. Emmet nie pozwoliłby mi wyslizgnąć się z uścisku. Peter by mnie zabił, gdyby nas teraz widział.

Emmet podniósł moją twarz, by spojrzeć mi w oczy.

– Nie, on cię kochał. Naprawdę kochał. Jestem tego pewien. Biorąc pod uwagę okoliczności, myślę, że twój gorąckokrwisty mąż wróżka podziękowałby mi.

– Tylko bym cię wykorzystała. – Spróbowałam odwrócić wzrok, ale mi nie pozwolił.

– Więc zrób to.

– Zależy mi na tobie, nie...

– Nie musisz mnie kochać. Nie proszę cię, żebyś coś konkretnego do mnie czuła. Chcę tylko być dla ciebie wsparciem. Proszę cię, żebyś pozwoliła sobie pomóc, dopóki nie znajdziesz dość siły, by stanąć na nogi.

– I co wtedy? – Szukałam na jego twarzy jakiegokolwiek oznaki niepokoju. Nie znalazłam. Fale czarnych włosów znów były dłuższe i spadały mu na oczy. – A jeśli nie będę cię już potrzebowała?

– Och, Mercy, nie bądź niepoważna – rzucił i ruszył dalej. – Niezły ze mnie przystojniak. Zaufasz swoim zmysłom szybciej, niż myślisz.

Pociągnęłam go za ramię, żeby trochę zwolnił, ale nie dał się zatrzymać.

– Nie chcę cię ranić, Emmecie. Przechodzę teraz piekło. Tak wiele straciłam. –

Pomyślałam, że on nawet nie wie o Maisie.

– Wiem – odparł, a ja z początku myślałam, że to zwykłe potwierdzenie. – To znaczy, wiem o Maisie. – Zamiast okazać mu uznanie, trzepnęłam go lekko po ramieniu. – To nie moja wina. Mówiłem ci, że łatwo cię teraz odczytać.

Może miał rację, więc dałam za wygraną.

– Twoja siła i wsparcie są kuszące, ale zasługujesz na kobietę, która naprawdę cię pokocha.

– Nie martw się tym, na co ja zasługuję. Zaryzykuję, z nadzieją, że któregoś dnia odwzajemnisz moje uczucia.

– Albo skończy się tak, że cię wciągnę w sam środek piekła.

– I tak byłem już w piekle i wróciłem z niego, a wszystko dla ciebie. Nie boję się zrobić tego po raz drugi. Ugh... – Potarł pierś w miejscu, gdzie spoczywała moja głowa. – Wystarczy tych łez, całego mnie pomoczysz. – Mrugnął i uśmiechnął się, i chociaż poczułam się jak zdrajczyni, moje serce mu odpowiedziało, nawet jeśli tylko troszkę.

Emmet już kiedyś próbował mnie przekonywać, że granica stworzyła go dla mnie. Czy mogło tak być? Czy granica w jakiś sposób wiedziała? Przewidziała odejście Petera i przygotowała mi bezpieczną przystań? Peter odszedł. Na zawsze. I żadne łyzy na świecie mi go nie przywrócą. Najlepsze, co mogłam zrobić, to wychować jego syna tak, żeby był z niego dumny. Strach, że Colin nigdy nie ujrzy świata, wrócił, ale zaraz go odepchnęłam. Nie pchnęłam w ten strach ani krzty mojej energii, za to przekazałam jej tyle, ile mogłam, w stronę nadziei, że mój syn jednak do nas przyjdzie. Oparłam głowę na ramieniu Emmeta.

– Zapłacę za pralnię. – Przez moment wyobraziłam sobie życie, w którym dołącza do nas Emmet, i węzeł gdzieś w głębi mojej duszy trochę się rozluźnił. Może miał rację.

Poczułam dreszcz spływający po kręgosłupie, ale zdałam sobie sprawę, że nie ma on nic wspólnego z Emmetem. Gdzieś w pobliżu była wiedźma, i to potężna. Dreszcz zamienił się w drżenie mocy, które odczuwałam już całym ciałem. Emmet zamknął mnie w mocniejszym objęciu, tak że widziałam jedynie jego ramiona. Usłyszałam, że koło nas zatrzymuje się samochód, i spróbowałam wyzwolić się z jego objęć, ale to tak, jakbym próbowała rozewrzeć imadło.

– Emmet. – Dopiero jego imię podziałało niczym zaklęcie i trochę rozluźnił uścisk, choć jego ramiona nadal mnie oplatały. Mogłam jednak przynajmniej się obrócić.

Obok nas stała limuzyna barwy burzowej chmury tuż przed ulewą. Nie cierpię takich samochodów. Nigdy jeszcze nic dobrego nie przyszło mi z jeżdżenia limuzynami. Zaszumiało przyciemniane okno. Gdy szklana tafla w kolorze onyksu zjechała na dół, zobaczyłam, jak z auta wychyla się niezwykle biała twarz okolona nienaturalnie jasnymi włosami. Z twarzy zupełnie bez wyrazu spojrzęły na mnie przerażające białe oczy.

– Fridtjof Lund – wyszeptałam.

DWUDZIESTY SIÓDMY

Chociaż rozpoznałam go natychmiast, Fridtjof w jakiś sposób trochę się zmienił. Był mniej androgyniczny. Tak, to było to. Nabrał więcej cech męskiego wyglądu. Gdzieś z mojej podświadomości wyskoczyło pytanie:

– Jakim cudem możesz tu być, skoro jesteś kotwiczącym?

Dlaczego mógł przyjechać do Savannah, tak daleko od miejsca, w którym został związany z granicą?

– Bilokacja. Mam dar przebywania w dwóch miejscach jednocześnie. Moja druga połówka, można powiedzieć, że „większa połówka”, została w domu.

Druga połówka.

Fridtjof nie był androgyniczny w taki sposób, jak myślałam. On, oni wszyscy, byli jakby złożeni z dwóch istot, męskiej i żeńskiej, związanych jednym ciałem, ale zdolnych, co właśnie widziałam na własne oczy, się rozdzielić. Szybko otrząsnęłam się z osłupienia, w jakie wprawiło mnie jego pojawienie się w Savannah. Po tym, co ostatnio przeszłam, żeby mnie zszokować, musiałby spróbować czegoś o wiele mocniejszego. Pomyślałam, że jestem jego obecnością bardziej poirytowana niż przestraszona.

– W porządku, wiemy już więc jak. – Klepałam Emmeta po ręce, aż wreszcie zrozumiał i wypuścił mnie z objęć. – Więc teraz dowiedzmy się po co.

– Myślę, że to oczywiste. Chciałbym wziąć udział w twojej słynnej Wycieczce Kłamców. – Na jego beznamiętnej twarzy pojawił się szydery uśmiech.

– Mogę zaproponować wersję skróconą: niezwykle miło cię widzieć.

Emmet zachichotał za moimi plecami.

– A jeśli jeszcze nie zrozumiałeś, że nie jestem w nastroju do wysłuchiwanie twoich błyskotliwych odpowiedzi, to zapewniam, że nie jestem. – Poczułam pot występujący mi na czoło i otarłam go dłonią. – Więc mów, czego chcesz albo jedź dalej.

– Jasne – odparł i ciemna szyba zaczęła się zasuwac. Przez moment naprawdę myślałam, że podwinie ogon i ucieknie, ale zaraz otworzyły się drzwi od strony kierowcy i wysiadł z nich zwykły facet, ubrany w drogi garnitur. Otworzył drzwi od strony Fridtjofa, po czym się wycofał. Fridtjof wychylił się w moją stronę. – Zapraszam.

Nie zamierzałam nawet się zastanawiać nad tym zaproszeniem. Potrząsnęłam głową jeszcze zanim zdążyłam wymyślić odpowiedź.

– E-e. Nie ma mowy. – Głos w końcu za mną nadażył.

– No dalej. Możesz wziąć swojego ochroniarza, jeśli chcesz.

– Nie znaczy nie.

Nastroju Fridtjofa nie dało się rozpoznać po minie. Równie dobrze mógł być rozbawiony, wściekły albo nawet znudzony. Chyba nie potrafił okazywać niczego innego niż samozadowolenie i pogarda. Próbowałam przejrzeć myśli kierowcy, żeby wywnioskować coś na temat nastroju Fridtjofa, ale po chwili do mnie dotarło, że mam gdzieś, co myśli Fridtjof. Nie było mowy, żebym gdziekolwiek z nim pojechała, została z nim sam na sam. Odwróciłam się i ruszyłam w stronę domu.

– Przyszli mi nasi wspólni znajomi, kotwiczący! – zawołał za mną.

Okej, więc teraz byliśmy znajomymi. Zatrzymałam się i spojrzałam na niego.

– Więc mów. Dlaczego cię przyszli? – Emmet ustawił się między nami, przygotowując się, jak sądziłam, na każdą okoliczność.

– Zgodziliśmy się, że pewne nieporozumienia między nami to po części nasza wina.
– Po części? – Mój głos wszedł na wyższe rejestry niż zazwyczaj. – Próbowaliście zniszczyć moje rodzinne miasto...

– To nie do końca prawda. Twoja matka...

– Tak, tak, tak. Przymknij się. – Słyszałam to już kiedyś od Beżowego. Nie czułam potrzeby wysłuchiwania tych samych wyjaśnień, tym razem z ust Białego. – Coś jeszcze?

Przez chwilę wydawał się trochę poirytowany moją bezpośredniością. Przechylił głowę, marszcząc brwi. Milczał tak długo, że naprawdę już myślałam, żeby go tu zostawić i po prostu odejść. Obudził się w ostatniej chwili.

– Dowiedzieliśmy się od ciebie bardzo wielu rzeczy. O granicy i jej tworzeniu. O tym, jak ty i twoja rodzina ją niszczyliście. – Rozkręcił się już zupełnie. – Może i ocaliłaś swoje miasto od zniszczenia z powodu huraganu, ale nie obyło się to bez kosztów. Osłabiłaś granicę.

Ledwo jego słowa wypłynęły ze śnieżnobiałych ust, a już poczułam, że zaczynam wszystko rozumieć.

– Nie, granica nie jest słabsza. Jeśli już, to co najwyżej silniejsza niż kiedykolwiek. Po prostu nie możecie jej kontrolować w takim stopniu, jak kiedyś.

– Panienko Taylor...

– Pani Tierney – poprawił go Emmet, zdobywając u mnie tyle punktów, że nie byłam w stanie od razu ich zliczyć.

– Dobrze, zatem pani Tierney. Miałem nadzieję, że dołączy pani do mnie z własnej woli i nie będzie potrzeby rzucania gróźb, ale...

– Lepiej bardzo dobrze się zastanów, zanim dokończysz to zdanie – wycedziłam, odruchowo cofając lekko głowę. Poczułam iskry łaskoczące mnie w koniuszki palców.

Fridtjof cofnął się lekko w głąb auta, ale zmusił się, żeby nachylić się z powrotem.

– Nie pozostawiasz nam wyboru. Jesteś tak podatna na swoje humory, że byłabyś w stanie nawet skrzywdzić innego kotwiczącego. To wystarczający dowód.

Pozwoliłam magii rozejść się trochę.

– Dobra, wyrzuc to z siebie.

– Miałem nadzieję, wszyscy mieliśmy, że spotkasz się ze mną bez tego wszystkiego. Że z własnej woli dołączysz do mnie i pozwolisz pokazać sobie, w jak złym kierunku zmierzasz. Ale muszę cię ostrzec, że jeśli się nie zgodzisz, kotwiczący są gotowi cię związać.

Emmet zrobił krok w stronę samochodu. Fridtjof musiał użyć magii, żeby go zatrzymać, bo wiedziałam, że inaczej szybko mógłby znaleźć się w trzech częściach zamiast w dwóch.

– A jeśli się zgodzę?

– Cóż, z pewnością zostanie to odebrane jako przejaw dobrej woli. – Zorientowałam się, że znów miał wrażenie, iż kontroluje sytuację. Poczucie pewności siebie otaczało go gęstą chmurą. – Chodź. Muszę ci coś pokazać.

Spojrzelśmy po sobie z Emmetem.

– Muszę iść...

– Nie ma mowy, że puszczę cię z tym... białym draniem... samą. – Podeszedł do auta. – Przesuń się, zmarzlaku. – Spojrzał na mnie przez ramię, starając się wyglądać na pewnego siebie i zadowolonego. Nie udało mu się jednak przekazać tej pewności w spojrzeniu.

Emmet musiał się skulić, żeby wcisnąć się do auta, a gdy tylko zostałam sama, poczułam na sobie świdrujące spojrzenie kierowcy. Szybka, krótka modlitwa do kogokolwiek tam na górze, żeby mnie chronił, i dołączyłam do Emmeta. Kierowca zatrzasnął za mną drzwi.

Dźwięk zamykanych drzwi samochodu zbiegł się z pojawieniem się oślepiającej jasności, a być może wręcz ją spowodował. Zamiast jazdy ulicami Savannah poczułam coś, czego nigdy wcześniej nie doświadczyłam. Moje ciało tkwiło zupełnie nieruchomo, a świat wokół wirował. Ręka Emmeta ścisnęła moją, a jego żelazny uścisk powiedział mi, że cokolwiek się stanie, on się stąd nie ruszy. Obrazy przeplatały się z ciemnością, każdy promień światła odkrywał nową scenę, dopóki obrazu nie zmył wybuch ciemności.

Potok wizji zwolnił, a pod nami rozciągały się rozległe pola. Obraz wokół nabierał coraz więcej szczegółów, wskazując, że spadamy, chociaż zmysły wciąż mi mówiły, że stoję w miejscu. Miejsce, otoczone z trzech stron drzewami, nabrało ostrości. W samym środku wznosiła się jakaś dziwna konstrukcja. Wielki kontener? Wieża ciśnień? Nie, ani jedno, ani drugie. Zbyt dziwny rzucało cień. Obraz nabrał głębi i w następnej chwili stanęliśmy na ziemi obok olbrzymich, granitowych płyt. Ich brzegi pozostały ostre, ale powierzchnie wypolerowano i zapisano inskrypcjami zarówno w językach współczesnych, jak i tych w od dawna martwych.

– Georgia Guidestones, Kamienny Monument – powiedziałam sama do siebie. Nigdy wcześniej tu nie byłam, ale oczywiście o nim słyszałam. Wiele osób nazywało to miejsce „amerykańskim Stonehenge”, wiele innych uważało je za dzieło diabła. Gdy zrozumiałam, jak daleko się przenieśliśmy, wpadłam w panikę. Byłam kotwiczącą, musiałam pozostawać blisko miejsca związania z granicą, ale nie miałam zbyt dużego pola manewru. Czy przenieśli mnie tu, by zerwać moje połączenie z granicą?

Fridtjof chyba wyczuł moje zdenerwowanie.

– Nie martw się. Wciąż jesteś w zakresie swojego związania z granicą. Na skraju, ale jest w porządku.

Ręka Emmeta jeszcze mocniej zacisnęła się na mojej.

– Po co ten podstęp z autem? Czemu nam nie powiedziałaś, że użyjesz magii?

– Musiałem postraszyć twoją przyjaciółkę tylko po to, żeby wsiadła do zwykłego auta. Myślisz, że miałbym jakkolwiek szansę, gdybym próbował ją przekonać do skorzystania z mniej tradycyjnych środków lokomocji? – Miał rację. – Właśnie doświadczyłaś – zwrócił się do mnie – tego, co się czuje po mistrzowskim opanowaniu twojej sztuczki z teleportacją. – Obrócił się trochę. – Czy może myślałaś, że to prezent specjalnie dla ciebie? – To pytanie było oczywistą kpina, która miała podkopać moją wiarę we własne moce. Udało się. – Nie, tę umiejętność jako kotwiczący posiadamy wszyscy. Dzięki temu zawsze mamy możliwość powrotu do naszego punktu związania, bez względu na to, jak daleko od niego się znajdziemy.

– Widzisz – mruknął do mnie Emmet. – Mówiłem ci, że nie ma potrzeby stukać obcasami. – Spojrzeliśmy na siebie i wybuchnęliśmy śmiechem.

Fridtjof nie wyglądał na zadowolonego z naszej obrazy majestatu. Zdał sobie sprawę, że Emmet zupełnie zniweczył nastrój grozy, który starał się zbudować.

Skupiłam się na jego twarzy, białej i skwaszonej jak zsiadłe mleko.

– Po co nas tu przeniosłeś?

– Chcieliśmy, żebyś zobaczyła ten pomnik. Żebyś zdała sobie sprawę, skąd wrogowie granicy stawiają swoje żądania i jak blisko twojego punktu związania jest to miejsce. – Wskazał płyty w taki sposób, jakby były nagrodą w jakiejś grze interaktywnej. – Człowiek, który je postawił, też był wrogiem granicy. – Podeszedł kilka kroków do przodu, odwracając się plecami do mnie i Emmeta. Najwyraźniej uznał, że nie jesteśmy dla niego zagrożeniem. Na razie miał rację. Na razie. Odwrócił się, jakby słysząc moją myśl. – Ludzie, którzy ustawili

tutaj te płyty, marzyli o „Nowym Porządku Świata”, w którym słowa na nich zapisane stanowiłyby prawo absolutne, ale nie narzuciłyby one żadnej nowej hierarchii na ziemi. Te wytyczne to wspomnienie po dyrektywach, które podyktowali nasi starożytni stwórcy. To oni są najbliższymi Bogu osobami, jakie widział ten świat. – Podniósł głowę, by objąć wzrokiem monumentalne kamienie. – Oczywiście to, co tu widzisz, zostało już okrojone, oczyszczone, ale sama się przekonaj. Wierzę, że jesteś w stanie zrozumieć istotę rzeczy.

Przeczytałam pierwszy nakaz.

– „Utrzymać ludność świata na poziomie pięciuset milionów, by zachować równowagę naturalną.” To nie jest okrojenie, to ludobójstwo.

– Dla tych ludzi to raczej ubój selektywny niż ludobójstwo.

– Och, jestem pewna, że to pocieszy siedem miliardów nadliczbowych ludzi.

– Dokładnie. Punkt drugi też jest świetny. „Mądrze zarządzać reprodukcją, zwiększając wytrzymałość i różnorodność ludności” – przeczytał tubalnym głosem i wybuchnął chrapliwym śmiechem. – Różnorodność. Różnorodność w konkretnym zakresie. To jedynie ładne określenie dla budowania „rasy panów”.

– Eugenika jest zbrodnią przeciwko ludzkości. – Cofnęłam się o kilka kroków. Chciałam wracać do domu. Chciałam znaleźć się z dala od tego dziwnego człowieka. Chciałam uciekać, zanim stwierdzi oczywisty fakt.

– Ty też jesteś produktem eugeniki.

No cóż, za późno na ucieczkę. Uderzył w bardzo czuły punkt.

– Tak, dziękuję ci bardzo. Dobrze o tym wiem.

– Ja też jestem produktem eugeniki. – Pochylił głowę i przypatrywał mi się, jakby sporządzał spis inwentarza. – Dziwi cię to? – Jak dla mnie, wyglądał raczej na szaleńca niż na produkt końcowy eksperymentu, którego celem było stworzenie istoty niemal perfekcyjnej. – Jestem najbardziej idealnym ucieleśnieniem tych prawd. Płyne we mnie krew tak czysta, że nie mogę mieszać jej z nikim innym poza moją drugą połówką. Gdy się zapłodnię, rodzę i umieram. – Z powrotem odwrócił się do gładów. – Więc może powinnaś przestać tak się nad sobą uzalać. – Spojrzał na mnie przez ramię z autentycznym uśmiechem. – Wiemy, że spotkałaś się z Gudrun. – Ruszył do przodu, okrążając kamienny monument. Chyba dawał mi czas, bym zrozumiała, co może oznaczać przyłapanie mnie na kontaktach z wrogiem. Zamknął kółko, stając dokładnie naprzeciwko mnie. – Chcemy się tylko upewnić, że wiesz, kim ona jest i jak bardzo potrafi być dwulicowa. – Wyprostował się. – Na wypadek, gdyby zdołała cię zaczarować, pamiętaj, że nie jesteś jedyną kotwiczącą, uwierzyła w kłamstwa Gudrun. Ayako – w jego głosie usłyszałam szczery żal, gdy wymówił jej imię. – Pracowała z nią i Teague’em, twoim kuzynem. Gudrun oboje ich omotała, wmawiając im, że w ten sposób działają w najlepszym interesie granicy.

– Nie, przede mną nie udawała, że chce chronić granicę. – Emocje, które Fridtjof okazał, mówiąc o Ayako, wzbudziły we mnie wobec niego ludzkie uczucia. Czy jednak, wbrew temu, co mówiła Gudrun, związane Ayako? Nie zastanawiając się, czy to rozsądne, opuściłam gardę. Ten mężczyzna, ten człowiek, poprawiłam samą siebie, stracił przyjaciela. Powinnam okazać mu trochę wsparcia. – Poprosiła, żebym przyłączyła się do niej i zniszczyła granicę.

Fridtjof skinął głową, świdrując mnie spojrzeniem.

– Mów dalej.

– Rzuciła zaklęcie, żeby się uwolnić. Mówiła, że aby przypieczętować czar, mogłaby użyć dowolnego ciała, ale zdecydowała się na Emily.

Wykrzywił usta i odruchowo odchylił głowę w tył.

– To zaklęcie. Powiedz o nim coś więcej, proszę.

– Nie wiem, jak działa. Gudrun uciekła, odwoławszy się do demonicznych rozkazów z Drzewa Życia. Powiedziała, że jestem wyjątkowa i że poświęciła Emily, żeby ukarać was za próby skrzywdzenia mnie. – Dłoń Emmeta na moim ramieniu przekazała mi ciche ostrzeżenie. – I tyle.

– Muszę cię ostrzec, że Gudrun kłamie. Nie potrzebowała żadnych odwołań do sefir, żeby wrócić do naszego wymiaru. Przekonała Teague'a do użycia takiego wariantu zaklęcia wojownika, żeby mógł wchłonąć jej magię i istotę. Cokolwiek zrobiła z ciałem twojej matki, nie miało to związku z jej ucieczką. – Spojrzał na Emmeta. – Gudrun powiedziała jednak także coś prawdziwego o tobie. Jesteś wyjątkowa, i to nie tylko pod takim względem, o jakim myśli golem. – Przeniósł wzrok na mnie. – Jesteś wyjątkowa, bo naprawdę stanowisz zagrożenie dla granicy. Jednakże nie wierzę, że chcesz ją uszkodzić. Nikt z nas nie myśli, że chcesz zakończenia naszego świata.

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu.

– No, to duży krok naprzód z waszej strony.

– Hej, Mercy, naprawdę nie ma po co chować urazy. Czuję, że zaczynamy się rozumieć, ty i ja. Może się mylę, ale z drugiej strony, nie daliśmy ci zbyt wielu powodów, żeby nam ufać. Nie mówiliśmy ci o rzeczach, o których miałaś prawo wiedzieć. Bez tej wiedzy nasze działania musiały wydać ci się nieobliczalne albo nawet potworne.

„Tak, potworne. Ding. Ding. Mamy zwyciężać”. Kotwiczący zabronili nam zawrócenia w stronę morza huraganu, który Emily napuściła na Savannah. Oczekiwali, że będziemy stali i patrzyli, jak niszczy nasze domy, tak jak Duvalowie, gdy Katrina burzyła Nowy Orlean. Gdy się sprzeciwiliśmy, wypowiedzieli nam wojnę. Związali moją rodzinę i zostawili wszystkich, nieprzytomnych i sparaliżowanych, by utonęli pod napierającymi na brzeg falami. Chcieli mnie związać, wiedząc, że gdybym to przeżyła, to jako kotwicząca do końca życia tkwiłabym w stanie wegetatywnym. Byłam pewna, że podejmując taką decyzję, ani przez sekundę nie brali pod uwagę życia mojego dziecka. I w końcu, gdy udało nam się zapobiec zmieceni Savannah i Taylorów z powierzchni ziemi, zwrócili uwagę na Colina.

Nawet nie wiedziałam, o jak wielu rzeczach nie miałam wiedzy. Kotwiczący trzymali przede mną w tajemnicy kulisy powstania granicy. Czy, jak próbował wmówić mi to Fridtjof, zrobili to z ostrożności, bo podzielali zdanie Gudrun, że jestem wiedźmą zdolną zniszczyć granicę? Czy nie chcieli mi nic mówić ze wstydu? Bóg wie, ile istnień zostało zniszczonych podczas powstawania granicy, i oni byli tego świadomi. Kotwiczący przekonywali sami siebie, że cel uświęca środki. Czy obawiali się, że mogę się przeciwstawić temu założeniu? Prawda prawdopodobnie leżała gdzieś pośrodku.

– Mieliśmy nadzieję uchronić cię przed pełnią obowiązków, jakie nałożył na ciebie wybór na kotwiczącą, do czasu, gdy przyzwyczaisz się do bycia wiedźmą. Działaliśmy w trosce o ciebie, ale źle odczytałaś nasze intencje i stawiałaś opór. Obawiam się, że nie możemy dłużej otaczać cię buforem bezpieczeństwa. Zbyt wiele sił próbuje skorzystać na twojej ignorancji. Ignorancji – dodał szybko, zanim zdążyłam zaatakować – na którą ja i inni kotwiczący cię naraziliśmy. Dla twojego dobra, ale prawdę mówiąc, również dla naszej wygody. Wystraszyłaś nas, nie przeczę. – To brzmiało jak pierwsze prawdziwe zdanie, które usłyszałam od kotwiczących. – Wciąż nie jesteś świadoma diabelskich mocy, które kłębią się wokół ciebie. Myślisz, że jesteś nieszkodliwym płomyczkiem, podczas gdy w rzeczywistości

przypominasz falę uderzeniową. Nasze panowanie nad granicą się rozluźniło. Na pewno czujesz, że ma to związek z tobą. Wcześniej zdarzyło się to tylko jeden jedyny raz.

– Skoro granica zdaje się tak bardzo mnie lubić, to dlaczego się boicie, że mogę ją skrzywdzić?

Fridtjof wycelował we mnie palcem.

– To jest świetne pytanie, ale zanim ci odpowiem, muszę choć trochę wprowadzić cię w sytuację. – Opuścił rękę. – Dowiedziałaś się, jaki los spotkał *Fae*. Wiemy, jak ta historia dotyka cię osobiście. Ale musisz mi uwierzyć, że ich świat skazany był na zagładę na długo przedtem, zanim powstały wróżki. Był skazany na zagładę od momentu, w którym starożytni odkryli naszą planetę. To prawda, że kiedyś nasze światy się stykały. Nie. – Złączył dłonie. – One nawet się przenikały. – Splótł palce obu rąk, by zilustrować swoje słowa. – Bliskość naszych światów nie była przypadkowa. Wiedźmy, wróżki, ludzie, wszyscy zawdzięczmy swoje istnienie starożytnym i ich eksperymentom z płodnością.

Spojrzał na mój brzuch.

– Akurat ty musisz zdawać sobie z tego sprawę. W przeciwnym razie jakim cudem mogłabyś począć w związku się z *Fae*? Wszyscy pochodzimy z tego samego źródła, po prostu różnimy się troszkę, jeśli chodzi o materiał genetyczny. *Fae* powstały jako pierwsze, ale okazały się zbyt kapryśne, zbyt uparte. Z pewnością zostałyby zniszczone całkowicie, gdyby starożytnym nie podobała się ich powierzchowność. *Fae* zostały odstawione na boczny tor i spełniały niewdzięczne role kochanków oraz błaznów. Potem pojawili się ludzie. Użyteczni do ciężkiej pracy i, jeśli wierzyć zapiskom starożytnych, w młodości całkiem smacznymi. My, wiedźmy, pojawiliśmy się na końcu, jako produkt nieusankcjonowanych związków między wrózkami i ludźmi. Mówiąc „nieusankcjonowany”, mam na myśli kontrolę ze strony starożytnych, którzy trzymali w ryzach rasy, które stworzyli, a przynajmniej tak sądzili. Starożytni uważali, że mają prawo sprawować pieczę nad naszym rozmnażaniem, jakbyśmy byli dla nich tym, czym bydło dla człowieka. Pojawienie się wiedźm pokazało, że istoty tego świata nie do końca dają się kontrolować. Czy ten mezalians był „grzechem pierworodnym”, który wciąż rzutuje na to, jak ludzie postrzegają płęć biologiczną?

Fridtjof zaczerpnął powietrza i kontynuował:

– Pomimo ich początkowych starań, żeby zniszczyć wiedźmy, nasze powstanie okazało się dla starożytnych szczęśliwym zbiegiem okoliczności. Zwierzęcy instynkt pozwolił na powstanie rasy, która była kompromisem między *Fae* a ludźmi, a do takiego rozwiązania starożytni dążyli przez lata. W końcu włączyli wiedźmy w swoje plany i umieścili je na różnych stanowiskach, z których najniższe zajmowali nadzorcy, a najwyższe królowie. Naszym zadaniem było utrzymać populację ludzi w równowadze. – Wskazał na monument, o którego istnieniu niemal już zapomniałem. – *Fae* zostali usunięci z ludzkiej rzeczywistości, żeby uniknąć dalszego krzyżowania się populacji. Bariera między wymiarami była nieprzepuszczalna, ale nie do końca.

– Dopóki stworzenie granicy o mało nie zniszczyło świata *Fae* i nie oddaliło ich wymiaru od naszego. – Przerzuciłam ciężar ciała z jednej strony na drugą, tak dla własnej wygody, jak dla podkreślenia mojego stosunku do całej tej sprawy. Skrzyżowałam ramiona na piersi. Nie zamierzałam tak łatwo przejść do porządku dziennego nad zniszczeniem świata wrózek.

– Decyzja, żeby zrobić to, co zrobiliśmy, nie była łatwa, zapewniam cię. Nikt nie odczuł bólu związanego ze stworzeniem granicy tak bardzo jak my, kotwiczący. Właśnie dlatego te brudne sekrety zachowujemy dla siebie. Nosimy w sobie poczucie winy, od którego zwolnieni

są nasi przyjaciele i rodziny. Oni mogą żyć bez świadomości prawdziwych kosztów, które przyniosło stworzenie granicy. – Odwrócił się ode mnie. Patrzył na ziemię, jakby pragnął, żeby jego też oszczędzono. – Jednakże na luksus twojej nieświadomości nie możemy sobie już dłużej pozwolić. Powiedz mi, co wiesz o stworzeniu granicy?

DWUDZIESTY ÓSMY

Maisie kiedyś zasugerowała, że gdzieś w głębi serca znałam sekret utworzenia granicy, ale nigdy nie byłam w stanie połączyć luźnych obrazów w spójną opowieść.

– Miewam przebliski różnych scen. Sny – zaczęłam.

– Oczywiście, że tak. Jesteś kotwiczącą. Ale te wizje to nie są zwykłe sny. Raczej wspomnienia, obrazy, którymi granica dzieli się z tobą, odkąd cię przyjęła jako swoją własność. – Wiedziałam, że wyczuł mój emocjonalny puls. Zaczął mówić dalej. – My, kotwiczący, w zasadzie staraliśmy się ciebie ograniczać, wstrzymując twój świadomy kontakt z granicą. – Podniósł ręce, broniąc się przed moim atakiem. Ale ja nie zamierzałam nic robić. – Granica skoncentrowała wokół ciebie swoją moc. Staraliśmy się pełnić rolę wyłącznika, który cię ochroni przed zbyt dużą dawką mocy.

– Albo powstrzyma Mercy przed przejęciem mocy, którą według granicy powinna była przejąć – wtrącił się Emmet.

Zerknęłam na niego przez ramię, ale tylko na chwilę. Minę miał ostrożną, ale stanowczą. Moje myśli były tego odbiciem.

– Zapewniam cię, że gdyby twoja śliczna Mercy przyjęła całą moc, jaką granica starała się w nią przelać, nie byłoby już żadnej Mercy, która mogłaby władać tą sprezentowaną magią. – Przeniósł wzrok na mnie. – Możemy bardzo łatwo stworzyć bufor między twoją świadomością a granicą, ale ze snami nie jest to już takie proste. Bardzo trudno stłumić podświadomość. Chcieliśmy dalej studzić stosunek granicy do ciebie, oczywiście dla twojego bezpieczeństwa. – Uderzyło mnie to zdanie. Byli mniej zmartwieni moim oddziaływaniem na granicę niż granicy na mnie. – Nadszedł jednak czas ujawnić prawdę. Powiedz, co zapamiętałaś ze swoich wizji, a ja poskładam dla ciebie tę układankę.

Nie miałam powodu wierzyć w jego szczerść. Tak naprawdę cała ta gadka z ujawnianiem prawdy mogła być tylko podstępem. Ale wyglądało na to, że w moim interesie jest ciągnąć tę grę. Ze słabego kłamstwa mogłam się dowiedzieć tyle samo, co ze szczerzej prawdy.

– Pamiętam człowieka, a przynajmniej coś, co przypomina człowieka. Nie miał żadnych rysów, jedynie białą twarz. – Podniosłam wzrok na Fridtjofa, szukając potwierdzenia.

– Tak, mów dalej.

– Miał ręce i nogi, ale czołgał się na brzuchu jak wąż. – Czułam, jak obraz wymyka mi się i blednie, jakby bronił się przed dalszą analizą. Skupiłam wzrok gdzieś w przestrzeni, próbując uchwycić umysłem obraz tego mężczyzny. Gdy się na nim skupiłam, ujrzałam, że się zatrzymał. Uniósł głowę i zakołysał nią z boku na bok, rozwidlonym czarnym językiem sprawdzając wiatr. To nie moja wyobraźnia, ale też nie wspomnienie. Poczucie czasu opuściło mnie, gdy skupiłam się na wizji. To działo się właśnie teraz, w wiecznej terażniejszości. Jęknęłam i odskoczyłam.

Emmet mnie złapał.

– Wystarczy – rzucił w stronę Fridtjofa. – Dlaczego bawisz się w te gierki? Powiedz jej, co masz powiedzieć, i odejść.

– Nie bawię się w gierki. Mercy nie uwierzy w moje słowa, musi tego doświadczyć. – Uderzył się kilka razy pięścią w brzuch. – Tutaj, w środku. Jeśli kiedykolwiek ma uwierzyć. – Z grymasem na bladych ustach wpatrywał się we mnie spod zmrużonych powiek. – Mogę ci pomóc. Pomóc ci się skupić, przypomnieć, co zostało ci odebrane, ale wówczas nigdy nie uwierzysz, że nie mieszałem w twoim umyśle. – Wiedziałam, że to prawda. – Zapomnij teraz

o mężczyźnie bez twarzy. Co jeszcze pamiętasz?

Mój umysł popłynął z powrotem, starając się złapać jeszcze jakieś fragmenty wizji.

– Była burza. Potężna. Błyskawice były wszędzie, ale...

– Ale żadnych grzmotów – wyszeptał Fridtjof, kończąc moją myśl.

– Nie – odparłam, ale zaraz zdałam sobie sprawę, co powiedział. – To znaczy tak, to prawda. Nie było grzmotów. – Znow iluzja płynącego czasu zniknęła i doświadczyłam zalegającej w całym świecie ciszy. Nie było słychać ludzi ani przyrody. Całkowita, głucha cisza. Przeraziła mnie ta myśl. Widziałam mnóstwo nakładających się obrazów. Niektóre były niemal identyczne, inne całkiem różne. Przywodziły mi na myśl podobne do siebie rysunki, na których należy wskazać różniące je szczegóły. Tylko że te obrazy na siebie nachodziły i nie byłam w stanie nawet ich zliczyć, a co dopiero je porównywać. Nagle wszystkie zatrzęsły się, zdrząły i oddaliły się na różne odległości od sceny rozgrywającej się w samym środku mojej wizji. – To nie burza – powiedziałam głośno. Czułam, jak wali mi serce. Czułam, że chcę uciekać, ale przestrzeń, w której znalazła się moja świadomość, zaczęła się kurczyć. Trzy wymiary naciskały na siebie. – To gwałt. – Nie mogłam znaleźć innego słowa na określenie tego, co działo się przede mną. Patrzyłam na gwałt nie tylko na planecie, na której żyliśmy, ale na każdej jej wielokrotności, bo istniała w wielu wymiarach. Magia zniknęła ze wszystkich przylegających do siebie wymiarów. Nasz świat zalewała moc pochodząca z innych światów. Cisza ustąpiła miejsca mruczeniu, z początku delikatnemu, ale z czasem coraz mocniejszemu i wyższemu, aż w końcu upadłam na kolana, przyciskając ręce do uszu i bezradnie próbując powstrzymać hałas. Magia. Była żywa i wrzeszczała. – Przestań. Przestań – dodałam swoją słabą prośbę do jej rozdzierającego protestu.

Pomniki, starożytne i w większości zapomniane przez ludzką rasę, ożyły. Energia krążyła wokół głązów Stonehenge, kamiennego Brodgar, Drombeg i setek podobnych, a wszystkie płonęły niebieskim ogniem – „ogniem w kolorze akwamaryny”, zrozumiałam nagle, ale myśl zaraz odpłynęła. Świadomość nie nadążała i glob zaczął się obracać z maksymalną prędkością, żebym mogła obserwować wszystkie miejsca.

– To maszyna – usłyszałam swój głos wśród brzęczenia energii zwijającej się wokół kamiennych kręgów. Wlewała się do nich i tryskała ze środka, a jasnoniebieskie światło znikało z powierzchni ziemi. Ogniska energii płonęły w różnych miejscach na świecie. Piramidy i zigguraty, chińskie budowle Shaanxi, Nemrut, Argos, Ur, Kopiec Mnichów, Dolina Słońca, Giza.

Logika podpowiadała mi, że dobrze znamy starożytne pochodzenie tych miejsc. Ale w jakiś sposób te miejsca, choć rozstrzelone w czasie i przestrzeni, działały unisono, zanim wszystkie okrył mrok – wszystkie z wyjątkiem jednego. Na chwilę straciłam świadomość i znalazłam się koło Wielkiej Piramidy. Ziemia zatrzęsła się tak mocno, że zastanawiałam się, czy piramida to wytrzyma. Nagle drzenie ustało i błękitne światło, które widziałam wcześniej, wystrzeliło z czterech ścian budowli. Blask zalał wizję, rozprzestrzeniając się po świecie jak sieć. W końcu nastąpił jeszcze jeden mocny rozbłysk i wszystko wróciło do normalności.

Nie znajdowałam się już w Gizie. Byłam w Georgii – spoczywałam w ramionach Emmeta, który klęczał przed Kamiennym Monumentem. Uderzyła mnie myśl, jak ten widok musi przypominać pietę dla ubogich.

– Stworzenie granicy wymagało mocy o wiele większej niż ta, którą dysponowaliśmy – ciągnął Fridtjof, jakby nic się nie stało.

– To gwałt i kradzież – stwierdziłam, próbując uwolnić się z objęć Emmeta. Pomógł mi

stanać na własnych nogach. – Ukradli moc, która do nich nie należała. Która nigdy nie powinna była do nich należeć. – Przypomniałam sobie, co Jilo powiedziała kiedyś o wiedźmach. *Zachowują się, jakby wyświadczyły nam nie wiadomo jaką przysługę. Ale one jedynie zagarnęły całą pozostałą magię dla siebie.*

– Niczego nie ukradliśmy. Przynależeliśmy sobie jedynie w większości wolne źródła mocy w imię wyższego dobra. Zrobiliśmy to samo, co ludzie z rzeką Kolorado, której bieg został zwrócony, żeby zaopatrzyć w wodę miasto Los Angeles. Wiedźmy po prostu przechwyciły wszystkie osiągalne dla nich źródła mocy i zmieniły jej naturalny przepływ w celu utworzenia granicy, mającej chronić ich świat na całe tysiąclecia.

Emmet stał obok mnie.

– W ogóle jakim cudem było to możliwe? Dlaczego starożytni władcy was nie powstrzymali? Byli świadkami tego zamieszania. Musieli podejrzewać, że macie plan.

– Niczego nie podejrzewali, bo to my podążaliśmy za ich planem.

– Chwila! – Machnęłam ręką. – Nie rozumiem. Starożytni zgodzili się na stworzenie granicy?

– Zgodzili się... – urwał na chwilę. – Nie, nie zgodzili się. Oni nakazali zbudowanie tej maszyny. Chcieli, by magia mogła przepływać przez nią do naszego wymiaru i zasilać ich projekty. No i udało nam się przekierować moc w taki sposób, że niczego nie zauważyli. – Wziął głęboki oddech i wypuścił powietrze. – Starożytni nie są bogami. To budownicowie imperium, którzy eksportują najcenniejsze zasoby ze skolonizowanych przez siebie planet do własnego wymiaru.

– A gdybyśmy zbudowali tę maszynę, ale bez granicy?

– Wtedy ten świat w końcu stałby się jałowy i pozbawiony życia, niczym lodowa pustynia Cydonii Planitii. – Pokiwał głową. – Tak, by poznać przyszłość, jaką starożytni przewidzieli i dla naszego świata, nie musisz szukać dalej niż u naszych najbliższych sąsiadów.

Przeszedł mnie dreszcz.

– Mówiłem, że budując maszynę, działaliśmy według ich planu. Była powielana w każdym wymiarze, który odkrywali starożytni. Myślę, że to, czego dokonaliśmy tutaj, w naszym świecie, to pierwszy i jedyny przypadek, gdy ich ambicje zostały powstrzymane. Gdyby granica upadła...

Po raz pierwszy naprawdę zrozumiałam innych kotwiczących i desperację, z jaką działali.

– Ale dlaczego wiedźmy ze zbuntowanych rodów chcą upadku granicy? Starożytni by nas zniszczyli.

– Nie, nie wszystkich. Tylko tych, którzy pozostali wierni granicy, oraz tych, których uważają za bydło, czyli niemagicznych. Jestem pewien, że za odwrócenie się od granicy zbuntowane wiedźmy otrzymałyby przebaczenie, jeśli nie nagrodę. – Pokręcił lekko głową. – Radość ojca z powrotu syna marnotrawnego.

– Ale mimo wszystko będą żyć, patrząc, jak ich świat ginie.

Fridtjof rozluźnił ramiona. Nie tylko wyczuł, że zaczynam się z nim zgadzać, ale znowu przejął rolę przewodnika, nauczyciela. Czuł się w moim towarzystwie dobrze, dopóki mógł dowodzić.

– Starożytni powtarzają ten sam schemat: odkrycie, infiltracja, inwazja, produkcja potomstwa najbardziej dopasowanego pod względem DNA do panujących warunków. Och, tyle tylko, że oni są w równym stopniu próżni, co zaborczy. Odwiedzają planety, które zagarnęli, rządzą sobie na nich wakacje, ciesząc się z cierpienia zniewolonych ludzi.

A potem, gdy już się znudzą nową zabawką, zarządzają ostatni etap kolonizacji: budowę maszyny.

Mój umysł uparcie powracał do starożytnych monumentów.

– Ale te budowle były zbudowane wiele stuleci temu.

– I tysiące kilometrów stąd. Ale podczas gdy twój umysł z trudem ogarnia rozsiane na różnych kontynentach miejsca, starożytni nie mieli problemu, by przez chwilę skorzystać z nich wszystkich jednocześnie. Oni żyją poza tym, co my odczuwamy jako liniowy upływ czasu. My, jako istoty związane czasem, nie jesteśmy w stanie doświadczyć funkcjonalności ich maszyny. Z każdego punktu naszej historii jedna jej część zdaje się istnieć w przeszłości, inna w przyszłości. Jedyna chwila, w której możemy odczuwać działanie maszyny, następuje wtedy, gdy zostaje ona uruchomiona. Obraz, który podsuwa ci podświadomość, pochodzi z czasu, gdy nasz świat stał o krok od zniszczenia. Ten moment przenika historię, trwa w przeszłości, przyszłości...

– I w teraźniejszości – dokończyłam za niego.

Pokiwał głową, wyraźnie zadowolony, że rozumiem.

– Ale dlaczego ktokolwiek z wiedźm miałby brać udział w budowie maszyny? To samobójstwo.

– Maszynę zbudowali mieszkańcy wyższego rzędu, ci, którzy zostali stworzeni, żeby ponieść dalej „czystą” krew starożytnych. Gdy jednak ich świat wydał ostatnie tchnienie, trupa planety matki postanowili pozostawić za sobą. Rozproszyli się po świecie jak wirusy, szukając wciąż nowych i nowych miejsc inwazji. Na ziemi takimi mieszkańcami wyższego rzędu były wiedźmy. To my, dzięki naszym umiejętnościom przystosowawczym oraz zmiennej naturze i brakowi kontroli ze strony wrózek, wyparliśmy *Fae*.

– Budowaliśmy maszyny, wysysaliśmy z ziemi jej życiodajne soki i szliśmy szukać innych planet do zniszczenia.

– Właśnie. Taki cykl miał powtarzać się wiecznie, w tę i z powrotem przez wieki, aż w końcu rozpięliśmy granicę tutaj, na Ziemi. – Wyciągnął rękę i chwycił moją dłoń. – To dlatego, Mercy, potrzebujemy twojej lojalności. Musisz do nas dołączyć i chronić granicę, żeby ona nadal mogła chronić nas.

– Nigdy nie chciałam niczego innego. – Myślałam o tym, czego się dowiedziałam. Niewiarygodne i sprzeczne historie, ale żadnych konkretnych dowodów. Porównywałam opowieści Gudrun i tego dziwnego Szweda. Nie miałam pojęcia, która była prawdziwa ani jak wiele z tego, co usłyszałam, było kłamstwem. Podejrzywałam, że zarówno w jednej, jak i w drugiej prawdziwy był tylko trzon, rama, na której wiedźmy rozpinały swoje legendy. Fridtjof z pewnością wybielał historię i podsuwał mi swoje pobożne życzenia. Ale przecucie podpowiadało mi, że jego wersja w przeważającej części jest prawdziwa. Poza tym wiedziałam, że Gudrun to potwór – wystarczy spojrzeć, z kim trzymała.

Fridtjof pochylił głowę, zaciskając moje dłonie w swoich.

– Naprawdę dobrze to słyszeć. A teraz, gdy wyraziłaś chęć chronienia granicy, musimy porozmawiać o twojej matce.

– A co z nią? – Już wiedziałam, że to wszystko był tylko wstęp, i dopiero teraz doszliśmy do sedna sprawy. Uwolniłam dłonie z jego uścisku.

Wszyscy troje obróciliśmy się na dźwięk samochodu, który zjechał z drogi i zatrzymał się na wysypanym żwirem parkingu. Z tylnego siedzenia wyskoczył chłopiec, może ośmio-, może dziesięcioletni. Był małym, okrągłutkim dzieckiem, a koszulka w poziome, niebiesko-żółte

pasy tylko pogłębiała to wrażenie. Duże, grube okulary. Biegł w naszym kierunku.

– Mitchell, mówiłam ci, że masz poczekać, aż wyciągnę twoją siostrę – usłyszeliśmy znekany głos jego matki.

Chłopiec był wyraźnie urzeczony widokiem olbrzymich kamieni, ale zatrzymał się i grzecznie wrócił do auta.

– Ale mam, one są tutaj.

Matka chłopca wysiadła z samochodu i otworzyła tylne drzwi.

– Zaczekasz na mnie albo z powrotem wsiadasz do samochodu i wracamy do domu.

Chłopiec nie odpowiedział, tylko skrzyżował ręczki na piersi i tupnął nogą. Było coś bardzo zabawnego w jego ponurej minie, podczas gdy jego biedna mama szarpała się z klamerkami i pasami dziecięcego fotelika.

– W końcu – mruknął i westchnął teatralnie, gdy kobieta wyjęła z samochodu znacznie młodsze dziecko, ubrane całe na różowo, i oparła je sobie na biodrze.

– Pomnik jest niedostępny dla zwiedzających – zawołał Fridtjof.

– Och – jęknęła kobieta. – Przyjechaliśmy tu aż z Atlanty. Nie moglibyśmy zostać chociaż minutę czy dwie i zrobić paru zdjęć?

Chłopiec zamarł i w ciągu kilku chwil do oczu napłynęły mu łzy.

Szturchnęłam Fridtjofa w ramię i wysunęłam się przed niego.

– Oczywiście, że możecie – odparłam. – I możecie zostać, ile tylko chcecie.

Kobieta spojrzała na mnie z mieszaniną ulgi i wdzięczności. Zobaczyła we mnie inną matkę, która chce oszczędzić koleżance dwugodzinny powrót do domu przy akompaniamencie jęków rozczarowanego dziecka.

Podala chłopcu komórkę.

– W takim razie działaj. – Uśmiechnęła się do mnie, a jej synek w podskokach ruszył w stronę pomnika i zaczął pstrykać zdjęcia. – Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, skąd się dowiedział o tym miejscu – stwierdziła, kołysząc uroczą dziewczynkę, która właśnie się obudziła. Mała spojrzała na mnie, uśmiechnęła się i zaraz ukryła buzię w ramieniu mamy. – Przechodzi teraz przez fazę zawstydzenia, rozumiesz, a on... – Skinęła w stronę syna. – Cóż, on... – Wzruszyła ramionami, dając do zrozumienia, że nie ma nic więcej do dodania, ale jej spojrzenie promieniało miłością. – Dziękuję ci bardzo. Obiecałam mu, że gdy dostanie na świadectwie same piątki, to tu przyjedziemy.

– Nie musisz dziękować. – Obejrzałam się na Fridtjofa, który założył okulary przeciwsłoneczne. Wciąż był nienaturalnie blady, ale ukrył przynajmniej najbardziej niepokojące cechy swojego wyglądu.

Nie musiałam się jednak martwić o reakcję kobiety. Chociaż zerkała na syna, jej spojrzenie szybko powędrowało w kierunku Emmeta, który właśnie okrążył monument i zaczął się do nas zbliżać.

– Ojejku – mruknęła, unosząc brwi i uśmiechając się znacząco. – Twój? – zapytała szeptem.

Emmet spojrzał na nią.

– Zdecydowanie – odparł, stanąwszy obok mnie. – Zdecydowanie tak. – Jego ciemne oczy wpatrywały się we mnie.

Ten moment dał mi do myślenia bardziej niż wszystkie wcześniejsze deklaracje. Będzie nieustępliwy, cierpliwy i zawsze obecny przy mnie. To, że zostanie moim mężem, a dla mojego dziecka ojcem, nie ulegało dla niego wątpliwości. Chociaż większa część mnie wciąż

buntowała się na myśl o odejściu Petera, to gdzieś w maleńkim zakamarku mojego serca zagnieździło się poczucie ulgi, że Emmet miał rację.

– Naprawdę cudowny – rzekła, potrząsając głową.

– Mamo! – zawołał chłopiec. – Zrób mi zdjęcie!

– A może ja wam zrobię wspólną fotografię – zaproponował Emmet.

– Jesteś bardzo miły. – Spojrzała na mnie. – Szczęściara z ciebie. – Zawołała syna. –

W porządku, zrobimy zdjęcia, a potem zostawimy tych miłych państwa w spokoju. – Ruszyła w stronę pomnika, a Emmet poszedł za nią. Patrzyłam, jak przekomarza się z małą dziewczynką, która najwyraźniej uległa jego urokowi tak jak i jej mama.

– Czarujący jest ten twój golem – mruknął Fridtjof na tyle cicho, żeby nikt oprócz mnie go nie słyszał.

– Nie jest już golemem – wyszeptałam. – Może kiedyś był, ale teraz jest mężczyzną, prawdziwym człowiekiem, i nic mnie nie przekona, że jest inaczej.

– Nie ma sensu rozprawiać teraz o jego człowieczeństwie. Z początku uważaliśmy, że może być niebezpieczny, ale koniec końców okazał się nieszkodliwy.

– Dlaczego, na Boga, niepokoił was Emmet?

– Z powodu przepowiedni dotyczącej Zaklęcia Babalon i upadku granicy.

Podejrzewaliśmy, że Emily, nim umarła, zrobiła coś potężnego. Że może nawet ten wysiłek doprowadził ją do śmierci.

– Babilon, jak ten z Mezopotamii?

– Nie, Babalon, z „a” zamiast „i”. To przykład najczarniejszej magii, w której tworzy się Abominację, ducha zrodzonego w ludzkim ciele.

– I myśleliście, że Emmet jest efektem takiego zaklęcia? Przecież to wy go stworzyliście.

– Po tym wszystkim mieliśmy prawo się martwić. Nawet najlepsze i najbardziej lojalne wiedźmy mogły kopać pod nami dołki.

– No błagam. – Skinęłam głową w kierunku Emmeta. – Spójrz tylko na niego.

Emmet z zapamiętaniem stroił miny do dziewczynki, żeby ją skłonić do uśmiechu. Pstryknął kilka zdjęć komórką i pokazał je chłopcu do akceptacji.

– Co się mówi? – zapytała jego mama.

– Dziękuję – odparł mały i zabrzmiało to prawie szczerze, ale chłopiec biegł już na ostatnie okrążenie wokół kamieni, zanim matka tonem nieznoszącym sprzeciwu nakazała mu wrócić do auta.

Fridtjof nachylił się do mnie.

– Ostatecznie uznaliśmy, że skoro to sama granica obdarzyła twój golem człowieczeństwem, to możemy zaaprobować jego obecność.

Już miałam go spytać, za kogo się uważa, że daje sobie prawo do aprobowania bądź nieaprobowania kogokolwiek, ale właśnie wróciła do nas młoda mama, kołysząc dziewczynkę na rękach. Mała kwiczała ze śmiechu na widok Emmeta, machającego jej palcem przed nosem.

– Dziękuję. Naprawdę. – Kobieta zaczerpnęła głęboki oddech. – Gdybym miała wracać z nim do domu, nie zobaczywszy tych kamieni... – urwała. – Co to w ogóle jest?

Wzruszyłam ramionami i skłamałam:

– Płacą nam, żeby utrzymywać tu porządek. Wiemy tyle, co i ty.

Obejrzała się przez ramię na wielkie, granitowe płyty.

– Sama nie wiem. Cieszę się, że je zobaczyliśmy, ale szczerze mówiąc, jest w nich coś strasznego, nie sądzisz?

– Tak, ja też tak myślę.

Uśmiechnęła się do mnie, a potem do Emmeta, a na jej policzkach dostrzegłam lekki rumieniec.

– Chodź, Mitch! – zawołała do syna, który skorzystał z chwili jej nieuwagi i zaczął drugie okrążenie wokół monumentu. Przebiegł między głazami i w podskokach zbliżył się do nas. Matka popchnęła go delikatnie w stronę samochodu. – Idziemy, synku.

Gdy wracali do auta, pomyślałam, że chłopiec jest zadowolony z wyprawy. Nadawał o jakimś filmie, który chciał zobaczyć, a mama powtarzała:

– Zobaczymy, zobaczymy.

Bardzo bym chciała też tak kiedyś rozmawiać z Colinem.

Oboje pomachali nam z auta, a potem wjechali na drogę. Emmet i ja odmachaliśmy. Fridtjof zachowywał się tak, jakby już zapomniał o ich istnieniu.

– Zakłęcie Babalon...

– Słuchaj – przerwałam mu. – Możesz powiedzieć kotwiczącym, że mają... że granica ma moje pełne wsparcie, ale ja wracam do domu. To była naprawdę miła wycieczka, ale nogi mi puchną. Muszę usiąść, może napić się herbaty...

Na te słowa przed nami pojawił się nakryty białym obrusem stół z trzema wygodnymi krzesłami. Stał na nim duży dzbanek herbaty i przekładane ciastko oraz filiżanki, talerzyki i sztucce. Fridtjof podziwiał swoje dzieło. Na środku stołu wyrósł kryształowy wazon z żonkilami.

– Ładnie, prawda? – Odsunął dla mnie krzesło. – A więc co do Zakłęcia Babalon – kontynuował, a ja spojrzałam na Emmeta, który wzruszył ramionami. – To właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać.

– Chwila – zaczął Emmet. – Myślałem, że już nie jestem niszczącym świat pomiotem Wielkiej Dziwki.

– To nie ma nic wspólnego z tobą, golemie. – Mówiąc to, Fridtjof patrzył na mnie. – Ale za to bardzo dużo z twoją matką.

DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

– Myślałam, że nie wiesz, po co Gudrun rzucała to zaklęcie.

– Nie mówię o zaklęciu Gudrun. Cokolwiek próbowała osiągnąć, nie ma to nic wspólnego z Zaklęciem Babalon.

– No dobra, ale chyba jednak się mylisz. Emily próbowała czegoś, co nazywała zaklęciem Babel. Chciała wciągnąć w to Emmeta i mnie, ale jej przerwaliśmy, prawda? – Poszukałam wzrokiem potwierdzenia ze strony Emmeta.

– Tak. – Nalał herbaty do delikatnej chińskiej filiżanki i postawił ją przede mną na talerzyku. – A właściwie przeszkodziła jej Jilo.

– Nie, ani trochę się nie mylę. Wiemy już, co miał na celu ten projekt w Tillandsii. Rzucone przez Emily zaklęcie Babel miało cię pozbawić ochrony granicy. Bez wątpienia było niezłe, ale w porównaniu z zaklęciem Babalon to jak spacer po parku. Teraz wiemy, że Emily zaczęła się interesować Babalon już całe lata temu. Gromadziła książki, artefakty i ludzi, znalazła nawet służącego, który miał jej pomagać w pracach nad zaklęciem. Spotkałaś chyba jej oddanego kierowcę?

– Parsons? – Pomyślałam o woskowej, szarej twarzy mężczyzny i szybko zmyłam ten obraz sprzed oczu łykiem gorącej herbaty.

– Dokładnie. Oszust. Działał sprytnie i był bliski sukcesu. Zna się na magii, choć nie jest wiedźmą. Osobiście jestem przekonany, że gdyby nią był, ten świat już od dawna znowu należałby do starożytnych władców. Po wszystkim prawie doprowadził się do destrukcji. Powiedz mi – bez ostrzeżenia zmienił temat – czy myślisz, że Emily Taylor kiedykolwiek działała w interesie twoim albo twojej siostry?

Ze wszystkich sił starałam się panować nad emocjami. Ale musiałam przyznać, że i w moim odczuciu jedynym momentem, gdy Emily chciała dla nas dobrze, był ten, gdy sfingowała swoją śmierć i oddała nas pod opiekę Iris. Ciotka w żadnym razie nie była idealną matką, ale przynajmniej dorastałam w świadomości, że jestem kochana. Gdyby to Emily nas wychowywała, Bóg jeden raczy wiedzieć, kim byłabym teraz.

Fridtjof najwyraźniej nie zamierzał dawać mi czasu na pełen przegląd wspomnień.

– Nie, nie wydaje mi się – odpowiedział za mnie. – Emily wiedziała, że twój mąż był mieszkańcem *Fae*. Wiedziała też, że mogłaby zniszczyć cały twój świat, mówiąc mu o tym. Więc pytanie brzmi: dlaczego tego nie zrobiła?

No tak. Obiecała, że Peter nigdy się od niej nie dowie o swoim pochodzeniu. Czy była aż tak pewna, że i tak pozna prawdę z innego źródła? Nawet jeśli tak było, to przecież ona zdawała się delektować zadawaniem bólu. Dlaczego więc nie skorzystała z okazji?

– Tak naprawdę to nie mam pojęcia. – Chciałabym wierzyć, że gdzieś w głębi duszy mojej matki pozostała chociaż resztką przyzwoitości, że może jakiś skrawek jej jestestwa po prostu mnie kochał. Wiedziałam jednak, że Fridtjof już się szykuje, by zniszczyć tę nadzieję.

– Twoi rodzice... Tak, wiemy, że twoim ojcem był Erik – odczekał, aż odpowiem, ale nabrałam wody w usta i rzuciłam mu jedynie chłodne spojrzenie. Chyba nasze małe porozumienie zbliżało się ku końcowi. – Dowiedzieliśmy się, że twoi rodzice oddali się dziełu niszczenia granicy. Jesteśmy pewni, że ucieczka Erika od rodziny była podstępem, całkiem przekonującą grą. – Zmrużył blade powieki, zakrywając częściowo niemalże białe tęczówki. – Na pewno słyszałaś przepowiednie o płynącej w tobie krwi.

Tak, oczywiście, że słyszałam, ale postanowiłam trzymać język za zębami. Pozwolę mu

wyłożyć karty, zanim do czegokolwiek się przyznam.

– Przepowiednia mówi, że z połączenia linii Weberów i Taylorów narodzi się dziecko zdolne obalić granicę – poinformował mnie, jak gdyby ten szczegół miał szansę mi umknąć. – Nigdy nie braliśmy tego na serio, bo istnieją podobne przepowiednie dotyczące także innych kombinacji pomiędzy rodami więdzm. Gdyby kotwiczący naprawdę uważali te opowieści za coś więcej niż stare legendy, Ellen nigdy nie dostałaby zgody na małżeństwo z Erikiem.

– Po co w takim razie przerabiamy te stare historie, skoro nie uważacie ich za prawdziwe?

– Bo sądzimy, że twojej matce się udało.

– Jak? Gdyby jej się udało, to raczej nie byłaby teraz martwa, a my nie popijalibyśmy sobie herbatki na świeżym powietrzu.

Trudno było wyczytać cokolwiek z oczu pozbawionych wyraźnych tęczy i źrenicy. Fridtjof ułożył dłonie na stole i sądząc po wyrazie jego twarzy, przypatrywał im się uważnie.

– Odkąd się urodziłaś, Emily ukrywała się i usilnie pracowała, by dokonać dzieła zniszczenia. – Podniósł głowę. – Mogła powrócić w dowolnym momencie, ale wybrała ten, w którym byłaś w ciąży.

Zrozumienie, w jakim kierunku zmierza ta rozmowa, zajęło mi kilka sekund. To, co sugerował Fridtjof, było po prostu niemożliwe. Nie mogłam nawet o tym myśleć.

– Nie – powiedziałam, wstając zza stołu. Emmet chyba jeszcze nie skojarzył faktów, ale też skoczył, gotów w razie czego mnie chronić.

– Mercy, musisz zrozumieć, że nie jest mi przyjemnie o tym mówić. Ale tylko pomyśl. Czuję wokół ciebie magię. Magię, której użyliście ty i twoja rodzina, by podtrzymać to dziecko przy życiu. – Moje ręce powędrowały na brzuch. – To dlatego Emily nigdy nie powiedziała Peterowi prawdy. Wiedziała o magii *Fae* wystarczająco wiele, by zdawać sobie sprawę, że jeśli on odejdzie do swojego wymiaru, jeśli wspomnienia o nim zostaną wymazane z tej rzeczywistości, zanim dziecko przyjdzie na świat, to ono nigdy się nie urodzi.

Postąpiłam o krok do tyłu i wpadłam wprost w wyciągnięte ramiona Emmeta. Objął mnie i, z czego właśnie zdałam sobie sprawę, również Colina. Zalało mnie jego pragnienie, by nas ochronić.

Fridtjof wstał i machnięciem ręki spowodował, że stół i krzesła zniknęły.

– To coś, co w tobie rośnie, to nie dziecko. To Abominacja.

– Mylisz się.

– Posłuchaj, Mercy. – Złączył ręce jak do modlitwy. – Wiem, że to potworne.

– Zamknij się.

– Musisz zrozumieć, że odejście Petera do jego świata jest błogosławieństwem. Możesz uratować granicę, możesz uratować cały nasz świat, tylko pozwól mu zniknąć.

Odwróciłam się i spojrzałam na Emmeta. Jego piękną twarz wykrzywiały grymas wściekłości.

– Musimy już iść – stwierdziłam i przygotowałam się do teleportacji.

– Nie widzisz, jak on cię kocha? – Zawahałam się, słysząc to pytanie. – I mogę cię zapewnić, że i ty kochasz Emmeta. Pozwól sobie na zapomnienie. Zapomnij o Peterze, zapomnij o tym, co rośnie w twoim brzuchu. Niech zniknie.

– Nie mogę zapomnieć o moim dziecku – rzuciłam. – Nie zapomnę o moim dziecku.

– Golem jest płodny. Będziecie mieli inne dzieci, ty i twój obrońca. Wiele pięknych dzieci. Tylko pozwól odejść temu.

– Nie. – Emmet odpowiedział za mnie. – Jeśli Mercy mi pozwoli, będę ojcem jej dzieci,

ale to – jego wielka dłoń zsunęła się na mój brzuch – będzie naszym pierwszym. I nie pozwolimy mu odejść.

– Więc nie pozostawiacie nam wyboru. Będziemy musieli związać Mercy. – Wyciągnął ręce w moim kierunku. – Masz ostatnią szansę. Pozwól Abominacji zniknąć. Zrozum, to jedyny wybór, jakiego możesz dokonać.

– Jedyny wybór? Jesteście obłąkani. Jak w ogóle możecie myśleć, że jedno dziecko jest zdolne zniszczyć świat?

Fridtjof mrugnął i na chwilę jego rysy złagodniały.

– Przykro mi, ale nie wierzymy, żeby twoje dziecko było niewiniątkiem. Zakłęcie Babalon umożliwia umieszczenie nieczłowieczej duszy w ludzkim ciele. Uważamy, że Emily udało się ominąć granicę i sprowadzić do naszego świata jednego ze starożytnych bogów. To, co w sobie nosisz, nie jest dzieckiem. Jest wcieleniem mocy, która zniszczy nas wszystkich. – Opuścił głowę, jakby nie mógł już patrzeć na cierpienie, które mi zadawał. – Wszyscy kotwiczący czekają na mój sygnał. Kiedy zacznę ceremonię spętania, wszyscy, wszyscy pozostali się przyłączą. Jesteśmy zgodni. Gdy spętamy w tobie moc, resztę życia spędzisz jak warzywo i stracisz jakąkolwiek możliwość obrony tego potwora. Nigdy nie ujrzy światła dziennego.

– Mylicie się! Colin nie jest demonem. Nie pozwolę wam go skrzywdzić. – Wyciągnęłam ręce przed siebie, gotowa bronić się każdą odrobiną mocy, jaką dysponowałam. Byłam tak pełna złości, że moc tańcząca wokół moich dłoni objawiała się iskrami czarnymi jak obsydian. Gdzieś głęboko pod ziemią odezwał się pomruk i wszystko wokół zafalowało. Kątem oka dostrzegłam, że trzęsą się również głązy Kamienego Monumentu.

Fridtjof pokręcił głową. Nie wyglądał na przestraszonego moim pokazem siły. On też uniósł dłoń.

– W takim razie naprawdę mi przykro, ale muszę...

Przygotowałam się, bo wiedziałam, że następną rzeczą, którą usłyszę, będą splecione głosy kotwiczących, skazujące mnie na śmierć. Zamknęłam oczy i jeszcze mocniej wtuliłam się w ramiona Emmeta.

I wtedy usłyszałam, że on się śmieje. Otworzyłam oczy i obejrzałam się na niego.

– Nie widzisz tego, Mercy? Nie masz czego się obawiać ze strony tego białego ścierwa.

– Co? – spytałam, ale Emmet nie odpowiedział.

Zamiast tego zwrócił się do Fridtjofa.

– No dalej. Spętaj ją. No, czekamy.

Ręce Fridtjofa opadły bezradnie, a Emmet wypuścił mnie z objęć. Podszedł do kotwiczącego i jedną ręką podniósł go do góry. Spojrzał na mnie.

– Nie są w stanie cię spętać, inaczej już dawno by to zrobili. – Rzucił mężczyznę na ziemię, a ten wylądował z cichym tąpnięciem.

Ulga natychmiast przerodziła się we wściekłość. Z moich palców wystrzelił jasny ogień, który błyskawicznie podpełzł do Fridtjofa i otoczył go kołem. Chciał go zniszczyć, ale płomienie strzeliły w górę, tworząc ciasną zasłonę.

– Chciałeś mnie wrobić, żebym skrzywdziła swoje dziecko? – Ledwo rozpoznałam swój głos.

To będzie ich ostatnia zdrada. Ci ludzie byli na tyle szaleni, tak bardzo zdominowani przez swoje lęki, że próbowali mnie przekonać do zamordowania własnego dziecka. Chciałam, żeby ogień objął Fridtjofa, spalił go na popiół i dał przez to ostrzeżenie każdemu innemu

kotwiczącemu, który chciałby stanąć przeciwko mnie. Wiedziałam, że jeśli sobie tego zażyczę, tak właśnie się stanie, ale przecież granica potrzebowała tych drani. I dopóki tak będzie, nic im nie zrobię. Nie będę szukać zemsty.

Nigdy bym nie pomyślała, że to w ogóle możliwe, ale śnieżnobiała cera Fridtjofa pobieląa jeszcze bardziej. Rozszerzył nozdrza i szeroko otworzył oczy. Nad górną wargę wystąpił mu pot. Ten człowiek się bał, że zaraz zobaczy koniec nie tylko własnego życia, ale i całego swojego rodu. Ale wyczuwałam, że tak naprawdę boi się czegoś innego – jeśli teraz umrze, jego druga połówka już zawsze będzie żyła sama.

– Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jakie masz szczęście – rzuciłam i przesłam przez ścianę płomieni. Uniosłam obie dłonie ku niebu i odesłałam drania prosto do Szwecji.

Podalam rękę Emmetowi.

– Musimy wracać do domu.

– Oczywiście. – Ujął moją dłoń.

Zamknęłam oczy i skupiłam się na Savannah, ale nagle moje ciało przeszył ból tak straszliwy, jakby każdy mój neuron zapłonął żywym ogniem. Upadłabym, gdyby Emmet natychmiast mnie nie złapał. Próbowalam nie krzyczeć, ale czułam się, jakby wrywano mi wewnątrz. Jednocześnie poczułam na nodze coś ciepłego. Zanim jeszcze zobaczyłam krew, wyczułam metaliczną woń, ale to właśnie widok rosnącej na mojej sukience czerwonej plamy, a nie zapach czy ból, podpowiedział mi, że jednak próbowali. Kotwiczący próbowali zabić moje dziecko.

TRZYDZIESTY

Nie mogłam pozwolić sobie na panikę, musiałam zachować zimną krew. Jedyłą nadzieją było dostać się do domu i oddać się pod opiekę Ellen. Ona mogła mnie uleczyć. Pomóc mi w walce. Ból prawie mnie ogłuszył, ale i tak z przerażeniem dostrzegłam płynącą po przedramieniu Emmeta krew. Dopiero po chwili zrozumiałam, że to ja trzymałam go tak mocno, że rozorałam mu skórę paznokciami. Zamroczyła mnie kolejna fala bólu, ale Emmet ujął moją twarz i zmusił mnie, żebym spojrzała mu w oczy.

– Walcz. Nie pozwól im tego zrobić.

– Próbuję! – krzyknęłam.

Próbowałam. Naprawdę. Walczyłam całą sobą, by odepchnąć od siebie magię kotwiczących. Chwila wychnienia dała mi kilka sekund na zastanowienie się, jakim cudem są w stanie to robić. Dlaczego granica pozwala im czerpać ze swej mocy, by skrzywdzić Colina? Myślałam, że mnie wybrała. Dlaczego więc teraz zamierzała mnie opuścić, zdradzić? Ukryłam twarz w ramieniu Emmeta i wrzasnęłam.

– Musisz się skupić, Mercy. Musisz teleportować nas do Savannah. Do rodziny. – Wypowiedział na głos to, co podpowiadał mi umysł, ale mój rozum był teraz jedynie wysepką na morzu łez i cierpienia. – Mercy, musisz to zrobić dla Colina. On cię potrzebuje. Potrzebuje swojej mamy.

Coś w słowie „mama” zadziało jak zaklęcie. Połączyło mnie z cierpieniem wszystkich innych matek, ale też z ich siłą.

– Mogę dotrzeć do domu – wystękałam. Atak kotwiczących bardzo mnie osłabił. – Ale to odbierze mi resztę sił. Nie dam rady zabrać nas obojga.

– Więc leć. Spiesz się. Leć do domu, a ja dotrę tam najszybciej, jak tylko dam radę. – Pocałował mnie w czoło. – Pamiętaj, że cię kocham, Mercy.

Chciałam odpowiedzieć, ale nie mogłam. Ledwo oddychałam. Zamknęłam oczy. Odepchnęłam tyle bólu, ile byłam w stanie, ale i tak krzyk cierpienia, który wydałam z siebie przed chwilą, towarzyszył mi jeszcze w Savannah.

Gdy otworzyłam oczy, leżałam na podłodze mojego pokoju, jedynie kilka centymetrów od miejsca, w którym wykrwawił się Teague. „Krew do krwi”, ta irracjonalna myśl przyszła do mnie między szarpnięciami bólu. Wody odeszły, a konwulsje zamieniły się w skurcze.

– Ellen! – wrzasnęłam.

Już myślałam, że to magia zagina rzeczywistość pokoju, powodując, że co chwila znika mi on z oczu, ale gdy wpadła do niego Iris, zrozumiałam, że to ja umieram. Ciotka upadła przy mnie na kolana. Jej dramatyczny krzyk zmieszał się z moimi jękami.

– Dobry Boże. – Ellen uklękła przy mnie i podniosła mnie na tyle, żeby móc wsunąć rękę pod moje plecy. Ulga. Chłód. Ból odszedł.

– Próbują zabić moje dziecko. – Z całej siły chwyciłam dłoń Iris.

– Kto, kochanie? Powiedz, a zatrzymam ich.

Spróbowałam się odezwać, ale oni przebili się przez uzdrawiającą barierę Ellen.

– Kotwiczący – jęknęłam, czując kolejną falę wściekłości.

– Robią to kotwiczący?

Pokój zaczął zapadać się w sobie, pociemniało mi w oczach. Usłyszałam na korytarzu ciężkie męskie kroki.

– Coś złego dzieje się z Oliverem. – Przerażenie w głosie Adama zmusiło mnie do

skupienia się na tym, co działo się w pokoju. Obróciłam głowę tak, żeby widzieć Adama przed sobą. – Byliśmy w ogrodzie – chyba nawet nie zauważył, jak dziwna scena rozgrywa się przed jego oczami – i rozmawialiśmy. Nagle zemdłał, a potem... – Adam stał i cały się trzął. Trzymał w ramionach starego mężczyznę. Starego mężczyznę ubranego w rzeczy Olivera.

– Nie mogę teraz zostawić Mercy – rzuciła Ellen. Powiodłam wzrokiem i zobaczyłam jej śliczną twarz, nachyloną nade mną. Wyglądała na przerażoną. Chciałabym móc ją pocieszyć. Poczułam kolejny skurcz, który zagłuszył wszystko oprócz mojego cierpienia.

Gdy fala bólu minęła, usłyszałam głos, który mówił:

– Połóż mnie. Tutaj, koło Mercy. – Głos był suchy i skrzekliwy, jakby dobiegał z jakiejś odległej przeszłości.

Czyjaś zimna, drżąca ręka ujęła moją dłoń. Ale w oczach staruszka było coś znajomego.

– Wujek Oliver?

Stary mężczyzna pokiwał głową.

– Tak, Rudzielcu, to ja. – Adam uklęknął przy nim i lekko go uniósł. Bez pomocy swojego chłopaka wujek osunąłby się z powrotem.

– Chodzi o to zdjęcie?

– Zdjęcie?

– To, które zniszczyłeś. Twoje i dziadka. – Wiele mnie kosztowało zadanie tego pytania.

Dyszając, próbowałam zachować przytomność.

Zaskoczył mnie piskliwym śmiechem.

– Nie, kochanie. Nic podobnego.

– Więc o co chodzi? – zapytała Iris. Coś w jej głosie dawało do zrozumienia, że jest zbyt zajęta mną, żeby akurat teraz tolerować wybryki młodszego braciszka. Niemalże wybuchnęłam śmiechem, ale fakt, że Oliver leżał obok, skutecznie mnie powstrzymał.

– Związałeś swoje siły życiowe z dzieckiem, prawda, Oli? – spytała Ellen.

Zrozumiałam, że to właśnie był powód siwego pasemka, które wcześniej dostrzegłam na głowie wujka. Nie dopisał żadnych runów do chroniących mnie zaklęć – oddał całe życie.

– Tak właśnie – odparł, delikatnie ściskając mnie za rękę. – Oczywiście nie podejrzewałem, że mały zechce ich aż tyle.

– Musisz zerwać połączenie – zażądała Ellen. – Kotwiczący próbują zabić dziecko. Jeśli nie przetniesz tego węzła, pociągną cię za sobą.

– Ale jeśli to zrobię, może im się udać. – Oliver zakaszłał.

Iris wstała i popatrzyła na nas wszystkich.

– Oliverze. Przerwij połączenie. Musisz. Jeśli zrobisz to teraz, może będziemy w stanie cię uratować. Powiedz mu, Mercy. Powiedz.

Chciałam. Dla niego. Dla Ellen. Ale przede wszystkim dla Iris. Uważała, że to ona wychowała Olivera. Pod wieloma względami jej młodszy braciszek był dla niej raczej jak syn. Nie mogła stracić swojego dziecka. Rozumiałam to, ale i ja nie chciałam stracić mojego.

– Kiedyś – odezwał się wujek – popełniłem niewybaczalny błąd. W złości zrobiłem coś, co odebrało życie dziecku.

Adam zalewał się łzami.

– Wybaczyłem ci. Wybaczyłem ci – powtarzał, chowając twarz w ramieniu Olivera.

– Dziękuję. Ale mówiąc „niewybaczalny”, miałem na myśli to, że sam sobie nie mogę wybaczyć. – Zadygotał. – Wiem, że to nie przywróci życia, które odebrałem. – Zauważyłam, że dłoń, którą mnie trzymał, zaczęła delikatnie świecić. Ból znowu zelzał i mogłam się skupić

na jego słowach. – Mam tylko nadzieję, że coś takiego nada mojemu bezsensownemu życiu jakieś znaczenie.

– Natychmiast przestań – warknęła Iris.

– Cicho bądź, siostrzyczko. – Oliver znów skupił się na mnie. – I co, Rudzielcu? Pozwolisz mi zrobić to dla Colina? A jeśli nie dla Colina, to dla mnie?

Kto wie? Może gdyby nie to, że niemalże umierałam z bólu, może gdybym tak bardzo nie bała się o życie mojego dziecka, nigdy bym na to nie pozwoliła. Ale pokiwałam głową.

– Dziękuję.

Ledwo to powiedziałam, a światło gromadzące się wokół coraz zimniejszej i coraz bardziej drżącej dłoni Olivera wystrzeliło w moją stronę. Ciało wujka zwiotczało. Wiedziałam, że kiedyś, gdy wszystko będzie już dobrze, gdy Colin będzie siedział mi na kolanach, słuchając moich kołysanek, serce będzie łamać mi się na samą myśl o tym wspomnieniu. Adam chwycił Olivera za ramiona, ale on zaczął znikać, rozsypywać się w proch i pył. Adam próbował zatrzymać to, co jeszcze z niego pozostało, ale to tylko wszystko przyspieszyło.

Oparł się na łokciach z wyrazem szaleństwa na twarzy. W oczach miał żal i przerażenie, na jego obliczu malowało się poczucie winy. Poderwał się z podłogi, wypadł z pokoju i zbiegł po schodach. Ta cząstka mnie, która spoglądała jeszcze zza mgły przerażenia i bólu, dostrzegła mężczyznę, który właśnie utracił swoją duszę.

– Pomóż mi położyć ją na łóżku – poprosiła Iris. Przejęła kontrolę, jak to zwykle w sytuacjach kryzysowych. Znajdzie Adama. Pogrzebie Olivera. Ale najwyraźniej postanowiła zająć się każdą z tragedii po kolei.

Odpowiedź od Ellen nadeszła w formie cichej modlitwy o spokój. Czy może jeszcze odmienić los mojego dziecka? Iris stanęła przy moich nogach i razem za pomocą magii podniosły mnie, przenieśli nad łóżko i miękko opuściły na narzutę.

– Zdziałało? Poświęcenie Oliego coś dało? – zapytała Iris, kiedy Ellen położyła na mnie dłoń.

– Myślę, że tak, ale poród postępuje – odrzekła i wyszeptała coś do siostry.

– W porządku – odpowiedziała jej Iris. Nachyliła się i położyła mi dłoń na policzku. – Bądź dzielna. Ellen zadba o to, żebyście oboje przeszli przez to bez szwanku. Ja idę stawić czoło kotwiczącym.

– Nie – chwyciłam ją za rękę. – Zabiją cię.

Iris delikatnie zdjęła moją dłoń ze swojego przedramienia i ułożyła ją na łóżku.

– Nie, kochanie, chociaż na pewno spróbują. – Odwróciła się do Ellen. – Opiekuj się nią. Ja zakończę to raz na zawsze. Wrócę, gdy tylko sukinsyny za wszystko zapłacą. – Położyła mi rękę na ramieniu. – Ciocia Iris załatwi to za ciebie, kotku. A ty bądź tylko grzeczną dziewczynką i słuchaj Ellen.

Oczy napełniły jej się łzami, ale otarła je wierzchem dłoni, po czym wypadła z pokoju.

– Musisz ją zatrzymać – powiedziałam.

– Nic jej nie zatrzyma. Kotwiczący zadarli z Taylorami. Nieważne, ile mają mocy, Iris wszystkich ich usadzi na miejscu. Wszystkich.

– Ale granica. Jeśli unieszkodliwi kotwiczących... – Zrozumiałam, że Iris sama zamierza spętać strażników granicy, jednego po drugim. Będą cierpieć los, który przewidzieli dla mnie. Będą wegetować, dopóki ich ciała nie odmówią posłuszeństwa. A potem granica wybierze zastępców. Byłam pewna, że coś takiego jak masowe spętanie kotwiczących nigdy wcześniej

nie miało miejsca. Nie rozumiałam, jak Iris mogła w ogóle pomyśleć, że jest w stanie tego dokonać. Szarpnęłam się, czując kolejną falę bólu.

Ellen uniosła moją głowę i wsunęła pod nią jeszcze jedną poduszkę.

– A teraz posłuchaj. – Przeszła w nogi łóżka. – To bardzo wcześnie jak na ludzkie standardy, ale obie wiemy, że w dziecku jest mnóstwo magii, która pochodzi i od ciebie, i od jego ojca. A ten mały jest wojownikiem. Czuję to.

– Jest bardzo silny. Zupełnie jak ja – stwierdziłam, żeby dodać sobie otuchy.

Ciocia uśmiechnęła się delikatnie.

– Tak właśnie jest. I wiesz co? Upór masz po mnie, a ja ci mówię, że razem sprowadzimy to dziecko na świat, zanim kotwiczący zdołają zniszczyć to, co zrobił dla nas Oliver. Zadarła dół mojej sukienki. – Nie ma jeszcze pełnego rozwarcia, dlatego żebyśmy mogły to osiągnąć, musisz się skupić i mi pomóc.

Usłyszałam odgłosy stąpania z korytarza. Odetchnęłam z ulgą, myśląc, że Iris poszła po rozum do głowy. Kroki ucichły przed drzwiami. Napływała stamtąd zła energia. To nie Iris. Wyczułam dwie osoby, nie jedną.

– Ellen – wyszeptałam, wskazując drzwi. Była tak skupiona na mnie, że niczego nie zauważyła. Podniosła nic nierozumiejący wzrok, po czym znów zajęła się mną. Nic nie widziała. Majaczyłam, czy po prostu umierałam?

Dwie ubrane na czarno kobiety wpłynęły do pokoju. Zamrugalam, nie mogąc uwierzyć w to, co widzę.

– Cześć, kochanie – powiedziała Emily i roześmiała się. Jej włosy unosiły się wokół głowy, jakby pływała w wodzie. Skórę miała półprzezroczystą. – Mama wróciła do domu. – Sięgnęła, by chwycić Gudrun za rękę. Zbliżyły się do łóżka. Razem mnie chwyciły i uniosły w stronę ciemniejącego nieba.

TRZYDZIESTY PIERWSZY

Zacisnęły mi dłonie na ramionach niczym szpony i poderwały mnie z łóżka. Zobaczyłam swoje ciało, które zostało na dole, i Ellen, nachylającą się nad nim, nade mną. Czułam jednak silny uścisk wiedźm. Gudrun zarechotała.

– *Czy w ciele, nie wiem, czy poza ciałem, Bóg to wie – został uniesiony do raju i słyszał tajemne słowa, których się nie godzi człowiekowi powtarzać*¹.

Znałam te słowa, ale skąd?

Moje ciało małało, gdy bez najmniejszego trudu wznosiłyśmy się do nieba. Wiatr owiewał nas ze wszystkich stron i czułam, jak uderzają we mnie kryształki lodu.

– Umieram? To dlatego przyszłyście? – zapytałam, ale odpowiedzią był jedynie wybuch śmiechu.

– Nie pytaj, komu bije *die Glocke*² – odparła Gudrun ze swoim niemieckim akcentem. Obie parsknęły śmiechem na ten żart, który najwyraźniej tylko one zrozumiały. Złączyły wolne ręce, zamykając koło, dzięki czemu wznosiłyśmy się, wirując coraz szybciej i szybciej, aż do momentu, gdy zaczęłyśmy spadać.

Leciałyśmy tak – tym razem w dół – dopóki nie wyrósł pod nami ład. Wtedy kobiety mnie puściły. Wylądowałam z głuchym tąpnięciem i poturlałam się po ziemi. Grunt wydawał się solidny. A przynajmniej ja byłam cała i wszystko wokół mnie naprawdę istniało, chociaż nie miałam zielonego pojęcia, dokąd mnie zabrały.

– Wstań – nakazała Emily. Potoczyłam wzrokiem dokoła, szukając jakiegoś schronienia, ale znalazłam się w miejscu, które wyglądało jak niekończące się trawiaste pole, rozciągające się pod bezkresnym, spłaszczonym, rozgwieżdżonym niebem. – Powiedziałam: wstawaj. – Wyciągnęła rękę i poderwała mnie na nogi.

Czy tak wygląda umieranie, ta część naszego istnienia, której żyjący nie widzą, gdy nie ma się już ciała, ale wspomnienia wciąż na nas ciążą niczym jedna wielka dodatkowa kończyna?

Odwróciłam się, słysząc dziwne mruczenie, podobne do basowego odgłosu thereminu. Tuż za mną zawisł w powietrzu jakiś przedmiot w kształcie dzwonu, który obracał się na tyle wolno, że na jego dolnej krawędzi mogłam dostrzec runiczne napisy. Spojrzałam znów na mroczne wiedźmy. Tysiące pytań przelatywało mi przez umysł. „Gdzie jesteśmy? Co to jest?”

– Dlaczego nie jesteś martwa? – Akurat takie pytanie opuściło moje usta.

– Czy tak powinnaś zwracać się do mamy? – zapytała Emily i roześmiała się, a jej zimny, metaliczny śmiech rozdarł nocną ciszę.

– Widziałam twoje ciało. – Wskazałam na Gudrun. – Ona cię zabiła. Użyła zwłok, żeby rzucić zaklęcie. Mówiła, że chciała cię ukarać.

Emily skrzyżowała ramiona na piersi.

– Och córeczko, jesteś taka naiwna. To nie kara. To nagroda.

Gudrun przefrunęła i otoczyła Emily ramieniem.

– Właśnie tak. Może sam proces nie jest zbyt przyjemny, ale chyba się zgodzisz, że nieśmiertelność warta jest odrobiny cierpienia, prawda?

– Jak najbardziej. Słyszysz, kochanie? – Emily zwróciła się do mnie. – Jestem nieśmiertelna. Naprawdę nieśmiertelna. I zawdzięczam to wszystko tobie i mojemu głupiemu rodzeństwu.

– Żeby rzucić takie zaklęcie, jakie zaserwowałam twojej matce, potrzeba nie tylko dużo

mocy, lecz także specjalnego rodzaju magii. Potrzebna jest magia dusz.

– Gehenna... – wyszeptalam.

– Tak, Gehenna – potwierdziła Emily. – Twój przyjaciel golem przytrzymał otwarte drzwi wystarczająco długo, żeby Gudrun mogła zebrać całą potrzebną moc.

– Więc cała ta sytuacja z babcią to była sztuczka?

– Och, nie, moja kochana mamusia naprawdę została uwięziona w Gehennie, czyli dokładnie tam, gdzie powinna była się znaleźć. – Okrążyła mnie, by stanąć przed mruczącym w powietrzu przedmiotem. Zerknęła na mnie przez ramię. – Szkoda, że twój golem zdołał ją uwolnić. Nie zrozum mnie źle. Na Gehennę zasłużyła nie tym, że zabiła twój dziadka, ale tym, że okazała się tchórzem i sama też się zabiła. – Obróciła się na pięcie i, zła, ruszyła w moją stronę. Zatrzymała się tuż przede mną. – Powinna być dumna, że zabiła drania, który zbrukał czystą krew. On ze swoją murzyńską żoną i bachorami półkrwi. – Po chwili się uspokoiła, rozluźniła i cofnęła o kilka kroków. – To ja jej powiedziałam, rozumiesz? A mnie twój ojciec. Erik mnie uratował. Pokazał mi, jak uniknąć skazy spowodowanej zmieszaniem krwi z gorszą rasą.

– Gorszą rasą? – Odzyskałam głos i wykrzychałam jej to w twarz. – Gorszą rasą?! Chcesz mi powiedzieć, że wszystko to stało się dlatego, że jesteś rasistką? – Do tej chwili byłam przekonana, że takie zaślepienie świat pozostawił za sobą w poprzednim stuleciu.

– Zmień ton – syknęła Gudrun. – Twoja matka jest purystką. Poświęciła życie przywróceniu właściwego porządku.

– Nie ma czegoś takiego jak „właściwy porządek” – rzuciłam, czując, jak przytłacza mnie smutek. – Są tylko ludzie, którzy chcą być przyzwoici i kochani, i nic innego się dla nich nie liczy.

Jeśli Colin i ja w jakiś sposób to przetrwamy, zrobię, co w mojej mocy, żeby wiedział, jak bardzo złym człowiekiem była moja matka – nie tylko w swoich czynkach, ale także w sercu. Splotłam ręce na splamionej krwi, ale już bardzo luźnej sukience. Jęknęłam. Serce przeszył mi porażający ból. Upadłam na kolana i pochyliłam się aż do ziemi. Udało im się. Odebrali mi dziecko. „Och, Colin. Mamusia tak bardzo cię przeprasza. Tak mi przykro”. Dziura, którą wyrwali w mojej duszy, powiększała się.

– Zabili moje dziecko. – Spojrzałam na matkę, nie wierząc, że znajdę w niej choć iskierkę człowieczeństwa. – Powiedzieli, że jest Abominacją. – Emily stała bez ruchu jak marmurowy posąg, zimna i nieporuszona.

– Biedne, biedne kochanie – zaszczębiotała Gudrun. W jej głosie było wszystko, tylko nie współczucie. – Taka zdrada. Taka strata. Taki ból. – Nachyliła się nade mną i zmusiła mnie, bym się podniosła. – Ale już niedługo wszystko się skończy – gruchała, głaszcząc mnie po włosach z prześmiewczą troską.

Trzasnęłam ją w rękę i usłyszawszy z satysfakcją głośne plaśnięcie, odsunęłam się.

– Suki, nie zostawiłyście mi już nic. Straciłam wszystko.

– Nie możemy wszystkich zasług przypisać sobie, kochanie. To był zbiorowy wysiłek, jedyny, który zjednoczył wszystkie trzynaście rodów. Granica skończyła z tobą. – Popatrzyły na siebie i wybuchnęły śmiechem. – Ona nadal niczego się nie domyśla – wykrztusiła Emily, ocierając z policzków łzy histerycznego śmiechu.

– Czego mam się domyślać? – Byłam tak wściekła, że mogłabym zabić ją, zabić Gudrun i zniszczyć przedmiot, który wydawał ten irytujący dźwięk.

– Że nigdy nie miałaś nic do stracenia, moja droga – wyjaśniła Gudrun.

– O czym ty mówisz?

– My – poprawiła mnie Emily. – My chcemy ci powiedzieć, że najwyższy czas, żebyś się obudziła. Żebyś coś sobie przypomniała – urwała, jakby czekała na objawienie, ale ono nie nastąpiło. – Twoje dziecko nie było Abominacją. Ty nią jesteś. – Zaczęła chodzić wokół mnie, a Gudrun poszła w jej ślady, okrążając mnie w przeciwnym kierunku. – Twój ojciec i ja świetnie się bawiliśmy, robiąc cię. Pierwsze dni w Tillandsii były magiczne w każdym tego słowa znaczeniu.

Przed oczami mignął mi obraz uderzającej w auto Erika półciężarówki. On zginął natychmiast, a Paul wyleciał z samochodu.

– Ty go zabiłaś?

– Nie – zaprzeczyła. – Ayako. Ale wiedziałam, co się święci.

– Ayako zawsze była posłusznym żołnierzem. – Wtrąciła Gudrun z uśmiechem na ustach. – Wystarczyło jedynie ją przekonać, jaka jest prawda. Że twój ojciec stanowił zagrożenie dla granicy.

– Ale dlaczego? Był twoim sojusznikiem.

– Gdzieś po drodze stracił wiarę. Zmiękł. Troszkę za bardzo spodobała mu się rola *père de famille* i zapomniał, do czego zmierzamy. Urywał się z domu, jakby mógł sobie tak po prostu odejść. – Zmrużyła oczy, jakby była poirytowana, że musi mi się tłumaczyć. Wzruszyła ramionami. – Poza tym spełnił swój cel. Spłodził cię.

Odwróciłam się do Emily.

– Powiedziałaś mi kiedyś, że go kochałaś. To tylko kolejne kłamstwo?

– Musisz zrozumieć – odparła, a jej twarz nie wyrażała ani odrobiny żalu – że jesteś moim arcydziełem. Na tobie kończy się granica. Nie protestowałam, bo chciałam być pewna, że przepowiednia się wypełni, i to że wypełni się przez ciebie, moja piękna Abominacja. Gdybym tylko mogła wkłęcić w to twoją siostrę, zrobiłabym to, ale Ginny już zbyt głęboko zatopiła w niej kły.

– Maisie jest twoją córką.

– Maisie była niechcianym produktem ubocznym aktu stworzenia ciebie, a ty, Mercy, moja córko – wymieniła kolejne zadowolone spojrzenie z Gudrun – jesteś szkatułką, kopertą, jeśli wolisz, i najwyższy czas, żeby cię otworzyć.

Pomruk wirującego dzwonu zaczął drastycznie narastać. To zmusiło mnie, by ponownie na niego spojrzeć, i dostrzegłam, że obraca się coraz szybciej.

– Ten „dzwon” – w głosie Gudrun brzmiała prawdziwa duma – jest naszym najwspanialszym wynalazkiem i najgroźniejszą bronią. Łączy najważniejsze odkrycia nauki z potęgą magii, by otworzyć ciemne serce pustki, którą nazywasz Bogiem.

Dzwon cały czas się rozpędzał, aż w końcu nie dało się już śledzić go wzrokiem. Zdawał się wymykać z naszego wymiaru, a przy tym tworzył wokół siebie coraz silniejsze pole grawitacyjne.

– Otwiera przestrzeń, w której nic nie istnieje, ale gdzie wszystko jest możliwe. To, co niedookreślone, może stać się ciałem, a to, co stało się ciałem, może powrócić do nicości, z której powstało.

Zobaczyłam oślepiający błysk, a w następnej chwili otaczała mnie nawet nie ciemność, lecz zupełny brak światła. Poczułam się uwięziona w sercu nieskończonej nicości i przepastnej próżni. Wiedziałam, że to serce pustki.

2 Kor 12, 3–4, Pismo Święte Nowego Testamentu, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań 2009 [przyp. tłum.]. ↵

Die Glocke (niem. „dzwon”) – odwołanie do tajnej broni o tej samej nazwie, którą Niemcy w czasach drugiej wojny światowej konstruowali ponoć w zakładach na terenie okupowanej Polski. Cały cytat pochodzi z *Medytacji XVII* Johna Donne’a, z której Ernest Hemingway zaczerpnął tytuł i motto swojej słynnej powieści *Komu bije dzwon* [przyp. tłum.]. ↵

TRZYDZIESTY DRUGI

W pustce nie ma żadnych punktów odniesienia, nie ma dołu ani góry, przodu ani tyłu. W pustce nic nie może się przywidzieć. Nie można sobie niczego zrationalizować. Nie ma ciągu przyczynowo-skutkowego, który jest przecież taki wygodny. W pustce staje się jasne, że nic od niczego się nie różni. Niczym nie różnią się historia i wyobraźnia. Obie są kłamstwem.

Największym kłamstwem w moim życiu wcale nie było to, że moja matka jednak żyła, ani to, że nikt nie wiedział, kim był mój ojciec. W pewnym sensie te sprawy wydawały się najjaśniejszą z prawd. Moja matka już dawno umarła w środku, co przecież liczy się najbardziej, a mężczyzny, który był moim ojcem, nikt tak naprawdę nie znał. Nie, największym kłamstwem, jakie kiedykolwiek słyszałam, było tykanie zegara Ginny, sposób, w jaki głośno odmierzał on upływające sekundy, jakby ogłaszał się heroldem czasu, wielkim bogiem, który rządzi nami wszystkimi. W pustce czas nic nie znaczy. W pustce staje się oczywiste, że czas to jedynie efekt uboczny, a nie wielki król, za którego uchodzi.

W pustce nie miałam wzroku ani umysłu. Jednak przez moją świadomość przepływały obrazy iluzji, którą wcześniej nazywałam swoim życiem. Nie dowodzi to jednak, że mogłyby zostać oddzielone od świadomości, w pustce to niemożliwe. Tak naprawdę pozostała mi tylko świadomość, która właśnie walczyła sama ze sobą, starając się nie wywoływać obrazów Emily ani wspomnień o Eriku. Zostałam splodzona przez dwa potwory, ale ja sama nie byłam potworem. Emily nazwała mnie Abominacją. Tym samym potwierdziła, że nie mam duszy. A jednak ją czułam, tę iskrę, jakbym ja sama była iskrą. Chciałam wierzyć, że się pomyliła, że myliła się w ogóle co do wszystkiego.

Jak w piekle, tak i na ziemi. Wnikając do Tillandsii i zamieniając ją w generator mrocznej mocy, Erik i Emily użyli magii sympatycznej, ale jako przedmiotów wiążących magię, zamiast gliny, zamiast ubrań, użyli siebie samych, żywych laleczek zawierających energię granicy. Krew i seks w Tillandsii najwyraźniej wystarczyły, by przejąć fragment granicy i wtłoczyć go w ludzkie ciało. Ciało, które uważałam za swoje. Uznali, że najlepszym sposobem na obalenie granicy jest zniszczenie jej małej części, zgodnie z zasadami magii sympatycznej, które mówią, że jeśli zniszczysz coś na poziomie cząsteczek, to zostanie unicestwiona także większa forma.

Teraz znalazłam się w pustce, oddzielona od swojego ciała, ale wciąż świadoma, co się z nim dzieje. To była taka wspaniała sztuczka ze strony Emily. Granicę utworzyło trzynaście rodów i trzynaście rodów było potrzebnych, by ją zniszczyć, by zniszczyć mnie. Dziesięć rodów, które pozostały lojalne wobec granicy, nigdy świadomie nie zjednoczyłyby się z trzema zbuntowanymi, ale Emily zasiała w ich sercach strach. Myśleli, że powstrzymują mnie od skrzywdzenia granicy. Nie mieli pojęcia, że to ja jestem granicą.

TRZYDZIESTY TRZECI

Rudowłosa dziewczyna pozbawiona mocy, której najpierw nikt nie dostrzegął, a później wszyscy znenawidzili, była reinkarnacją granicy. Stwierdziłam, że tęsknię za tą dziewczyną. Gdy zjednoczone rody połączyły siły, by ją zniszczyć, czułam, że pozostałe trzy starają się wymazać ją z rzeczywistości. Tutaj, w pustce, wiedziałam, że właśnie to się teraz dzieje. Że jestem naginana, wymazywana, niweczona w samym centrum nicości. Obrzeża mojej świadomości wypuszczały macki, rozpraszając czarny niebyt pustki. Pozwoliłam myślom płynąć w poszukiwaniu chwil szczęścia, choć wyglądało na to, że te znikają jako pierwsze.

Zalewały mnie przerażające sceny. Przede mną leżało ciało Ginny, a może to był Teague? Dwa morderstwa zlały się w jedno. Ogień w Magh Meall. Wiem, że już nigdy nie zobaczę rodziców Petera. Ta świadomość, że Peter przeszedł przez portal do świata *Fae*, nawet nie machnąwszy ręką. Wspomnienie, jak Maisie odwróciła się ode mnie, jak chciała mnie poświęcić. Przerażające chrupnięcie w mojej szyi, gdy Connor rzucił mną o ścianę domu Ginny jak szmacianą lalką. Magiczny ogień, który go pochłonął. Wszystko, co dobre, zaczęło mnie opuszczać. Miałam rodzinę, rodzinę, która mnie kochała. Były dwie kobiety. Siostry. Kochały mnie bardzo, ale nie pamiętałam ich imion. Dwóch mężczyzn. Kochali mnie. Wiedziałam o tym. Wydawali się dla mnie jak rodzina, z pewnością nie byli braćmi, ale i tak to słowo naciskało na moją świadomość. Zaraz potem odpłynęło. Byłam zszokowana. Czułam, że wszystko się zapada, tężeje. I nagle było znacznie mniej mnie, a znacznie więcej nicości wokół. Przypominałam wyspę w morzu pustki. Wciąż widziałam tamtą dziewczynę, czy po prostu sobie to wyobrażałam? Leżała tak blisko, płomiennorude włosy na poduszce niemal pasowały kolorem do krwi oblepiającej jej uda. Chciałabym móc jej pomóc. Obiecać jej, że wszystko będzie dobrze, ale czułam, że i ona, tak jak ja, się zapada. Jeszcze jedno drgnięcie i wizja zniknęła.

I nie widziałam już nic. Tylko ciemność wokół. Ciemność i jakąś iskierkę. Gdy na nią patrzyłam, wróciło do mnie wspomnienie kolorów. Rozpoznałam go. Niebieski. Nie, to była akwamaryna.

– No, jeśli już ci lepiej i jesteś gotowa przestać się nad sobą użalać, to mamy coś do zrobienia.

Moja świadomość, która była już na granicy zniknięcia, nagle eksplodowała, otwierając się szeroko. Wiedziałam, kim jestem, znałam ten kolor i znałam ten głos.

– Jilo.

Nie miała ciała, była zaledwie lśnieniem, ale rozpoznawałam przyjaciółkę.

– Tak, dziewczyno. Twoja Jilo.

– Jesteś aniołem?

Śmiech zatrzęsł ciemnością wokół, a fale w kolorze akwamaryny wciąż powstawały i znikwały w nieskończoności.

– Cóż, tajemnicze są sposoby działania dobrego Pana. Może to miał na myśli, ale jeśli tak, to nie miał łatwego zadania. – Kolejny wybuch śmiechu rozległ się wokół. – Jilo jest tu dla ciebie. Jest tu i nie pozwoli skrzywdzić swojej córeczki.

– Nie jestem niczyją córeczką. W ogóle nie jestem człowiekiem.

– Gówny prawda. – Pojawiła się przede mną jej twarz. – Nieważne, czy jesteś człowiekiem, czy kozą, jesteś Mercy, jesteś moją córeczką. Kocham cię, dziewczyno. Kochałam, zanim jeszcze tamtego wieczoru przyszłaś na Colonial Cemetery. Pamiętasz to,

dziewczyno? – Wspomnienie tamtej nocy znów stało się realne. A wraz z nim ja też byłam trochę bardziej realna. – Zobaczyłam, jak prowadzisz tych brzuchatych białych dziadów i coś w tobie było. Jilo pomyślała sobie: „Po prostu odejdz, Jilo, to tylko dziewczyna z tych szalonych Taylorów”. Ale Jilo coś poczuła w sercu, gdy cię zobaczyła. Dlatego Jilo pchnęła do twojej głupiutkiej głowy tę myśl, żebyś przyszła do niej na skrzyżowanie.

Roześmiałam się, wprawiając w drganie migoczące w powietrzu iskierki.

– Nie zrobiłaś tego!

– Ależ tak – powiedziała z naciskiem. – Jilo to zrobiła. Sama wiesz, że gdyby nie to, byłabyś zbyt przerażona, by do mnie przyjść.

– Jeśli tak na to spojrzeć, to pewnie masz rację.

– Do diabła, dziewczyno, żadne „pewnie” – urwała, jakby przyglądała się nieskończonej pustce wokół nas. – A teraz wpakowałaś się w samo serce piekła. – Światło i kolor zbladły, a ja znów poczułam beznadziejność mojej sytuacji. – Och, na Boga, znowu to samo. Jilo stwierdziła, że to piekło, lecz wcale nie powiedziała, że nie możesz z niego wyjść.

– Nie rozumiesz – rzuciłam, zastanawiając się, czy moja przyjaciółka nie jest po prostu wytworem umysłu, który chciał osłabić strach na kilka minut przed śmiercią. – To jest pustka, puste serce Boga.

Rechot Jilo zamienił ciemność w szaloną tęczę. Wiązka światła w kolorze fioletoworóżowym oplotła pozostałe barwy. Przez chwilę wydało mi się, że widzę horyzont.

– Kurczę, dziewczyno, to nie jest żadne serce Boga. To fałsz. Kłamstwo – warknęła ze złością. – Ci głupcy myślą, że mogą uważać się za bogów. Zmieszali magię z nauką i wyleźli z tym swoim „dzwonkiem”.

– Lecz Emily...

– Emily nie ma znaczenia. Komu wierzysz, tej suce, czy swojej prawdziwej mamie? – Nie odpowiedziałam. Nie było potrzeby. – W porządku. Ta przestrzeń, w której jesteśmy. Znaleźli sposób, by naśladować prawdziwą pustkę, ale twoja ruda łepetyna musi zrozumieć, że to nie jest pustka. Nie ma człowieka ani wiedźmy, która mogłaby tam przeżyć.

– Co więc robię ja?

– Co robisz ty? – W myślach zobaczyłam Jilo taką, jaka była przed śmiercią: starszą kobietę podobną do ptaka, podskakującą jak szalona. – Czy Jilo niczego cię nie nauczyła? – Jej frustracja w jakiś sposób podziałała na mnie uspokajająco. – Co było pierwszą rzeczą, zupełnie pierwszą, której Jilo nauczyła cię o magii?

Spróbowałam się skupić, przypomnieć sobie pierwsze chwile, które spędziłyśmy razem, gdy uczyła mnie wszystkiego, co sama wiedziała o magii. Tutaj, w tym miejscu, gdzie nie płynął czas, to wszystko wydawało się takie odległe.

– Ta pustka jest potężną bronią, a te suki oddały tę moc tobie – powiedziała Jilo.

Poczułam ból. Mały kamyk uderzył mnie w rękę. Ogarnęło mnie uczucie radości. Kamyk istniał, a ja miałam rękę.

– Tak, to prawda, dziewczyno. Powiedz Jilo, do kogo należy teraz moc.

– Moc jest moja. – Wokół nas rozpostarł się przyjemny, zielony świat. Stałam przed Jilo, która patrzyła na mnie, pękając z dumy.

– A ty użyjesz jej, żeby skopać kilka tyłków. – Wzięła mnie w ramiona. Mocne. Ciepłe. Kochające. Prawdziwe. – Ale przede wszystkim jest tu jeszcze ktoś, kto chce się z tobą przywitać. – Puściła mnie i machnęła ręką, przywołując kogoś.

Najpierw pojawiła się jako wrażenie, niepewna, czy ma się pokazać, pełna lęku, że ją

odrzucę. Na myśl, ile bólu jej sprawiłam, bolało mnie serce. W podzięce za to, co dla mnie zrobiła.

– Ginny – powiedziałam i obraz mojej ciotecznej babki skryształizował się przede mną. Nie w formie zakrwawionych zwłok, które były ostatnim, co widziałam z Ginny. Jak coś więcej niż mgliste wspomnienie, moment desynchronizacji się powtórzył.

Jilo uśmiechnęła się niczym dumny nauczyciel. „Tak, dziewczyno, teraz widzisz pełen obraz. Czyj wyrok śmierci przyjęła ta stara kobieta? To jest pytanie, które musisz sobie zadać.”

Znałam już na nie odpowiedź. Ginny zamordował Wren, ale ona przyjęła śmierć od kogoś innego. Przyjęła ją od granicy. Ode mnie.

– Próbowałam robić dokładnie to, o co prosiłaś – powiedziała Ginny, patrząc na mnie niepewnie. Kolejny obraz z przeszłości. Pamiętałam, jak do niej chodziłam, nie jako Mercy, ale jeszcze przed Mercy, jako granica. Granica ostrzegła ją, że Emily i Erikowi się udało. Rzucili Zakłęcie Babalon i uwięzili kawałek granicy. – Jakże trudno było traktować małą dziewczynkę w taki sposób. – Łzy wezbrały w jej oczach.

– Zrobiłaś dokładnie to, o co prosiłam. – Rozłożyłam ręce i Ginny rzuciła mi się w ramiona.

– Wiedziałam, że nie rozumie. Wiedziałam, że jest niewinna, a ty...

– Kazałam ją odseparować, trzymać z dala od magii. – Uderzyła mnie jeszcze gorsza prawda. – Prosiłam, żebyś odebrała jej magię i użyła jako kotwicy jej siostry. Żebyś resztę magii wysłała do innego wymiaru, gdzie nikt jej nie zauważy. – To ja. Ja zdradziłam Maisie. Obarczyłam ją taką ilością mocy, jakiej żadna normalna wiedźma nie zniósłaby, nie popadając w obłęd. Jak silna musiała być Maisie, żeby tak długo trzymać się w tak dobrej formie! Te czasy, gdy czekałam w holu u Ginny, patrząc w cholernie pustą ścianę, jak mi kazano. To właśnie wtedy cioteczna babka z całych sił próbowała zachować równowagę mocy – w przeciwnym razie groziłoby mi rozerwanie na strzępy. Zdałam sobie sprawę, że uratowała mnie jedynie pomysłowość Ginny, która znalazła sposób na odprowadzenie części mocy przez Jilo.

– Emily nigdy nie zamierzała pozwolić ci dorosnąć. Chcieli zakończyć sprawę, gdy byłaś dzieckiem. – Wzdrygnęła się na samą myśl. – Gdyby pozostali kotwiczący wiedzieli, czym naprawdę jesteś, toby mi ciebie odebrali. Znaleźliby sposób, by cię zniszczyć jako Mercy, bez uszkodzenia granicy. A gdyby to się nie udało, toby cię zamknęli. Próbowali wyciszyć. Szarpiąc się tak, w końcu doprowadziliby granicę do upadku, tak jakby cały czas pracowali dla Emily.

– Jak w piekle, tak i na ziemi – powiedziałam głośno. Cokolwiek próbowali zrobić kotwiczący, i tak było to przefiltrowywane przez granicę jako całość. Zniszczyć Mercy to zniszczyć granicę. Wyciszyć Mercy – wyciszyć granicę. Inaczej nic by nie zrobili. Tak czy siak, to byłby koniec. Nigdy nie pozwoliliby mi istnieć, bo gdyby tak się stało, trzy zbuntowane rody natychmiast by się wtrąciły. Niemalże udało im się mnie dopaść, gdy byłam dorosłą kobietą. Jako dziecko nie miałam szans. – Kotwiczący myślą o sobie jak o moich panach, nie partnerach. – Przez tysiące lat starałam się uwolnić z ich uścisku.

– Musiałam cię przed nimi chronić. Musiałam chronić cię przed Emily. – Ciałem Ginny wstrząsał szloch. – Musiałam pozwolić Ellen stracić Paula. Nie mogłam ryzykować, że kotwiczący dowiedzą się prawdy o tobie. – Oswobodziła się z mojego uścisku. – Tamten chłopiec, który przebiegł przez jezdnię przed kwaciarnią, był ciężko ranny. Mógł zginąć.

Ellen nie miała dość mocy, by go uratować, jak to zrobiła, i kotwiczący o tym wiedzieli. Nie mieli natomiast pojęcia, że zaczerpnęła mocy od ciebie.

Pamiętam, jak Ellen kładła dłonie na rannym chłopczyku. Jej pragnienie, by mu pomóc. Radość, że da radę. Wszystko, co zrobiła. Zdołała wycofać go sprzed światła, które już go wzywało. Później omijałam ciotkę, obawiając się jej potężnej mocy. Teraz wiedziałam, że po prostu przestraszyłam się swojego odbicia.

– Nie mogłam ryzykować, że znów zaczerpnie od ciebie mocy. Kotwiczący byli podejrzliwi. Byliśmy obserwowani... – Głos jej drżał, gdy wspominała te przykre dni. – Och, jak moja kochana Ellen znenawidziła mnie po śmierci Paula. Widziałam to w jej oczach za każdym razem, gdy na mnie patrzyła. Cała rodzina mnie znenawidziła. – Patrzyła mi głęboko w oczy. – A ty prawdopodobnie najbardziej.

– Tak mi przykro. Tak mi przykro, że kazałam ci zrezygnować dla mnie z własnego życia.

– Nie. Oddałam życie pewnej idei. Idei, w którą wierzyłam całą sobą. Nic w tym złego. Było zaszczytem cię chronić. Trzymać demony, które chciały zniszczyć nasz świat, z dala. – Po tych słowach zaczęła znikać. Wyciągnęłam rękę, by ją zatrzymać.

– Nie, nie, nie, dziecko. – Jilo pokręciła głową. – Pozwól jej odejść. Czekala do tej chwili, żeby ostatni raz cię zobaczyć, ale ma już swoje miejsce. – Ożywienie na jej twarzy ustąpiło pola zmęczeniu. – Myślę, że ta staruszka też zasłużyła na trochę spokoju. Myślisz, że poradzisz sobie dalej sama?

– Nie wiem, co... – zaczęłam protestować, ale ujęła moje dłonie.

– Oczywiście, że wiesz. Ten ich dzwon to oszustwo, ale wciąż ma pewną moc. Może nie wynalazły prochu, ale złożyły do kupy kilka bomb atomowych. Emily wrzuciła cię tu, myśląc, że ta moc, w połączeniu z działaniami kotwiczących, którzy próbują cię wykończyć, złamie granicę. Myśli, że moc należy do niej. Że może jej użyć do niszczenia.

– Myli się, prawda?

– Cholernie się myli, moja kochana. – Staruszka przytuliła mnie mocno. Jej ramiona, choć szczupłe, były jak ze stali. Czułam to. Nie chciała, żebym odchodziła, ale nie mogła mnie zatrzymać. Dla jej bezpieczeństwa i dla mojego. Wychwyciła myśl, która zaczęła się we mnie rodzić.

To miejsce. Ta pustka, udawana czy nie, pozwoliła mi przyłożyć rękę do stworzenia, a przynajmniej odtworzenia tego świata wokół. Malutkie nacięcia w czasie, wykonane z chirurgiczną precyzją. Zmiana decyzji tu, a skutek tam. Może mogłabym naprawić życie tych, których kochałam.

– Do diabła, dziewczyno. Nie daj się ponieść fantazji. Nie możesz sięgnąć w przeszłość i wyjąć Ewie jabłka z gardła. Nie możesz sięgnąć głębiej niż do momentu, w którym Emily powołała cię na świat.

– Tak, rozumiem.

– I rozumiesz jeszcze coś, prawda?

– Tak.

Rozumiałam to nawet lepiej niż ona. Zaklęcie zostało złamane. Bez względu na to, co jeszcze byłam w stanie zmienić, nic nie mogłam poradzić na to, że Mercy Taylor tak naprawdę nigdy nie istniała.

TRZYDZIESTY CZWARTY

Zmienić słowo tu i słowo tam. Nie mówimy o przepisywaniu historii świata, a jedynie o lekkiej korekcie wydarzeń, które w tej wielkiej układance nie pełnią nawet zbyt istotnej roli. To może być chwilowe poczucie zagubienia albo dziwne *déjà vu*, a myśli siedmiu miliardów umysłów zagłuszą te dziwne, ale przecież przemijające odczucia. Może i historia kaszle, ale za dzień czy dwa poczuje się lepiej.

Młoda kobieta leży na zakrwawionym łóżku. Kolor jej włosów przypomina kolor życia, które właśnie ucieka z niej wraz z krwią. Ellen podtrzymuje wciąż rodzące się dziecko, sięga ku swoim najgłębszym pokładom mocy, a ponieważ zdają się zawodzić, miesza magię z modlitwami.

– Wychodź, maluchu – szepcze. – Wychodź. – Dziecko jest sine. Nie rusza się. Może nigdy nie było przeznaczone do tego świata. – Nie rób mi tego. Oddychaj. No, zaczerpnij powietrza. Jeden mały oddech dla cioci. – Dziecko zaciąga się powietrzem i krzyczy. Ellen nie umie powstrzymać głośnego jęku, który jest mieszanką najszczerzej ulgi i radości. Odwraca się w stronę matki noworodka. Swoją magią chce złapać uciekającą iskrę i wtłoczyć ją w ciało kobiety, ale zdaje sobie sprawę, że pomoc przyszła za późno. Światełko już jej się wymyka, iskierka znika, odlatuje z zawrotną prędkością. W okamgnieniu kobieta jest już zbyt daleko. Ellen siada w nogach łóżka i przyciska sierotę do serca.

Iris zamyka oczy Emily. Czuje się winna. Powinna lepiej zająć się młodszą siostrzyczką. Wywrzeć na nią większy wpływ. Emily straciła tak wiele, gdy umarli mama i tata. Ale Iris tak samo. Nie ma czasu na samobiczowanie. To później. Teraz Ellen siedzi zapłakana i kołysze małą dziewczynkę, która właśnie straciła swoją mamusię. Iris klęka przed siostrą. Wstrząsa nią fala wściekłości. Dlaczego Emily tak wariacko się upierała, żeby im nie powiedzieć, kto jest ojcem? Dziecko ma prawo dorastać przynajmniej z jednym z rodziców. Z drugiej strony, Iris słyszała plotki, że jej mała siostrzyczka chodziła w miejsca, gdzie lepiej się nie pokazywać. Ten klub, do którego uczęszczała, jak on się nazywał? Tillandsia. Iris знаła historie o tym, co dzieje się na tamtejszych spotkaniach. Może sama Emmy nie była pewna ojcostwa?

– Dziecko jest już bezpieczne? – zapytała siostrę. Ellen drżała. Nie mogła albo nie chciała mówić, ale pokiwała głową. – Więc zrobiłaś, co mogłaś. Pozwól mi ją zabrać, kochana. Wezmę ją i umyję. Zaraz potem ci ją zwrócę. Obiecuję.

– Emmy chciała nazwać ją Maisie – stwierdziła Ellen.

– Więc tak zrobimy. – Iris nigdy nie przepadała za imieniem Maisie. Uważała, że to kiepski wybór. Gdyby miała córkę, nazwałaby ją Adeline, po swojej matce. – Chodź do cioci Iris, Maisie. Zaopiekuje się tobą. – Delikatnie dotknęła noworodka. – Oj – westchnęła głośno, gdy kopnął ją ładunek elektryczny. „Cóż”, pomyślała, „Ellen i Erik będą się musieli z tym uporać między sobą”. Wzięła dziecko z ramion siostry.

Młody mężczyzna, zraniony i zły, staje w otwartych drzwiach. Dyskutuje z ciemnoskórą, piękną i dumną kobietą, zbyt młodą, by zrozumieć, jak niebezpieczne może być zmuszanie zakochanego, zdesperowanego głupca, by zrobił o jeden krok za daleko.

– Jeśli wierzysz, że Adam naprawdę cię kocha, udowodnij to... – Oliver urywa, walcząc z czarnymi myślami, które w nim buzują. Ta odrobina magii, której nie może użyć, sprawia, że fizycznie źle się czuje. Grace urodzi dziecko Adama. Cokolwiek by się działo, zawsze będzie

miała na niego haka. Stoi tam, triumfując i drwiąc z niego. Tak łatwo byłoby to wszystko cofnąć.

Niewidoczna dłoń na jego ramieniu, szept w sercu. Przypomnienie, co znaczy prawdziwa miłość. Słowa, które zaczęły się już formować w jego ustach, zmieniają się w rozkaz:

– Masz dobrze wychować to dziecko. – Jego twarz czerwienieje, cały dygota. – Słyszysz? Będiesz najlepszą matką, jaką widział świat, a ja ci pomogę. Uwierz mi, pomogę. A teraz wynoś się stąd w cholerę i zostaw mnie samego. – Oliver trzaska drzwiami przed nosem Grace.

Mężczyzna bierze zamach się, by uderzyć żonę. Iris nie wie dlaczego, ale coś w niej pęka.

– Nie, nie tym razem. – Podnosi rękę i rzuca swoim mężem o ścianę, a on patrzy na nią rozszerzonymi ze zdziwienia oczami. Próbuje wstać, ale czuje, że jest przyszpilony w miejscu.

Siostra Iris zmarła, a ona ma wychowywać jej dziecko. Miała nadzieję, że może liczyć na Connora i że będzie on ojcem dla Maisie. Jej prawdziwy tatuś raczej się nie pojawi. Nawet się nie przyznał. Ale nie, Iris na pewno nie będzie wychowywać dziecka pod jednym dachem z mężczyzną, któremu choćby przez myśl przeszło, by uderzyć żonę. Nie może ryzykować, że Maisie kiedykolwiek uzna takie zachowanie za normalne. Iris nie jest pewna, czy gdyby to była tylko sprawa jej bezpieczeństwa, w ogóle znalazłaby w sobie dość siły, ale tu już nie chodzi o nią. Connor się wije, próbując się uwolnić, ale – wbrew wszelkim prawom grawitacji – zaczyna sunąć po ścianie do góry. Uderza głową w sufit.

– Pakuj torbę i się wynoś. – Iris opuszcza dłoń i mężczyzna, który właśnie przestaje być jej mężem, spada na podłogę. – Masz pięć minut.

Deszcz leje tak, że ledwo widać drogę. Ciężarówka jadąca z przodu składa się jak szczyryk. Nie ma czasu na myślenie, a co dopiero na magię. Ojciec umiera na miejscu, ale dziecko jakiś cud, jakaś dziwna siła przytrzymuje w foteliku, gdy samochód obraca się i ześlizguje na pobocze, które chłopcu wydaje się nieskończoną przepaścią.

Ellen pędzi do szpitala, sama niemalże roztrzaskując się na drodze. Widzi Paula, bierze go w ramiona, kołysze, przyciskając go mocno do piersi. Śmierć ojca jest dla Paula traumą. Płacze za Ellen, gdy go prześwietlają i badają, ale koniec końców wszyscy są zaskoczeni, że wypadek zabrał ojca, natomiast syna pozostawił bez szwanku.

Młoda kobieta leży na zakrwawionym łóżku. Kolor jej włosów współgra z wlewającym się przez okno światłem słonecznym. Ellen i Iris spoglądają po sobie i po cichu przyrzekają, że nigdy nie powiedzą Maisie i jej rudowłosemu olbrzymowi, jak blisko było do momentu, gdy straciliby i Maisie, i chłopca.

Wszystko stało się bez najmniejszego ostrzeżenia. W ciągu kilku minut z zupełnie zwyczajnej ciąży zrobiła się sytuacja kryzysowa. Iris myśli, że czasem chyba po prostu tak bywa. Patrząc na nich oboje, matkę i dziecko, nikt by nie powiedział, że otarli się o takie niebezpieczeństwo.

– No. – Iris uśmiecha się do Petera. – Zadzwoń do swoich rodziców. Muszą zobaczyć swojego rudowłosego wnuka.

Peter nie reaguje.

– W porządku? – pyta. Jedną ręką mocno trzyma dłoń żony, drugą kładzie na plecach synka.

– Tak – odpowiada Maisie. Po raz pierwszy w życiu czuje, że mówi to, co myśli. – Jestem niesamowita. Ciocia Iris ma rację. Claire zmyje ci głowę, jeśli się dowie, że kazałeś jej czekać choćby chwilę dłużej niż to konieczne.

– Dalej, my tu posprzątam i przygotujemy wszystko na odwiedzinę – komenderuje Iris. Jej siostra odchodzi od łóżka i wygląda przez okno. Maisie zaczyna nucić kołysankę, tę samą, którą kiedyś śpiewała jej Iris, o miejscu, które nazywało się Cill Airne, a którego żadna z nich nigdy nie widziała.

Iris dołącza do siostry przy oknie.

– Można ściągnąć rodzinę z Irlandii, ale... – Coś we wzroku Ellen sprawia, że słowa grzęzną jej w gardle. Jej siostra wpatruje się w horyzont, jakby widziała tam coś, czego Iris nie może dostrzec.

Jej oczy pełne są łez.

– Nie zawiodłam tym razem.

Iris kręci głową i obejmuje Ellen.

– Nie, kochana. Maisie dobrze się czuje.

Ellen jest zmieszana.

– Nie mówię o Maisie.

Iris gładzi Ellen po głowie.

– Emily, tak?

Ellen przez chwilę się zastanawia.

– Nie, nie Emily. – Wyswobadza się z uścisku. – Tak właściwie to nawet nie wiem.

Wydaje mi się, że coś jest nie tak.

– Po prostu jesteś przemęczona i tyle. Idź, odpocznij. Ja się wszystkim zajmę.

Ellen się waha. Oplata się ramionami i rzuca nerwowe spojrzenie w kierunku siostrzenicy.

– Jesteś pewna?

– Jestem. Zostaw to mnie.

Artretyczna dłoń zawisa nad słuchawką telefonu. Jilo podnosiła ją i odkładała na widełki już dziesięć razy. Jest starą kobietą i wie, że jej koniec jest bliski. Krzywi się. Nie ma czasu na zabawę w kotka i myszkę. Sekret siostry trzymała dla siebie przez lata, całą nienawiść, jaką mogła w sobie znaleźć, kierując w stronę Taylorów. A potem ta głupia Ginny dała się zabić i, cóż, cała ta nienawiść okazała się zbyt ciężkim brzemieniem, by nieść je samotnie.

Obserwowała młodszych Taylorów. Och, jasne, też są nadęci, ale w końcu to nie są tacy źli ludzie. A Jilo czuje w swoich starych kościach, że dochodzi już do kresu.

Jest poruszona z powodów, o których nie chce zbyt dokładnie myśleć, że dzieci i wnuki jej siostry dostaną okazję, by poznać białą część swojej rodziny. W tym momencie nawet nie wie, dlaczego kiedykolwiek mogła mieć na ten temat inne zdanie. Mogą się kochać albo skakać sobie do gardeł, to nie jej sprawa. Zaslugują na szansę, bez względu na to, co z tego wyniknie. Patrzy na telefon w kolorze awokado i na szare przyciski. Znajduje w sobie odwagę i końcem ołówka wystukuje numer zapisany na odwrocie zużytej koperty. Gdy słyszy w słuchawce sygnał, o mało nie odkłada jej z powrotem, ale po drugiej stronie ktoś się odzywa.

– Halo?

Jilo się waha. Nie rozumie, co ją skłoniło, by zadzwonić, a jednak to zrobiła.

– Halo? – odzywa się znów głos po drugiej stronie.

– Dzień dobry. Mówi Jilo Wills. Musimy porozmawiać.

TRZYDZIESTY PIĄTY

Forsyth Park pękał w szwach, ale Iris i Ellen znalazły wolne miejsce na rodzinny piknik w cieniu drzewa, które w rodzinie Taylorów-Tierneyów znane było jako drzewo wspinaczkowe. Trzy koce, sześć krzeseł piknikowych i odrobina magii odgrodziły ich od reszty ludzi w parku.

To będzie idealny Czwarty Lipca. Niespełna trzydzieści stopni Celsjusza i błogosławiony niezbyt wilgotny front, który choć raz zaległ nad Savannah. Ellen zdjęła okulary przeciwsłoneczne i przesunęła je na czubek głowy.

– Muszę przyznać, że za każdym razem, gdy patrzę na tę lodówkę, myślę o Jilo.

Iris się uśmiechnęła.

– Ona miała czerwoną. Ta jest niebieska – stwierdziła, ale nie wyglądała na przekonaną. – Nie. Wiem, co masz na myśli. Kto wie? Może to znaczy, że ona w jakiś sposób wciąż jest z nami.

– Gotowa się włączyć, gdyby to małe rodzinne spotkanie poszło nie po naszej myśli – roześmiała się Ellen, ale zaraz znów spoważniała. – Jak myślisz, dlaczego po tych wszystkich latach się złamała i powiedziała nam o innych dzieciach ojca?

Iris podsunęła sobie bliżej jedno z krzeseł.

– Nie mam pojęcia. Ona i Ginny dały z sobą koty przez dziesięciolecia, chociaż czasem miałam wrażenie, że są jak dwie strony tej samej monety. Myślę, że śmierć Ginny przypomniła jej o tym, że też jest śmiertelna. Może to miała być taka forma rekompensaty.

– Może czuła się winna, że sprowadziła tu demona, który zabił Ginny?

– Możliwe, ale moim zdaniem to coś więcej. Coś łączyło te dwie staruszki. Nawet nie zamierzam próbować zgadywać, co to takiego, ale po odejściu Ginny tama, którą zbudowała Jilo, pękła. Chciała doprowadzić i swój ogródek do porządku, zanim odejdzie.

– Denerwujesz się przed spotkaniem.

– Szczerze mówiąc, tak. Jeśli reszta jest taka jak Jessamine, cóż, szykuje nam się sporo roboty – westchnęła. – Od śmierci ciotki wiele się zmieniło.

Minęło nieco ponad dwa lata, od kiedy wiedźmy przeszły przez Wielki Rozłam, jak nazywano wydarzenia po śmierci Ginny. Ten moment w jakiś sposób zakończył pewien okres, nie, nawet pewną epokę. Granica została utrzymana, a życie na ziemi było, jak wiemy, dostatecznym na to dowodem, ale jednocześnie granica uwolniła się z uścisku kotwiczących, najwyraźniej z własnej woli. Historycy granicy, jak Iris, znali tylko jeden taki przypadek z przeszłości. Poprzedni miał miejsce, gdy granica uwolniła się spod władzy kamiennych monumentów, pierwotnych strażników, tylko po to, by trafić pod władzę żywych kotwiczących, którzy przez następne tysiąclecia ograniczali jej działalność. Pierwszy rozłam został przedyskutowany, przegłosowany i z rozważą zaaranżowany. Zmiana sprzed dwóch lat wydarzyła się natomiast w mgnieniu oka i nikt się jej nie spodziewał.

– Magia u każdego teraz wariuje – stwierdziła Ellen. – Wiedźmy, które kiedyś były uzdolnione, teraz ledwo zginają łyżeczkę, i to dwiema rękoma, a te zupełnie przeciętne przypadkiem zatrząskują wszystkie drzwi.

– Wszystko wciąż jeszcze się uspokaja, ale w końcu dojdziemy do ładu. – Iris poczuła, że coś łaskocze ją w ucho, i machnęła ręką, myśląc, że usiadł tam jakiś owad. – Zastanawiam się, czy ta stara plotka jest prawdziwa?

– Która? – zapytała Ellen ze śmiechem. – Straciłam rachubę.

Miała rację. Gdyby Iris się postarała, mogłaby zebrać niezły kanon rzekomych prawd i starych wiedzmiich opowieści traktujących o granicy. Może, biorąc pod uwagę Wielki Rozłam, nawet powinna to zrobić. Spisać opowieści dla potomnych.

– Zawsze nam mówiono, że wiedźmy otrzymują moc od granicy. Plotka głosi, że jest dokładnie odwrotnie. Że kotwiczący używali granicy do kontrolowania magii i rozdysponowania jej wedle swoich decyzji. Może granica przywróciła porządek rzeczy albo nawet pozostawiła nas z tym, co dała nam natura, bez pomocy i wpływu innych.

Wiedźmy rzeczywiście były rozstrojone, ale najbardziej ucierpieli sami kotwiczący. Magia ich opuściła, tak jakby granica osobiście im ją odcięła. Dostało się i zjednoczonym, i zbuntowanym rodom. Przed przeznaczeniem nie umknęła nawet wielka Gudrun. Posłała kotwiczącym rozpaczliwe błaganie o pomoc na chwilę przed tym, zanim wymiar, w którym odbywała karę, zapadł się i zniknął, pewnie na zawsze.

– Nie wiem, czy mi się to podoba. – Ellen nalała lemoniady do plastikowego kubeczka i podała siostrze. – Brzmi trochę zbyt podobnie do tego, czego chciały zbuntowane wiedźmy. Wiesz, skupić moc wśród silnych, złamać słabych.

– Dobry Boże, Ellen. – Iris przyjęła kubeczek. – Pomiedzy absolutnym komunizmem magicznym a oddaniem świata starożytnym są jeszcze inne możliwości. Nie mówię, że sama znam odpowiedzi. Myślę tylko, że my, wiedźmy, zbyt długo pozwalałyśmy radykałom myśleć i mówić za nas. – Ellen nalała lemoniady również dla siebie. Jej mina wskazywała, że nie była przekonana. – Teraz, kiedy kart już nie rozdają ekstremiści, może ci z nas, którzy mają zdrowy rozsądek, powinni włączyć się do dyskusji. Nie wiem, czy to coś da, ale odkąd próbowaliśmy rozmów, minęło tyle czasu. Może młodzi ze zbuntowanych rodów też nie chcą, by ich domy zostały zniszczone, podobnie jak my.

– Dlaczego myślisz, że połączenie między granicą a wiedźmami zostało zakończone z powodu śmierci Ginny?

– Nie wiem. – Iris znów się wydało, że czuje tego owada. – Może granica uważała ją za kogoś specjalnego. Obawiam się, że źle osądziliśmy staruszkę.

– Jutro ułożę ładny bukiet i pójdziemy na Greenwich.

– Tak. Zrobmy tak.

Ellen przyklękła i oplotła się ramionami, wywołując uśmiech na twarzy Iris. Coś w tej pozie cofnęło czas o kilkadziesiąt lat i jej siostra znów wyglądała jak młoda dziewczyna. Ale nadal była zatroskana.

– Wiele osób się boi, że choć starożytni zostali wygnani, to pomniejszych duchy zdołają się przedostać.

– Nie martw się, kochana. Nawet jeśli tak się stanie, to jestem pewna, że nie pojawi się taki, z którym wiedźmy nie będą mogły sobie poradzić.

– Ale nie jesteśmy przyzwyczajeni do odpierania ataków.

– To się nauczymy. Chyba zbyt dawno temu zapomnieliśmy, że granica to nie hamak, lecz sieć bezpieczeństwa. Będziemy musieli się ruszyć i sami zadziałać, jeśli chcemy dalej żyć tak samo, jak kiedyś. – Iris kątem oka zauważyła ruch, akurat w ostatnim momencie, by się uchylić przed nadlatującą piłką.

Ellen wstała i oparła rękę na biodrze.

– Paulu Edwinie Weberze i ty, Martellu, uważajcie na tę przeklętą piłkę.

– Przepraszam, ciociu Iris. Przepraszam, mamó. – Paul pomachał do nich.

– Naprawdę, Ellen, mówisz do niego jak do małego dziecka. On za dwa miesiące się żeni.

– Ugh. Nie przypominaj mi o tym, proszę.

– Ellen. – Ton Iris stał się ostrzegawczy. – Ona jest urocza.

– Może i tak, ale...

– Przepraszam, pani Weber. – Martell podbiegł i podniósł piłkę.

– Jakieś wieści od Jessamine? – zagadnęła go Iris.

– Nie, psze pani. Mówiła mi, że odbierze rodzinę z lotniska w południe i powinni być tu o wpół do pierwszej. Później już z nią nie rozmawiałem.

– A tak nawiasem mówiąc, jak tam twoja wakacyjna praca w policji? – spytała Ellen. Iris wiedziała, że jej siostra naprawdę interesuje się Martellem, ale akurat w tym momencie chciała po prostu odsunąć rozmowę o ślubie syna.

– Naprawdę dobrze, dziękuję. Byłem nawet na patrolu z Adamem. To znaczy z inspektorem Cookiem.

– Należysz do rodziny. Możesz nazywać go po imieniu.

– Ale nie przy nim. – Iris wstała. – O wilku mowa.

Adam maszerował w ich stronę, uginając się pod ciężarem wielkiego kosza piknikowego.

– Orientuj się! – zawołał Martell do Paula i rzucił mu piłkę, po czym podszedł do Adama i wziął od niego kosz. – Pomogę.

Mężczyzna spojrział na niego z mieszaniną wdzięczności i zranionej męskiej dumy.

Iris podskoczyła, by uratować Martella przed konsekwencjami jego dobrych intencji.

– Martell właśnie nam opowiadał, jak bardzo podobało mu się na patrolu.

Adam zatrzymał się i zmierzył ją spojrzeniem mówiącym, że doskonale wie, co Iris próbuje zrobić.

– Taa – rzucił, klepiąc Martella po plecach. – Będzie świetnym policjantem, jak już skończy prawo kryminalne.

– Dobrze, dobrze, łapię aluzję – mruknął Martell i uśmiechnął się do Adama. Inspektor był jego idolem i to było widać.

– Martell! – zawołał go Paul i młodzieniec podbiegł, łapiąc w biegu piłkę lecącą w jego kierunku.

– Więc gdzie się podziewa nasz przystojny braciszek? – Ellen najwyraźniej nie zamierzała tego dnia rozmawiać o ślubnych planach Paula, to było jasne.

– O Panie, nie każ mi odpowiadać. Czuję się, jakbym grał w *Strefie mroku* – sarknął Adam. – Pomyślmy. Mój przyszły małżonek się spóźni, bo jest zajęty planowaniem przyjęcia dla Jordana.

– No tak. Niedługo kończy staż.

Adam uśmiechnął się z dumą.

– Mój syn lekarzem! – Zmrużył oczy, które zaśniły figlarnie. – A co u ciebie, Ellen? Będziemy mogli się dziś cieszyć towarzystwem Tuckera Perry’ego?

– Tak, tak myślę. Pichci jakąś umowę, która, jak twierdzi, nie może czekać, ale obiecał, że spróbuje przyjść. – Ellen nagle postanowiła przejść do ofensywy. – Słuchajcie, wiem że nie lubicie Tuckera...

– Wszyscy lubimy Tuckera – przerwała jej Iris. – Ale lepiej mu powiedz, że jeśli, zgodnie ze swoją reputacją, złamie ci serce, to osobiście zamienię go w ropuchę.

Ellen spojrzała na nią ze śmiertelną powagą.

– Jeśli Tucker złamie mi serce, zamienię go w ropuchę bez twojej pomocy. Ale dziękuję.

– Zapamiętać – parsknął Adam. – Nigdy nie wnerwiać Taylora.

– To rzeczywiście słuszną radą, panie inspektorze. – Iris czuła się szczęśliwa. Nie, w jej życiu nie było nikogo szczególnego. Nawet takiego łobuza jak Tucker. Ale nie była sama i dlatego czuła się naprawdę szczęśliwą kobietą. Cicho podziękowała Bogu za odwagę tamtego dnia, w którym wyrzuciła Connora na zbity pysk. Słyszała, że się ożenił. Po raz czwarty. Tym razem z wiedźmą, która mieszkała pod Tulsą. Iris życzyła mu, żeby znalazł tyle szczęścia, na ile zasłużył.

Wszelkie myśli o Connorze wyparowały, gdy zobaczyła depreczającego ku nim małego, rudowłosego chłopczyka, który jedną rączkę miał schowaną w dłoni swojej mamy, a drugą zwinął i wetknął do buzi.

– Colin! – zawołała Iris i rozłożyła szeroko ramiona.

Maisie puściła go i chłopiec zrobił jeszcze kilka wciąż niepewnych kroków, po czym wylądował w pełnym miłości uścisku ciotki. Peter szedł za nimi, objuczony jak osioł wyposażeniem swojego synka.

– Szczęśliwego Czwartego Lipca – odezwał się, uwalniając się najpierw od wysokiego krzeselka, a potem od wielkiej torby z pieluchami.

– Wszystkiego dobrego, mój drogi. – Ellen podniosła się, żeby pocałować go w policzek.

– Mama i tata niebawem dotrą. Tylko prosili, żeby uprzedzić, że nie mogą zostać zbyt długo.

– Rozumiemy to. – Iris zamknęła Colina w uścisku. – Po Dniu Świętego Patryka i Bożym Narodzeniu, dzisiaj będzie w barze najpełniej.

– Słuchajcie, głupio mi o to pytać – powiedział Peter i wymienił z Maisie nerwowe spojrzenie – ale czy przyjdzie Emmet?

– Zaprosiliśmy go. Pomyśleliśmy, że jednak wypada. – Iris zdała sobie sprawę, że Wielki Rozłam miał jeszcze jedną ofiarę: golema, który został stworzony, by wziąć udział w losowaniu następcy Ginny. Coś podczas rewolty granicy zamieniło go w żywego człowieka. Pełnoprawną istotę.

Peter mówił dalej:

– Wiecie co, nie mam pojęcia dlaczego, kurczę, nie wiem, czy mama wie, ale ona chyba po prostu postanowiła go nie lubić. Jeśli przyjdzie...

– Będziemy trzymać ich z dala od siebie.

– Nie sądzę, żebyśmy musieli się martwić – stwierdziła Ellen, ale zaraz całą uwagę poświęciła Colinowi. – Nie musimy! Nie musimy! – zaszczębiotała, a buzia chłopca rozjaśniła się na jej widok. – Przez kilka ostatnich tygodni Emmet większość czasu spędzał na Bonaventure. Nie wiem, co mu się tam tak podoba, ale kilka razy poszłam tam za nim.

– Odwiedza jakieś groby czy co? – chciała wiedzieć Maisie.

– Nie groby, lecz jeden konkretny. Spędza całe godziny przy posągu Corinne Lawton. O ile wiem, chodzi tam codziennie i... – zawahała się, jakby nie wiedziała, czy mówić dalej.

– I co? – ponaglił ją Adam, strzygąc uszami z ciekawości. W końcu chodziło o nierozwikłaną zagadkę.

– Nie wiem. To znaczy, głupio mi, że tam poszłam, śledziłam go. Nie powinnam była nic mówić.

– Ale powiedziałaś, więc wyduś to z siebie – naciskała Iris
Ellen posadziła sobie Colina na kolanach i zaczęła go huścić.

– Emmet do kogoś tam mówi.

– To trochę szalone – orzekł Peter.

– Nie, szalone jest dopiero to, że mogę przysiąc, że słyszałam czyjeś odpowiedzi. – Wszyscy zamilkli, patrząc po sobie, a potem znów spojrzeli na Ellen. – Sama nie wiem – powtórzyła i wzruszyła ramionami.

Colin nagle wydał z siebie radosny, jeśli nawet zupełnie niezrozumiały szczebiot. Uśmiechnął się i wskazał na drzewo wspinaczkowe.

– Na co patrzysz, chłopaku? – Ellen wzięła jego małą rączkę w swoją i złożyła na niej kilka szybkich całusów. Roześmiał się. Ale zaraz jego uwagę przyciągnął dźwięk rowerowego dzwonka.

TRZYDZIESTY SZÓSTY

Obok posągu Corinne Lawton jest pusta ławeczka, która wyraża głęboką wiarę jej rodziny w to, że los Corinne po śmierci będzie zależeć od jej rozmowy z Bogiem. Corinne przyszła na świat w jednej ze znaczniejszych rodzin Savannah i przez wiele lat była mecenasem sztuki. Minąwszy ten moment, w którym kobiety w jej wieku zazwyczaj dawno są zamężne, Corinne poleciała do Włoch, gdzie znalazła w końcu swoją wielką miłość, włoskiego malarza. Na wieść o zbliżającym się ślubie rodzina Corinne podążyła za nią do Europy i zmusiła ją, by wróciła do Savannah. Znaleźli jej męża, który do niej „pasował”, więc jej małżeństwo już zostało zaaranżowane.

O poranku w dniu, w który miała poślubić wybranego dla niej mężczyznę, w Savannah River znaleziono ciało Corinne. Wokół niego na wodzie unosiła się suknia ślubna.

Jej pomnik jest pełen symboli. Nie wyraża żalu rodziny, jak można by oczekiwać, ale jest próbą zademonstrowania, że Corinne sama była sobie winna, a rodzina zrobiła wszystko, by zapewnić jej szacowne życie.

Wianek, który miała założyć w dniu ślubu, leży u jej stóp, a w stronę krzyża i bramy, która dla jej rodziny symbolizowała bramy raj, jej figura odwrócona jest tyłem. Ludzie, którym się wydaje, że mają prawo osądzać najskrytsze pragnienia serc innych osób, zdolni są posunąć się do każdego zuchwalstwa.

Wątpiłam, by Emmet wiedział o znaczeniu miejsca, w którym przesiadywał, bo inaczej nie robiłby tego tak chętnie. Z drugiej strony, znając go, można przypuszczać, że naprawdę mógłby się cieszyć, iż zajmuje miejsce przeznaczone dla Boga.

– Może mi powiesz – odezwał się, gdy dotarł do Corinne – jakież to kłamstwa opowiadałaś o tej uroczej pani?

Prawdę mówiąc, Corinne była jedną z tych znanych postaci Savannah, których nie oczerniałam, gdy oprowadzałam Wycieczki Kłamaców. Czułam ze zmarłą panną młodą jakąś więź, nie, nawet więcej, była dla mnie jak siostra, i dlatego wzdragałam się przed wymyślaniem kłamstw na jej temat. Emmet przycisnął dłoń do marmurowego policzka Corinne, pogładził go, po czym splótł dłonie i czekał na odpowiedź.

– Historia Corinne jest wystarczająco smutna i bez dodatkowych kłamstw.

– Wydaje mi się, że ta prawda dotyczy życia większości ludzi. – Jego twarz straciła wyraz i stała się nieodgadniona niczym to kamienne oblicze. – Twoja rodzina organizuje dziś doroczny piknik, wiesz. Mówiłaś mi, że bardzo je lubiłaś.

Tak, uwielbiałam gorące promienie słońca, zapach trawy, cień dębów, małe łyżki szampana, którym częstował mnie Oliver, gdy Iris udawała, że nie patrzy.

Ale te przyjemności nie były już przeznaczone dla mnie, bo chociaż wspomnienia Mercy Taylor były we mnie żywe, ja już nie byłam Mercy Taylor. Byłam granicą. Oczywiście wiedziałam, że Taylorowie gromadzą się dziś w Forsyth – jedyny piknik z okazji Czwartego Lipca nie odbył się w roku śmierci Ginny.

Tak bardzo chciałam zobaczyć rodzinę, że to pragnienie przytłoczyło mój rozum. Tłumaczyłam sobie, że zasłużyłam na to, że powinnam mieć szansę jeszcze raz zobaczyć ich razem, szczęśliwych. Ostatni raz. Fakt, że gdy ujrzał mnie Colin, wydawało się, jakby mnie rozpoznał, jasno dał mi do zrozumienia, że naprawdę nie mogę więcej ulegać pokusie.

– Ja też dostałem zaproszenie. – Emmet zerknął na Corinne. – Może zechciałabyś dotrzymać mi towarzystwa? Nie? – Próbował się uśmiechnąć, ale zaraz odwrócił głowę. –

Nikt nie zauważył drobnych zmian, które wprowadziłaś w historii, ale wyłapali, że rozszerzyłaś obszar objęty granicą.

Pokiwałam głową. To była prawda. Rozszerzyłam zasięg ochrony i włączyłam w niego wymiar *Fae*. Nie mogłam cofnąć tragedii, które sprowadziły na wróżki wiedźmy tworzące granicę, ale upewniłam się, że teraz *Fae* korzystają z tej samej ochrony. Oczywiście moje działania nie były zupełnie bezinteresowne. Zrobiłam to dla bezpieczeństwa Maisie. Teraz Colin nigdy nie straci ojca, nawet jeśli Peter dowie się o swoim pochodzeniu. Nie będzie więcej wymian, które mogą później skutkować złamanymi sercami po obu stronach. Nie było już podziału. Wymiary *Fae* i ludzi może nie stanowiły jedności, ale były dość blisko.

Już chciałam odpowiedzieć Emmetowi, wyjaśnić, dlaczego zrobiłam to, co zrobiłam, gdy ukrył twarz w dłoniach.

– Jak mogłaś? Jak mogłaś mnie zostawić i nie zabrać wspomnień o sobie? – Emmet zaczął się delikatnie kiwać w przód i w tył. – Nawet Emily podarowałaś spokój w postaci prawdziwej śmierci. – Zgon Emily uważał za dobrodziejstwo. Dla mnie to była jedyna możliwość. Ta kobieta użyła swojej mocy, żeby wtłoczyć fragment granicy w ludzkie ciało. To ciało rosło w jej łonie, a ona oczekiwała dnia, w którym będzie je mogła unicestwić. Wypowiedziała wojnę mnie i ludziom, których kochałam. Czy posłanie jej do grobu raz na zawsze było formą samoobrony, czy stała się ofiarą wojny, czy może obiektem krwawej zemsty? Może wszystkim po trochu. Bóg mnie osądzi. Emmet machnął pięścią w powietrzu. – Dałaś jej spokój, ale mnie opuściłaś, zostawiłaś mnie z bólem, poczuciem straty, które nigdy nie zniknie.

– Nie zostawiłam cię. Nie naprawdę. A ból zniknie. Czas leczy rany.

Odsłonił oczy i spojrzał na mnie.

– Kłamiesz. – Wstał i podszedł bliżej. Wyciągnął dłoń, która gładko przeniknęła przeze mnie. – Dlaczego nie odebrałaś mi wspomnień? Innym odebrałaś. Dlaczego mam być jedyną osobą, która odczuwa twój brak? Nie mam nic prócz żalu i nawet nie mogę dzielić go z ludźmi, którzy cię kochali. – Opuścił ręce, wciąż zaciśnięte w pięści. – Nawet nie wiedzą, że cię kochali. Dla nich nigdy nie istniałaś.

Fakt, że wciąż widział mnie w ciele Mercy, bardzo mu wszystko utrudniał. Z czasem będę musiała zmienić wygląd, żeby ułatwić mu odejście. To nie będzie łatwe dla żadnego z nas. Przez tysiące lat byłam granicą, ale dwadzieścia lat spędzonych jako Mercy Taylor wydawało się bardziej realne niż te tysiące wcześniej. Straciłam przyjaciela. Straciłam siebie.

Łzy kapały mu z oczu, mieszając się z pyłem pokrywającym podstawę pomnika.

– Wszystkim innym coś przekłamałaś. – Po raz pierwszy usłyszałam złość w jego głosie. Życie, które pozostawiłam osobom bliskim Mercy, to nie było oszustwo, a jedynie alternatywna rzeczywistość. Jeśli dałoby się obserwować tę rzeczywistość z zewnątrz, można by dostrzec wciąż zablizniające się rany i nacięcia. Wcześniej czy później wszystkie się zrosną i historia, którą dla nich napisałam, szansa na szczęście, którą im zostawiłam, będzie jedyną wersją wydarzeń. – Mnie nie zostawiłaś nic. Nic oprócz tej pustki. – Uderzył się pięścią w piersi.

– Mercy nawet nigdy nie istniała.

– Mercy istniała. – W jego głosie brzmiała desperacka wściekłość. – Ty istniałaś. – Drżał. – Wiem, że istniałaś, bo cię kochałem.

Sięgnęłam ku niemu, ale zaraz cofnęłam dłoń, wiedząc, że jej dotyk, którego przecież i tak nie mógł poczuć, przyniesie mu jedynie jeszcze więcej cierpienia. Jego oczy zalśniły złością,

ale zaraz zasnuł je zupełny brak nadziei. Otarł łzy.

Zmusiłam Emmeta, by dzielił ze mną ofiarę. Nie miałam wyboru.

– Granica musi mieć kotwiczącego. Żaden z moich wcześniejszych kotwiczących nie miał wystarczająco czystego serca, za to ty masz najczystsze, jakie znam.

– I za to „czyste serce” jestem skazany na wieczne cierpienie – skwitował ochrypłym głosem. Nie patrzył na mnie, wwierał się wzrokiem w zapiaszczoną podstawę pomnika.

Myślałam, że nie mogę już odczuwać bólu. Chyba się myliłam. Ufałam Emmetowi jak nikomu na świecie i dlatego wybrałam go jako swojego ostatniego kotwiczącego. Nie zestarzeje się i nie umrze, dopóki będzie istnieć granica. Chciał dzielić ze mną wieczność, a to, co mu dałam, było najbliższe spełnieniu tego życzenia. Wybrałam Emmeta, bo udowodnił, że jest dla mnie opoką. Może kotwiczenie granicy nie było jego wymarzonym zadaniem u mojego boku, ale tylko takie zadanie mogłam powierzyć teraz człowiekowi. Słowami nigdy mu tego nie wytłumaczę, ale kiedyś, w głębi serca, zrozumie, że tak naprawdę dostał swoją dziewczynę.

Przez chwilę myślałam, że już się poddał, ale zaraz znów zaatakował.

– Nie. Nie zgadzam się. – Twarz miał dziką, promieniał determinacją, której wcześniej u niego nie widziałam. – Prosisz mnie, żebyś zrozumiał. Żebyś zaakceptował. – Podszedł tak blisko, że czułam jego oddech. Nie pamiętałam, by zdarzyło mi się coś równie realnego, odkąd opuściłam swoją materialną postać. – Więc moja odpowiedź brzmi: nie. Nie zgadzam się. Nie jesteś tylko granicą, a Mercy nie była jedynie figlem, który Emily splatała temu światu. Nie zaakceptuję tego, że ty, Mercy, nigdy nie istniałaś. Możesz być granicą, ale jesteś też Mercy. Mercy Taylor. I nie zaakceptuję, że ty, Mercy, odeszłaś. – Powtarzał to imię niczym zaklęcie, jakby mogło to przywrócić jego ukochaną do życia. Jego pragnienie było tak wielkie, tak gorące, że przez moment niemalże mi się wydawało, że Mercy znów powstawała w realnym świecie. Ale nie, wiedziałam, że to niemożliwe.

Wyciągnął ręce, chcąc mnie objąć, ale gdy przechylił się do przodu, przeleciał przede mną i klęknął na żwirze. Oparł się na rękach, niemalże wyjąc z rozpacz. Nie mogłam go dotknąć. Nie mogłam pocieszyć. Zawisłam nad nim, błagałam, modliłam się, żeby jego serce przestało cierpieć, i to szybko.

Emmet zebrał siły, wstał i wrócił na ławeczkę koło Corinne. Siedział przez chwilę, próbując się wyciszyć. Gdy w końcu spojrział w moim kierunku, jego czarne oczy płonęły.

– Jakoś. Kiedyś. Znajdę sposób. Sprowadzę cię na świat. Zwrócę cię światu. Twojemu synowi. I wrócisz do mnie.

Mówił o niemożliwym, ale jego oddanie dotknęło mnie głęboko, przepłynęło aż do tego miejsca w świadomości, gdzie kiedyś żyła Mercy. Sięgnęło tego punktu, tej części mnie, która wciąż wierzyła, że znów mogę być Mercy. W tej chwili, w tej jednej chwili, zdołała wypłynąć na powierzchnię. Nie broniłam jej tego. Wręcz przeciwnie, powitałam dziewczynę z radością. Przez jeden krótki moment Mercy Taylor znów żyła. Tak bardzo chciała pocieszyć Emmeta, dotknąć go i pozwolić mu na to samo, że w jakiś dziwny sposób, i na przekór wszystkim przeszkodom, to się udało. Ktoś patrzący z boku mógłby powiedzieć, że to wiaterek znad rzeki przeczesał jego coraz dłuższe loki, ale i Emmet, i Mercy – i ja – wiedzieliśmy, że to nie był żaden wiatr.

TRZYDZIESTY SIÓDMY

Dwa bite tygodnie upałów po trzydzieści siedem stopni i dochodzącej do dziewięćdziesięciu dziewięciu procent wilgotności powietrza. Można było oszaleć i ludzie w Savannah zaczęli tracić nad sobą panowanie. Dwanaście porwań i trzy morderstwa w czterdzieści osiem godzin. Adam był pewien, że spięcie sieci elektrycznej, które pozbawiło ludzi klimatyzacji, miało związek z co najmniej jedną śmiercią.

– Jesteśmy za mięcky, zbyt rozpieszczeni – rzucił do umundurowanego policjanta, gdy opuścili miejsce zbrodni. – Robi się troszkę mniej wygodnie, a nam odbija i zaczynamy mordować innych. – Czuł się jak hipokryta, gdy podkreślił na maksa nawiew w radiowozie.

– Może, ale do diabła, powietrze można by kroić nożem – mruknął policjant.

Adam poczuł coś dziwnego. Przez jego głowę przemknęło jakieś wspomnienie, ale zniknęło, zanim zdołał je zidentyfikować. Ktoś kiedyś już to powiedział, ale niech go szlag, jeśli pamięta kto. „Cholera, starzeję się”, pomyślał. Sprawdził godzinę. Wpół do czwartej. Miał wystarczająco dużo czasu, by złożyć raport i zdążyć do Taylorów. Jeśli wszyscy w Savannah będą tak mili, żeby na kilka godzin przestać się mordować, to może da radę spędzić wieczór na przyjęciu Jordana.

Grace początkowo chciała urządzić obiad w eleganckiej restauracji, ale Jordan się sprzeciwił, twierdząc, że chce czegoś mniej wyszukanego. Portfel Adama westchnął z ulgą. Ale wszystko naprawdę dziwnie poukładało się dopiero wtedy, gdy Iris zaproponowała, że zorganizuje przyjęcie u nich w domu, a Grace się zgodziła. Adam wiedział, że szczęśliwe zakończenia, przynajmniej w teorii, są możliwe, ale nigdy nawet nie pozwolił sobie mieć nadziei, że rodziny Grace i Olivera zakopią topór wojenny, a co dopiero zaczną się dogadywać. Oczywiście, pomocny był fakt, że – chcąc nie chcąc – tworzyli jedną wielką rodzinę. Teraz to wyglądało tak, jakby mieli skończyć jako szczęśliwa rodzina, ale Adam czuł, że jeszcze nie może się odprężyć. „To wciąż dopiero początek”, upominał samego siebie.

Dokładnie o piątej postawił znaczek koło swojego nazwiska na dowód, że skończył służbę. W innych miastach dawno już przeszli na system elektroniczny, ale Adam lubił tę starą listę obecności. Savannah może i było irytująco powolne i staromodne, ale czasem to wydawało się dobre. Gdy wyszedł z posterunku, niebo miało barwę stali. Pogłos dalekiego grzmotu zwiastował piekielną burzę. Wielka błyskawica rozdarła niebo. Dzięki dobrej orientacji w terenie Adam rozpoznał, że piorun uderzył gdzieś w ziemię niczyje za Randolph Street, tam, gdzie kończy się Normandy Street, na północ od cmentarza i na zachód od klubu golfowego. Przygotował się na głośny grzmot, ale ten nie nastąpił. Wyglądało to tak, jakby świat zamilkł w oczekiwaniu. Kolejny błysk rozjaśnił niebo i Adam mógłby przysiąc, że piorun uderzył dokładnie w tym samym miejscu, ale znów nie dobiegł go żaden dźwięk. Dostał gęsiej skórki, a włoski na karku stanęły mu dęba. Potarł go dłonią i odepchnął od siebie dziwne uczucie. Kiedy szedł przez parking w stronę swojego auta, uderzył trzeci piorun.

W przyjemniejszy dzień Adam by się przeszedł. Dom Taylorów był zaledwie kilka minut spacerkiem od posterunku, ale w taką pogodę nie chciał ryzykować. Tak, to na pewno pogoda sprawiała, że był taki spięty, a nie te ciche błyskawice, które miały w sobie coś niezwykłego, coś nie z tego świata.

Zajechał pod dom i zaparkował na ulicy, żeby zostawić podjazd innym gościom. Wyłączył zapłon i zaciągnął hamulec ręczny. Zerknął za okno, ale widok szarego nieba wciąż napawał go niepokojem. Było coraz ciemniejsze, lecz dziwnie błyszczało, jakby było z hematytu.

Kolejny błysk. Wewnętrzny barometr mówił Adamowi, że rosnące ciśnienie nie ma wiele wspólnego, jeśli w ogóle cokolwiek, z atmosferą. Wysiadł i poczuł mrowienie wywołane unoszącą się w powietrzu elektrycznością. Cóż, jeśli to wszystko było spowodowane magią, to znalazł się w jak najbardziej odpowiednim miejscu.

Zrobił kilka szybkich kroków w stronę domu, ale zaraz poczuł się głupio, że tak tchórzy. Zwolnił i obszedł dom, podążając do wejścia kuchennego. Nie zamierzał pukać, te czasy już minęły – teraz był częścią rodziny.

Przestąpił próg i zobaczył, że kuchnia, zazwyczaj pełna ludzi, jest pusta.

– Hej?! – zawołał.

Najlepsza chińska porcelana Iris stała przygotowana na srebrnej tacy na blacie. Pomimo dziwnego uczucia, które ogarnęło go w czasie jazdy, inspektor się uśmiechnął. Miło mu się zrobiło, że Iris chciała zaofiarować, co miała najlepszego, żeby uczcić sukces jego syna. Kobiety w tym domu musiały się nieźle napracować: stół był zastawiony różnymi przepysznie wyglądającymi potrawami. Adam chwycił w przelocie ciasteczko i przez wahadłowe drzwi wyszedł na korytarz.

– Oliver? Iris? – Cały dom zadrżał na dźwięk grzmotu i dłuższą chwilę trwało, zanim wszystko się uspokoiło. Tak jakby wszystkie wcześniejsze grzmoty powstrzymały się i teraz uderzyły razem. Adam podskoczył i upuścił ciasteczko. – Cholera! – Podniósł je szybko. Normalnie nie bywał taki podenerwowany.

Huk sprawił, że przez moment nie słyszał żadnego innego dźwięku, ale zaraz przez głuchą ciszę w jego głowie przebił się inny hałas – przeraźliwy krzyk. Adam przeszedł przez korytarz i wspiął się na schody. Słyszał głosy dochodzące z piętra. Najgłośniejszy należał do małego Colina. Kolejny przeszywający krzyk zagłuszył rozmowę Iris i Ellen.

Wsunął ciastko do kieszeni marynarki i wbiegł na górę. Pokój dziecięcy znajdował się przy końcu korytarza, na prawo. Adam podążał za krzykami małego. Gdy był już bliżej, usłyszał też, jak Ellen próbuje go uspokoić.

Stanął w progu. Biedna Maisie siedziała zgarbiona na krześle do kamienia. Iris klęczała przy niej, starając się ją uspokoić, podczas gdy Ellen chodziła w kółko z Colinem na rękach, poklepując go po plecach i w ogóle wychodząc z siebie, żeby go udobruchać.

– Ząbkuje? – Pytanie Adama sprawiło, że kobiety szybko obróciły się ku niemu.

– Nie – odparła Iris, wciąż trzymając Maisie za ramię. – Nie mamy pojęcia, o co chodzi.

– Nie jest chory – stwierdziła Ellen, zanim mały zdołał wydać z siebie kolejny krzyk.

– Mama! – wydarł się Colin, wrywając się z rąk Ellen. Przytrzymała go mocniej, ale chłopiec wyraźnie chciał się uwolnić. Zwróciła go Maisie, lecz on wierzgał dalej, zły i zapłakany, zwracając czerwoną buzię w stronę Adama.

Inspektor wszedł i pogłaskał Colina po główce.

– No co jest, chłopaku?

Maisie spojrzała na Cooka udręczonymi, podkrążonymi oczyma.

– Woła mnie, ale za każdym razem, gdy się zbliżam, zaczyna krzyczeć, jakby go ktoś obdzierał ze skóry. Nie wiem, o co chodzi.

Iris zaczęła głaskać ją po plecach.

– Już, już. W końcu się zorientujemy.

– Mama! – zawołał Colin i zepchnął rękę Adama ze swojej głowy.

– Myślicie, że to może mieć związek z tą pogodą? Nie wiem, czy wychodziłyście na dwór, ale w powietrzu unosi się coś bardzo dziwnego. – Jakby dla podkreślenia jego słów okno

rozświetliła kolejna błyskawica.

Colin wydał z siebie następny dziki wrzask.

Ellen chwyciła Adama za rękę.

– To nie pogoda niepokoi jego. – Umilkła, gdy po niebie przetaczał się grzmot. – To Colin wpływa na pogodę.

– Okej. – Za każdym razem, gdy Adamowi wydawało się już, że poznał wszystkie tajemnice wieźm, gdy myślał, że przyzwyczał się już do tej całej dziwności wokół, Taylorowie zaskakiwali go po raz kolejny.

Adam podskoczył, gdy zadzwonił jego telefon. Poczłł, jak ogarnia go fala złości. Nie chciał okazywać zdenerwowania, zwłaszcza w obecności kobiet, które obiecywał chronić. Zerknął na wyświetlacz – dzwonili z posterunku.

Odpowiedział po drugim sygnale.

– Cook.

– Witam, inspektorze – odezwał się głos po drugiej stronie. To była Miriam, jedna z jego ulubionych policjantek. – Przepraszam, że niepokoję, inspektorze, wiem, że na dziś już pan skończył i że to wielki dzień dla pana i pana syna, ale...

– O co chodzi, Miriam? – Człł się tak, jakby normalny świat rzucił mu koło ratunkowe. Trzymał się go jak tonący brzytwy.

– Może się pan ze mną spotkać w szpitalu? Kilka minut temu znaleźliśmy młodą kobietę. Płatała się naga i nie wiedziała, co się dzieje.

– Naćpani młodzi ludzie to nie nowość w hrabstwie Chatham, Miriam.

– Oczywiście, inspektorze, wiem o tym. Tyle że ona niczego nie brała. Zachowuje się raczej jakby miała jakiś wypadek czy coś.

Spojrzał na zegarek.

– Nie, przyjęcie mojego syna zaczyna się za niecałą godzinę. Teraz nie mogę przyjechać. – Nagle coś go zdziwiło. Dziecko, które jeszcze przed chwilą wrzeszczało do utraty tchu, teraz zamilkło i niemalże z nabożeństwem wpatrywało się w jego telefon. – Dlaczego dzwonisz z tym do mnie?

– Cóż, gdy znaleźliśmy ją przy Randolph...

– Gdzie, przepraszam?

– Randolph – powtórzyła policjantka. – Niedaleko Baptist Center. Gdy ją zabieraliśmy, pytała o pana.

– O mnie?

– Tak, panie inspektorze – potwierdziła Miriam, po czym przez chwilę Adam słyszał jakieś dźwięki, jakby rozmawiała z lekarzem albo pielęgniarką na pogotowiu.

– Kto to? Jak się nazywa?

– Mówi, że ma na imię Mercy. Powiedziała, że będzie pan wiedział.

– Zaraz tam będę. – Rozłączył się, nie spuszczać wzroku z Colina, który siedział teraz uśmiechnięty i klaskał w rączki.

– Mama – zachichotał.

– Coś się wydarzyło – stwierdził Adam. W jego głowie zaczęły rywalizować ze sobą wspomnienia. W jakiś sposób znał tę Mercy, ale wiedział też, że świat, w którym ją znał, był jakiś zupełnie inny niż ten, w którym żył teraz. Wrażenie dziwnego spadania, jakby ziemia usuwała mu się spod nóg, sprawiło, że poczuł się jak schwytyany w pułapkę. Mercy. To imię było jak klucz otwierający zablokowane dotychczas miejsca w jego świadomości. Oderwał

wzrok od dziecka i skupił go na kobietach. – Powiedzcie Jordanowi i Oliverowi, że wrócę najszybciej, jak to możliwe. – Wiedział, że Grace się wścieknie, ale na razie się tym nie martwił. – To nagły wypadek. Muszę sprawdzić, o co chodzi – rzucił, odwracając się. Jego wzrok przykuło niebo za oknem. W jednej chwili ze stalowego zmieniło się w błękitne. Nie, nie błękitne. Akwamarynowe. Miało „kolor duchów”.

TRZYDZIESTY ÓSMY

– Więc jestem martwy, czy nie? – zapytał mój kuzyn Paul, blednąc na myśl, co może dla niego oznaczać mój powrót.

Moje ciotki kleiły się do mnie od chwili, gdy Adam wprowadził mnie do domu. Siedziałam teraz na łóżku Ellen, ubrana w jedną z jej letnich sukienek. Oliver obrócił sobie krzesło przed toaletki siostry i siedział, wpatrując się we mnie z osłupieniem.

Nie miałam już niemalże wszechwiedzącej świadomości granicy. Nie byłam już jej częścią. Byłam po prostu sobą. Mercy. Sekrety granicy nie były już moimi sekretami i szybko zapomniałam o arkanach wiedzy, które do mnie powróciły. Spojrzałam na kuzyna, szukając w jego twarzy cech chłopca, którego pamiętałam. Chłopca, który umarł. Dwie możliwości – żywy albo martwy – znów stały się dla mnie rzeczywiste. Przez moment w moim umyśle pojawił się kot Schrödingera. To była fala, którą zamierzałam stłumić raz na zawsze.

– Gdybyś był martwy, chyba nie mógłbyś tu stać i pytać mnie o to. – Colin w jakiś sposób zdołał mnie wyciągnąć, nie odwracając zmian, których granica dokonała za moim pośrednictwem. Tak to przynajmniej wyglądało na ten moment, chociaż może z czasem pojawi się inne wytłumaczenie.

– Oczywiście, że jesteś żywy. Obaj jesteście. Wszyscy. – Oliver wstał i podszedł do mnie. Uniósł moją twarz i spojrzał mi w oczy. Trwaliśmy tak kilka chwil, podczas których zagłębiał w głąb mojej duszy. W końcu pogroził mi palcem drugiej ręki. – Rudzielcu, nigdy więcej tego nie rób.

– Nie sędzę, żebyś musiał się tego obawiać – stwierdziłam, a on się uśmiechnął i mnie puścił. Chciałam odpowiedzieć wujkowi uśmiechem, ale nie dałam rady. Musiałam zobaczyć mojego syna. Przytulić go. Zerknęłam na budzik Ellen i zorientowałam się, że minęło kolejne pół godziny. Iris obiecała, że Maisie przyniesie go za godzinę. – Co ją zatrzymuje? I gdzie jest Peter? – Wstałam, ale Ellen chwyciła mnie za ramię i pociągnęła z powrotem na łóżko.

– Będą za chwilę. Oli, może pójdziesz sprawdzić, co ich zatrzymuje?

Wymienili zmartwione spojrzenia. Próbowaliśmy nastawić swoją świadomość, odczytać ich myśli, ale mi się nie udało. Chciałam wysłać sondę, by zlokalizować syna. Też bez powodzenia. Słyszałam, że dom jest pełen gości, ale magia nie dała mi żadnych informacji poza tymi, które mogłam zdobyć ludzkimi zmysłami.

– Jasne – odparł Oliver, uśmiechając się niepewnie. Odwrócił się.

– Chwila – zatrzymałam go. – Czego mi nie mówicie?

Iris ześlizgnęła się z łóżka, przykucnęła przy moich nogach i ujęła mnie za ręce.

– Moja kochana, nawet nie wiesz, jak się cieszymy, że jesteś z nami. Jak wdzięczni jesteśmy sile, która ściągnęła cię do domu...

– To był Colin. – W jednej chwili moja świadomość rozciągnęła się nad całą ziemią. Widziałam i miałam dostęp do każdego miejsca na naszej planecie, nieważne, ile kilometrów je dzieliło albo jak bardzo były odległe od siebie w czasie. Byłam granicą i niczym więcej. Konstrukcją, jakim była Mercy Taylor, to jedynie figiel spleatany niczego niespodziewajacemu się światu przez wiedźmę bez serca. Ale granica pamiętała o Mercy, zachowywała wspomnienie o niej jak wspomnienie o miłym śnie. Jednak granica się obudziła i sen minął.

I wtedy nadszedł krzyk. Nieodparty krzyk, pierwsze słowo małego wiedźmy, który nie zapomniał swojej prawdziwej matki, niezależnie od tego, jak bardzo pokochał surogatkę. „Mama”. Zaklęcie. To jedno słowo było tak naładowane podwójną magiczną siłą mojego

syna, że potrafiło wyrwać mnie spod władzy świadomości, w której orbitę zostałam wciągnięta, i wydobyć mnie na powierzchnię. Znow żyłam i byłam sobą. Jak bańka, która się tworzy, rośnie i odrywa się od innej bańki. Znow byłam kompletna. Byłam sobą.

– To magia Colina mnie tu sprowadziła. W jednej chwili mnie tu nie było, a w następnej już stałam na środku skrzyżowania Jilo.

– No właśnie. To takie cudowne, takie magiczne. Ale stało się tak nagle. Na tym skrzyżowaniu połączyły się dwie odrębne drogi. Jedna, na której nigdy nie istniałaś, i druga, na której kochaliśmy cię z całych sił. To stało się tak nagle. Tak bardzo niespodziewanie.

Jej ostrożny ton wywołał u mnie dreszcz.

– Gdzie jest Maisie? Gdzie jest mój syn?

Paul przestąpił próg.

– Powiniście jej powiedzieć – zaczął, lecz urwał pod wpływem spojrzenia swojej matki.

– O czym? – Najpierw popatrzyłam na Paula, w nadziei, że dokończy, ale spuścił głowę i wyszedł. – O czym? – Wyrwałam dłonie z uścisku Iris.

– Tylko się nie denerwujmy. Maisie po prostu trochę się wystraszyła. Wyszła na chwilę z Colinem, ale nie martw się, jest z nimi Peter – wyjaśnił Oliver.

– Ona mnie tu nie chce – powiedziałam przybita, obawiając się, że cała smutna historia zacznie się od nowa.

– Oczywiście, że chce – zaprzeczyła Ellen, głaszcząc mnie po włosach. – Ale musi czuć się nieswojo. W końcu oddałaś jej swoje życie, a teraz wróciłaś.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, ze schodów dobiegł mnie dźwięk kłótni. Większości głosów nie rozpoznawałam, ale jeden baryton był nie do pomylenia.

– Wiem, że tu jest. Czuję to. Muszę ją zobaczyć. – Zeskoczyłam z łóżka, odepchnęłam Iris i ciałniej owinęłam się sukienką Ellen. Przeszłam przez korytarz i stanęłam na szczycie schodów akurat wtedy, gdy stopę postawił na nich Emmet. Górował wzrostem nad tymi, którzy próbowali zastąpić mu drogę. Chciałam do niego pobiec, ale zawahałam się, niepewna swoich uczuć. Czy złość na to, co zrobiła mu granica, przeniesie się na mnie? Choć ja już nie byłam częścią granicy, on wciąż był z nią połączony. Teraz, gdy byłam Mercy – tylko Mercy – kim byliśmy dla siebie?

– Powinienem był się domyślić, że kluczem jest ten mały – powiedział Emmet, gdy mnie zobaczył.

W jego oczach płonęły miłość i pożądanie, którym trudno było się oprzeć. Przepchnął się między stojącymi mu na drodze ludźmi i wyciągnął rękę. Zrobiłam krok w jego stronę, a on w moją. Spotkaliśmy się na środku schodów.

Patrzył mi głęboko w oczy. Wiedziałam, że chciał mnie dotknąć, ale się bał, że znow przeniknie przez moje ciało. Wzięłam jego dłoń. Odetchnął głęboko i zamknął oczy, a jego twarz zalała fala ulgi. Ścisnął delikatnie moje palce i otworzył oczy.

– Wiem, że jest za wcześnie na podejmowanie decyzji. – Wziął mnie w ramiona i lekko podniósł, tak że nie dosięgałam już stopami ziemi. Zaczął znosić mnie po schodach. – Ale gdy już ten czas nadejdzie, pamiętaj, że to ja byłem tym, który nigdy cię nie zostawił. To ja nigdy o tobie nie zapomniałem. – Tak, będę pamiętać, ale raz, w poprzednim życiu, złożyłam przysięgę, i to nie było słowo rzucone na wiatr.

Emmet zaniósł mnie do rzadko używanego pokoju gościnnego i posadził na kanapie. Usiadł obok, zajmując większość sofy, ale to było bez znaczenia. Uwielbiałam, gdy był przy mnie. Niezręcznie zrobiło się dopiero wtedy, gdy otoczyła nas moja nowo odzyskana, poszerzona

rodzina. Wszystkie spojrzenia spoczywały na mnie, gdy ci, którzy mnie wcześniej znali, rozpoznawali Mercy na nowo, a pozostali robili dla mnie miejsce w swojej świadomości.

Mój wzrok przykuł przystojny młody chłopak, uderzająco podobny do Adama.

– Ty musisz być Jordan.

– Tak, to ja – odparł, ale zaraz jakby stracił wątek. Grace, jego matka, cudownie żywa kobieta, a nie jakiś wściekły duch, żądny krwi mojego wujka, stała obok, obserwując wszystko uważnie.

– Wybacz, że zdominowałam twoje przyjęcie.

Uśmiechnął się.

– Nie, no coś ty, dziewczyno, wszystko w porządku. Ja tylko zostałem lekarzem. Ty powstałaś z martwych czy jak tam to nazwać. Wygrałaś.

Nie miał magii Paula. Nie mógł wiedzieć, że on też został wskrzeszony niczym Łazarz. Nie czułam potrzeby uświadomienia go w tej kwestii.

Moją uwagę przykuł dziecięcy pisk radości. Spojrzałam w stronę drzwi. Najpierw zobaczyłam jaskraworude włosy Petera, potem zalaną łzami twarz siostry. Mogłam zrozumieć jej ból. Naprawdę. Ale w tamtym momencie liczył się tylko rudowłosy brzdąc, wrywający się z jej objęć. Colin wyciągał do mnie rączki.

– Mama!

– Dajmy im chwilę na osobności – zarządził Oliver. Nie wiem, czy była to kwestia magii, czy po prostu dobrych manier, ale wszyscy posłuchali. Wszyscy poza Emmetem. Położyłam mu rękę na ramieniu i skinęłam głową.

Popatrzył na mnie ze zmrużonymi oczyma i zaciśniętymi ustami, ale wstał.

– Będę czekał w ogrodzie.

– Jak już tam będziesz – powiedział Oliver – to może spróbujesz załatać tę wielką dziurę, którą zrobiłeś w podjeździe. – Emmet się wyprostował i zmierzył go wzrokiem. Oliver uniósł ręce w geście poddania. – Tylko żartuję. Tylko żartuję. Trochę poczucia humoru, Piaskowy Ludku. Chciałem rozluźnić atmosferę. Po prostu.

Emmet odwrócił się, mrugnął do mnie, po czym wyszedł za wujkiem z pokoju.

Colin szalał – próbował wyrwać się Maisie i dosięgnąć do mnie. Maisie zrobiła kilka chwiejnych kroków w moją stronę z takim wzrokiem, jakby zmierzała na egzekucję. Spuściła głowę. Unikała mojego spojrzenia. Poklepałam miejsce, które zwolnił Emmet, a ona usiadła. Colin wreszcie jej uciekł i wtulił się w moje ramię. Przycisnęłam go mocno do siebie, zamknęłam oczy, zaciągnęłam się jego zapachem. Bardziej niż czegokolwiek na świecie pragnęłam z nim odejść, chociaż na chwileczkę, zapamiętać ten moment, wyryć go w swojej duszy. Przez ten chwilę był mój i tylko mój. Colin zagruchał radośnie i złożył na moim policzku mokrego całusa. Nadszedł czas otworzyć oczy i spróbować to teraz podzielić.

Peter, stojący na wszelki wypadek blisko, nachylił się nad nami. Uśmiechnęłam się do niego, a on spojrzał na mnie ciepło.

– Boże, jak dobrze cię widzieć – przesunął spojrzenie na Maisie, a potem na mnie. – Dobrze widzieć was razem. – Uniósł brwi i westchnął. – Co się, do diabła, stało? Jak się tu znaleźliśmy?

Patrzyłam na niego, zastanawiając się, co – jeśli w ogóle cokolwiek – pamięta z podróży do świata *Fae*.

Jedną ręką objęłam mocno Colina, a drugą wyciągnęłam do Petera.

– Może ważniejsze jest to, w którą stronę ruszymy dalej? – Na te słowa zawahał się,

zerkając z niepokojem na Maisie, ale ujął moją dłoń. – Kocham cię tak bardzo, Peter. Naprawdę. – Przyjął to kiwnięciem głowy, łzy spływały mu po policzkach. Puścił mnie i je otarł. – Nie chcę cię wyrzucać, uwierz mi. Ale muszę spędzić kilka chwil sam na sam z siostrą. Mógłbyś?

– Tak. – Wiedziałałam, że musiał sięgnąć do najgłębszych pokładów siły, by to powiedzieć. – Zaczekam na zewnątrz – stwierdził, po czym sobie przypomniał, że ogród zagarnął Emmet. – Na ganku. – Mówiąc to, patrzył na Maisie. To na nią będzie czekał. Może to i dobrze. Odwrócił się i wyszedł.

Siedziałyśmy obok siebie, nic nie mówiąc. Szukałyśmy właściwych słów i czekałyśmy, aż emocje opadną na tyle, byśmy mogły je wypowiedzieć.

– Czuję się, jakbym była jego matką – zaczęła Maisie, przerywając długą i niezręczną ciszę. Wiedziałałam, że Ellen miała rację. Maisie musiała być zupełnie skłócona wewnątrz. W końcu podniosła oczy i napotkała moje spojrzenie. Widziałam, że w głębi duszy cieszy się z powrotu siostry, ale boi się, jaką cenę przyjdzie jej za to zapłacić. – Czuję się też, jakbym była żoną Petera.

– Bo jesteś i jednym, i drugim.

– Ty też. – Oplotła się ramionami.

Pocałowałam Colina w główkę i podałam go jej.

– Trzymaj go – powiedziałam, walcząc z pragnieniem przytulenia go.

Wyciągnęła ręce, a Colin nie protestował. Jego jasne oczka, jedno zielone a drugie niebieskie, śmiały się radośnie. Śmiały się, ale wiedział, co się dzieje. Maisie przycisnęła go do siebie i płakała, dopóki nie zabrakło jej łez.

– Nie wiem jak, ale poradzimy sobie z tym. Jest w życiu Colina miejsce dla dwóch mam.

– Pogłaskałam ją po włosach

– A w życiu Petera?

Sposób, w jaki Peter spojrzał na Maisie, powiedział mi, że jego serce dokonało już wyboru. Ale nie chciałam odpowiadać wprost. Potrwa chwilę, zanim wszystko przemyślimy, poukładamy. Peter, Maisie, ja i, tak, Emmet też, będziemy musieli szczerze porozmawiać o tym, jak ma wyglądać nasze życie. Ale musimy zacząć od tego, co nas łączy: od miłości do Colina.

Z czasem wszystko jakoś się ustabilizuje. Skleimy dwie różne historie, dwa zestawy wspomnień, dopasujemy do siebie kawałki. Najważniejsze, że znów jesteśmy razem. Wszystko inne kiedyś znajdzie swoje miejsce. W tamtym momencie myślałam jedynie o tym, by jak najwięcej czasu spędzać z mężczyzną mojego życia – z moim synem.

EPILOG

Wrzesień przyniósł błękitne niebo i znośne temperatury. I specjalną przesyłkę w dużym kartonowym pudle. Poszłam do garażu, gdzie, oparty o ścianę, czekał na mnie mój stary rower, prawdopodobnie mój pierwszy prawdziwy przyjaciel. Nasmarowałam łańcuch i wyprowadziłam go na podjazd, gdzie stało pudło. Tak dla żartu wycelowałam w nie palec i kazałam mu się otworzyć. Z radością stwierdziłam, że stoi zamknięte, dokładnie tak jak przedtem.

Gdy wróciłam do tej rzeczywistości, zostałam oddzielona od magii. Taka była cena za bilet powrotny. Byłam zupełnie i absolutnie pozbawiona mocy. Zero magii. Wróciłam do świata jako zwyczajna osoba i byłam z tego powodu przeszczęśliwa.

Znów weszłam do garażu i wygrzebałam nóż do papieru oraz klucz. Przecięłam tekturę i otworzyłam paczkę, odkrywając neonowo pomarańczową przyczepkę, którą kupiłam dla mojego syna. Klóciła się z czerwonym rowerem jeszcze bardziej niż krzesło i lodówka Jilo, ale przynajmniej była pewność, że będzie widoczna na drodze. Przeciągnęłam ją za tylne koło roweru i po pobieżnym przejrzaniu instrukcji udało mi się ją zamontować. Wtedy zorientowałam się, że zrobiłam to źle. Rozkręciłam wszystko, przeczytałam instrukcję i zmontowałam na nowo. Własnymi rękami. Żadnej magii, już nigdy więcej. Ta myśl przyniosła mi taką ulgę, że nieomal rozpłakałam się z radości.

Ale tego nie zrobiłam. Zamiast tego złożyłam karton i odłożyłam go na makulaturę. Wskoczyłam na rower, wykonałam szybką rundkę przez pobliskie uliczki, by się upewnić, że wszystko jest w porządku, i wróciłam na podjazd. Weszłam do domu, żeby zmyć smar z rąk, po czym pobiegłam na piętro, gdzie czekał na mnie Colin. Na mój widok zaklaskał radośnie.

– Wszystko gotowe. – Sięgnęłam do kojca, żeby wziąć go na ręce. Pocałowałam małego w policzek i w czółko. Wtuliłam się w niego, chłonąc jego zapach. Cieszyłam się, że jest prawdziwy. Że ja jestem. – W porządku, chłopaku. – Pocałowałam go raz jeszcze. – Mam nadzieję, że jesteś gotowy, bo chcę cię zabrać na przejażdżkę i opowiedzieć kilka potwornych, nikczemnych kłamstw o ludziach z naszego kochanego miasta. – W odpowiedzi zapiszczał radośnie. – Teraz możesz zapytać, dlaczego zamierzam zmyślać kłamstwa na temat miasta, o którym można opowiedzieć tyle fascynujących historii. – Szturchnęłam go delikatnie w okrągły brzusek. – No, zapytaj...

The logo for Bevitore, featuring the brand name in a white serif font centered within a solid dark red rectangular background.

PODZIĘKOWANIA

Chciałbym podziękować mojemu partnerowi Richowi Weissmanowi i moim cudownym przybranym córkom Rebecce i Madeline za ich wsparcie i słowa otuchy, mojej agentce Susan Finesman z Fine Literary i wspaniałemu zespołowi 47North, zwłaszcza Jasonowi Kirkowi i Nicci Jordan Hubert, którzy włączyli się w prace nad zakończeniem trylogii i pomogli mi przebrnąć przez co najmniej dziewiętnaście załamania nerwowych. Dziękuję też mojej literackiej położnej Kristen Weber, która była ze mną od pierwszego słowa. Specjalne podziękowania ślę Davidowi Pomicowi za podpisanie kontraktu na serię i Angeli Polidoro za jej pracę nad dwiema pierwszymi częściami *Wiedźm z Savannah*. W końcu lista podziękowań nie byłaby pełna, gdybym nie wspomniał moich futrzastych współautorów Duke'a i Sugar.

O AUTORZE

J.D. Horn dorastał na wsi w stanie Tennessee i podróżując po świecie, z Hollywood przez Paryż do Tokio, zawsze woził ze sobą grudkę tamtejszej czerwonej gliny. Studiował literaturę porównawczą, a specjalizował się szczególnie w literaturze francuskiej i rosyjskiej. Zdobył również tytuł MBA i zanim został powieściopisarzem, pracował jako analityk finansowy. Razem ze swoim partnerem Richem oraz futrzastymi współautorami Dukiem i Sugar dzieli swój czas pomiędzy Portland w Oregonie i San Francisco w Kalifornii.